This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at http://books.google.com/

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem http://books.google.com/

VSlav 17

Harvard College
Library

FROM THE LIBRARY OF
Archibald Cary Coolidge
Class of 1887

THE GIFT OF
Harold Jefferson Coolidge
Class of 1892

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM VIII.

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA.

NOWE WYDANIE ZUPEŁNE.

TOM PIERWSZY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1887.

VSlav 7117.1

HARVARD COLLEGE LIBRARY
FROM THE LIBRARY OF
ARCHIBALD CARY COOLIDGE
THE GIFT OF
HAROLD JEFFERSON COOLIDGE
APR 2 1928

TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

BALLADY I ROMANSE.

Strona

Pierwiosnek 3
Romantyczność 5
Świteź 7
Świtezianka 14
Rybka 19
Powrót Taty 23
Kurhanek Maryli 26
Do przyjaciół (posyłając im balladę: To lubię) . . . 30
To lubię 32
Pani Twardowska 36
Tukaj 41
Lilje 49
Dudarz 60
Czaty 66
Ucieczka 68
Trzech Budrysów 73
Renegat 75
Panicz i Dziewczyna 77
Rękawiczka 80

SONETY.

I. Przypomnienie 85
II. Do Laury . . . . —
III. «Mówię z sobą» . . . . —
IV. «Nie uczona twa postać» 87
V. Widzenie się w gaju 88
VI. «Potępi nas świętoszek» . . . . —
VII. Ranek i wieczór 89
VIII. Z Petrarki 90
IX. Do Niemna . . . . —
X. Strzelec 91
XI. Błogosławieństwo (z Petrarki) 92

Strona
XII. Rezygnacja 92
XIII. «Patrzysz mi w oczy» 93
XIV. «Poezjo! gdzie cudny pędzel» 94
XV. «Pierwszy raz jam niewolnik» . . . . . —
XVI. «Luba, ja wzdycham» 95
XVII. Dzieńdobry 96
XVIII. Dobranoc . . . . —
XIX. Dobrywieczór 97
XX. Do D... D... wizyta 98
XXI. Do wizytujących . . . . —
XXII. Pożegnanie 99
XXIII. Danaidy 100
XXIV. Exkuza 101

SONETY KRYMSKIE.

I. Stepy Akermańskie 107
II. Cisza morska 108
III. Żegluga . . . . —
IV. Burza 109
V. Widok gór ze stepów Kozłowa 110
VI. Bagczysaraj 111
VII. Bagczysaraj w nocy . . . . —
VIII. Grób Potockiej 112
IX. Mogiły haremu 113
X. Bajdary . . . . —
XI. Ałuszta w dzień 114
XII. Ałuszta w nocy 115
XIII. Czatyrdah . . . . —
XIV. Pielgrzym 116
XV. Droga nad przepaścią w Dżehud-kale 117
XVI. Góra Kykyneis 118
XVII. Ruiny zamku w Bałakławie . . . . —
XVIII. Ajudah 119

POWIASTKI I BAJKI.

Popas w Upicie 123
Królewna Lala i król Bobo 127
Golono, strzyżono 131
Pan Baron 134
Dzwon i Dzwonki 139
Pchła i Rabin . . . . —

Strona

Przyjaciele 140
Zając i Żaba 141
Koza, Kózka i Wilk 142
Król chory i Lisy 143
Lis i Kozieł 144
Trójka koni 145
Tchórz na wyborach 147
Żaby i ich króle 148
Osioł i Pies 150
Chłop i Żmija 152
Pies i Wilk 153
Żona uparta 155

WIERSZE RÓŻNE.

I.

Hymn na dzień Zwiastowania N. P. Marji 159
Do Marji Łubieńskiej, w dzień przyjęcia Komunji Świętej 160
Aryman i Oromaz 161
Rozum i Wiara 162
Arcy-Mistrz 164
Mędrcy 165
Rozmowa wieczorna 166
Widzenie 167
Do Bohdana Zaleskiego 170

II.

Oda do Młodości 171
Pieśń Filaretów 174
Toasty 176
Czyn 177
Do Matki Polki 178
Nocleg 180
Reduta Ordona 182
Śmierć pułkownika 186
Pieśń żołnierza 187
Ad Napolionem III 188

III.

Farys 190
Szanfary 195
Almotenabbi 200

IV.

Strona
Zima miejska 204
Chór strzelców 206
«Gdybym się zmienił» 208
Żeglarz 209
The meeting of the waters 211
«Precz z moich oczu» . . . . —
Nowy Rok 213
Sen (z Byrona) 214
Euthanazya (naśladowanie z Byrona) 220
Ciemność (z Byrona) 221
Majtek 224
Pożegnanie Child Harolda (z Byrona) 225
Dziewica na rozdrożu 228
Zaloty 230
Dwa słowa 231
«Moja pieszczotka» 232
Rozmowa . . . . —
Sen 233
Do D... D... Elegja 234
Godzina (Elegja) 236
W dzień odjazdu 238
Z Petrarki 239
Na pokój grecki 241
Przypomnienie (z Puszkina) 244
Podróżny (z Goethego) . . . . —
Morlach w Wenecji (z serbskiego) 250
Do ..... (na Alpach w Splugen) 251
Do H.... Wezwanie do Neapolu (naśladowanie z Goethego) 252
Do mego Cicerone w Rzymie 254
— «Gdy tu mój trup» 255
«Te rozkwitłe świeżo drzewa» . . . . —
Do samotności 257
«Polały się łzy me czyste» . . . . —
«Kochanek duchów» 258
—«Nad wodą wielką» . . . . —
Objaśnienia 261

BALLADY I ROMANSE.

PIERWIOSNEK.

(Primula veris.)

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek:

JA.

Zawcześnie kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perełka.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka:
Życiem wschód — śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku:
Wianek to będzie nad wianki.

JA.

W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku —
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzenki,
Ni zawoje tulipana,
Ni lilijowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz skądże ufności tyle!
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Powitają przyjaciele
Mię, wiosny młodej aniołka;
Przyjaźń ma blasku nie wiele
I cień lubi jak me ziołka.

Czym kochanki godzien rączek? —
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą — ach! łzę tylko. —

ROMANTYCZNOŚĆ.

Methinks I see —
— Where? —
In my mind's eye.
SHAKESPEARE.

Słuchaj dzieweczko!
— Ona nie słucha —
To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie nie ma żywego ducha:
Co tam w koło siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
— Ona nie słucha. —

To jak martwa opoka
Nie zwróci w stronę oka!
To strzela w koło oczyma,
To się łzami zaleje,
Coś niby chwyta, coś niby trzyma,
Rozpłacze się i zaśmieje.

«Tyżeś to w nocy? to ty Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku!
Czasem usłyszy macocha!

«Niech sobie słyszy — już nie ma ciebie!
Już po twoim pogrzebie!
Ty już umarłeś? Ach! ja się boję! —
Czego się boję mego Jasieczka?
Ach, to on! lica twoje! oczki twoje!
Twoja biała sukieneczka!

«I sam ty biały jak chustka,
Zimny — jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mię — do ust usta —

«Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!
Weź mię, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata.

«Źle mi w złych ludzi tłumie:
Płaczę, a oni szydzą;
Mówię — nikt nie rozumie;
Widzę — oni nie widzą!

«Śród dnia przyjdź kiedy. — To może we śnie?
Nie, nie — trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie mój Jasieńku!
Jeszcze wcześnie — jeszcze wcześnie!

«Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś! ach! stój Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa!»

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada?
Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludzi gromada.

«Mówcie pacierze! — krzyczy prostota —
Tu jego dusza być musi.
Jasio być musi przy swej Karusi,
On ją kochał za żywota!»

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płaczę, i mówię pacierze.
«Słuchaj dzieweczko! — krzyknie śród zgiełku

Starzec, i na lud zawoła —
Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę do koła.

«Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
W głupstwa wywarzone kuźni;
Dziewczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni.»

«Dziewczyna czuje — odpowiadam skromnie —
A gawiedź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

«Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce;
Nie znasz praw żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!»

ŚWITEŹ.

(Do Michała Wereszczaki.)

Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklanna z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nóg twoich ugina.

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu:
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi —
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą! —
Drżę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz śród wody gwar jakoby w mieście:
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żałosne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą —
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Z dawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskiem robić mieście,
I wielkie sypał wydatki:
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czółna i statki.

Ja ostrzegałem: że w tak wielkiem dziele,
Dobrze, kto z Bogiem poczyna;
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił;
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się; pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie z cicha —
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy:
Powiemże jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszydło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży. A gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

«Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści:
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

«I ty zuchwały i twoja gromada
Wraz byście poszli w głębinie:
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie —

«Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli:
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

«Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

«Świteź, i w sławne orężem ramiona
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

«Nie ćmił widoku ten ostęp ponury:
Przez żyzne wskroś okolice
Widać stąd było Nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

«Raz, niespodzianie, obległ tam Mendoga
Potężnem wojskiem Car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

«Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
«Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
«Spiesz — zwołaj twe towarzysze!»

«Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny:
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

«Uderzą w trąby, rusza młódź — już w bramie
Błyska Tuhana proporzec:
Lecz Tuhan stanie i ręce załamie:
I znowu jedzie na dworzec.

«I mówi do mnie: Jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świteź nie ma innych szańców,
Prócz naszych piersi i mieczy.

«Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?»

«Ojcze, odpowiem, lękasz się niewcześnie,
Idź, kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego Anioła.

«Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi: póki męże za granicą,
Ja bronię żony i córy.

«Usłuchał Tuhan i za wojskien goni;
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!

«Zagrzmią tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

«Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę,
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.

«Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecą bogactwa na stosy,
Przenoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznemi głosy:

«Przeklęty będzie, kto się nie dobije! —
Broniłam, lecz próżny opór:
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

«Gotowa zbrodnia. — Czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy? —
Panie! zawołam, nad Pany!

Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!

«Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
«Dzień zda się spędzać noc ciemną:
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy —
Już ziemi nie na podemną! —

«Takeśmy uszły shańbienia i rzezi.
Widzisz to ziele do koła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

«Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

«Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie;
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

«Doświadczył tego Car i Ruska zgraja.
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie:

«Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.

«Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa Cary.» —

To mówiąc, pani zwolna się oddala:
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słychać o niej.

ŚWITEZIANKA.

Jakiż to chłopiec piękny i młody,
Jaka to obok dziewica,
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy świetle księżyca? —

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jej kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny —
Pewnie to jego kochanka. —

Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem.
Młody jest strzelcem w tutejszym borze;
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.

Skąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie —
Gdzie uszła? nikt jej nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.

«Powiedz mi piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice?
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

«Minęło lato, zżółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora:
Zawsze mam czekać twojego przyjścia
Na dzikich brzegach jeziora?

«Zawszeż po kniejach, jak sarna płocha,
Jak upiór, błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba, ze mną!

«Chateczka moja stąd nie daleka
Pośrodku gęstej leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny.»

«Stój — mu odpowie — hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.

«Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapały;
Możebym prośby przyjęła twoje:
Ale czy będziesz mi stały?»

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świetnym księżyca blasku —
Lecz czy dochowa przysięgi?

«Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!»

To mówiąc, dziewka więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie,
I pożegnawszy strzelca zdaleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka:
Rączym wybiegom nie sprostał;
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grząska —
Cisza w około, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałąska.

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnemi strzela oczyma:
Wtem wiatr zaszumiał po gęstym lesie —
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Po nad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.

Jej twarz, jak róży bladej zawoje,
Skropione jutrzenki łeską;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.

«Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody,
— Zanuci czule dziewica —
Po co w około Świtezi wody
Błądzisz przy świetle księżyca?

Po co żałujesz dzikiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy,
I może jeszcze się śmieje?

«Daj się namówić czułym wyrazem:
Porzuć wzdychania i żale,
Do mnie tu, do mnie! — tu będziem razem
Po wodnym pląsać krysztale.

«Czy zechcesz, niby jaskółka chybka
Oblicze tylko wód muskać,
Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać —

«A na noc w łożu srebrnej topieli,
Pod namiotami zwierciadeł,
Na miękkiej wodnych lilijek bieli,
Śród boskich usnąć widziadeł.»

Wtem z zasłon błysną piersi łabędzie —
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie,
I «Do mnie! — woła — pójdź do mnie!»

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec — i staje w biegu —
I chciałby skoczyć — i nie chce;
Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Zlekka mu w stopy załechce.

I tak go łechce i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozpływa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliwa.

Zapomniał strzelec o swej dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zguby oślep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży,
Niesie go wodne przestworze;
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniem igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swej ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni,
I skoczne okręgi toczy:

Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku —
Poznaje strzelec dziewczynę z bliska —
Ach, to dziewczyna z pod lasku!

«A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!

«Nie tobie igrać przez srebrne tonie,
Lub nurkiem pluskać w głąb' jasną:
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

«A dusza przy tem świadomem drzewie
Niech lat doczeka tysiąca;
Wiecznie piekielne cierpiąc zarzewie,
Nie ma czem zgasić gorąca.»

Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
Błędnemi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłań podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni;
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni:
Jest to z młodzieńcem dziewica.

Ona po srebrnem pląsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Kto jest młodzieniec? strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? ja nie wiem.

RYBKA.

(Ze śpiewu gminnego.)

Od dworu, z pod lasa, z wioski,
Smutna wybiega dziewica:
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka,
Załamuje białe rączki
I tak żałośnie narzeka:

«O wy! co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiej przygodzie
Głosu zdradzonej kochanki

«Kochałam pana tak szczerze!
On mię przysięgał zaślubić:
Dziś księżnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

«Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi
Urągać się z mych boleści!

Dla opuszczonej kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię Świtezianki;
Lecz moje dziecię — ach, dziecię!»

To mówiąc rzewnie zapłacze,
Rączkami oczy zasłoni,
I z brzegu do wody skacze,
I w bystrej nurza się toni.

W tem z lasu, gdzie się dwór bieli,
Tysiączne świecą kagańce,
Zjeżdżają goście weseli:
Muzyka, hałas i tańce.

Lecz mimo tego hałasu
Płacz dziecięcia słychać w lesie;
Wierny sługa wyszedł z lasu,
I dziecię na ręku niesie.

Ku wodzie obraca kroki,
Gdzie łoza, gęsto spleciona,
Wzdłuż wykręconej zatoki
Okryła rzeki ramiona.

Tam staje w ciemnym zakątku,
Płacze i woła: «Niestety!
Ach któż da piersi dzieciątku?
Ach! gdzie ty, Krysiu, ach gdzie ty?»

«Tu jestem, w rzece u spodu,
— Cichy mu głos odpowiada —
Tutaj drżę cała od chłodu,
A żwir mi oczki wyjada.

«Przez żwir, przez ostre kamuszki
Fale mię gwałtowne niosą;
Pokarm mój koralki, muszki,
A zapijam zimną rosą.»

Lecz sługa jak na początku,
Tak wszystko woła: «Niestety!
Ach któż da piersi dzieciątku?
Ach gdzie ty, Krysiu, ach gdzie ty?»

Wtem się coś z lekka potrąci
Śród kryształowej przeźroczy,
Woda się z lekka zamąci,
Rybka nad wodę podskoczy;

I jak skałka, płaskim bokiem,
Gdy z lekkich rąk chłopca pierzchnie,
Tak nasza rybka podskokiem
Mokre całuje powierzchnie.

Złotemi plamki nadobna,
Kraśne ma po bokach piórka,
Główka jak naparstek drobna,
Oczko drobne jak paciórka.

Wtem rybią łuskę odwinie,
Spojrzy dziewicy oczyma;
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Na licach różana krasa,
Piersi jak jabłuszka mleczne;
Rybią ma pletwę do pasa,
Płynie pod chrósty nadrzeczne.

I dziecię bierze do ręki
U łona białego tuli!
«Luli, wola, mój maleńki,
Luli mój maleńki, luli.»

Gdy dziecię płakać przestało,
Zawiesza kosz na gałęzi,
I znowu ściska swe ciało,
I główkę nadobną zwęzi.

Znowu ją łuski powleką,
Od boków wyskoczą skrzelki —
Pluska: i tylko nad rzeką
Kipiące pękły bąbelki.

Tak co wieczora, co ranka,
Gdy sługa stanie w zakątku,
Wraz wypływa Świtezianka,
Żeby dać piersi dzieciątku.

Za cóż jednego wieczora
Nikt nie przychodzi na smugi?
Już zwykła przemija pora:
Nie widać z dziecięciem sługi.

Nie może on przyjść tą stroną,
Musi zaczekać troszeczkę,
Bo właśnie teraz pan z żoną
Poszli przechadzką nad rzeczkę.

Wrócił się, czekał z daleka,
Za gęstym usiadłszy krzakiem:
Lecz próżno czeka i czeka,
Nikt nie powracał tym szlakiem.

Wstaje i dłoń w trąbkę zwinął,
I patrzył przez palców szparę,
Ale i dzień już przeminął,
I mroki padają szare.

Czekał długo po zachodzie;
A gdy noc gwiazdy zapala,
Zbliża się z lekka ku wodzie
I śledzi oczyma z dala.

Przebóg, cudy, czy moc piekła?
Uderza go widok nowy:
Gdzie pierwej rzeczułka ciekła,
Tam suchy piasek i rowy.

Na brzegach porozrzucana
Wala się odzież bez ładu;
Ani pani, ani pana
Nie widać nigdzie ni śladu.

Tylko z zatoki połową
Sterczał wielki głazu kawał,
I dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumiewa się wierny sługa,
Rozpierzchłych myśli nie złowił;
Przeszła godzina, i druga,
Nim wreszcie słówko przemówił:

«Krysiu, o Krysiu!» zawoła:
Echo mu «Krysiu» odpowie;
Lecz próżno patrzy do koła,
Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzy na rów i na głazy,
Otrze pot na licu zbladłem,
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: już zgadłem.

Dzieciątko na ręce bierze,
Smieje się dzikim uśmiechem,
I odmawiając pacierze,
Wraca do domu z pośpiechem.

POWRÓT TATY.

«Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek:
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.

«Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze.»

Słysząc to dziatki, biegną wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem,
I zaczynają paciórek.

Całują ziemię, potem: w imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.

Potem: Ojcze nasz i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki;
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki:

I litanię do Najświętszej Matki,
Starszy brat śpiewa, a z bratem
«Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!»

Wtem słychać turkot. Wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
«Tato, ach tato nasz jedzie!»

Obaczył kupiec, łzy radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
«Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

«Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot — rodzynki w koszyku —»
Ten sobie mówi i ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

«Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.»
Idzie — aż zbójcy obskoczą do koła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą sie pod płaszcz na łonie,
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie:

«Ach! bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodej małżonki wdową!»

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie; a drugi
«Pieniędzy!» krzyczy, i buławą sięga;
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: «Stójcie, stójcie!» krzyknie starszy zbójca,
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
«Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi.»

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
«Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

«Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

«Z dawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

«Dzisiaj nadchodzę, patrzę, między chrusty
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham: z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

«Słucham: ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki —
Ach! ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki.

«Kupcze! jedź w miasto; ja do lasu muszę,
Wy dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciórek.»

KURHANEK MARYLI.

(Myśl ze śpiewu litewskiego.)

CUDZY CZŁOWIEK.

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek:
W maliny, ciernie i głogi —
Boki ma strojne murawą,

Głowę ukwieconą w kwiaty,
A na niej czeremchy drzewo,
A od niej idą trzy drogi:
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie dziewczyno,
Co to za piękny kurhanek?

DZIEWCZYNA.

W całej wsi pytaj się, bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyła w tej chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawej stronie te śladki
Ubite nogą pastuszka;
To jest drożyna jej matki,
A stąd przychodzi jej drużka,
Lecz oto błysnął poranek,
Ukryj się tu za stos łomu,
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo — idzie kochanek,
Patrz, matka idzie z domu.
Patrz w lewo — przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli
I niosą ziółka
I płaczą.

JAŚ.

Marylo! o tej porze!
Jeszcześmy się nie widzieli,
Jeszcześmy się nie ścisnęli.
Marylo! zaszło zorze!
Tu czeka twój kochanek:
Czy ty przespałaś ranek,
Czy na mnie zagniewana?

Ach, Marylo kochana!
Gdzież ty się dotąd kryjesz?
Nie, nie przespałaś ranka,
Nie gniewasz się na Janka:
Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
Więzi cię ten kurhanek —
Nie ujrzysz już kochanka,
Nie ujrzy cię kochanek!
Dawniej kiedy spać szedłem, tem słodziłem chwile,
Że skoro się obudzę, zobaczę Marylę,
I dawniej spałem mile!
Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki,
Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki;
Może zamknę na wieki! —
Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;
Chwalili mię sasiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy:
Teraz się ojciec biedzi,
A ja nie ludziom, ni Bogu!
Niech ziarno w polu przepadnie,
Niech ginie siano ze stogu,
Niech sąsiad kopy rozkradnie,
Niech trzodę wyduszą wilki! —
Nie masz, nie masz Marylki! —
Swaty nie namówili:
Nie mogę, nie, nie mogę!
Wiem ojcze, co uczynię:
Pójdę w daleką drogę,
Więcej mię nie znajdziecie.
Choćbyście i szukali.
Nie będę już na świecie!
Przystanę do Moskali,
Żeby mię wraz zabili.
Nie masz, nie masz Maryli!

MATKA.

Czemuż nie wstałam z rana?
Już w polu pełno ludzi.

Nie masz cię, nie masz kochana
Marylo! któż mię obudzi?!
Płakałam przez noc całą,
Zasnęłam kiedy dniało.
Mój Szymon gdzieś już w polu,
Wyprzedził on świtania,
Nie budził mię, mojego litując się bolu,
Poszedł z kosą bez śniadania;
Koś ty dzień cały, koś sobie,
Ja tutaj leżę na grobie.
Czegoż mam iść do domu?
Kto nas na obiad zawoła?
Kto z nami siądzie u stoła?
Nie masz, ach, nie masz komu!

Pókiśmy mieli ciebie,
W domu było jak w niebie.
U nas i wieczorynki,
Z całej wsi chłopcy, dziewki,
Najweselsze zażynki,
Najhuczniejsze dosiewki,
Nie masz cię! w domu pustynie!
Każdy kto idzie, minie.
Zawiasy rdzawieją w sieni,
Mchem się dziedziniec zieleni;
Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
Nie masz, nie masz Maryli!

PRZYJACIÓŁKA.

Tutaj bywało z ranku
Nad wodą sobie stoim,
Ja o twoim kochanku,
Ty mi mówisz o moim.
Już więcej z sobą nie będziem mówili! —
Nie masz, nie masz Maryli!
Któż mi zwierzy się szczerze,
Komuż się ja powierzę?

Ach! gdy z tobą kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę;
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele! —

* * *

Słyszy to cudzy człowiek,
Wzdycha i łzy mu płyną;
Westchnął, otarł łzy z powiek,
I dalej poszedł z wiciną.

DO PRZYJACIÓŁ.

Posyłając im balladę «To lubię.»

Bije raz, dwa, trzy — już północna pora;
Głuche w około zacisze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztora,
I psów szczekanie gdzieś słyszę.

Świeca w lichtarzu dopala się na dnie,
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.

Straszno! — Nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze —
Ileż mi słodkich chwilek przypomina!
Precz — to już znikło na zawsze!

Teraz ja szczęścia szukam — ot w tej księdze.
Księga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycanie,
Kochankę widzę, lub braci;
Zrywam się, patrzę: aż tylko po ścianie
Biega cień własnej postaci.

Ot, lepiej pióro wezmę i śród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl plącze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy;
Zacznę, bo nie wiem czy skończę.

Może też pamięć o minionej wiośnie
Zimowy wierszyk umili;
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli! —

Kto pragnie pędzlem swe rozsławić imię,
Niech jej maluje portrety;
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa rymie
Serca, rozumu zalety.

Choć mi to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy:
Lepiej wam powiem, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla słodkie miłości wyrazy
Dzieliła skąpo w rachubie:
Choć jej kto kocham mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i lubię.

Za to więc w Rucie, pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą,
Ja, na dobranoc żegnając Marylę,
Taką straszyłem balladą.

Kowno, dnia 27. grudnia 1821 roku.

TO LUBIĘ.

Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje.
W prawo łóz gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczułka i mostek.

Tuż stara cerkiew; w niej puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnicą chróśniak malinowy:
A w tym chróśniaku mogiły.

Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,
Że o północnej godzinie
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,
Cerkiew się z trzaskiem odmyka,
W pustej zrąbnicy dzwonią same dzwony,
W chróstach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie —
Same się z mogił ruszają pokłady,
I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała,
Roztwiera gębę i wytrzyszcza oczy:
W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży — pragniesz go odegnać
Aż orlem skrzydłem wilk macha —
Dość «zgiń, przepadnij» wyrzec i przeżegnać —
Wilk zniknie wrzeszcząc: ha, ha, ha!

Każdy podróżny oglądał te zgrozy,
I każdy musiał kląć drogę:
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
Innemu zwichnął koń nogę.

Ja, chociaż pomnę, nieraz Andrzej stary
Zaklinał, nieraz przestrzegał:
Śmiałem się z djabłów, nie wierzyłem w czary,
Tamtędym jeździł i biegał.

Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście z końmi wóz staje;
Próżno woźnica przynagla do biegu,
Hej! krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potem skoczą z całej mocy!
Dyszel przy samej pękł szrubie;
Zostać na polu samemu i w nocy,
To lubię, rzekłem, to lubię!

Ledwiem dokończył, aż straszna martwica
Wypływa z bliskich wód toni;
Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalękniony,
Włos dębem stanął na głowie;
Krzyknę: niech będzie Chrystus pochwalony!
«Na wieki wieków» odpowie.

«Ktokolwiek jesteś, poczciwy człowieku,
Coś mię zachował od męki,
Dożyj ty szczęścia i późnego wieku,
I pokój tobie i dzięki.

«Widzisz przed sobą obraz grzesznej duszy;
Wkrótce się niebem pochlubię:
Boś ty czyszcowej zbawił mię katuszy
Tem jednem słówkiem: To lubię.

«Dopóki gwiazdy zejdą i dopóki
We wsi kur pierwszy zapieje,
Opowiem tobie, a ty dla nauki
Opowiedz innym me dzieje.

«Onego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty.
Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, poczciwy, bogaty —

«Za życia pragnął sprawić mi wesele;
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele:
Posag wabił i uroda.

«Mnóstwo ich marnej pochlebiało dumie.
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

«Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę.
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłosne zapały.

«Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika,
Próżno i dzień i noc płacze,
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiech obudzały rozpacze.

«Ja pójdę!» mówił ze łzami — «Idź sobie!»
Poszedł — i umarł z miłości —
Tu nad rzeczułką, w tym zielonym grobie,
Złożone jego są kości.

«Odtąd mi życie stało się nielube,
Późne uczułam wyrzuty;
Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
Ani czas został pokuty.

«Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty:
Przyleciał Józio, w straszliwej postawie,
Jak potępieniec ognisty.

«Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębów,
W czyszcowe rzucił potoki,
Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów,
Takie słyszałam wyroki:

— «Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na roskosz, nie na boleści.

«Ty, jakbyś w piersiach miała serce z głazu
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.

«Za taką srogość, długie, długie lata,
Dręcz się w czyszcowej zagubie;
Póki mąż jaki z tamecznego świata,
Nie powie na cię choć: lubię.

«Prosił i Józio niegdyś o to słowo
Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy:
Proś-że ty teraz — nie łzą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy.» —

«Rzekł. Mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie:
W dzień męczą; na noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie —

«I w cerkwi albo na Józia mogile,
Niebu i ziemi obrzydła,
Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,
Różne udając straszydła.

«Idących w błota zawiodę lub w gaje,
Jadącym konia uskubię;
A każdy naklnie, nafuka, nałaje —
Tyś pierwszy wyrzekł: to lubię.

«Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość z pod ciemnych wskażę chmur,
Ach! i ty poznasz Marylę — lecz ona —»
Wtem, na nieszczęście zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną;
Ginie — jak ginie bladawy obłoczek,
Kiedy zefiry nań dmuchną —

Patrzę — aż cały wóz stoi na łące.
Siadam, powoli strach mija;
Proszę zu dusze w czyszcu bolejące,
Zmówić trzy Zdrowaś Marya.

PANI TWARDOWSKA.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Ha ha, hi hi, hejże, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza:
Hulaj dusza! hulaj! woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: cmok — i gdańskiej wódki,
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno — «Co u licha!
Po coś tu kumie zawitał?»

Djablik to był w wódce na dnie —
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznokcie.

«A, Twardowski — witam bracie!»
To mówiąc bieży obcesem:
«Cóż to? czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofelesem!

«Wszak ze mną́ś na Łysej-Górze
Robił o duszę zapisy:
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy

«Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

«Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy:
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

«Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa —
Kładę areszt na Waszeci.»

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum;
Djabeł za kontusz ułapił:
«A gdzie jest nobile verbum?»

Co tu począć? Kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową —
Twardowski na koncept wpada,
I zadaje trudność nową.

«Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją —

«Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy,
Musisz spełnić co do joty.

«Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

«Skręć mi przytem biczyk z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać;
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać

«Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha
Pobita nasieniem z maku.

«Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale:
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bretnale.»

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Probuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa —
Patrzy, aż i gmach już gotów.

«No! wygrałeś panie bisie;
Lecz druga rzecz nieskończona.
Trzeba skąpać się w tej misie —
A to jest woda święcona.»

Djabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije,
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, brrr...! parsknął raźnie:
«Teraz jużeś w naszej mocy,
Najgorętszą̧m odbył łaźnię.»

«Jeszcze jedno, będzie kwita,
— Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj — oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.

«Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem zostanie.

«Przysiąż jej miłość, szacunek,
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic.»

Djabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki:
Niby patrzy, niby słucha —
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha tak czmycha.

TUKAJ,

ALBO PRÓBY PRZYJAŹNI.

(We czterech częściach.)

I.

«Ja umieram. — Ja nie płaczę,
I wy chciejcie ulżyć sobie;
Prędzej, później, legniem w grobie,
Nie wrócą na świat rozpacze.
Byłem panem mnogich włości,
Sławny potęgą i zbiorem;
Zamki me stały otworem
Dla przyjaciół i dla gości.
O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imię!
Wielkie nic! Wielkość, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Gdy za mądrości widziadłem
Goniąc, zbiegam kraje cudze;
Gdy wzrok nad księgami trudzę,
Skarbnice nauk posiadłem:
O nauki! o człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imię!
Wielkie nic! Rozum, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Strzegłem ustaw świętej wiary
W duchu i serca prostocie;
Hojnie nagradzałem cnocie,
Kościołom niosłem ofiary:
O pobożności! człowieku! [1]
Święta wiaro, święte imię,
Święte nic! Cnoto, czczy dymie!

[1] Za te bluźnierstwa znajdzie czytelnik ukaranie w następnych balladach.

Ja umieram w kwiecie wieku!
Twórco, jakże igrasz srodze!
Kiedy mi dasz wiek niedługi,
Cóż że mi dasz wierne sługi:
Czemże za wierność nagrodzę?
Dasz kochankę kochankowi:
Śmierć truje ślubów słodycze. —
I tylu przyjaciół liczę!
Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi! —
Tak na domowników ręku
Tukaj, pośród skarg i jęku,
Pożegnawszy świat na wieki,
Gasnące zamknął powieki.

Wtem grom łamie szczyty dachu.
Zadrżały zamkowe ściany,
Jakowyś starzec nieznany
Wlatuje na środek gmachu.
Siwy włos okrył mu skronie,
Twarz marszczkami rozorana,
Broda długa za kolana,
Na kosturze wsparte dłonie.
«Tukaju!» porwał z pościeli,
I wraz za sobą iść każe —
Już wierzchnie sale minęli,
Minęli wały i straże.
Idą — ciemno, deszczyk kropi,
A srebrzysta twarz miesiąca,
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy,
Mijają bagna, głębinie,
Gnilicy ciemnej ostępy,
Kołdyczewa nurty sinie —
Gdzie puszcza zarosła w koło;
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Żwirami nasute czoło
Wynosi góra Żarnowa —

Tam szli. — Starzec kląkł na grobie,
Rozwarł usta, okiem błysnął,
Podniósł w górę ręce obie,
Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
«Tukaju, patrz, oto ścieżka!
Za ścieżką chatka na bagnie,
W chatce mędrzec Polel mieszka:
Mędrzec mędrca wspomódz pragnie.
Znana twa nauka, cnota;
Znam, że Bóg węzły lubemi
Przywiązawszy cię do ziemi,
Długiego nie da żywota.
Ale rzucaj przestrach płony,
Mych sposobów uznaj dzielność;
Żyj dla sług, przyjaciół, żony,
Lata, wieki, nieśmiertelność.
Ja pierwszy, ziemskiemu oku
Śmiem do niej pokazać drogę;
Lecz podług ustaw wyroku,
Dwom tylko pokazać mogę.
Wybierz drugiego człowieka,
Człowieka doznanej wiary,
Któremubyś w każdej probie,
Tak zaufał jak sam sobie.
Trafisz — nieśmiertelność czeka;
Chybisz — śmierć i wieczne kary!»
«Starcze! twe zjawienia wieszcze
Ciemna zasłona powleka.
Powiedz. —» «Powiadam ci jeszcze:
Wybierz drugiego człowieka.
Radź się twej głowy i serca:
Idzie o ciało i duszę!
Wierny, albo przeniewierca,
Nieśmiertelność, lub katusze! —
Czy mógłbyś zwierzyć się słudze? —»

Tukaj nic nie odpowiada;
Bo któż zgadnie myśli cudze?

Tak zbyt częsta w sługach zdrada!
«Może kochance, lub żonie?»
«Tak —» wtem uciął, patrzy smutnie;
«Tak» rzecze, i znowu utnie.
Myśli, sam się z sobą biedzi,
«Tak jest, kochance — tak, żonie!»
I wierzy, i strach nań pada,
I wątpi i wstydem płonie;
Myśli, sam się z sobą biedzi,
Umyślił, już w odpowiedzi,
Już — i nic nie odpowiada.
«Umrzyj więc! ty śmiałeś żądać?
Daj pokój żądaniom dzikim!
Ty nie masz ufności w nikim,
Wartoż dłużej świat oglądać?»
On myśli. «Nikogoż z wiela?
Sługi, żony, przyjaciela! —»
On myśli. — Tu, w mgnieniu oka,
Czerni się niebios sklepienie —
Słychać grzmienie, ziemi drżenie,
Kipią bagna, lasy gorą,
Niknie w płomieniach opoka,
I doliny i jezioro
Śród gromów, świstu i szczęku —
Czy to zły duch, czy moc Boża —
Tukaj znalazł się śród łoża,
Na swych domowników ręku.
Głos tylko zagrzmiał z daleka,
«Nie masz drugiego człowieka,
Któremubyś, w każdej probie,
Tak zaufał, jak sam sobie.»

II.

«Ja mam, ja mam przyjaciela!»
Konający Tukaj woła.
Wraz uchodzi bladość z czoła,
Iskrą zdrowia oko strzela,

Tukaj wydarty mogile,
Wstaje, dziwią się doktory;
Wstaje, chodzi o swej sile,
Jakby nigdy nie był chory.
A wtem, na poduszce z boku,
Ujrzy z wolej skóry karty,
Gdzie tajemnice wyroku
Przeklęte spisały czarty.
Tukaj z ciekawością chwyta,
Siada, podparł się, i czyta:

«Kiedy miesiąc na młodziku,
Idź za górę do gaiku,
Znajdziesz kamień, z pod kamienia
Białego urwij korzenia.
Kiedy będziesz bliski śmierci,
Każ ciało posiec na ćwierci,
W wodzie zgotować korzonki,
Pocięte namaścić członki:
Znowu się duch z ciałem zrośnie,
W młodocianej wstaniesz wiośnie,
I możesz, skutkiem tych leków,
Umierać, wstawać, wiek wieków.»

Dalej tam były przestrogi.
Jak siekać głowę, jak nogi;
W jakiej wodzie smażyć trunek,
Po jakiej brać zioła szczypcie;
Ale na końcu, w post-skrypcie,
Taki dodano warunek:

«Jeśli użyty ktoś drugi,
Do namaszczalnej posługi,
Zwiedzion przez nasze fortele,
Innemu pokaże ziele,
Lub w oznaczonej godzinie,
Twego ciała nie namaści:
Wtenczas skutek zioła zginie,

Wtenczas piekło czeka waści.
Jeśli na to się ośmielisz,
Dla znaku, że zaszła zgoda,
Nasz poseł Mefistofelisz,
Do wymiany traktat poda.
Ostrzegliśmy o fortelach,
Strzeż się; potem próżny kweres.
Dan w Erebie, w szabas rano. —
Własną ręką podpisano:
Tak ma stać się: Lucyferes.
A za zgodność: Hadramelach.

Tukaj trochę się zagniewał,
Warunku się nie spodziewał.
Brodę na ręku podpiera,
Potarł czoło, skrzywił nosa,
Na kontrakt spojrzał z ukosa;
Tabaczki dwa razy zażył,
To na ziemię spuszcza oczy,
To po stołowaniu toczy.
Wziął pargamin, w ręku zważył;
Znowu nań zezem poziera,
Znowu czytał i odczytał;
Znowu zważył, znowu zmierzył,
Kułakiem o stół uderzył,
Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał,
Ręce nad czoło zakłada —
Skoczył raptem i w zapędzie,
Machnął ręką: «Niech tak będzie!»
Znowu umilkł, znowu siada,
Znowu myśli, znowu wstaje,
Znowu chodzi, znowu siada.
Niech go za to nikt nie łaje,
Bo z djabłami rzecz nielada.

Myśli: albo wieczne życie,
Albo wiecznie djabłu dusza.

Nic nie mówi, myśli skrycie,
Tylko trochę wargą rusza.

Nadszedł już czas odpowiedzi.
Tukaj oddala się z tłumu
I do pracowni rozumu,
Zamknąwszy się, jeden siedzi.
I tam swój traktat raz jeszcze,
Nim stępel przyjęcia zyska,
W surowej uwagi kleszcze
Bierze i porządnie ściska.
Tam myśl rozmaita ścieka
W jedne podobieństwa tygle;
Tam jednę myśl niedościgle
Różnicy nożykiem sieka;
Sieka, topi nakształt wosku,
Aż wycisnął ekstrakt wniosku.
Obejrzawszy wniosek ściśle,
Tak rzekł po długim namyśle:
«Jakieżkolwiek to fortele,
O których słyszałem z góry,
Czy ich niewiele, czy wiele,
Trojakiej będą natury.
Chcąc kogo przywieść do zdrady,
Trzeba siły, albo rady;
Albo podarunkiem skusić,
Albo strwożyć, albo zmusić.
Toż samo, krótszemi słowy,
Będzie sylogizm takowy:
Trojaka to zguby droga,
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.
Więc kto w tym trojakim względzie
Twardej nie ulegnie próbie,
Takiemu już można będzie
Ufać, jak samemu sobie.»

Tukaj, kontent z wynalasku,
Szuka atramentu, piasku,

Idzie kreślić pismo grzechu;
Ale idzie bez pośpiechu.
Już ciemno, pisać niewcześnie,
W atramencie jakieś pleśnie,
Dwie świece musiał zapalać,
I dwa kałamarze nalać.
Coś mu zabolało w łokciu;
Wziął pióro, na piórze włosek,
I bardzo spisany nosek;
Otrząsł, przyciął na paznokciu.
Po długim względzie, rozględzie,
Wreszcie pisze: niech tak będzie.
Chciał dołożyć i nazwisko,
Lecz nim pierwsze T napisał,
Myślał pół godziny blisko,
Głową i piórem kołysał;
I nic więcej nie napisał;
Tylko do pierwszej litery,
Dodał małe kropki — cztery.

Gdy już napisano widzi,
Jeszcze patrzy, jeszcze bada;
Niechaj z tego nikt nie szydzi,
Bo z djabłami rzecz nielada.

Lecz jakże się musiał zdumieć,
Gdy głoska B, w słowie Będzie,
Zaczęła brzęczeć i szumieć,
I wzdymać wszystkie krawędzie.
Kręci się, beczy, podrasta,
Jak na drożdżach kawał ciasta;
Dolna litery połowa
Wykurcza się w brzuch i żebra —
U zwierzchniej wypukła głowa,
Nakształt ogromnego cebra.
Szyjka jak u osy wąska,
Nosik orła, bródka kozła,

A z jednej go strony końska,
Z drugiej kurza łapka wiozła;
Pogląda okiem wołowem,
Skrzydła nakształt młyńskich wioseł —
Był to djabeł, jednem słowem,
Był to Mefistofel poseł.

Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
Czy żegnać, czy prosić siedzieć,
Kiedy przyskoczył zuchwalec:
Porwał za maleńki palec,
Zasadził nożyk pod skórką,
I umoczył we krwi piórko;
Piórko wścibił, ścisnął w ręku,
Ręką wodzi pomaleńku,
Gdy już U, K, A, J, minął,
Zrobiło się całkiem Tukaj.
Djabeł świsnął, czmychnął, zginął —
Teraz że z nim ładu szukaj!

(Dalsze ballady o Tukaju w przyszłości.)

LILIE.

(Z pieśni gminnej.)

Zbrodnia to niesłychana:
Pani zabiła pana.
Zabiwszy, grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju,
Grób lilią zasiewa,
Zasiewając tak śpiewa:
«Rośnij kwiecie wysoko,
Jak pan leży głęboko;
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko.»

Potem cała skrwawiona,
Męża zbójczyni żona,
Bieży przez łąki, przez knieje,
I górą i dołem i górą.
Zmrok pada, wietrzyk wieje;
Ciemno, wietrzno, ponuro!
Wrona gdzieniegdzie kracze,
I puhają puhacze.

Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika:
Stuk stuk, stuk stuk.

«Kto tam?» Spadła zapora,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani nakształt upiora
Z krzykiem do chatki leci.
«Ha! ha!» — zsiniałe usta,
Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła jak chusta;
«Ha! mąż, ha trup!»

«Niewiasto! Pan Bóg z tobą!
Co ciebie tutaj niesie?
Wieczorną słotną dobą,
Co robisz sama w lesie?»

«Tu za lasem, za stawem,
Błyszczą mych zamków ściany,
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska,
Ja młoda śród młodzieży,
A droga cnoty śliska!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojej głowie!

Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.

«Ha! ha! mąż się nie dowie!
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już! —
Starcze! — wyznałam szczerze —
Ty głoś świętemi usty,
Jakie mówić pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła.»

«Niewiasto! — rzecze stary —
Więc ci nie żal rozboju,
Ale tylko strach kary?
Idź-że sobie w pokoju,
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy Boże,
Iż co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może;
A mąż twój stracił życie.»

Pani z wyroku rada,
Jak wpadła tak wypada.
Bieży nocą do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą.
«Mamo — wołają — Mamo!
A gdzie został nasz tato?»
«Nieboszczyk? co? wasz tato?»
— Nie wie co mówić na to —
«Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem.»

Czekają wieczór dzieci,
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały;
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno!
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na źrenicy!
Bo często w nocnej porze
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy:
«Dzieci, woła, to ja to,
To ja dzieci, wasz tato!»

Noc przeszła, zasnąć trudno:
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu!

«Idź Hanko przez dziedziniec;
Słyszę tentent na moście,
I kurzy się gościniec:
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?»

«Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rżą, rżą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki.
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!

«A witajże! czy zdrowa?
Witajże nam bratowa!
Gdzie brat?» «Nieboszczyk brat,
Już pożegnał ten świat.»

«Kiedy?» «Dawno, rok minął!
Umarł — na wojnie zginął.»
«To kłamstwo, bądź spokojna,
Już skończyła się wojna;
Brat zdrowy i ochoczy —
Ujrzysz go na twe oczy.»

Pani ze strachu zbladła,
Oczy przewraca w słup,
Z trwogą do koła rzuca.
«Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?»
Powoli się ocuca;
Mdlała niby z radości
I pytała u gości:
«Gdzie mąż, gdzie me kochanie,
Kiedy przedemną stanie?»

«Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pospieszyć
Nas przyjąć z rycerzami,
I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro pewnie będzie,
Pewnie kędyś w obłędzie
Ubite minął szlaki.
Zaczekajmy dzień jaki:
Poszlemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro pewnie będzie.»

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi;
Gdy nic nie doczekali,
Z płaczem chcą jechać dalej.

Zachodzi drogę pani:
«Bracia moi kochani —
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze,
Wszak czekaliście dłużej,
Czekajcie trochę jeszcze.»

Czekają. Przeszła zima,
Brata nie ma i nie ma.
Czekają; myślą sobie:
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko.
I wiosnę przeczekali,
I już nie jadą dalej.

Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda;
Że chcą jechać udają
A tymczasem czekają,
Czekają aż do lata,
Zapominają brata.

Do smaku im gospoda,
I gospodyni młoda.
Jak dwaj u niej gościli,
Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja łechce,
Obadwaj zdjęci trwogą;
Żyć bez niej żaden nie chce,
Żyć z nią obaj nie mogą.
Wreszcie, na jedno zdani,
Idą razem do pani.

«Słuchaj, pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo.
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.
Ty jeszcze jest ś młoda,
Młodości twojej szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata,
Wybierz brata za brata.»

To rzekli i stanęli.
Gniew ich i zazdrość piecze,
Ten to ów okiem strzeli,
Ten to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W ręku ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie,
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu.
Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.
Całą mu rzecz wykłada,
Pyta się, co za rada?

«Ach, jak pogodzić braci?
Chcą mojej ręki oba:
Ten i ten się podoba:
Lecz kto weźmie? kto straci?
Ja mam maleńkie dziatki,
I wioski i dostatki,
Dostatek się zmitręża,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
Nie dla mnie już zamęście!
Boża nademną kara —
Ściga mię nocna mara.
Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy —
Budzę się: widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa —
Ach, widzę, słyszę trupa!
Skrzyp, skrzyp i już nad łożem:
Skrwawionym sięga nożem,

I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mnie i szczypie.
Ach, dosyć, dosyć strachu,
Nie siedzieć mi w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zamęście!»

«Córko! — rzecze jej stary —
Nie masz zbrodni bez kary:
Lecz jeśli szczera skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę;
Choć mąż zginął od roku
Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.»

«Co, co? jak, jak? mój ojcze!
Nie czas już, ach nie czas?
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!
Ach znam, żem warta kary,
I zniosę wszelkie kary.
Byle się pozbyć mary,
Zrzekę się mego zbioru,
I pójdę do klasztoru,
I pójdę w ciemny las.
Nie, nie wskrzeszaj mój ojcze!
Nie czas już, ach nie czas!
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!»

Starzec westchnął głęboko,
I łzami zalał oko,
Oblicze skrył w zasłonie,
Drżące załamał dłonie:
«Idź za mąż póki pora,
Nie lękaj się upiora.

Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama.

«Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?» —
«Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.
Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą.
Niech każdy weźmie kwiecie,
I wianek sobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać czyj jaki —
I pójdzie w kościół Boży,
I na ołtarzu złoży:
Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek.»

Pani, z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swej układa,
Nigdy w żadnej potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I z tych układów rada,
Jak wpadła tak wypada.
Bieży prosto do domu,
Nic nie mówiąc nikomu —
Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży i staje,
I staje i myśli i słucha:
Zda się, że ją ktoś goni,
I że coś szepce do niej —
W około ciemność głucha:
«To ja twój mąż, twój mąż!»

I staje i myśli i słucha,
Słucha, zrywa się, bieży;
Włos się na głowie jeży,
W tył obejrzeć się lęka —
Coś wciąż po krzakach stęka,
Echo powtarza wciąż:
«To ja, twój mąż, twój mąż!»

Lecz zbliża się niedziela,
Zbliża się czas wesela.
Zaledwie słońce wschodzi,
Wybiegaja dwaj młodzi.
Pani, śród dziewic grona
Do ślubu prowadzona,
Wystąpi śród kościoła
I bierze pierwszy wianek —
Obnosi go do koła:
«Oto w wieńcu lilie
Ach czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?»

Wybiega starszy brat,
Radość na licach płonie,
Skacze i klaszcze w dłonie:
«Tyś mój, mój to kwiat!
Między lilii kręgi,
Uplotłem wstążek zwój:
To znak, to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!»

«Kłamstwo! — drugi zawoła —
Wyjdźcie tylko z kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce w gaju,
Na grobie przy ruczaju,
Okażę grób i zdrój:
To mój, to mój, to mój!»

Kłócą się źli młodzieńce,
Ten mówi, ten zaprzecza:
Dobyli z pochew miecza. —
Wszczyna się srogi bój,
Szarpią do siebie wieńce:
«To mój, to mój, to mój!»

Wtem drzwi kościoła trzasły,
Wiatr zawiał, świece zgasły,
Wchodzi osoba w bieli:
Znany chód, znana zbroja —
Staje — wszyscy zadrżeli.
Podziemnym woła głosem:
«Mój wieniec i ty moja!
Kwiat na mym rwany grobie:
Mnie księże stułą wiąż! —
Zła żono, biada tobie:
To ja, twój mąż, twój mąż!
Źli bracia! biada obu!
Z mego rwaliście grobu,
Zawieście krwawy bój.
To ja, twój mąż, wasz brat,
Wy moi, wieniec mój! —
Dalej na tamten świat!»

Wstrzęsła się cerkwi posada,
Z zrębu wysuwa się zrąb,
Sklep trzeszczy, głąb zapada
Cerkiew zapada w głąb.
Ziemia ją z wierzchu kryje,
Na niej rosną lilie,
A rosną tak wysoko,
Jak pan leżał głęboko.

DUDARZ.

(Myśl z pieśni gminnej.)

Jakiż to dziadek, jak gołąb siwy
Z siwą aż do pasa brodą?
Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą,
Wiodą mimo naszej niwy.

Starzec na lirze brząka i nuci;
Chłopcy dmą w dudeczki z piórek.
Zawołam starca, niech się zawróci
I przyjdzie pod ten pagórek.

«Zawróć się starcze tu na igrzysko,
Tu się po siewbie weselim;
Co nam dał pan Bóg, tem się podzielim,
I do wsi na noc stąd blisko.»

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nisko
I usiadł sobie pod miedzą:
Przy nim po bokach chłopczyki siedzą,
Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmią piszczałki, biją bębenki,
Płoną stosy suchych drewek;
Piją staruszki, skaczą panienki,
Obchodząc święto dosiewek.

Milczą piszczałki, głuchną bębenki,
Porzuca ogień gromadka;
Biegą staruszki, biegą panienki,
Biegą do dudarza dziadka.

«Witaj dudarzu! witamy radzi,
W wesołej przychodzisz dobie;
Pewnie z daleka pan Bóg prowadzi?
Pogrzej się i spocznij sobie.»

Wiodą, gdzie ogień, gdzie stół z murawy,
Sadzą dudarza pośrodku:
«Może pozwolisz na trochę strawy,
Albo na szklaneczkę miodku?

«Widzim i lirę, widzim piszczałki:
Zagraj co nam samotrzeci;
Napełnim za to tłomok, kobiałki,
I będziem wdzięczni waszeci.»

«No, stójcież cicho — rzekł do gromadki —
Cicho — powtarza, w dłoń klaska —
Jeżeli chcecie, zagram wam dziatki.
A cóż wam zagrać?» «Co łaska.»

Wziął w ręce lirę i szklankę sporą,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Mrugnął na chłopców, ci dudki biorą —
Brząknął, nastroił i śpiewa:

«Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,
Od wioseczki do wioseczki,
Z borku do borku, z smugów na smugi,
Śpiewając moje piosneczki.

«Wszyscy się zbiegli, wszyscy słuchali,
Ale nikt mię nie rozumie;
Ja łzy ocieram, westchnienia tłumię,
I idę dalej a dalej.

«Kto mię zrozumie, ten się użali,
I w białe uderzy dłonie;
Uroni łeskę — i ja uronię,
Ale już nie pójdę dalej.»

A wtem grać przestał. Nim znowu zacznie,
Przelotem spojrzał po błoniu:
Lecz w jednę stronę spoziera bacznie;
Któż sam stoi na ustroniu?

Stała pasterka i plotła wieniec,
To uplecie, to rozplecie;
A obok przy niej stoi młodzieniec,
I splecione przyjął kwiecie.

Spokojność duszy z jej widać czoła,
Ku ziemi spuszczone oko;
Nie była smutna ani wesoła,
Tylko coś myśli głęboko.

Jak puszkiem chwieje trawka zielona,
Choć wiatr przestanie oddychać:
Tak się na piersiach chwieje zasłona,
Chociaż westchnienia nie słychać.

Wtem z piersi listek zżółkły odepnie,
Listek nieznanego drzewa;
Spojrzy nań, rzuci i z cicha szepnie,
Jakby się na listek gniewa.

Odwraca głowę, odeszła nieco,
Podniosła w niebo źrenice;
Nagle na oczach łeski zaświecą
I róż wystąpił na lice.

A dudarz milczy, brząka powoli,
A wzrok utopił w pasterce,
Utopił w licu, lecz wzrok sokoli
Zdał się przedzierać aż w serce.

Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Skinął na chłopców; ci do multanek,
Brząknął, nastroił i śpiewa:

«Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ach, jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec!

«Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łzy i rumieniec! —
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?

«Jednemu oddajesz wieniec,
Z róż, lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec:
Ty jednemu oddasz wieniec.

«Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, lilii i tymianka [1].»

Na to szmer powstał; różne pogłoski
Pomiędzy ciżbą przytomną:
Tę piosnkę śpiewał ktoś z naszej wioski;
Lecz kto i kiedy nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę:
«Słuchajcie dzieci — zawoła —
Powiem, od kogo mam tę piosenkę,
Może on był z tego sioła.

«Kiedym, wędrując przez kraje cudze,
Królewiec zwiedził przechodem,
Wtenczas przypłynął z Litwy na strudze
Pasterz jakiś z tych stron rodem.

«Smutny był bardzo, ale przyczyny
Smutku nie mówił nikomu;
Odbił się potem od swej drużyny
I nie powrócił do domu.

[1] Te triolety wyjęte są z poezji Tomasza Zana.

«Często widziałem, czy świecą zorza,
Czyli księżyc w pełnym blasku,
Jak on po błoniach, albo u morza
Po nadbrzeżnym błądził piasku.

«Pośród skał nieraz podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A łzy powierzając wodzie.

«Szedłem ku niemu: spozierał smutnie
Ale odemnie nie stronił;
Jam, nic nie mówiąc, nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w struny zadzwonił.

«Łzy mu się rzucą — lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem
I zapłakaliśmy oba.

«Poznaliśmy się lepiej nawzajem,
I byliśmy przyjaciele.
On zawsze milczał swoim zwyczajem,
I ja mówiłem niewiele.

«Potem, gdy troską strawiony długą
Już nie mógł rady dać sobie;
Ja towarzyszem, ja byłem sługą,
Jam go pilnował w chorobie.

«Nędzny, w mych oczach gasnął powoli.
Raz mię przywołał do łoża:
Czuję, rzekł, bliski koniec niedoli,
Niech się spełni wola Boża.

«Zgrzeszyłem tylko, że moje lata
Tak się nadaremnie starły;
Ale bez żalu schodzę ze świata,
Dawno już na nim umarły.

«Kiedy mię skał tych dzikich zakątek,
Ukrył przed gminu obliczem,
Odtąd już dla mnie świat ten był niczem:
Żyłem na świecie pamiątek.

«Ty, coś mi wiernym został do grobu,
— Kończył, ściskając za ręce —
Nagrodzić tobie nie mam sposobu,
Wszakże to, co mam, poświęcę.

«Znasz piosnkę, którąm po tyle razy
Śpiewał, płacząc nad mym losem?
Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy,
I wiesz, jakim śpiewać głosem.

«Mam jeszcze z bladych włosów zawiąskę
I zeschły cyprysu listek:
Naucz się piosnki, weź tę gałąskę,
To mój na ziemi skarb wszystek.

«Idź — może znajdziesz na brzegach Niemna
Tę, której już nie obaczę;
Może jej piosnka będzie przyjemna,
Może nad listkiem zapłacze.

«Nagrodzi starca, do domu przyjmie —
Powiedz —» W tem oko ściemniało,
A w ustach Panny Najświętszej imię,
Wpół wymówione zostało.

«Silił się jeszcze i w samym skonie
Napróżno coś wyrzec żądał;
Wskazał ku sercu i ku tej stronie,
Na którą żyjąc poglądał.»

Tu przerwał dudarz, i szukał okiem
Dostając listek z papierka:
Lecz już nie była między natłokiem
Ta, której szukał — pasterka.

Z daleka tylko poznał sukienkę,
Bo w chustce skryła twarz boską;
Jakiś młodzieniec wiódł ją pod rękę;
Już ich nie widać za wioską.

Przybiegła zgraja, gdzie starzec siedział:
«Co to jest?» wszyscy pytają —
On nic nie wiedział! może i wiedział,
Ale nie mówił przed zgrają.

CZATY.

Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą:
Odchyliwszy zasłony, pojrzał w łoże swej żony,
Pojrzał — zadrżał — nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi i rękami drżącemi
Siwe wąsy pokręca i duma.
Wzrok od łoża odwrócił, w tył wyloty zarzucił,
I zawołał kozaka Nauma.

«Hej kozaku! ty chamie! czemu w sadzie przy bramie
Nie ma nocą ni psa, ni pachołka? —
Weź mi torbę borsuczą i janczarkę hajduczą,
I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka.»

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli,
Kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowem siedzeniu coś bieleje się w cieniu:
To siedziała w bieliźnie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy,
I pierś kryła pod rąbek bielizny;

Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Klęczącego u kolan mężczyzny.

Ten, ściskając kolana, mówił do niej: «Kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił?
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki uściśnienia,
Wojewoda już z góry zapłacił!

«Ja, choć z takim zapałem tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki:
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzęczał,
Tyś mu wszystko przedała na wieki!

«Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twem łonie kołysał,
I z twych ustek różanych i z twych liców rumianych,
Mnie wzbronione słodycze wysysał!

«Ja na wiernym koniku, przy księżyca promyku,
Biegę tutaj przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem
Dobrej nocy i długiej pieszczoty! —»

Ona jeszcze nie słucha; on jej szepce do ucha
Nowe skargi czy nowe zaklęcia:
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona,
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem przyklęknęli za krzakiem,
I dobyli z za pasa naboje;
I odcięli zębami i przybili stęplami
Prochu garść i grankulek we dwoje.

«Panie! — kozak powiada — jakiś bies mię napada,
Ja nie mogę zastrzelić tej dziewki;
Gdym półkurcze odwodził, zimny dreszcz mię przechodził,
I stoczyła się łza do panewki.»

«Ciszej — plemię hajducze, ja cię płakać nauczę!
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę;

Podsyp zapał, a żywo szczyść paznokciem krzesiwo,
Potem palnij w twój łeb, lub w tę dziewkę.

«Wyżej — w prawo — pomału — czekaj mego wystrzału:
Pierwej musi w łeb dostać pan młody —»
Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił,
I ugodził w sam łeb — wojewody.

UCIECZKA.

On wojuje — rok upłynął,
On nie wraca — może zginął.
Panno, szkoda młodych lat:
Od książęcia jedzie swat.

Książę ucztuje we dworze
A panna płacze w komorze.
Jej źrenice, błyskawice,
Dziś jak dwie mętne krynice;
Jej lica, pełnia księżyca,
Dziś nikną jak księżyc w nowiu!
Biada wdziękom, biada zdrowiu.

Matka troszczy się i biedzi;
Książę dał na zapowiedzi.

Swadźba jedzie szumnie, tłumnie.
«Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mię do smętarza,
A pościelą chyba w trumnie!
Ja umrę, gdy on nie żyje,
Ciebie matko żal zabije!»

Ksiądz w konfesyonale siedzi:
«Czas o córko do spowiedzi.»

Przyszła kuma, wiedźma stara:
«Wypędź księdza, wypędź klechę!
Bóg i wiara — sen i mara!
Kuma w biedzie ma pociechę:
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat paproć i car ziele,
A ty masz kochanka dary —
Przyszłam zrobić możne czary!

«Włosy jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewej ręki krwi usącz;
A na węża będziem kląć,
W dwie obrączki będziem dąć:
Musi przyjść i ciebie wziąć.»

Panna grzeszy — jeździec spieszy;
Klęto ducha — klątwy słucha;
Już odemknął zimny gmach:
Panno! panno! czy nie strach?

Ucichł, usnął dzwon zamkowy;
Panna czuwa. Na zegarze
Bije północ: dźwięk podkowy —
Brytan, jakby głosu nie miał,
Zawył z cicha — i oniemiał.

Skrzypnęły dolne podwoje,
Stąpa ktoś w przysionkach długich,
I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich.
Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada na pościeli.

Słodko, prędko czas ucieka.
Wtem koń zarżał, jękła sowa,
Zegar wybił: «Bywaj zdrowa!
Koń mój zarżał, koń mój czeka;

Albo wstawaj, na koń siądź
I na wieki moją bądź!»

Miesiąc świeci; jeździec leci
Pa zaroślach i po krzach:
Panno, panno, czy nie strach?

Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem. Głucho w lesie —
Tu i owdzie wystraszona
W suchej jodle kracze wrona,
Po łozach wilcze źrenice
Migają się jako świece.

«W cwał mój koniu, koniu w cwał!
Miesiąc na dół schodzi z chmur:
A nim zejdzie miesiąc z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziewięć gór:
Za godzinę pieje kur!»

«Gdzie mię wieziesz?» «Gdzie? Do domu!
Dom mój na górze Mendoga;
W dzień otwarta wszystkim droga —
W nocy jeździm pokryjomu.»
«Czy masz zamek?» «Tak jest, zamek,
I zamczysty, choć bez klamek. —»

«Mój kochanku, konia wstrzymaj,
Ledwie dosiedzę na łęku.»
«Moja luba siodła imaj,
Prawą ręką — co masz w ręku?
Czy to worek do roboty?»
«Nie, to jest Ołtarzyk złoty —»

«Nie czas wstrzymać! Pogoń bieży,
Słyszysz pogoń? tętnią błonia;
Już przed koniem przepaść leży:
Rzucaj książkę, puszczam konia! —»

Koń, jak gdyby zbył ciężaru,
Przemknął dziesięć sążni jaru.

Lecą bagnem przez manowiec —
Pusto w koło. Błędny ognik
Tuż przed nimi, jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje: gdzie przeleci,
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

«Mój kochanku, co za droga!
Tu nie znać śladu człowieka —»
«Dobra droga, kiedy trwoga;
Krzywo jedzie, kto ucieka!
Śladów nie masz do mych włości,
Bo nie wpuszczam pieszych gości:
Bogatego wiozą cugi,
Ubogiego niosą sługi.

«W cwał mój koniu, koniu w cwał!
Błyska zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon:
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzek i parę gór;
Za godzinę drugi kur!»

«Mój kochanku, wstrzymaj wodze!
Koń się lęka, bokiem sadzi,
Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi.»
«Moja luba, jakie sznurki,
Jakie wiszą tam kieszonki? —»
«Mój kochanku, to paciorki,
To szkaplerze i koronki! —»

«Sznur przeklęty! Sznur znienacka
Rumakowi miga w oczy!

Patrz jak zadrżał, bokiem skoczy —
Moja luba, rzuć te cacka!»

Koń, jak gdyby pozbył trwogi,
Ubiegł prosto pięć mil drogi.

«Co to za smętarz, mój miły?»
«To mur, co mych zamków strzeże.»
«A te krzyże, te mogiły?»
«To nie krzyże, to są wieże —
Mur przeskoczym, przejdziem progi:
Tu na wieki koniec drogi.

«Stój mój koniu, koniu stój!
Przebyłeś, nim zapiał kur,
Tyle rzek i skał i gór:
A tuś zadrżał koniu mój?
Wiem ja koniu, czego drżysz:
Mnie i tobie boli krzyż.»

«Czegoś stanął, mój kochanku?
Zimna rosa mię spłukała,
Zimno wieje wiatr poranku,
Okryj płaszczem, bo drżę cała —»
«Moja luba, przytul skronie,
Na twych piersiach głowę złożę:
Głowa moja ogniem płonie
I kamienie ogrzać może — —

Jaki masz tam ćwiek ze stali?»
«To krzyżyk, co matka dała.»
«Ten krzyżyk ostry jak strzała,
Twarz mi rani, skronie pali!
Precz mi z tym ćwiekiem ze stali!»

Krzyż na ziemię padł i zniknął —
Jeździec pannę w poły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął;
Rumak ludzkim śmiechem ryknął;

Przeskoczyli cwałem mury —
Biją dzwony, pieją kury.
Nim ksiądz przyszedł na mszę ranną,
Zniknął koń z jeźdźcem i panną.

Na smętarzu cisza była.
Stoją krzyże, głazy leżą:
Jedna bez krzyża mogiła
I ziemia ruszona świeżo.

Ksiądz nad grobem długo stał,
I mszę za dwie dusze miał.

TRZECH BUDRYSÓW.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
«Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

«Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgieł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

«Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,
Niech Litewskie prowadzą was Bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

«Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Po nad Ilmem, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam diengi jak lodu.

«Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynu jak piasku, sukna cudnego blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.

«Za Skirgiełłem niech trzeci po za Niemen przeleci;
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie stamtąd przywiezie synowę.

«Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki:
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki. [1]

Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywiozłem za żonę:
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.»

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę:
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma;
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
«Ej to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?»
«Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!»

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.

[1] W Albumie p. Piotra Moszyńskiego znajduje się i ballada Trzech Budrysów. Oprócz kilku drobnych odmian, czytamy tam następną, we wszystkich wydaniach opuszczoną strofę:

«Piersi twarde jak gruszki, a tak małe ich nóżki,
Że za trzewik dziewczynie swawolnej
Często służy kwiat pewny, zwany trepkiem królewny,
Kwiat nie większy od lilii polnej.»

P. W.

«Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?»
«Nie, mój ojcze, to Laszka synowa.»

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci;
Burka pełna, zdobyczy tam wiele:
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

RENEGAT.

I.

Co się niedawno stało w Iranie
Opowiem światu całemu.
Na kaszemirskim usiadł dywanie
Basza pośrodku haremu.

Pieją Greczynki, pieją Czerkieski,
Pląsają branki Kirgiza;
U tych w źrenicach szafir niebieski,
U tamtych cienie Eblisa.

Basza nie widzi, Basza nie słucha;
Turban zawiesił nad okiem,
Drzymie i dymy ciągnąc z cybucha,
Okrył się wonnym obłokiem.

Wtem u wrót szczęścia hałas się wzmaga,
Rozstąpiły się sług rzędy;
Nieznaną brankę wiódł Kyzlar-Aga,
Skłonił się i rzekł: «Effendy!

«Którego jasność takiej jest mocy
Między gwiazdami dywana,
Jak śród brylantów na szatach nocy
Ognisko Aldeboranu!

«Racz ku mnie błysnąć, gwiazdo dywanu!
Bom dobrych nowin tłómaczem:
Oto służebny wiatr z Lehistanu
Darzy cię nowym haraczem.

«Padyszach nie ma takiej krzewiny
W sadzie roskoszy w Stambule;
Ona jest rodem z zimnej krainy,
Którą wspominasz tak czule.»

Tu gazę, co jej wdzięki przygasza,
Odsłonił — cały dwór klasnął;
Spojrzał raz na nią trzytulny Basza,
Wypuścił cybuch i zasnął.

Chyli się na bok, turban mu spada,
Biegą przebudzić — o dziwy!
Usta zsiniałe, twarz śmiercią blada,
Basza renegat nieżywy!

II. [1]

«O dziwy! zgroza! — wołają janczary!
I mędrce w prawie ćwiczeni —
Tę Nazaretkę, za okropne czary,
Zakopiem w stosie kamieni.

Owoż to Hassan, ów renegat Basza,
Sroższy nad lwa i tygrysa,
Co go nie tknęła żadna dziewa nasza,
Ni Dżurdżystanu hurysa:

«On, gdy Hanowi na srebrny półmisek
Rzucił łeb księcia Iflaku,
Wdzięczny mu Hagan dziesięć Odalisek
Z własnego przysłał orszaku:

[1] Z rękopisu, w Albumie p. Piotra Moszyńskiego.

P. W.

«Wszystkiemi wzgardził! Teraz go zabija
Postać lękliwej gazeli;
Jako motyla lada modra żmija
Promieniem oczu zastrzeli.

«Niechże tę żmiję Bej na pastwę czerni
Z warownej straży przywiedzie! —
Już od godziny zebrali się wierni,
I Kady z miasta już jedzie —»

Przyjechał Kady, zbierają kamienie;
Czekają — próżna nadzieja!
Bej nie przychodzi, odbite więzienie:
Ani dziewicy ni Beja! —

PANICZ I DZIEWCZYNA.

I. [1]

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I grzecznie się skłoni,
I z konia zeskoczy;
Dziewczę się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

«Dziewczyno kochana!
Dziś na te dąbrowy
Z kolegami z rana
Przybyłem na łowy.

[1] Pierwsza część tego wiersza jest pióra Antoniego Edwarda Odyńca a dwie drugie Adama Mickiewicza.

«I trafić nie mogę,
Gdzie leży miasteczko:
Wskaż proszę mi drogę,
Piękna pastereczko!

«Czy prędko już z lasu
Ta ścieżka wywiedzie?»
«Jeszcze pan zawczasu
Do domu zajedzie.

«Na polu wnet drzewo,
Koło drzewa brzoski,
Stąd droga na lewo,
Tam około wioski.

«W górę przez zarostek,
W prawo ponad rzeczką:
Tam młynek i mostek,
I widać miasteczko.»

Panicz podziękował.
Czule rączkę ścisnął,
W usta pocałował,
Na konika świsnął.

Siadł — ostrogą spina —
Nie widać młodego.
Westchnęła dziewczyna —
Ja nie wiem dla czego.

II.

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I woła z daleka:
«Pokaż inną drogę!

Za wioską jest rzeka;
Przejechać nie mogę,

«Ni mostu żadnego,
Ni brodu wytropić.
Chciałażbyś młodego
Chłopczyka utopić?»

«Tą jedź pan drożyną.
Na prawo kurhanu.»
«Bóg zapłać dziewczyno!»
«Dziękuję waćpanu!»

W las poszła drożyna,
Nie widać młodego —
Westchnęła dziewczyna!
Oj! wiem ja dla czego.

III.

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I zawoła znowu:
«Dziewczyno, dla Boga!
Wjechałem do rowu!
Jakaż twoja droga?

«Nie jeździł w te ślaki
Nikt z dawnego czasu,
Chyba wieśniak jaki
Po drzewo do lasu!

«Poluję dzień cały,
Koniam nie popasał;
Jeździec zadyszały,
Konik się zahasał.

Zsiędę, u strumyka
Pragnienie ugaszę;
Odkiełzam konika,
I puszczę na paszę.»

I grzecznie się skłoni,
I z konia zeskoczy;
Dziewczę się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

Ten milczy, ta wzdycha;
Po niedługiej chwili
Ten głośno, ta z cicha,
Coś z sobą mówili.

Lecz że wietrzyk dmuchał
W tę stronę dąbrowy,
Przetom nie dosłuchał
Panicza rozmowy.

Lecz z oczu i z miny
Tom pewnie wyczytał:
Że więcej dziewczyny
O drogę nie pytał —

RĘKAWICZKA.

(Z Szyllera.)

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada.
Przy nim książęta i panowie Rada;
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko.
Spadły wrzeciądze: ogromne lwisko
Zwolna się toczy;
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
W około;
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię —
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu.
Znowu przemknie się krata:
Szybkiemi skoki, chciwy połowu
Tygrys wylata.
Spoziera z dala,
I kłami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska,
I lwa do koła obiega.
Topiąc wzrok jaszczurczy,
Wyje i burczy;
Burcząc, na stronie przylega.

Król skinął znowu.
Znowu podwój otwarty:
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju para zajadła
Już tygrysa opadła;
Już się tygrys z niemi drapie,
Już obudwu trzyma w łapie:
Wtem lew podniósł łeb do góry —
Zagrzmiał — i znowu cisze.
A dzicz z krwawemi pazury
Obiega, za mordem dysze;
Dysząc na stronie przylega.

Wtem leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobnej Marty —
Pada między tygrysa i między lamparty
Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
«Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
Czułemi przysiągł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda.»

Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze.
Dziwią się panie, dziwią się rycerze;
A on w zwycięskiej chwale
Wstępuje na krużganki.
Tam, od radośnej witany kochanki,
Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił:
«Pani! twych dzięków nie trzeba mi wcale.»
To rzekł i poszedł — i więcej nie wrócił.

SONETY.

Quand' era in parte altr' uom da quel, ch' lo sono.

PETRARCA.

I.

PRZYPOMNIENIE.

Lauro! czyliż te piękne wieków naszych lata,
Jeszcze się kiedy twojej malują pamięci?
Kiedyśmy sami tylko i sobą zajęci,
Dbać nie chcieli o resztę obcego nam świata?

Chłodnik, co się zielonym jaśminem wyplata,
Strumień, co z miłym szmerem po łące się kręci:
Tam nas często, wzajemne tłomaczących chęci,
Późnej nocy miłośna osłoniła szata;

A księżyc z pod bladego wyjrzawszy obłoku,
Śnieżne piersi i złote rozświecał pierścienie,
Boskiego wdziękom twoim przydając uroku.

Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą i z westchnieniem mięsza się westchnienie! —

II.

DO LAURY.

Ledwiem ciebie zobaczył, jużem się zapłonił,
W nieznanem oku dawnej znajomości pytał;
I z twych jagód wzajemny rumieniec wykwitał,
Jak z róży, której piersi zaranek odsłonił.

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uronił;
Twój głos wnikał do serca i za duszę chwytał;
Zdało się, że ją anioł po imieniu witał,
I w zegar niebios chwilę zbawienia zadzwonił

O luba! niech twe oczy przyznać się nie boją!
Jeśli cię mem spojrzeniem, jeśli głosem wzruszę:
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekać i kochać bez nadziei muszę!
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę! —

III.

Mówię z sobą, z drugiemi plączę się w rozmowie;
Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,
Iskry czuję w źrenicach a na twarzy bladnę;
Nie jeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,

Albo o mym rozumie coś na ucho powie.
Tak cały dzień przemęczę. Gdy na łoże padnę,
W nadziei że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w mej głowie;

Zrywam się, biegę, składam na pamięć wyrazy,
Któremi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu,
Składane, zapomniane po milion razy. —

Ale gdy ciebie ujrzę, nie pojmuję, czemu
Znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy,
Aby goreć na nowo — milczeć po dawnemu. —

IV.

Nie uczona twa postać, nie wymyślne słowa,
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska:
A każdy rad cię ujrzeć, rad posłyszeć z bliska —
Choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa.

Wczoraj brzmiały i pieśni i głośna rozmowa,
Pytano się o twoich rówiennic nazwiska,
Ten im pochwały sypie, inny żarty ciska:
Ty weszłaś — każdy święte milczenie zachowa.

Tak śród uczty, gdy śpiewak do chóru wyzywał,
Gdy koła tańcujące wiły się po sali:
Nagle staną i zmilkną, każdy zapytywał,

Nikt nie wiedział, dla czego w zadumieniu stali:
«Ja wiem, rzecze poeta, anioł przelatywał»
Uczcili wszyscy gościa — nie wszyscy poznali.

V.

WIDZENIE SIĘ W GAJU.

«Tyżeśto i tak późno?» — «Błędną miałem drogę,
Śród lazów, przy niepewnym księżyca promyku.
Tęskniłaś? myślisz o mnie?» — «Luby niewdzięczniku!
Pytaj się, czy ja myśleć o czem innem mogę!

«Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę.
Ty drżysz! czego?» — «Ja nie wiem. Błądząc po gaiku,
Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku;
Ach! musimy być winni, kiedy czujem trwogę!»

«Spojrzyj mi w oczy, w czoło: nigdy z takiem czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmiele.
Przebóg! jesteśmyż winni, że siedzimy społem?

Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele,
I zabawiam się z tobą, mój ziemski aniele!
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem.»

VI.

Potępi nas świętoszek, rozpustnik wyśmieje,
Że chociaż sumotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszczam, a ona łzy leje.

Ja bronię się ponętom; ona i nadzieje
Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany,
Któremi ręce związał nam los opłakany.
Nie wiemy sami, co się w sercach naszych dzieje.

Jestże to ból lub rozkosz? Gdy czuję ściśnienia
Twych dłoni, kiedy z ustek zachwycę płomienia? —
Luba! czyż mogę temu dać imię cierpienia?

Ale kiedy się łzami nasze lica zroszą,
Gdy się ostatki życia w westchnieniach unoszą:
Luba! czyliż to mogę nazywać rozkoszą?

VII.

RANEK I WIECZÓR.

Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych wianku,
A na zachodzie księżyc blade lice mroczy,
Róża za słońcem pączki rozwinione toczy,
Fijołek klęczy, zgięty pod kroplami ranku.

Laura błysnęła w oknie. Ukląkłem na ganku;
Ona, muskając sploty swych złotych warkoczy,
«Czemu, rzekła, tak rano smutne macie oczy,
I miesiąc i fijołek i ty mój kochanku?»

W wieczór przyszedłem nowym bawić się widokiem.
Wraca księżyc — twarz jego pełna i rumiana,
Fijołek podniósł listki orzeźwione mrokiem.

Znowu stanęła w oknie moja ukochana,
W piękniejszym jeszcze stroju i weselszem okiem.
Znowu u nóg jej klęczę — tak smutny jak z rana.

VIII.

(Z PETRARKI.)

Senuccio i'vo'che sappi.

Chcecie wiedzieć, co cierpię, rówiennicy moi?
Odmaluję najwierniej ile pióro zdoła.
Mary ja dotąd, pośród pamiątek kościoła,
Myślą gonię i duch mój o przeszłości roi.

Tu zwykła igrać, owdzie zamyślona stoi,
Tam z niechęcią twarz kryła, tu mię okiem woła;
Tu gniewna, tam posępna, tu znowu wesoła,
Tu swe lica w łagodność, tu w powagę stroi.

Tam piosenkę nuciła, tu mi dłoń ścisnęła,
Tu usiadła, tam naszej rozmowy początek —
Stąd biegła, tu na piasku imię moje kreśli,

Tam słówko powiedziała, tu z cicha westchnęła,
Tam się zarumieniła. — Ach, śród tych pamiątek
Wiecznie miota się serce i plączą się myśli!

IX.

DO NIEMNA.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie;
Tu obraz jej, malowny w srebnej fali łonie,
Łzami nieraz mąciłem zapaleniec młody!

Niemnie, domowa rzeko! Gdzież są tamte zdroje,
A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele? —
Wszystko przeszło — ach, czemuż nie przejdą łzy moje!

X.

STRZELEC.

Widziałem, jak dzień cały, pośród letniej spieki,
Błąkał się strzelec młody. Stanął nad strumieniem,
Długo poglądał w koło i rzecze z westchnieniem:
«Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki;

«Chcę widzieć niewidziany.» Wtem leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Diany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem:
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał i oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał,
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma —

Odszedł nieco, jakoby swej myśli zaniechał.
Wtem dojrzał mgłę kurzawy, wzniesioną broń trzyma,
Bierze na cel, mgła bliżej — lecz nikt nie nadjechał.

XI.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

(Z PETRARKI.)

Błogosławiony rok ów, miesiąc i niedziela,
I dzień ów i dnia cząstka i owa godzina,
I chwila i to miejsce, gdzie moja dziewczyna
Uczucia mi natchnęła, choć ich nie podziela.

Błogosławione oczki blasku i wesela,
Skąd amorek wygląda i łuczek napina,
Błogosławiony łuczek, strzałki i chłopczyna,
Co do mnie wówczas strzelił, ach! i dotąd strzela.

Błogosławię ci pierwsza piosnko nie uczona,
Którą odbiły lasy domowe i rzeki,
Którą potem ojczysta powtarzała strona.

Błogosławię ci pióro, którem w czas daleki
Wsławiłem Ją i moja pierś błogosławiona,
W której Laura mieszkała na wieki!

XII.

REZYGNACJA.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwszy jest, kogo próżne serce nudzi:
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kocha — że kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiątkami zatruwa roskosz co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłem sercem iść do stóp anioła.

Albo drugimi gardzi, albo siebie wini;
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini —
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją!

I serce ma podobne do dawnej świątyni,
Spustoszałej niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

XIII.

DO .....

Patrzysz mi w oczy, wzdychasz; zgubna twa prostota!
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie;
Uciekaj, nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

Szczerość — jeszcze mi jedna pozostała cnota.
Wiedz, że niegodny ogień zapalasz w mem łonie;
Lecz umiem żyć samotny — i po cóż przy zgonie
Ma się wikłać w me losy niewinna istota?

Lubię roskosz, lecz zwodzić nadto jestem dumny.
Tyś dziecko, mnie namiętne przepaliły bole;
Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole:

Moje, gdzie są przeszłości smętarze i trumny.
Młody bluszczu, zielone obwijaj topole —
Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.

XIV.[1]

Poezijo! gdzie cudny pędzel twojej ręki? —
Gdy chcę malować — za cóż myśli i natchnienia
Wyglądają z wyrazów, jak z za krat więzienia,
Kryjących i szpecących tak ubogie wdzięki?

Poezijo! gdzie twoje melodyjne dźwięki? —
Śpiewam — ona mojego nie usłyszy pienia:
Jako słowik, król śpiewu, nie słyszy strumienia,
Który w podziemnej głębi rozwodzi swe jęki.

Nietylko dźwięk i kolor — aniołowie myśli —
Lecz i pióro, roboczy niewolnik poety,
Na cudzej ziemi nie zna praw dawnego pana,

I zamiast pieśni znaki niepojęte kreśli:
Muzyczne znaki pieśni. — Lecz ta pieńś, niestety,
Nigdy jej miłym głosem nie będzie śpiewana! —

XV.

Pierwszy raz jam, niewolnik, z mojej rad niewoli;
Patrzę na ciebie — z czoła nie znika pogoda;
Myślę o tobie — z myśli nie znika swoboda;
Kocham ciebie, a przecież serce mi nie boli.

Nie raz brałem za szczęście chwileczkę swawoli,
Nie raz mię obłąkała wyobraźnia młoda,
Albo słówka zdradliwe i wdzięczna uroda:
Lecz wtenczas i roskosznej złorzeczyłem doli.

[1] Z Album p. Piotra Moszyńskiego.

Nawet owę — gdy owę kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapał, jaka niegdyś trwoga,
I żal teraz na samą imienia jej wzmiankę! —

Z tobą tylko szczęśliwy, z tobą, moja droga!
Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę,
I kochance, że uczy chwalić Pana Boga.

XVI.

Luba! ja wzdycham; pamięć niebieskiej pieszczoty
Truje mi okropnego rozmyślania chwile.
Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle,
Może — boję się wyrzec — pustoszą zgryzoty?

Luba! i cóżeś winna, że twych cząt groty
Tak palące, że usta śmieją się tak mile?
Zbyt ufałaś mej cnocie, zbyt swej własnej sile,
I nazbyt ognia Stwórca wlał w nasze istoty.

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz, ach! pójdę łzami oblewać ołtarze —
Nie będę mojej żebrać przebaczenia zbrodni:
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze!

XVII.

DZIEŃDOBRY.

Dzieńdobry! Nie śmiem budzić. O wdzięczny widoku!
Jej duch na poły w rajskie wzleciał okolice,
Na poły został, boskie ożywiając lice —
Jak słońce na pół w niebie, pół w srebrnym obłoku,

Dzieńdobry! Już westchnęła, błysnął promyk w oku.
Dzieńdobry! Już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice.
Dzieńdobry! Słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzieńdobry: lecz twe senne wdzięki,
Odebrały mi śmiałość. Niech się wprzódy dowiem:
Z łaskawem wstajesz sercem, z orzeźwionem zdrowiem? —

Dzieńdobry! Nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść? Odchodzę: oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko — dzieńdobry ci powiem.

XVIII.

DOBRANOC.

Dobranoc! Już dziś więcej nie będziem bawili,
Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy.
Dobranoc! Niech odpoczną po łzach twoje oczy.
Dobranoc! Niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc! — Z każdej ze mną przemówionej chwili,
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy;
Niechaj gra w twojem uchu — a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrenicom przymili.

Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica. — Dobranoc! Chcesz na sługi klasnąć?
Daj mi pierś ucałować — — Dobranoc! — zapięta —

. . . . . .

Dobranoc! — Już uciekłaś i drzwi chcesz zatrzasnąć!
Dobranoc ci przez klamkę. Niestety! zamknięta.
Powtarzając dobranoc, nie dałbym ci zasnąć.

XIX.

DOBRYWIECZÓR.

Dobrywieczór! On dla mnie najsłodszem życzeniem.
Nigdy, czy to przed nocą dzieli nas zapora,
Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
Nie żegnam się, ni witam z takiem zachwyceniem,

Jak w tę chwilę wieczornym ośmielony cieniem.
Ty nawet milczeć rada i płonić się skora,
Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
Żywszem okiem, głośniejszem rozmawiasz westchnieniem.

Niechaj dzieńdobry wschodzi tym co społem żyją,
Objaśniać pracę, która ich ręce jednoczy;
Dobranoc niech szczęśliwych kochanków otoczy,

Gdy z roskoszy kielicha trosk osłodę piją:
A tym co się kochają i swą miłość kryją,
Dobrywieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

XX.

DO D. D.

WIZYTA.

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża — wpada galonowy:
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy;
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jamą,
Stawiłbym lisie pastki, kolczate okowy,
A jeśli nie dość bronią, uciec bym gotowy
Na tamten świat, stygową zasłonić się tamą.

O przeklęty nudziarzu! Ja liczę minuty,
Jak zbrodniarz, co go czeka ostatnia katusza:
Ty, pleciesz błahe dzieje wczorajszej reduty! —

Już bierzesz rękawiczki, szukasz kapelusza:
Teraz odetchnę nieco, wstąpi we mnie dusza —
O bogi! Znowu siada, siedzi jak przykuty!

XXI.

DO WIZYTUJĄCYCH.

Pragniesz miłym być gościem? czytaj rady moje:
Nie dość, wszedłszy, donosić o czem wszyscy wiedzą,
Że dzisiaj tam walcują, owdzie objad jedzą,
Zboże tanie, deszcz pada, a w Grecji rozboje.

Jeśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj, czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą,
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą,
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku stroje.

Jeśli pani co wyraz zaśmiać się gotowa,
Choć usta śmiać się nie chcą; jeśli panicz z boku
Pogląda i zegarek dobywa i chowa,

I grzeczność ma na ustach a coś złego w oku. —
Wiesz jak ich trzeba witać? «Bywaj zdrów, bądź zdrowa!»
A kiedy ich masz znowu odwiedzić? — Po roku.

XXII.

POŻEGNANIE.

Do D. D.

Odpychasz mię? — Czym twoje serce już postradał?
Lecz jam go nigdy nie miał! Czyli broni cnota?
Lecz ty pieścisz innego! Czy że nie dam złota?
Lecz jam go wprzódy nie dał, a ciebie posiadał!

I nie darmo! — Choć skarbów przed tobąm nie składał:
Ale mi drogo każda kupiona pieszczota —
Na wagę duszy mojej, pokojem żywota. —
Dla czegóż mię odpychasz? Nadaremniem badał.

Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojem,
Pochwalnych wierszy chciałaś! — Marny pochwał dymie!
Dla nich więc igrasz z bliźnich szczęściem i pokojem?

Nie kupić Muzy! W każdym ślizgałem się rymie,
Gdym szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawojem.
I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniał twe imię.

XXIII.

DANAIDY.

Płci piękna! Gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Zahaftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy do lubej gołębia posyłano w swaty?

Dzisiaj wieki są tańsze a droższe zapłaty.
Ta, której złoto daję, prosi o piosenki;
Ta, której serce daję, żądała mej ręki;
Ta, którą opiewałem, pyta czym bogaty.

Danaidy! Rzucałem w bezdeń waszej chęci
Dary, pieśni we łzach roztopioną duszę:
Dziś, z hojnego jam skąpy, z czułego szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę:
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko — prócz duszę.

XXIV.

EXKUZA.

Nuciłem o miłostkach w rówienników tłumie;
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje, lub śpiewać nie umie.

W dojrzalsze wchodząc lata, przy starszym rozumie,
Czemu serce płomykiem tak dziecinnym pali?
Czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdej nucił dumie?

Wielkomyślna przestroga! Wnet z górnemi duchy
Alcejski chwytam bardon i strojem Ursyna
Ledwiem zaczął przegrywać — aż cała drużyna

Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy. —
Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy:
Taki wieszcz jaki słuchacz.

SONETY KRYMSKIE.

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.

GOETHE, Westoestl-Divan.

TOWARZYSZOM

PODRÓŻY KRYMSKIEJ

AUTOR.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór Oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Wśród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu —
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam z dala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi —
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy! — Jak cicho! — Słyszę ciągnące żurawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła — —
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. — Jedźmy! nikt nie woła.

II.

CISZA MORSKA.

Na wysokości Turkankut.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie;
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda:
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony;

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony —

III.

ŻEGLUGA.

Szum większy, gęściej morskie snują się straszydła;
Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się dzieci!
Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnej sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! wiatr! Dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pienistej zamieci —
Wznosi kark, zdeptał fale i wskroś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli.
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem,

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być ptakiem. —

IV.
BURZA.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawici,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki —
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać;

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać. —

V.

WIDOK GÓR ZE STEPÓW KOZŁOWA.

PIELGRZYM.

Tam! — Czy Allah postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu? —

Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu! —
Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury,
Dla światów żeglujących po morzu natury
Tę latarnię zawiesił śród niebios obwodu? —

MIRŻA.

Tam? Byłem: zima siedzi; tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem pijące z jej gniazda;
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków.

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
Minąłem grom drzemiący w kolebce z obłoków —
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda:
To Czatyrdah!

PIELGRZYM.

Aa!!

VI.

BAGCZYSARAJ.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Wskroś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami «ruina.»

W środku sali wycięte z marmuru naczynie:
To fontanna haremu; dotąd stoi cało,
I perłowe łzy sącząc woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie:
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało! —

VII.

BAGCZYSARAJ W NOCY.

Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce,
Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze,
Zawstydziło się licem rubinowem zorze,
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce:
Sród nich po szafirowym żegluje przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze —
Pierś ma białą, a złotem malowane krańce.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Dalej czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa —

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica i pędem Farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

VIII.
GRÓB POTOCKIEJ.

W kraju wiosny, pomiędzy roskosznemi sady,
Uwięzgłaś, młoda różo! Bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady —
Dla czegoż na tej drodze błyszczy się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam, wiecznie lecąc, jasne powypalał ślady? —

Polko! i ja dni skończę w samotnej żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci!
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie:

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci,
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy bliską mogiłę i dla mnie zanuci.

IX.

MOGIŁY HAREMU.

MIRŻA DO PIELGRZYMA.

Tu z winnicy miłości niedojrzałe grona
Wzięto na stół Allaha; tu perełki wschodu
Z morza uciech i szczęścia porwała za młodu
Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.

Skryła je niepamięci i czasu zasłona:
Nad niemi turban zimny błyszczy śród ogrodu,
Jak buńczuk wojska cieniów i ledwie u spodu
Zostały dłonią Giaura wyryte imiona.

O wy, róże edeńskie! u czystości stoku
Odkwitnęły dnie wasze pod wstydu liściami,
Na wieki zatajone niewiernemu oku:

Teraz grób wasz spojrzenie cudzoziemca plami! —
Pozwalam mu — darujesz o wielki Proroku! —
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

X.

BAJDARY.

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głazy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną jak fale potoku:
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem zmroku,
Jak w rozbitem zwierciedle, tak w mem spiekłem oku,
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziemia śpi, mnie snu nie ma. Skaczę w morskie łona,
Czarny, wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okrąży:
Czekam, aż myśl jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pogrąży. —

XI.

AŁUSZTA W DZIEŃ.

Już góra z piersi mgliste otrząsa chylaty,
Rannym szumi namazem niwa złotokłosa,
Kłania się las i sypie z majowego włosa,
Jak z różańca Chalifów, rubin i granaty.

Łąka w kwiatach; nad łąką latające kwiaty:
Motyle różnofarbne, niby tęczy kosa,
Baldachimem z brylantów okryły niebiosa;
Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.

A kędy w wodach skała przegląda się łysa,
Wre morze i odparte z nowym szturmem pędzi:
W jego szumach gra światło jak w oczach tygrysa,

Sroższą zwiastując burzę dla ziemskiej krawędzi;
A na głębinie fala lekko się kołysa,
I kąpią się w niej floty i stada łabędzi.

XII.

AŁUSZTA W NOCY.

Rzeźwią się wiatry, dzienna wolnieje posucha;
Na barki Czatyrdahu spada lampa światów,
Rozbija się, rozlewa strumienie szkarłatów,
I gaśnie. Błędny pielgrzym ogląda się, słucha.

Już góry poczerniały, w dolinach noc głucha,
Źródła szemrzą jak przez sen na łożu z bławatów;
Powietrze tchnące wonią, tą muzyką kwiatów,
Mówi do serca głosem tajemnym dla ucha.

Usypiam pod skrzydłami ciszy i ciemnoty:
Wtem budzą mię rażące meteoru błyski,
Niebo, ziemię i góry oblał potop złoty! —

Nocy wschodnia! ty nakształt wschodniej odaliski,
Pieszczotami usypiasz, a kiedym snu bliski,
Ty iskrą oko znowu budzisz do pieszczoty.

XIII.

CZATYRDAH.

MIRŻA.

Drżąc, muźlimin całuje stopy twej opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór Padyszachu!
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabriel, pilnujący edeńskiego gmachu;
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu,
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam, czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy:
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemie, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

XIV.

PIELGRZYM.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice:
Dla czego stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i — niestety! — jeszcze dalsze czasy?

Litwo! Piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice;
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy!

Tak daleki — tak różna wabi mię ponęta! —
Dla czegóż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta? —

XV.

DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ W DŻEHUD-KALE.

MIRŻA.

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć na bok lica:
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.
Dzielny koń! Patrz jak staje, głąb' okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca,

I zawisnął. — Tam nie patrz! Tam spadła źrenica,
Jak w studni Al-Kahyru o dno nie uderza.
I ręką tam nie wskazuj: nie masz u rąk pierza —
I myśli tam nie puszczaj: bo myśl, jak kotwica

Z łodzi drobnej ciśniona w niezmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci,
I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu. —

PIELGRZYM.

Mirżo, a ja spojrzałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem — com widział, opowiem — po śmierci:
Bo w żyjących języku nie ma na to głosu.

XVI.

GÓRA KYKYNEIS.

MIRŻA.

Spojrzyj w przepaść. Niebiosa leżące na dole —
To jest morze. Śród fali, zda się, że ptak-góra,
Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
Roztoczył kręgiem, szerszym niż tęczy półkole,

I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole:
Ta wyspa żeglująca w otchłani, to chmura!
Z jej piersi na pół świata spada noc ponura. —
Czy widzisz płomienistą wstążkę na jej czole?

To jest piorun! — Lecz stójmy! otchłanie pod nogą;
Musim wąwoz przesadzić w całym konia pędzie.
Ja skaczę; ty, z gotowym biczem i ostrogą —

Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie:
Jeśli tam pióro błyśnie — to mój kołpak będzie;
Jeżeli nie — już ludziom nie jechać tą drogą.

XVII.

RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWE.

Te zamki połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie;
W nich gad mieszka, lub człowiek podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżycę. Szukam herbów śladu;
Jest i napis: to może bohatera imię,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzemie,
Obwinione jak robak liściem winogradu.

Tu Grek dłutował w murach ateńskie ozdoby,
Stąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza,
I Mekkański przybylec nócił pieśń namaza:

Dziś sępy czarnem skrzydłem oblatują groby —
Jak w mieście, które całkiem wybije zaraza,
Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żałoby.

XVIII.

AJUDAH.

Lubię poglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się, buchają — to jak srebrne śniegi,
W milionowych tęczach kołują wspaniale,

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi —
Zdobędą ląd w tryumfie i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody:
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

POWIASTKI I BAJKI.

POPAS W UPICIE.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE.)

Upita, niegdyś miasto, powiatu stolica;
Dzisiaj miasteczko liche: jedna w niem kaplica,
I kilkanaście chatek żydowskiej siedziby.
Gdzie były rynki ludne, dziś tam rosną grzyby;
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.
Mury w gruzach; na miejscu zamkowego gmachu
Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.

Tam, na popasie, z nudy rozważać począłem
Miny i mowy ludzi, siedzących za stołem.
Trzech było. Pierwszy starzec z pośrebrzanym włosem;
Na łbie konfederatka rzucona ukosem;
Wąs augustowski; żupan, dzisiaj popielaty;
Trudno odgadnąć, jaką miał barwę przed laty;
U pasa karabela. — Obok siedział młody,
We fraku z samodziału, krojem nowej mody;
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się z pływającym u buta kutasem,
Lub żartował z sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był żydek. Temu człowiek od pałasza
Tak mówił: «Hejno! dobra nasza bez marjasza!

Poco trupami w szabas arendarzów trwożyć?
Słuchajcie kumy, gotów z wami się założyć,
Że jak tylko Siciński na smętarz odjedzie,
Dostaniem garniec miodu. Nie prawdaż, sąsiedzie?»
Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy.
Siciński? i w Upicie? Imię strasznej sławy!
«O jakim trupie, rzekłem, toczycie rozmowy,
I o jakim Sicińskim?» Na to kontuszowy:
«O Sicińskim? Z początku całą rzecz wywiodę.
Na miejscu gdzie żydowską widzimy gospodę,
Był zamek nieboszczyka; przytem imion wiele,
Konneksye potężne, mnogie klientele,
A stąd ćma popleczników i kresek bez liku:
Siciński był dyktator na każdym sejmiku!
Starszych i zasłużeńszych patrycjuszów sbasał.
Ale nie dosyć na tem: na wyższe się kasał.
Poczęła też kłuć w oczy zbyt rogata duma;
Przyszedł sejmik poselski: nauczono kuma.
Bo gdy pewny wyboru, posłem się ogłasza,
Kiedy dziękuje szlachcie, na obiady sprasza,
I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi:
Liczą turnum — Siciński padł na cztery nogi! —
Agitatus furiis et impotens irae,
Umyślił zgubić szlachtę: o scelus! o dirae!
Daje obiad. Zwiedziona zbiera się drużyna;
Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
Łyka plebs; w tem blekotem zaprawione męty
Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty;
Dalej kłótnia, hałasy, istna wieża Babel.
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel —
Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,
Tros Rutulusve fuit, wszyscy się wysiekli.
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,
Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił.
Jak ów Ajax scopulo infixus acuto,
Expirans flammas: straszna lecz słuszna pokuto!»
«Amen!» rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku
Porównywał tę powieść do zboża w przetaku,

I chcąc z bajecznej plewy prawdę wywiać nagą,
Harfował żarcikami, zakończył uwagą:
Że Pan Marszałek z którym on do stołu siada,
I u którego książek niezmierna gromada,
Ilekroć o Sicińskim wspómni, zawżdy mówi:
On zgubił nas, on ręce zawiązał królowi.

Z tych słów Marszałka głowa ekonomska wniosła,
Że nie szło tam o sejmik ani wybór posła:
Że musiała być wojna — przeciw komu? kiedy?
Trudno zgadnąć: zapewne z Turki albo Szwedy;
Pewno Siciński Króla do Upity zwabił,
Oddał w ręce najeźdzcom i ojczyznę zabił.

Chciał dalej rzecz prowadzić, lecz sługa kościoła
Zezem nań spozierając: «Nie dobrze — zawoła —
Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,
Jeśli wam opowiem jako najlepiej świadomy:
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,
Zabrał, jak mówią, grunta należne do fary;
Nie chciał płacić dziesięcin, nie bywał w kościele,
Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele.
Chociaż mu nieraz Biskup listami zagrażał,
Choć go wyklął z ambony: Siciński nie zważał,
W Święto Bożego Ciała, pod samo południe,
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię:
Dokopał się swej zguby i powszechnej szkody!
Bo z owej studni tyle wybuchnęło wody,
Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
Zarosły w paproć — łąki poszły w trzęsawice!
Sicińskiego, jak słusznie Pan Sędzia namienił,
Piorum zabił, dom spalił, potomstwo wyplenił.
Trup, klątwą uderzony, dotąd cały stoi:
Ziemia go przyjąć nie chce, robactwo się boi.
Nie znalazłszy na ziemi święconej spoczynku,
Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku;

ogo nieraz dziad jaki, uniosłszy z smętarza,
Wlecze w szabas do karczmy straszyć arendarza.»
Skończył, i drzwi stodoły odemknął. Tam stało
Szkaradne starożytne nieboszczyka ciało.
Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci;
Usta wypsute, przez nie ząb gdzieniegdzie świeci.
Zresztą nietknięta ciała zdrowego budowa,
Postać ludzką od żywej nie zbyt różną chowa,
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu;
A jako na powierzchni starego obrazu,
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać.
Tak owa twarz, choć ogniem żywotnym nie płonie,
Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
Za pierwszym rzutem oka coś takiego widać,
Czego żadnemi słowy nie podobna wydać.
Dzikość, szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy;
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,
Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.
Barki na dół pochylił, głowę na pierś zwisnął;
Zda się, że ciężar hańby do ziemi go cisnął,
Albo że ręka gwałtu z piekieł go wywlekła,
znowu radby gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w której łotrowie mieszkali,
Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
Dzikością swych położeń i krwawym ogromem
W gruzach daje odgadnąć, czyim była domem;
Gdy węża po zrzuconej rozpoznasz skorupie:
Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie.

O towarzysze! rzekłem, pocoście niezgodni?
On był nie jednej winien, ale wszystkich zbrodni;
Jego trucizną naród zdurzony oszalał —
On królom ręce związał, kraj klęskami zalał!

A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne ięje?dz
Popiół, którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych. — Lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony: czem są wszystkie dzieje? —

Odessa, roku 1825.

KRÓLEWNA LALA I KRÓL BOBO[1].

Za czarnem i sinem morzem był kraj zbyt cudny,
Obfity w łąki i w mąki, rybny i ludny,
A panował tam król Bobo, wielki wojownik,
A niedosyć że wojownik, lecz i czarownik.
Szanowali go poddani i króle bliskie,
I najdalsi monarchowie i kraje wszystkie.
Więc król Bobo w sławie jaśniał, w skarby opływał,
Wszelkiego bożego dobra wesół używał,
Nic nie robiąc, wcześnie chodząc spać, późno wstając,
Całe dni polując, pijąc, tańcząc, hulając,
Od jednych do drugich swych ziem przejeżdżając.
Pałaców trzysta sześćdziesiąt sześć wybudował,
By każdego dnia w pałacu innym nocował.
Słowem, od początku świata do owej doby,
Nie było na świecie pewnie żadnej osoby,
Ani też będzie szczęśliwszej od króla Boby.

Męskiego potomstwa nie miał król Bobo wcale,
Tylko jednę miał córeczkę, na imię Lalę,
Cudnego rozumu, cudnej urody.

[1] Z rękopisu, niedokończone. P. W.

Jak była najrozumniejsza, najurodziwsza,
Tak ze wszystkich panien była najnieszczęśliwsza.
Czyli rodziła się pod gwiazdą złą w czarnym roku,
Czy ją kto zaczarował w jakim uroku:
Nikt nie wiedział, ni powiedzieć umiał królewnie;
Tylko że jest nieszczęśliwa, wiedziano pewnie,
I że we dnie i w nocy płakała rzewnie.
I było też czego płakać i czego szłochać,
Bo się żaden z kawalerów nie chciał w niej kochać.
Przyjeżdżali królewice z dalekich stolic,
Odwiedzali ją książeta z bliskich okolic,
Nikt się wdziękom jej dowoli nie mógł napatrzyć;
Ale nikt się o jej rękę nie chciał oświadczyć.

Tymczasem królewna Lala rośnie a rośnie.
I nie mogąc dostać męża, wzdycha żałośnie.
Gdy nie stało kawalerów koronowanych,
Rada była pójść za kogo z książąt poddanych;
Swatała się przez swą ciotkę i przez stryjenkę,
Trzem z kolei obiecała posag i rękę.
Każdy za tak wielką łaskę kłaniał się wdzięcznie,
I każdy się od wesela wykręcił zręcznie.
Jeden mówił, że wprzódy nim wstąpi w małżeństwo,
Pojedzie sam uwiadomić swoje rodzeństwo,
I prosić rodziców o błogosławieństwo.
Siodła konia, z krajów Boba jedzie co prędzej
I tyle go też widziano — nie wrócił więcej.
Drugi już się przyrzekł żenić: tylko uprosił,
Aby wprzód po zmarłym ojcu żałobę znosił.
Gdy ją znosił, przyszły druchny po pannę młodę —
A pan młody zniknął kędyś, jak kamień w wodę.
Słowem, każdy pan innego szukał pozoru;
Aż po jednym tak uciekli wszyscy ze dworu:
Gdzie jechali, powiadali: że pannę Lalę
Szanują, i wielbią, i cenią, ale
Do żenienia się z nią serca nie mają wcale.
Dla czego serca nie mają? nie wiedzą sami:
Panna z tylu przymiotami! i z bogactwami!

I królestwo ma w posagu! Piękne to rzeczy;
Rozum każe w niej się kochać: a serce przeczy.
A było to w owych czasach, gdy jeszcze ludzie
Nie wiedzieli o dzisiejszej brzydkiej obłudzie:
Nie rozumieli, że można pannę nie lubić,
A przecież ją dla pieniędzy tylko zaślubić,
A tak i swe i jej serce na wieki zgubić —
A więc woleli panowie iść na wygnanie,
Aniżeli bez kochania na królowanie —
Woleli iść na wygnanie o wolnem sercu,
Aniżeli bez miłości stać na kobiercu.

Tymczasem królewna Lala rośnie a rośnie;
Dotąd za mąż nie wydana, wzdycha żałośnie:
«Każda panna z mego dworu, każda poddanka,
Czy prostaka, czy pastucha, znajdzie kochanka;
Ma towarzysza, ma dziatki. Ja tylko biedna
Bez towarzysza, bez dziatek, zostanę jedna,
I nie będzie komu po mnie zapłakać szczerze,
I za moją duszę codzień zmówić pacierze!» —

Tak płaczącej Pannie Lali przyszła myśl dzika,
Ażeby pójść wreszcie za mąż choć za kuchcika.

Właśnie wtenczas, przed oknami, chłopiec nie wielki,
Oszarpany, umurzany, płukał rądelki.
«Pójdź kuchciku, posłuchaj, co powiem tobie:
A ja cię dziś najszczęśliwszym człowiekiem zrobię.
Najprzód rądle rzuć do licha i bież w krynicę
Umyj dobrze i wyszoruj piaskiem twe lice,
I ręce zmywaj póty, aż będą czyste —
Potem przyjdź, a ja ci dam suknie uroczyste,
Dam ci kapelusz z piórami, ostrogi srebrne,
Złota kieskę, tudzież inne sprzęty potrzebne.
Za to złoto kupisz w mieście rumaka z rzędem,
Na nim wielką bramą w zamek wbież wielkim pędem;
Udasz się przed królem ojcem moim za księcia,
A ja dokażę, że ciebie weźmie za zięcia.»

Gdy królewna tak mówiła, kuchta drżał z trwogi,
Potem jak stał, tak jej upadł plackiem pod nogi —
I podniósłszy głowę z płaczem wołał: «Ah, czemu
Tak żartujesz, tak urągasz mnie chłopcu biednemu?»
«Głupi kuchto, rzekła Lala, samo gołąbki
Upieczone lecą z nieba tobie do gąbki!
Jeżeli nie zrobisz głupcze, co ci kazałam,
To nie odżałujesz tego twem życiem całem.»
«Ah królewno Lalo moja! — kuchcik zawołał —
Choćbym chciał zrobić co każesz, tobym nie zdołał.
Nie wiesz, co to lata młode przeżyć sierotą;
Nie wiesz, co to być kuchcikiem! Pytaj mnie o to! —
Z rana trzeba iść do lasu łamać gałąski,
Zgarbiwszy się składać w kupę i wiązać w wiąski,
I na plecach nieść do domu, a tak się silić,
Że się trzeba aż do ziemi jak dęga chylić.
Pod ciężarami nie mogłem wyrość na człeka,
Lecz jak źrebię zajeżdżone jestem kaleka.
Chociażbym do dworu wyjechał na koniu wielkim,
Poznaliby wszyscy, żem jest lichym karzełkiem.»
«Nic to, rzekła królewna, jest na to rada:
Powiedz, że ty jesteś rodem z kraju — o, lada —
Stoi w książkach, że jest kędyś kraik malutki,
Którego obywatele zwą się karlutki;
Powiedz, żeś ty syn królewski z tamecznej ziemi.
Królowie, czy są wielkimi czyli małymi,
Czy prości, czyli garbaci, są równi sobie.»
Kuchta na to: «O królewno! cóż nędzny zrobię?
Patrzno tylko na mą postać, na ręce moje:
Czyli będą mnie do twarzy książęce stroje?
Od rana do nocy muszę kręcić pieczenie,
Aż jak pieczeń tak spaliły twarz mą płomienie;
Wieczorami rądle myję, aż dłoń stwardniała,
I patrz, z rąk mych aż do łokcia zlazła pobiała.»
«Nic to, rzekła mu królewna; mów przed niemi,
Że ty jesteś syn królewski z murzyńskiej ziemi:
Wiadomo nam, jak tam słońce oblicza smali;
Królowie są wszyscy równi: wy czarni, my biali.»

Dopiero to słysząc aż stracił mowę,
I zadziwił się tak mocno, aż zaszedł w głowę,
Włosy targał, ręce łamał, nogami tupał,
A zębami zgrzytał jakby orzechy chrupał.
Płakał coraz głośniej, że aż Lalę przelęknął:
W końcu dostał serdecznego śmiechu i jęknął.
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

GOLONO, STRZYŻONO.[1]

U nas, kto jest niby chory
Zwołuje zaraz doktory:
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopa albo baby.
Ci, ze swego aptekarstwa,
Potrafiają i podagrze,
I chiragrze i głuchotom,
I suchotom i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże,
Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domowstwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał, że to ona:
Bo była wpół ogolona.

[1] Z rękopisu. P. W.

«O zbóje! żeby ją skryli —
Używając takich figli
Że biedaczkę wygolili!» —
«Powiedz raczej, że ostrzygli
— Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie golą lecz strzygą.»
«A no patrzajcież bo mi go
— Odezwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice,
Chcesz nauczać nas pod wąsem
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz, że jest postrzyżona?» —
«A wąsiki ekonoma,
— Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,
Sąż golone czy strzyżone? —»
«Bierz ci licho twego pana,
I pana i ekonoma;
Dobrze, że suka jest doma,
Choć tak szpetnie ogolona.»
«Toć i jam się ucieszyła
— Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła
Choć tak szpetnie ostrzyżona.»
«Głupiaś z twemi nożycami!»
«I ty z twojemi brzytwami! —»
«Że golona, przypatrz że się!»
«Że strzyżona pokaże się. —»

Tak się kłócą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk w koło się rozlega:
Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: «Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona»
Idzie żyd: «Powiedz-no, żydzie,
Czy golona? czy strzyżona?»
Od żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
Sprawa zapieczętowana;
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził:
Że wygrała męska strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
Po drodze chłop pyta żony:
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta.
U progu suka ich wita:
«Pójdź tu moja ogolona!»
Woła mąż. A kobieta:
«Pójdź tu moja ostrzyżona.»

Mazur wściekły już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wziąwszy pod rękawki
Wlecze ją wprost do sadzawki,
I topi jak kadź ogórków.
Ona, nie nawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On, trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: «A no teraz:
Czy golona, czy strzyżona?
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce,
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok, uciekł z wody.
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza,
I tam przystał za żołnierza.

PAN BARON.[1]

Gdzie dobrze, tam ojczyzna. A gdzież kiedy było
Komu lepiej, gdzie kiedy komu się przyśniło
To wszystko, w co pan Baron na jawie opływa?
Przychodzień, dóbr książęcia jak swoich używa,
I wkrótce pojmie wdowę, panię dóbr, za żonę;
A z nią księstwo i hrabstwa dwa uksiążęcone,
I ten zamek wspaniały, tak sławny z piękności
Po świecie całym, że doń co rok mnóstwo gości
Z Anglii, z Niemiec, z Polski, przybywa tłumami,
Jakby na miejsce jakie słynące cudami.

Nie dziw tedy, że Baron, budząc się w pościeli
Edredonowych puchów, miększej od kąpieli,
I z za kotar indyjskich wychylając głowę,
Powitał temi słowy słońce południowe:
«Gdzie dobrze, tam ojczyzna!» Już ruszył nawiasem
Wstęgę tkaną z jedwabiu ze złotym kutasem.

Na ten ruch, jak na laski czarodziejskiej zamach,
Zaraz we drzwiach pokoju zabłysło, jak w ramach
Obrazu zaklętego, wojsko malowane
I w cichości na całą rozlało się ścianę.
Żywe a nieruchome i tylko z wyrazu
Oczu i twarzy widać, że czeka rozkazu

[1] Z rękopisu, niedokończone. P. W.

Służba niemiecka. Wszystko we fraki ubrane
Czarne, białe pończoszki, glansowne trzewiki,
W ręku trzymają lustra, brzytewki, ręczniki.
Baron dał rozkaz, służba rzuca się. Dwaj pazie
Niosą bieliznę czystszą niśli śnieg na głazie.
Gdy ją Baron przywdziewa, z przodu go osłania
Dwóch pokojowych suknią indyjskiego tkania,
Gdzie złotych kwiatów więcej lśni niż na ornacie;
Baron zwykle zaczyna ranek w takiej szacie.
Gdy ją włożył, to znak jest, że z łoża powstaje:
I wnet mu pochyleni do nóg dwaj lokaje
Podścielają meszt parę z marokińskiej skóry,
Mających i barwistość i świeżość purpury;
A każda z nich złocistą naszywana gwiazdą.
Stąpa, do nich wślizga się lekko jak ptak w gniazdo,
I po kobiercach cicho, jako łyżwa lekka,
Płynie ku stolikowi, gdzie go kawa czeka.

Kamerdyner lał kawę. Murzyn z lewej strony
Trzymał nabitą lulkę i lont zapalony;
Za danym znakiem, ogień podłożywszy chybko,
Skłonił się z dwusążniową ku panu antybką,
Na której końcu bursztyn, wielkości ogórka,
Pełen drogich kamieni, jak zawój u Turka.
W tejże chwili znów z tyłu inny pokojowiec
Stając, safianowy rozwijał pokrowiec
Angielski, zeń nożyczki dobył; temi krzesze
Podbródek Baronowi i szyldkretem czesze,
I ręką muszcze, pełną utłuszczonej farby;
Potem, żeby włos ująć w należyte karby,
Chustką je opasuje, która uwikłana
Na szczycie głowy w węzeł nakształt tulipana.

Baron hawańskich dymów z bursztynu snuł smugi,
Naprzód w górę przed siebie, potem w dół na sługi.
Ci ze znaków pojmować wolę pana zwykli,
Drzwiami, kędy w cichości weszli, tędy znikli.

On został sam dumając, a w bursztyn grał ciągle,
Puszczając dym to krągło, to znów w półokrągle.
Rozwałęsana jego w tych dymach się błąka
Samotna i ponura myśl nakształt pająka:
Lecz widno, że gdzieindziej myśl, gdzieindziej dusza.
Bo z ust, któremi puszcza dym i ledwie rusza,
Wyszedł i głos i słowa i zdania: lecz rzeczy
Trudno w nich znaleść, jedno drugiemu więc przeczy.
Naprzykład takie słowa: «Gdzie mi dobrze będzie
Tam i ojczyzna moja, tam dom — — — —
W domu lepiej — — — — — — —
Sława! Chleb to grunt, a sława zabawa! —
Mądry baron po szkodzie! Żyj, pókiś na świecie;
Po mnie, niech spadnie niebo i skowronki zgniecie!»
I tym podobne zdania — — —
A każde zdanie jego mięszało się z dymem.

Z takich to tęczowatych rozmyślań wytrąca
Mrok, spadający nagle jak zaćmienie słońca.
Baron uczuł, że mu się po za skronie wije
I oczy ściska dwoje rączek: zgadnął, czyje.
Westchnął; puszcza z ust bursztyn, którego świecidła,
Jak puszczona z dziecięcej słomki bańka mydła,
Błysnęły i zagasły cicho na kobiercu
Podłogi. On prawicę położył na sercu,
A lewą koło głowy lekkuchno wychyla,
Jak chustką, którąby ktoś odpędzał motyla,
Aż nakoniec milczenie przerwał ciężkim jękiem,
Potem głosem cichutkim, jak komara brzękiem:
«Ach, ach, jeśli mi szczęście zawiera powieki,
W kształcie nocy — ach, niechże ta noc trwa na wieki,
Jeżeli fala, która w nicość nas zagłębia,
Ma tę świeżość i ten puch skrzydełek gołębia:
Niech umrę teraz, niech zniknę!» — Lecz wzdychając zniżał
Głowę i prawie aż do kolan ją przybliżał.
Wtem jedna z rączek, co mu więziła powieki,
Rozsunęła sią zwolna jako obłok lekki.

Baron, podobien temu, co się cuci z mdłości,
Wydobywał wpółsenne oko z tych ciemności,
Aż dojrzał śród nich postać, która jak królowa
Nocy, wdzięki swe w szatach zaciemnionych chowa.
Suknia długa i czarna; nad głową się sępi
Czarny kapelusz i w krąg strusie pióra strzępi.
Była to księżna, w stroju, który zwykle służy
Wielkim paniom niemieckim do konnej podróży.
W ręku trzymała biczyk z szyldkretowym prętem,
Którego skówkę gryzła strojną dyamentem.

Temi rzeczami gdy się bawił, lokaj wlata
Z krzykiem: «Hofrat oznajmia wizytę!» —
Wszedł człek półwieczny, twarzy poważnej, w ubraniu
Podróżnem, z biczem w ręku, jakby na wsiadaniu.
Dawny znajomy, krótko witał się z Baronem,
Dorywczem rąk ściśnieniem i lekkim ukłonem.
Baron przysunął krzesło ręką i pół głową
Ukłoniwszy się — Hofrat skłonił się na nowo.
Usiedli — milczą oba. Jegomość się krząta
Służbą. Lokaj w milczeniu pośpiesza do kąta,
Gdzie, nakształt hodowanych w donicy cebulek,
Wschodnich kwiatów, sterczały główki wschodnich·lulek:
Bursztynowe, natkane w stolik cyndałowy.
Lokaj wybrał z nich cybuch półtrzecia łokciowy,
Nasadził piętę, nabił, zapalił i wtyka
Cybuch w usta Hofrata, a sam jak wszedł, znika.

Siedzą tedy i palą. Owaj przyjaciele,
Gdy się zejdą i gdy są oba marzyciele,
Mogą razem przemyślać i przegadać wiele,
Nie siląc się na słowa. Taż myśl, co i w gwarze
Głosów brzmi, może równie przemawiać i w parze.

Hofrat zaczął dąć szybko i dym rączo ciskał,
Który szerząc się, w górze jak wodotrysk pryskał.

Naprzeciw Baron, z usty wszerz rozciągniętemi,
Jak gdyby ze skalistej rozpadliny dymi.
Fala poziomo w pół izby zawisa,
I nad głowami jako obłok się kołysa.

Zdziwiło to Hofrata; cybuch spuścił na dół,
I czystem z płuc ciągnionem powietrzem się nadął;
Potem z taką siłą dmuchnął w dymu środek,
Że go rozbił i zrobił w nim jasny obwodek,
Przez który odkryło się nieco dno sufitu,
Jak nad rozstępującą sie mgłą krąg błękitu.
Taką przygotowawszy dla oczu widownię,
Pochwycił znowu cybuch, pociągnął gwałtownie,
I cały przepędziwszy dym przez ust naczynie,
Puścił z nich jednę kulę, wielką jako dynię.
Podniosła się wspaniale i środkiem obłoku
Dążyła do sufitu. A wtem Baron z boku
Wystrzelił ku niej bańką małego rozmiaru —
Lecz kręciła się szybko, jak kula bilaru;
Ta dopędza wnet banię, swym obwodu brzegiem
Trąca ją, aż obiedwie wstecznym poszły biegiem.

Cichym uśmiechem Hofrat dał poklask tej sztuce,
A tymczasem gotował i cybuch i płuce.
Nakoniec rozwarł usta; widno, jak w ich głębi
Dym długo gromadzony warzy się i kłębi
I przy brzegach ust krążąc ciasno je obwieńcza;
Aż się zerwał i wyszedł w świat nakształt obręcza.
Kręcąc się przed obliczem Barona zawiesza,
I już się ma rozpłynąć, gdy Hofrat pośpiesza
Podeprzeć go obręczem drugim, mniejszym nieco,
Za którym trzeci, piąty, dziesiąty, wciąż lecą —
Z obręczy wnet tworzy się postać ostrokręga,
Który końcem gardzieli Hofrata dosięga,
A podstawą wprost przeciw Baronowi mierzy.
Wzdrygnął się Baron, zdumiał, ledwie oczom wierzy,
Żeby ktoś w Niemczech zdołał wydać arcydzieło,
Któreby u fajkarzy chińskich poklask wzięło;

Chce godnie odpowiedzieć i za jednem tchnieniem
Ów ostrokrąg spaja takiem zokrągleniem,
— — — — — — — — — — — —

DZWON I DZWONKI.[1]

Dzwonki razu jednego świergotały z wieży
Do dzwona, który w piasku pod kościołem leży:
«Widzisz, bracie, choć mniejsi, jak śpiewać umiemy;
Cóż tobie po wielkości, gdyś głuchy i niemy?»
«O głośni braciszkowie! — dzwon smutny zaszeptał —
Dziękujcie Plebanowi, że mię w piasek wdeptał.»

PCHŁA I RABIN.

Pewien Rabin, w Talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy:
Dalej czatować — złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc sie, wyciągając główkę i nóżęta:
«Daruj, Rabinie, mądremu nie godzi się gniewać;
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!»
«Krew za krew! — wrzasnął Rabin — Beliala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówki mają śpichlerze, pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje:
Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz.» —
Zakończył i gdy więźnia bez litości dławi,
Pchła konając pisnęła: «A czem żyje Rabi?»

1 Wszystkie następne bajki, z wyjątkiem dwóch przedostatnich, ogłoszone tu po raz pierwszy drukiem, w części z pośmiertnych papierów, w części z album p. Piotra Moszyńskiego. P. W.

PRZYJACIELE.

Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek kum Leszka i kum Mieszka Leszek,
Z tych co to: gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono nie wiele:
Rzekłbyś dwój-duch w jednem ciele.
O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zyzul i krakań gawronich:
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzięciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: «Kumie!»
Kum już wylazł na wierzchołek.
Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz, a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca: jak trup leży —
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.
Dopieroż Mieszek odżył. — «Było z tobą krucho!
— Woła kum — szczęście Mieszku, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?»
«Powiedział mi, rzekł Mieszek, przysłowie niedźwiedzie:
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.»
1829.

ZAJĄC I ŻABA.

(Z LAFONTAINA.)

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
Teraz podupadł na nogach,
Poczuł, że się źle z nim skończy;
Więc jęknął z głębi serca: «Ah, nie masz pod słońcem
Lichszego powołania jak zostać zającem!
Co mię w dzień pies, lis, konik, kania,
I wrona,
Nawet i ona,
Jak chce tak gania!
A w noc gdy drzemie, oko się nie zmruża,
Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęcze,
Wnet drży me serce zajęcze,
Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem —
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.
Żegnaj więc miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!
Wy kochanki młodości, kapusto i rzepko,
Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić!
Oznajmuję wszem wobec, że się idę topić!»
Tak z płaczem gdy do stawu zwraca skoki słabe,
Po drodze stąpił na żabę.
Ta mu, jak raca, drgnąwszy z pod nóg szusła
I z góry na łeb w staw plusła.
A zając rzekł do siebie: «Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórzu stoi!
Każdy ma swoję żabę, co przed nim ucieka,
I swojego zająca, którego się boi.»

1829.

KOZA, KÓZKA I WILK.

(Z LAFONTAINA.)

Sąsiadka koza, ta co to rozwódka,
Z rodu Ostrorożanka, a tak rześka czołem,
Że umie łeb na łeb rozmówić sie z wołem,
I nie da lada wilku brać się do podbródka,
Wczoraj w las idąc zbierać na domu potrzebę
Rokitę czy lipią skórkę,
Na gospodarstwie zostawiła córkę,
Której jest na imię Bebe.
A że młodym osobom pod niebytność matki
Rozliczne grożą przypadki,
Nakazuje dziecku srogo:
«Nie ruszać mi za próg nogą
I nie przyjmować nikogo — nikogo.
Jest tu wilk w okolicy — mam go w podejrzeniu,
Że zamyśla o czem brzydkiem;
Pilnujże drzwi, aż wrócę i dam znak kopytkiem,
Wołając cię po imieniu:
Bebe! Lepiej, że zgrzeszym ostrożności zbytkiem,
Niż gdybyś miała kiedy być przysłowiem trzodzie:
Mądra koza po szkodzie.»
O wilku mówiono w izbie
A wilk tuż siedział na przyźbie;
Podsłuchał. Matka z domu, a on wnet do córki:
Stuk i puk we drzwi komórki.
Wilk zwykle wyciem łaje albo grozi;
Lecz gdy prosić ma potrzebę,
Nieźle udaje śpiew kozi;
Więc jako mógł najkoziej odezwał sie: «Bebe!
Otwórz!» A kózka na to: «Przepraszam: nie można.
Mamy nie masz, jestem sama.»
On znowu: «Bebe, otwórz, to ja, mama»
Na to znów kózka ostrożna:

«Głos wprawdzie matczyn; ale czyś ty matka
Jak mogę wiedzieć, gdy zamknięta klatka?
Podejdźże tu i przez to pod progiem korytko
Pokaż mi na znak kopytko.»
Wilk odszedł, klnąc Bebe i mać jej z ruska brzydko.
Ta bajka jest po całym świecie znana z treści;
Lecz żeby ją dać poznać polskiej płci niewieściej,
Udawajmy, że wzięta z francuskiej powieści.
1830.

KRÓL CHORY I LISY.

«Na ukaz Jego Lwiej Mości
«Dany do nas (z Jaskiniewska
«Zbójskiego, gdzie w słabości
«Zdrowia ma Jego Królewska
«Mość pobyt) do gabinetu
«Ministrów, My, z ich kompletu
«Zamianowani być przy Nim
«Na służbie, wiadomo czynim:
«Po pierwsze: Z obywatelstwa
«Drapieżnego, tudzież stanu
«Bydlego, wybrać poselstwa
«Z tem: iżby w skutek uchwały
«Powiatów, one udały
«Się, Najjaśniejszemu Panu
«Życzyć, w najpoddańszy sposób,
«Co jak najdłuższego życia.
«Powtóre: posłów brać z osób
«Zaszczytnie nam znanych z tycia.
«Dan: rezydencya letnia
«Jaskiniewsk, 18° kwietnia.
«Przyczem, Ministra rozkazem,
«Postanowiono zarazem,

«Posłom z ich towarzyszami,
«W tej podróży nadzwyczajnej,
«Kazać jechać z paszportami
«Ze Lwiej Kancelarji tajnej;
«Zaczem: niech się nikt nie waży,
«Ani z policyjnej straży,
«Ani nawet z dygnitarzy,
«Posła ukąsić lub drapnąć,
«A tym mniej w pół drogi capnąć.»

Na ten rozkaz ode dworu,
Barańatwo, tudzież stan ośli
Pierwsi sejmikować pośli;
Pilnując się onych toru,
Wszyscy inni z pól i z borów
Zgromadzić się mają dzisiaj;
Tylko jedna giełda lisia
Wstrzymuje się od wyborów.
Skądże im ta taktyka i co jej powodem?
Wydał to jeden stary urzędnik, lis rodem.
«Uważam, rzekł, dawno trop wszelkiego źwierza
Przed i za Jaskiniewskiem; upewniam was o tem.
Że pełno zewsząd śladów ku Monarsze zmierza,
Ale żadnego nie widać z powrotem.»

1831.

LIS I KOZIEŁ.

Już był w ogródku, już witał się z gąską:
Kiedy skok robiąc wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano;
Ani pomyśleć o wyskoczeniu.

Chociaż wody nie było i nawet nie grząsko,
Studnia na półczwarta łokcia:
Za wysokie progi
Na lisie nogi;
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia.
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił:
Nasz lis takich głupstw nie robił;
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
Zawsze maca w koło zębem,
A patrzy w górę. Jakoż, wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem,
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając że pije;
Cmoka mocno, głośno chlepce
I tak sam do siebie szepce:
«Oto mi woda! Takiej nie piłem jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu spłukać,
Ale mi ją szkoda zbrukać —
Szkoda!
Bo co też to za woda!»
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
«Ej! krzyknął z góry, ej ty ryży kudła,
Wara od źródła!»
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drąg — i w nogi.
1831.

TRÓJKA KONI.

Z poetów Litwy tylko jeden bard Antoni
Miał trójkę koni.
Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie
Tak żywa, że dziś mógłbym zrobić ich rysopis.

Nie dziw tedy że, gdy się wczoraj rozgadało
O dawnych rzeczach i o owym czasie,
Zapytałem: «Co się też z temi końmi stało?»
Na to mi odpowiedział w te słowa Bajkopis:

«W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.
Postawiono je razem na obroku:
A po roku
Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.
Chociaż żłób długi i przestrona stajnia,
Wszędzie im ciasno, wieczne parskania i bitki.
Musiałem w końcu sprzedać każdego z osobna.
Ale cóż stąd? Wyroku zmienić nie podobna:
Znowu je kacap jakiś sprzągł do swej kibitki!
Ledwie z miejsca, natychmiast wszystkie się ofukły.
Ej wy chochołskorodzie! — rżał Lezgin wysmukły —
Nie biesuj! Wiedz, że sobie nie dam plwać w wędzidła!»
A Mazur: «Wej ciarachy! Dyć i my nie bydło;
Nie targajta, bo żgniema, że będzieta chramać!»
Nato Kozak pieniąc się: «Ciszej, ty Lachska mać!
I ty mużyku! Niechno staniemy przy żłobie,
Oj dam ja wam!» A oni: «Oj, damyż my tobie!»
Nuż wierzgać jak w najlepsze. A kacap do bicza,
Jak utnie z całej ręki w bok Chochołowicza,
Potem z kolei raz wraz po Lezgu, po Chłopie:
Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie
Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie —
Szczęśliwe, że tam wreszcie zatrzymawszy sanki,
Kacap dał im odetchnąć i wsypał trzęsianki.
Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.
I tak sekret tych koni odkrył się przed światem:
Kłócą się nad obrokiem, godzą się pod batem.

1832.

TCHÓRZ NA WYBORACH.

Po owej porażce zwierząt
Wszczął się w ich armii nierząd.
Zwołana wojenna rada;
Z rady zwada:
Każdy każdemu się żali,
Każdy przed każdym się chwali,
I każdy winę na każdego wali —
Tchórzowi tylko wszyscy pokój dali.
Obywatel tchórz w rządzie nie zasiadał,
Ani wojskowo nie służył,
Więc w politycznem życiu się nie zużył.
Ufny w niepokalaną swą przeszłość, tak gadał:
«Obywatele! Czas jest przystąpić do kwestyi:
Czemu przypiszem klęski tej kampanii?
Czy że na wodza brak nam zdolnej bestyi?
Nie! Ale my ulegli przesądów tyranii! —
Grzesznym przodków obyczajem,
Nie tym buławę oddajem,
Których zasługa i talent wyniosą;
Ale tylko mamy w cenie:
Ci — drapieżne urodzenie,
Tamci — rogate znaczenie,
A owi — socyalne tłuste położenie.
Otóż dowódzcy nasi, przypatrzcie się, kto są?
Lew prezes, istny pańskich ideał nałogów;
Radzca żubr, już dziad, ledwie goni resztą rogów —
Niedźwiedź mruk; niech no stanie przed wojskiem, co powie?
Z lamparta byłoby coś, ale mu pstro w głowie;
Że pułkownik wilk sławny, toć tylko z rabunków
I z procesu, co zrobił owemu jagniątku;

A o kwatermistrzu lisie
Lepiej przemilczeć zda mi się,
Niśli zazierać do jego rachunków:
Sam się nie tai, że skory do wziątków.
Pominiemy odyńca: pan ten tylko pragnie
Skarbić żołędzie i spoczywać w bagnie,
Przywyklejszy doń, niż do marsowego kurzu.
Co się zaś tyczy osła, ten był i jest błaznem.»
Gdy tchórz tak gadał, Rada, wrąc entuzyazmem,
Gotowa za krasomówstwo
Dać mu naczelne wodzowstwo,
Odezwała się nagle w jeden głos: «Żyj tchórzu!»
On, stropion krzykiem tym wśród perory,
Zmięszał się, owszem dał czuć najwyraźniej,
Że był w gwałtownej bojaźni.
Dopiero rozruch. «Precz z nim! pfe! tchórz! a do nory!»
Szczęściem tuż była. Wśród sarkań i śmiechu
Wpadł w nią i rył bez oddechu.
Aż gdy na sążeń czuł się pod podwórzem,
Rzekł do siebie z ironją czystego sumienia:
«Ot proszę, co też to jest przesąd urodzenia!
Obranoby mię wodzem, gdybym nie był tchórzem.»
1832.

ŻABY I ICH KRÓLE.

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
Szerzyła się od wieku, a stała nierządem.
Tam każda obywatelka,
Mała czy wielka,
Gdzie chciała mogła skakać,
Karmić się i ikrzyć.
Ten zbytek swobód w końcu zaczynał się przykrzyć.

Zauważyły, że sąsiednie państwa
Używają pod królmi rządnego poddaństwa,
Że lew panem czworonogów
Orzeł nad ptaki,
U pszczół jest królowa ula;
A więc w krzyk do Jowisza:
«Królu! ojcze bogów,
Dajże i nam króla — króla!»
Powolny Bóg wszechżabstwu na króla użycza
Małego jak Łokietek Kija Kijowicza.
Spadł kij i pluskiem wszemu obwieścił się błotu.
Struchlały żaby na ten majestat łoskotu —
Milczą dzięń i noc, ledwie śmiejąc dychać.
Nazajutrz jedna drugiej pytają: «Co słychać?
Czy nie ma co od króla?» Aż śmielsze i starsze
Ruszają przed oblicze stawić się monarsze.
Zrazu z dala, w bojaźni by się nie narazić;
Potem, przemógłszy te strachy,
Brat za brat z królem biorą się pod pachy,
I zaczynają na kark mu włazić.
«Toż to taki ma być król! — Najjaśniejszy Bela,
Niewiele z niego będziem mieć wesela:
Król, co po karku bezkarnie go gładzim!
Niechaj nam abdykuje zaraz niedołęga!
Potrzebna nam jest władza, ale władza tęga!»
Bóg, gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,
Zdegradował króla kija,
A zamianował węża królem żabim.
Ten pełzacz, pływacz i biegacz,
Podsłuchiwacz i dostrzegacz,
Wszędzie wziera pod wodę, pod kamienie, pod pnie,
Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.
Arystokracya najprzód gryziona jest żabia,
Że się nadyma i zbyt się utłuszcza;
Gryziony potem chudy lud, że nie zarabia,
I że się na dno biedy opuszcza;
Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namiętnie;
Gryzieni cisi, że śmią siedzieć obojętnie.

Tak gryząc je swobodnie, wąż do dziś dnia hula;
A rzeczpospolita żab boleśnemi skwierki
Do dziś dnia woła o innego króla:
Lecz Bóg nie chce się więcej mięszać w jej rozterki.

OSIOŁ I PIES.

«Jeżeli chcesz, ośle, by pies kochał ciebie,
Kochajże ty psa», słowa są Lokmana.
Rozumiał je nasz osioł, boć już nie był źrebię —
Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana,
Opowiem dla was, bydląt potomnych, nauki.
Ten osioł, nosząc jak zazwyczaj juki,
Szedł w ślad za panem; a za nim z tyłu,
Mający nad jukami i bydlęciem dozór,
Ledwie widny w kłębach pyłu,
Biegł pies, wywiesiwszy ozór.
Bogdaj takich dozorców! Przez drogi czas wszystek
Nie tknął się swego podwładnego łytek;
Owszem, bawiąc go, to z boku harcuje,
To się naprzód wysforuje,
Ogonem wciąż dla zachętu
Krętu — wętu — —
Szli tak aż do południa.
Pan na skwar narzekał;
Siadł pod drzewem i zasnął.
Tegoć osioł czekał.
Obejrzał się, naprzód darń przy drodze siekał:
Potem podstrzygać zaczął czubek miedzy;
Nakoniec, przez rów hopsa,
Widzi się w łące,
Jakoś mimo wiedzy.

Nie znalazłci tam przysmaków,
Chwastowiska ni bodziaków,
Lecz koniczyny do pasa.
«Będziesz się miała z pyszna!
Tylko ty człowiecze
Zmiłuj się, śpij!» Tak westchnął i siecze a siecze.
Psu oskoma i pokusa:
«Mój osłosiu, od rana jestem naczczo, mdli mię;
Ty masz wędzonkę w jukach, aż stąd czuć po dymie:
Pozwól, że dam jej całusa!
Wiesz jak zrobim? Ja stanę na łapy dębkiem,
A ty przyklęknij na jedno kolano.»
Nasz egoista, jakby do muru gadano,
Siecze a żuje milcząc. Aż wreszcie półgębkiem
Wypchanym koniczyną: «Co się tu wałęsasz?
Poszedłbyś psie do nogi! Jak Jegomość wstanie,
Da ci się śniadanie.»
Odpowiedzi nie czekał,
I obuszcząk znowu
Tak zarwał trawy,
Że aż wygryzł w ziemi dołek,
Klnąc psa, że mu przeszkadza.
W tem, nagle, z za rogu,
Błysnął ku niemu parą krwawych świec wilkołek,
Biorąc go na cel i na tuj.
Wtedy do psa: «Bracie! broń! ciu ciu! na tu! ratuj!»
A pies: «Ja nie twój ratuj, ani twój pan Broniec,
Nie wrzeszcz i łąki nie tratuj;
Czekaj, aż Jegomość wstanie,
Na waści obronienie i poratowanie.»
W tejże chwili wilk osła dorżnął —
Ot i koniec.

CHŁOP I ŻMIJA.

(Z LAFONTAINA.)

W pamiętnikach bestyo-graficznych Ezopa
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym chłopa,
I o pewnego węża postępku łajdackim.
Chłop wyszedł zimnym rankiem po chróśniak do sadu,
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem!
Przeziębły, współskostniały, przysypany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.
Chłop zlitował się nad tą mizeryą gadu:
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,
Kładzie go na przypiecku,
Podściela mu kożuszek jak własnemu dziecku
(Nie wiedząc jaką weźmie od gościa zapłatę) —
Póty dmucha, póty chucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.
Nieboszczyk wąż jak ożył, tak się wnet nasrożył:
Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął,
I całym sobą w chłopa się wycelą,
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela,
I wskrzesiciela!
«A to co się ma znaczyć, zdziwiony chłop krzyknął,
To ty w nagrodę dobrego czynu
Jeszcze chcesz mnie ukąsić? A! ty żmii-synu!»
I wnet porwawszy dubasa
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz wpół pasa.
Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek;
Rozpadło się żmiisko na troje żmijątek.
Darmo drgają
I biegają

Ogon za szyją, za ogonem szyja:
Już nie zmartwychwstanie żmija.
Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
Niewdzięcznika przygarnie;
Ale trafia się częściej, że niewdzięcznik taki
Przepada marnie.

PIES I WILK.

(NAŚLADOWANE Z LAFONTAINA.)

Jeden bardzo mizerny wilk — skóra i kości,
Myszkując po zamrozkach, kiedy w łapy dmucha,
Zdybie przypadkiem Brysia Jegomości,
Bernardyńskiego karku, sędziowskiego brzucha;
Sierść na nim błyszczy, gdyby szmelcowana,
Podgardle tłuste, zwisłe do kolana.
«A witaj, panie kumie! Witaj panie Brychu!
Już od lat kopy o was ni widu, ni słychu.
Wtedyś był mały kondlik: ale kto nie z postem,
Prędko zmienia figurę! Jakże służy zdrowie?»
«Niczego» Brysio odpowie,
I za grzeczność kiwnął chwostem.
«Oj! oj! — niczego! Widać ze wzrostu i tuszy!
Co to za łeb, mój Boże! choć walić obuchem!
A kark jaki! a brzuch jaki!
Brzuch! niech mnie porwą sobaki,
Jeżeli uczciwszy uszy,
Wieprza widziałem kiedy z takim brzuchem!»
«Żartuj zdrów kumie wilku; lecz mówiąc bez żartu,
Jeżeli chcesz, możesz sobie równie wypchać boki.» —
«A to jak, kiedyś łaskaw?» «Ot tak: bez odwłoki
Bory i nory oddawszy czartu,

I łajdackich po polu wyrzekłszy się świstań,
Idź między ludzi — i na służbę przystań!»
«Lecz w tej służbie co robić?» wilk znowu zapyta.
«Co robić? — Dziecko jesteś! Służba wyśmienita:
Ot jedno z drugiem, nic a nic!
Dziedzińca pilnować granic,
Przybycie gości szczekaniem głosić,
Na dziada warknąć, żyda potarmosić,
Panom pochlebiać ukłonem,
Sługom wachlować ogonem;
A za toż bracie niczego nie braknie:
Od panów, paniątek, dziewek,
Okruszyn, kostek, poliwek,
Słowem czego dusza łaknie.»
Pies mówił, a wilk słuchał: uchem, gębą, nosem,
Nie stracił słówka; połknął dyskurs cały,
I nad smacznej przyszłości medytując losem,
Już obiecane wietrzył specyały.
Wtem patrzy. — «A to co.» — «Gdzie?» — «Ot tu, na karku?»
«Eh błazeństwo!» — «Cóż przecie?» «Oto, widzisz troszkę
Przyczesano — bo na noc kładą mi obróżkę,
Ażebym lepiej pilnował folwarku!»
«Czy tak? piękną́ś wiadomość schował na ostatku!» —
«I cóż, wilku, nie idziesz?» — «Co nie, to nie, bratku!
Lepszy w wolności kąsek ladajaki,
Niśli w niewoli przysmaki.»
Rzekł i drapnąwszy co miał skoku w łapie,
Aż dotąd drapie.

ŻONA UPARTA.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niechno człowiek się pokaże
Co na afisze nie patrzy
I od korzenników [1] bladszy,
Niedbale utrzewiczony,
I źle urękawiczniony:
Myślą, że się chce topić;
A więc pełni zgrozy,
Ratują go od śmierci, a wiodą do kozy.
Taki to jakiś, po Sekwany brzegu,
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu,
I urzędownie pyta o powody,
Tego biegu przeciw wody.
«Nieszczęście! woła biedak, pomocy! ratunku!
Żona mi utonęła, żona iż tak rzekę
Wpadła mi w rzekę.»
A na to żandarm mu rzecze:
«O, praw hydrauliki nieświadom człowiecze!
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku,
Ono z góry w dół płynie wedle praw przyrody,
A ty za żoną biegniesz przeciw wody?»
«Boć to ciało, rzekł szukacz, było w życiu dziwne,
Zawżdy wszystkiemu przeciwne:
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęło z rzeką przeciw wody.»

1840.

[1] Epicier.

WIERSZE RÓŻNE.

I.

HYMN.

Na dzień zwiastowania N. P. Marji.

Pokłon przeczystej Rodzicy!
Nad niebiosa Twoje skronie,
Gwiazdami Twój wieniec płonie
Jehowie na prawicy.

Ninie dzień Tobie uświęcamy wierni —
Śród Twego błyśnij kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła,
Oto śród niemej bojaźnią czerni,
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ Twej chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród Twego błyśnij kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie! —
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmię piersią, jaką Cherubiny
Zagrzmią światu na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybiją:
Takim grzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,

Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją!

A któż to wschodzi? Wschodzi na Sion Dziewica.
Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowa i w Niej upodobał sobie.
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystej pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką Dziewica,
Bóg ciało!

DO MARJI ŁUBIEŃSKIEJ.

W DZIEŃ PRZYJĘCIA KOMUNJI ŚWIĘTEJ.

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,
Dziś Anioł tobie nie jeden zazdrościł:
Ty spuszczasz oczy, które Bóstwem gorą!
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą,
Święta i skromna! — Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym:

Tobie, klęczącej przed barankiem Bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli.
Wtenczas zlatuje Anioł, twój obrońca,
Czysty i cichy jak światło miesiąca,
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,
A troskliwości pełen i wesela,
Z takiem nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swem sennem niemowlęciem.
Jeżeli promień nieśmiertelnej łaski
Zbyt żywo w oczach Anioła jaśnieje,
I gdy się senna zbyt żywo rozśmieje:
Anioł łagodnie przygasza swe blaski,
Stula nad senną zasłonę marzenia,
I odlatuje, biorąc twe westchnienia.
Lecz nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
Jak nowe suknie dziecięciu pod głowę —
Tak się piastunka jego codzień budzi,
Z nową miłością u Boga i ludzi:
Jabym dni wszystkich roskosz za nic ważył,
Gdybym noc jednę, tak jak ty, przemarzył.

Rzym, 1830.

ARYMAN I OROMAZ.

(Z zendawesty.)

W samym przepaści nie zgłębionej środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku,
Osiadł Aryman, jak złodziej ukryty,
Gniewny jako lew, jak wąż jadowity.
Onego czasu nadął się i dźwignął,
I wielką ciemność piersiami wyrzygnął,
I po ciemności, jak pająk po sieci,
Szczebłował w górę, tam gdzie Bóstwo świeci.

Oparł się o dnia i nocy granice,
Wynurzył głowę i podniósł źrenice.
A skoro ujrzał, w samym niebios środku,
Oromadesa, co wśród tworów świeci,
Jak śród gwiazd słońce, jak ojciec śród dzieci:
Zły duch pomyślił o szczęściu bez końca —
Ta myśl, ogromna jako świata brzemię,
Z takim ciężarem padła mu na ciemię,
Że stracił siłę, runął na dół głową
Przez wieki wieków — i osiadł na nowo
W samym przepaści niezgłębionej środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku.

1830.

ROZUM I WIARA.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem,
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczyć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;
I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę — i wspomni przymierze.

Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górnie błyszczę na niebios błękicie,
Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił:
Mój blask jest słabe twych ogniów odbicie!

Przejrzałem niskie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:

Wielkie i mętne — gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne — przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze!
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście mali obejrzeć krąg świata.

Konieczność! rzekli, wedle ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu,
A drudzy rzekli: Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskiem przestworzu.

Jest Pan, co objął oceanu fale,
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu;
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie:
Im wyżej buchnął, tem głębiej upadnie —
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.

Rozumie ludzki! tyś mały przed panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni!
Świat cię niezmiernym zowie oceanem,
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga:
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga;
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

A promień wiary, którą niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy,
I twe pogodne zwierciadła oświeca —
Ach! ty bez wiary byłbyś niewidomy! —

ARCY-MISTRZ.

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru,
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku —
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie,
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie,
I w głębi ziemi odlał je z metali:
A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiela,
Nie pojął jednej myśli tworzyciela.

Jest Mistrz wymowy, co bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem,
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłómaczył: głosem, czynem, cudem.
Dotąd Mistrz nazbyt wielkim był dla świata;
Dziś, świat nim gardzi — poznawszy w nim brata.

Sztukmistrzu ziemski, czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?

A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na Mistrza i cierp boży synu,
Nieznany — albo wzgardzony od gminu! —

MĘDRCY.

W nieczułej, ale niespokojnej dumie
Usnęli mędrcy. Wtem odgłos ich budzi:
Że Bóg widomie objawił się w tłumie,
I o wieczności przemawia do ludzi.
«Zabić go — rzekli — spokojność nam mięsza! —
Lecz zabić we dnie? obroni go rzesza.»

Więc mędrcy w nocy lampy zapalali,
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali,
I wziąwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga. — A zdrada na przedzie,
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.

«Tyś to?» krzyknęli na Maryi syna —
«Jam» odpowiedział i mędrcy pobladli —
«Ty jesteś?» «Jam jest.» Służalców drużyna
Uciekła w trwodze — mędrcy na twarz padli;
Lecz widząc, że Bóg straszy a nie karze,
Wstali przelękli — więc srożsi zbrodniarze.

I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
I szyderstwami ciało jego siekli,
I rozumami serce mu przebodli:
A Bóg ich kocha i za nich się modli! —
Aż gdy do grobu duma Go złożyła,
Wyszedł z ich duszy, ciemnej jak mogiła.

Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swej pychy. Natura w rozruchu
Drżała o Boga — lecz pokój był w niebie:
Bóg żyje — tylko umarł w mędrców duchu.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z tobą ja mówię, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucha:
Z Tobą ja mówię! Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha,
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu!

I każda dobra myśl, jak promień wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I nazad płynąc, znowu mię ozłaca.
Śle blask: blask biorę i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca:
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię,
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś Król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany;
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany —
Póki cię moja złość w grobie nie schowa.
Cierpisz, jak sługa panu zaprzedany:

Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię,
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy:
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym w obec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy, niśli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi, głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — i Tyś mię wysłuchał! —

III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną! —

WIDZENIE.[1]

Dźwięk mię uderzył — nagle moje ciało,
Jak ów kwiat polny otoczony puchem,
Prysło, zerwane Anioła podmuchem,
I ziarno duszy nagle pozostało —

1 Z rękopisu, niedokończone.

I zdało mi się, żem się nagle zbudził.
Ze snu strasznego, co mnie długo trudził.
I jak zbudzony ociera pot z czoła:
Tak ocierałem moje przeszłe czyny,
Które wisiały przy mnie, jak łupiny
W około świeżo rozkwitłego zioła.
Ziemia i cały świat, co mię otaczał —
Gdzie dawniej dla mnie tyle było ciemnic,
Tyle zagadek i tyle tajemnic,
I nad któremi jam dawniej rozpaczał —
Iż w nim ujrzałem wszystko w głębi, na dnie,
Jak w ciemnej wodzie, na którą blask padnie.
Teraz widziałem całe wielkie morze,
Płynące z środka, jak z źródła, jak z Boga,
A w niem rozlana była światłość błoga.
I mogłem latać po całym przestworze,
Biegać jak promień, przy boskim promieniu
Mądrości bożej i w dziwnem widzeniu,
I światłem byłem i źrenicą razem.
I w pierwszym, jednym rozlałem się błysku,
Nad przyrodzenia całego obrazem;
W każdy punkt moje rzuciłem promienie,
A w środku siebie, jakoby w ognisku,
Czułem od razu całe Przyrodzenie.
Stałem się osią w nieskończonem kole:
Sam nieruchomy, czułem jego ruchy;
Byłem w pierwotnych żywiołów żywiole,
W miejscu, skąd wszystkie rozchodzą się duchy,
Świat ruszające, same nieruchome:
Jako promienie, co ze środka słońca
Leją potoki blasku i gorąca,
A słońce w środku stoi niewidome.
I byłem razem na okręgu koła,
Które się wiecznie rozszerza bez końca
I nigdy bóstwa ogarnąć nie zdoła.
I dusza moja, krąg napełniająca,
Czułem, że wiecznie będzie się rozżarzać,
I wiecznie będzie ognia jej przybywać;

Będzie się wiecznie rozwijać, rozpływać,
Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać,
I coraz mocniej kochać swe stworzenie,
I tem powiększać coraz swe zbawienie.

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę; ale nie przylega
Do żadnej kropli: wszystkie na wskroś maca,
I, wiecznie czysty, przybywa i wraca —
I uczy wodę, skąd się światło leje,
I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje —

Stały otworem ludzkich serc podwoje:
Patrzyłem w czaszki — jak alchimik w słojc.
Widziałem, jakie człek żądze zapalał,
Jakie i kiedy sobie myśli nalał,
Jakie lekarstwa, jakie trucizn wary
Gotował skrycie. A do koła stali
Duchowie czarni, aniołowie biali,
Nieprzyjaciele i obrońce duszni,
Skrzydłami studząc albo niecąc żary;
Śmiejąc się, płacząc — a zawsze posłuszni
Temu, którego trzymali w objęciu:
Jak jest posłuszna piastunka dziecięciu,
Które jej ojciec, pan wielki, poruczy,
Choć ta na dobre, a ta na złe uczy.
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

DO BOHDANA ZALESKIEGO.

Słowiczku mój! a leć! a piej!
Na pożegnanie, piej
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce twej!

Słowiczku mój! twe pióra zzuj,
Sokole skrzydła weź,
I w ostrzu szpon, zołoto-stron
Dawidzki hymn tu nieś!

Bo wyszedł głos i padł już los,
I tajne brzemię lat
Wydało płód! i stał się cud!
I rozraduje świat!

Paryż, w sierpniu 1841.

II.

ODA DO MŁODOŚCI.[1]

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy:
Młodości! dodaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła! —

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności, zalany odmętem:

[1] Wydanie poznańskie Poezji Mickiewicza z roku 1828 ogłosiło po raz pierwszy drukiem Odę do Młodości, w formie nieco odmiennej od tej, jaką wszystkie następne przechowały edycje. Z tego poznańskiego wydania wypisane są tu warjanty. P. W.

To ziemia! —
Patrz, jak nad jej wody strupie [1]
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb' wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu! —
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota [2]
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę,
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele. [3]
Jednością silni; rozumni szałem,
Razem młodzi przyjaciele! —
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu [4],
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

[1] Patrz, jak na jej wody grupie.

[2] Młodości! tobie jest nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi w dziele:
Serca niebiańskie nie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże cnota.

[3] W szczęściu wspólnem wszystkich cele.

[4] I ten szczęśliwy, kto wśród zawodu
Legł świetnym wiedzion zapałem:
Bo jeśli poległ on ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze[1],
Ten młody — zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury! —
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie,
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię![2]

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy! —
Dalej z posad bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory[3],
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem «stań się» z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią:

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha[4] —
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie:

1 Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem, zdusi Centaury;
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.

2 A jako piorun twe ramię!

3 A spleśniałej zbywszy kory.

4 Równie i w krajach ludzkości noc głucha —
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie:
Ale młodość ogniem płonie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha;

Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie!

Pryskają nieczułe lody.
I przesądy światło ćmiące —
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce! —

PIEŚŃ FILARETÓW.[1]

Hej! użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz:
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

Hejże! do niej wesoło!
Niechaj obiega w około;
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil.

Po co tu obce mowy?
Polski pijemy miód:
Lepszy śpiew narodowy,
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił:

Miłość go pocznie w swem łonie,
A przyjaźń w wieczne utwierdzi spojnie.
Wnet prysną nieczułe lody,
I przesądy światło ćmiące —
Witaj, jutrzenko swobody,
Za tobą zbawienia słońce!

[1] Pierwsza strofa jest naśladownictwem burszowskiej pieśni niemieckiej

Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puhar staw:
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas:
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt;
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam bracia cyt, tam cyt!

Ten się śród mędrców liczy,
Zna chemię, ma gust,
Kto pierwiastek słodyczy
Z lubych wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stóp.

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie dość.

Cyrkla wagi i miary
Do martwych użyj brył:
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił! —

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos sie bieli,
W wieczności wpadniem toń:
To oko zamknie Feli,
To Filarecka dłoń.

TOASTY.[1]

Coby było wśród zakresu,
Na który ludzie rzuceni,
Bez światła, ciepła, magnesu
I elektrycznych promieni?

Coby było? Zgadnąć łatwo!
Ciemno, zimno, chaos czyste.
Witaj więc słoneczna dziatwo,
Wiwat światło promieniste!

Lecz cóż po światła iskierce,
Gdy wszystko do koła skrzepło?
Zimny świat i zimne serce:
Ciepła trzeba. Wiwat ciepło!

[1] W wydaniu Poznańskiem z roku 1829 wiersz ten nosi tytuł: Cztery Wiwaty. P. W.

Pełnych światła i zapału
Często silny wiatr rozniesie:
By ciało zbliżyć ku ciału —
Jest magnes. Wiwat magnesie!

Tak gdy zrośniem w okrąg wielki
Przez magnesowaną styczność,
Wówczas z lejdejskiej butelki
Palniem: Wiwat elektryczność!

CZYN.

(Na nutę Berangera: Jeunes enfants.)

Hej, dalej w pląs!
Pokręcaj wąs!
Tak nasi mawiali przodkowie.
Poczciwie bij,
A tęgo pij.
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Gdy młody Polak czynem się zbłaźni
Dopóki krzyża nie dopnie,
Pnie się na świecie, jak w ruskiej łaźni,
Na coraz wyższe i wyższe stopnie.
Lecz darmo czady pije,
Próżno ćwiczy pieczenie:
Jeżeli zbrukał sumienie,
Dalibóg że skręci szyję.

Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o czyn!
Tak nasi mówili przodkowie.
Jeżeliś gracz,
Choć bieda płacz.
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Tamten astronom od nocy do rana
Do gwiazd wyprawia połowy;
I sadzi krzyże na brzuch, na pierś, na kolana,
Świeci się jak wóz Dawidowy.
Lecz wkrótce śmierć się zbliża,
A z nią piekielna męka:
Tego jednego krzyża
Belzebub się nie lęka.

Hej, dalej w pląs!
Pokręcaj wąs!
Tak nasi mówili przodkowie.
Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o czyn.
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Petersburg, 1829.

DO MATKI POLKI.

(Wiersz pisany w roku 1830.)

O matko Polko! gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy geniuszu świetność;
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność —

Jeśli, rzuciwszy rówienników grono,
Do starca bieży, co mu dumy pieje;
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje:

O matko Polko! źle się twój syn bawi —
Klęknij przed Matki Bolesnej obrązem,

I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
  Takim wróg piersi twe przeszyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
  Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania:
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
  I do męczeństwa bez zmartwych-powstania.

Każ że mu wcześnie w jaskinię samotną
  Iść na dumanie, zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną,
  I z jadowitym gadem dzielić łoże!

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem,
  I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
  Postać mieć skromną, jako wąż wystygły —

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie:
  Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił:
O matko Polko! jabym twoje dziecię
  Przyszłemi jego zabawkami bawił.

Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
  Do taczkowego każ zaprzęgać wozu:
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
  Ani się spłonił na widok powrozu.

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
  Utkwić zwycięski krzyż w Jerozolimie,
Albo jak świata nowego żołnierze
  Na wolność orać, krwią polewać ziemię —

Wyzwanie przyszle mu szpieg nieznajomy,
  Walkę z nim stoczy sąd krzywo-przysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
  A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy;
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy —

NOCLEG.[1]

Nasz naczelnik nad Trockiem jeziorem
Po kowiańskiej potyczce nocuje.
Strzelcy leżą na kępie taborem:
Jeden rany swe mchem opatruje;

Drugi strzelbę przeczyszcza, nabija,
Kaptur z brzozy na zamek nasuwa:
Ten wpół-senny pod głowę płaszcz zwija —
I usnęli. Straż stoi, wódz czuwa.

On pod drzewem coś duma w pomroce —
Drzewo suche — lecz miało owoce:
Najgłodniejszych ten owoc odstrasza:
Wiszą na niem dwie gruszki Judasza.

W górę szpiegi! Cesarskie to sługi:
Jeden Prusak, z nogami długiemi
W białych pończochach; a drugi,
Żyd, pejsami zamiata po ziemi.

Nie śpi wódz. Na kolanach broń trzyma,
Wzrokiem szuka pagórka znanego:
Ten za wodą — na wzgórku dom jego.
Dom w ciemności on żegna oczyma.

[1] Z rękopisu. P. W.

Wtem błysnęło nad wzgórkiem. — Czy piorun?
Piorun u nas nie bije w tę porę:
«O Najświętsza! o Maryo z Borun!
Ratuj ich — ratuj dzieci — dom gore.»

Gdzie jest patrol? Na konia! Do dworu! —
Wtem słuchają. — Łom trzeszczy, gwar ludzi,
I «kto idzie!» głos ozwał się w boru.
Patrol wraca i obóz się budzi.

«Wodzu! wielka dla ciebie żałoba;
Wraca patrol z wieściami Hijoba.
Jeden mówi: zarżnęli twą żonę,
Drugi mówi: twe dzieci spalone.

Lecz pojmali dowódzcę Moskali.»
«Kto on?» — «Francuz, nie stary, przystojny;
I w moskiewskiej on służbie wsie pali,
Za pieniądze lud siecze niezbrojny!» —

Wódz, jak gdyby rażony od gromu,
Na dom patrzał i milczał i słuchał.
Z okien wszystkich żar sypał się z domu,
Z oczu wodza straszniejszy żar buchał.

I w obozie zbudzonym, zdumiałym,
Było głuche milczenie i zgroza.
Milczał wódz, jako broń przed wystrzałem;
Na dom patrzał — i krzyknął: «powroza!» —

Przyskoczyły dwa katy rozkoły,
Stryczek mieli gotowy ze sznura,
Zakasali rękawy za poły,
I oddarli mu kołnierz z mundura.

Wtem ktoś leci — «Kto idzie?» «Lud z Bogiem!
Nasze hasło: poznajcie wiarusa!»
Zrzuca płaszcz — ach! to mundur Krakusa:
Biały surdut z czerwonym wylogiem!

«Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem Rozena, Gejsmara,
Nabrał jeńców i dział co nie miara —
Idzie w Litwę — Skrzynecki niech żyje!»

Krzyczał żołnierz i śmiał się i szlochał —
Ach! kto miłej ojczyzny nie kochał,
Biedny! łzami nie płakał takiemi —
A Naczelnik? — On leży na ziemi.

Leżał krzyżem i długo się modlił.
Wstał i rzekł do Francuza: «Idź wolny!
Precz od nóg mych — byś nóg mych nie podlił,
Jam dziś karać nikogo nie zdolny» —

29 marca 1832.

REDUTA ORDONA.[1]

(Opowiadanie adjutanta.)

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole. Dwieście armat grzmiało;
Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi.
I widziałem ich wodza. Przybiegł, mieczem skinął,
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśniona piechota
Długa czarną kolumną, jako lawa błota,

[1] Ogłoszone po raz pierwszy przez Mickiewicza na końcu dzieł Garczyńskiego, z dedykacją do Jenerała Umińskiego i z następnym dopiskiem:
«Wiersz ten, pisany pod wpływem opowiadań Garczyńskiego, umieszczam między dziełami przyjaciela, jako wspólną naszą własność. Poświeciłem go ostatniemu wodzowi polskiemu, który o sprawie naszej nie rozpaczał i do końca chciał walczyć.» A. M.

Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.
Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz bodzący morze, reduta Ordona.
Sześć tylko miała armat. Wciąż dymią i świecą;
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

Patrz! tam granat w sam środek kolumny się nurza,
Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza;
Pęka śród dymu granat, szyk pod niebo leci
I ogromna łysina śród kolumny świeci.
Tam, kula pędząc, zdala grozi, szumi, wyje,
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje.
Już dopadła; jak boa śród kolumn się zwija,
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać lecz słychać po dźwięku,
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku;
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
Nie! On siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
Król — wielki samowładnik świata połowicy.
Zmarszczył brwi: a tysiące kibitek wnet leci;
Podpisał: tysiąc matek opłakuje dzieci;
Skinął: padają knuty od Niemna do Chiwy. —
Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy!
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo Paryskie twoje stopy liże:
Warszawa jedna twojej mocy się urąga:
Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
Koronę Kazimierzów, Chrobrych — z twojej głowy;
Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowy!

Car dziwi się: ze strachu drżą Petersburczany,
Car gniewa się: ze strachu mrą jego dworzany;

Ale sypią się wojska, których Bóg i wiara
Jest Car. Car gniewny: umrzem, rozweselim Cara
Posłany wódz Kaukaski z siłami pół-świata,
Wierny, czynny i sprawny, jak knut w ręku kata.

Ura! ura! Patrz, blisko reduty, już w rowy
Walą się, na faszynę kładąc swe tułowy;
Już czernią się na białych palisadach wałów.
Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów,
Czerwieni się nad czernią: jak w środek mrowiska,
Wrzucony motyl błyska; mrowie go naciska,
Zgasł: tak zgasła reduta. — Czyż ostatnie działo,
Strącone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapał krwią ostatni bombardyer zalał? —
Zgasnął ogień. Już Moskal rogatki wywalał.
Gdzież ręczna broń? — Ach, dzisiaj pracowała więcej,
Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej!
Zgadłem dla czego milczy, bo nieraz widziałem
Garstkę naszych walczącą z Moskali nawałem.
Gdy godzinę wołano dwa słowa: pal, nabij;
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność;
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność. —
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci,
Żołnierz jako młyn palny: nabija, grzmi, kręci —
Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
Szukała — nie znalazła — i żołnierz pobladnął! —
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął,
I uczuł, że go pali strzelba rozogniona;
Upuścił ją i upadł; nim dobiją, skona! —
Takem myślił, a w szaniec nieprzyjaciół kupa
Już lazła, jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach; a gdym łzy ocierał,
Słyszałem, że coś do mnie mówił mój Jenerał.
On przez lunetę wspartą na mojem ramieniu,
Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu.

Nakoniec rzekł: «Stracona.» Z pod lunety jego
Wymknęło się łez kilka. Rzekł do mnie: «Kolego,
Wzrok młody od szkieł lepszy: patrzaj, tam na wale,
Znasz Ordona, czy widzisz gdzie jest?» — «Jenerale,
Czy go znam? — Tam stał zawsze, to działo kierował.
Nie widzę — znajdę — dojrzę — śród dymu się schował:
Lecz śród najgęstszych kłębów dymu ileż razy
Widziałem rękę jego dającą rozkazy! —
Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
Biorą go — zginął! — O nie! Skoczył w dół, do lochów» —
«Dobrze, rzecze Jenerał, nie odda im prochów.»

Tu blask — dym — chwila cicho — i huk jak stu gromów!

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów;
Harmaty podskoczyły, i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach; lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam i w gęstej chmurze nas ochłonął;
I nie było nic widać, prócz granatów blasku.
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
Spojrzałem na redutę — wały, palisady,
Działa i naszych garstka i wrogów gromady:
Wszystko jako sen znikło! Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży: rozjemcza mogiła.
Tam i ci co bronili i ci co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli! —
Choćby cesarz Moskalom kazał wstać: już dusza
Moskiewska tam raz pierwszy Cesarza nie słusza!
Tam zagrzebane tylu set ciała, imiona:
Dusze gdzie? nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza Ordona.
On będzie Patron szańców! Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia:
Bóg wyrzekł słowo s t a n s i ę, Bóg i z g i ń wyrzecze! —
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona:

Karząc plemię zwycięsców zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemie, jak on swą redutę.

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona,
A u wrót stoi straż pułkownika:
Tam w izdebce Pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze:
Wódz był to wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy! —

Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie:
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć —
Kazał przywieść do izby, do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swój kordelas i pas i ładunki:
Stary żołnierz, on chce, jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze:
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej — a teraz płakali,
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy.
Już przed chatą nie było żołnierza,

Bo już Moskal był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza:
Na pastuszym tapczanie on leży,
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas — dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!
Jaką pierś! — Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica — bohater —
Wódz Powstańców: Emilia Plater!

PIEŚŃ ŻOŁNIERZA.[1]

Ja w tej izbie spać nie mogę
Inną izbę daj sąsiedzie!
Bo stąd okna są na drogę,
Tędy często poczta jedzie;

A gdy w nocy trąbka dzwoni,
Tak mi mocno serce skacze:
Myślę, że trąbią do koni,
I potem aż do dnia płaczę.

Oczy zamknę: to się marzy
Nasze konie, chorągiewki,
Ognie nocne, krzyki straży,
I wiarusów naszych śpiewki.

Ocykam się: i w ocknieniu
Słyszę głos mego kaprala;

[1] Z rękopisu. P. W.

On mię klaszcze po ramieniu:
«Wstawaj! jedźwa na Moskala!»

Wstaję: aż ja w pruskiej ziemi! —
Jak tam lepiej leżeć w błocie,
W chłodzie, głodzie i na słocie,
Ale w Polsce, między swemi.

Jużbym tej nocy nie zasnął,
A czekałbym na kaprala,
Gdyby znowu w ramię klasnął:
«Wstawaj! pójdźwa na Moskala!»

AD
NAPOLIONEM III.
CAESAREM AUGUSTUM
ODE
IN BOMERSUNDUM CAPTUM.

Qualis fugacem quum Amphitryonius
Cacum insequutus, belluae in occiput
Rupes ruens, fumosque et ignes
Guttur in horrisonum retundens:

Auguste Caesar, te auspice, Gallicus
Ursam Bootae victor adordiens,
Spelaea lustrat, caedibus tot
Innumerabilibusque furtis.

Obscena; quo nunc advolant undique
Gentes latronis funeris sospites,

Svecusque, Fennique et Polonus,
Quisque suas sibi res petundo;

Rati tuum illum, romulea manu,
Dirum superbis Caesarem avunculum,
Auguste, jam per te, secundo
Cum imperio miseris reduci.

III.

FARYS.

KASYDA
NA CZEŚĆ EMIRA TADŻ-UL-FECHRA UŁOZONA,
JANOWI KOZŁOW NA PAMIĄTKĘ PRZYPISANA.

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się krysztale;
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piasczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchem morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżej, coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata —
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłąb kurzu wylata.

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawcze białonogi —
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jej łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy,
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha

Owdzie granic pustyni pilnujące głazy
Dziką na Beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

«O szalony! gdzie on goni!
Tam, od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni,
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów:
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują.»

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spojrzałem — aż dumne głazy
Zostały z dala odemnie;
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem;
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinął głowę moją wieńcem.

«Czuję, krakał, zapach trupi,
Jeździec głupi, rumak głupi!

Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi:
Jeźdzcze, koniu, pusta praca,
Kto tu zaszedł, nie powraca!
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują.»

Kracząc lśniącemi szpony, w oczy mi urągał,
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko:
Któż się uląkł? — Sęp uląkł i uciekł wysoko! —
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał,
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił:
Już on wisiał w powietrzu, jako plamka szara,
Wielkości wróbla — motyla — komara,
Potem się całkiem w błękicie roztopił.

Pędź latawcze białonogi —
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie;
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbą za mną świsnął:

«O szalony! gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi;
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnem słowem;
Rosa, nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie.»

Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy! —
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,
Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił:
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup zczerniał i w górach się schował! —

Pędź, latawcze białonogi,
Sepy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy, kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca —
Tu natura, snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy:
Tu żywioły drzemią w ciszy
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie pierwszy! — Śród piasczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy —
Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeździce w bieli i konie straszliwej białości! —
Przybiegam: stoją — wołam: milczą. — To są trupy! —
Starożytna karawana
Wiatrem z piasku wygrzebana! —
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdzców kości;
Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
«Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!»

Ja pędzę — ja nie znam trwogi.
Pędź, latawcze białonogi,
Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
«Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?»
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabią zmącił,
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię. —
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piasczyste ciało,
Gryzę go wściekłemi zęby.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nóg mych długim jak wał miejski trupem!

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno! szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!

Wytężyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko:
Że więcej świata zasięga
Niż jest w kole widnokręga,
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu.
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie! —

1821, Petersburg.

SZANFARY.

KASYDA.

(Z arabskiego.)

Bracia moi, postawcie wielbłądy na nogi!
Dzisiaj Szanfary od was jedzie między wrogi.
Gotowe juki, rzemień do garbów przycisnął:
Dalej w drogę! Noc ciepła i księżyc zabłysnął.

Dalej! — Jeśli przed skwarem na ziemi są cienie:
Dla mężnego przed hańbą znajdzie się schronienie;
I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
Gonić roskosz a zgubie wymykać się umie.

Znajdę ja druhów, których przyjaźń więcej warta:
Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta,
Hyeny, zdobycz kroki pędzącą chromemi —
To moi przyjaciele. Nie masz między niemi
Półgłówka, co mu tajnia w ustach nie doleży,
Co brata błądzącego z szyderstwem odbieży:

U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc gwałtowna
Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.
Nieprzyjaciołom pierwszy ja skaczę do oczu,
A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu.
W dziale łupów łakomstwo chyżością zwycięża:
Ja czynię obyczajem dostatniego męża;
Nikt wielkością umysłu nie zdoła mi sprostać,
A kto czuje swą wyższość, godzien przy niej zostać.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
Których nie przyciągnąłem dobrodziejstw więzami,
I do których nie lgnęło nigdy serce moje.
Dosyć mam towarzystwa, gdy zostało troje:
Serce waleczne, szabla, z której ognie biją,
I łuk żółty wielbłądzią krzywiący się szyją;
Przy którym pas bogaty, suta frędzla pływa —
Majdan gładko ciosany i tęga cięciwa,
Co tak żałośnie jęczy, gdy z niej grot wyleci,
Jako matka wydarte ścigająca dzieci.
Jam nie sługa pragnienia, co się w noc zaczaja,
I odstraszywszy źrebce sam klacze wydaja;
Jam nie tchórz, ni za dziewic ogonem włóczęga,
Co w każdej drobnej sprawie rady ich zasięga.
Nie strusie serce moje; choć strach zakołata,
Nierównym pędem w piersiach jak wróbel nie lata.
Kto mię widział od rana do nocy śród gachów,
Brew malować, włos trefić w kąpieli zapachów?
Czy mię kiedy noc zbłąka, choć piasczysta fala
Tumanami okręci i żwirem zawala,
Lecę na mym wielbłądzie — wrą u nóg ukropy,
Krzemienie iskry sypiąc pryskają z pod stopy.
O głodzie choć najdłuższym, w wielkomyślnej dumie
Nigdy wspomnieć nie raczę — i tak go zatłumię:
Karmię się prochem ziemi, a głód nadaremnie
Pasując się wyznaje, że słabszy odemnie.
Gdybym został w obozie, gdzież więcej napitków,
Więcej jadła niż u mnie do potrzeb i zbytków?

Ale mam duszę gorzką, co się z hańbą kłóci,
I jeśli was nię rzucę, dusza mię porzuci.
Teraz pragnienie skręca wnętrzności w mem łonic,
Jak nić różnie targaną na prządki wrzecionie.

Z rana wybiegam naczczo podobny wilkowi,
Co wygłodniały hasa i wiatr paszczą łowi
I z pustyni w pustynie, w wąwozów rękawy,
Przeciska się włóczęga czatujący strawy;
A gdy na długich czatach darmo się utrudzi,
Wyje — wtórują wyciem towarzysze chudzi.
Jako z łonem niepełnem wschodni księżyc cienki,
Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki.
Zęby dzwonią jak strzały we wróżka prawicy,
Albo jak roje pszczelne, gdy w koło rodzicy
Szumiącą polatują na pagórek rzeszą,
Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszą.
Paszcza ich wychudzona, ponura i gniewna,
Gardziel rozdarta nakształt rozkłótego drewna.
Zawył: i oni wyją, biegąc na pagórki,
Jak płaczące farysa małżonki lub córki.
Umilknął: oni milczą. Wycie mu ulżyło,
I dla nich słyszeć równie wyjącego miło.
Zda się, że spólność głodu wnętrzności uciszy:
Znowu skarży się, znowu skarżących się słyszy;
Umilkł w końcu, umilkła wrzaskliwa gromada.
Lepiej w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nic nie nada.

Jeśli do studni jadę, lecący pułk strusi
Daremnie grzmi skrzydłami — męty spijać musi.
Nie zgonił mej wielbłądki bystry ich wódz stada:
Ja dojeżdżam — spragniona zostaje gromada.
Jużem odjechał — ptastwo runęło na męty,
Wola ich rozciągnione, dziób ku studni zgięty
Jest posłem dobrych wieści; wre ciżba hałasem,
Jak obóz karawany siedzącej popasem.
Znowu śmignęły w górę, znowu w studnię wpadły,
Ścisnęły się nakoniec i zręby obsiadły:

I ryczałtem wypiwszy, rozwinęły loty,
Jak runące z oazy beduinów roty.

Ziemia twarda mi drużka. Nie raz do jej łona
Tuliłem kark mój suchy i chude ramiona,
Których stawy sterczące tak policzyć snadno,
Jak kostki, co z rąk gracza na ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
Toć Szanfary jej służył i wiernie i długo.
Dziś nieszczęście w mą duszę jak w piłkę zagrało,
Boleści podzieliły losem moje ciało.
Każda bieda najpierwej na mój kark się wsuwa;
Kiedy zasypiam, bieda u głów moich czuwa,
I wytrzeszczywszy oczy, patrzy, skąd ugodzić.
Troski koleją febry zwykły do mnie chodzić;
Ale od febry gorzej nie dają pokoju.
Lecą do mnie jak ptaki spragnione do zdroju:
Sto razy je odpędzisz i setnemi chmury
Znowu uderza z boku i z dołu i z góry.

Wiecie, jak w upał boso lecę przez pustynie,
Podobny córce piasku, błyszczącej gadzinie.
Choć miękko wychowany i z przodków bogaty,
Alem syn Cierpliwości — włożyłem jej szaty
Na pierś, w której hyeny przemieszkiwa Śmiałość.
Za obuwie na nogi włożyłem Wytrwałość.
Ne stepach bez namiotu, w skwary bez pokrycia,
Jam wesół i bogaty, bo nie szczędzę życia.
W dniach szczęścia dostatkami nie byłem odęty,
Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty.
Czylim z nadstawnem uchem za plotkami latał?
Czylim na cudzą sławę potwarze wymiatał?

Pamiętacie noc klęski? Tę noc niepogodną,
Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną,
Że Arab grzał się, paląc własny łuk i groty?
Ja wybiegłem na boje śród mroku i słoty;

Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,
Towarzyszami: piorun, okropność i trwoga.
Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
Wróciłem, jakem wyszedł nocą otoczony.
Nazajutrz, gdym spokojnie w Gumaiza leżał,
Mówiono o mnie w stepach, którem w noc przebieżał.
Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada,
Jedna z nich zapytuje, druga odpowiada:
Słyszano, mówią, wczora nocne psów warczenie,
Zdało się, że wilk przebiegł lub hyeny szczenię;
Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął?
Bo pies zawarczał tylko i po chwili usnął;
Może do Diw przechodząc tyle szkody zrobił?
Może człowiek? Nie, człowiek tyluby nie pobił —

Ja w dzień, gdy niebo wrzało ogniami letniemi,
Tak, że żmije od skwaru skakały po ziemi,
W dziurawym płaszczu padłem na żwiry kipiące,
I zdjąwszy turban, głową wyzywałem słońce;
A włos mój brudu pełny, nie znający woni,
Kołtunami przylegał do niemytej skroni.

Łono pustyni co się bez końca rozszerza,
Tak twarde i tak nagie jako grzbiet puklerza,
Nie raz całe bosemi przemierzyłem stopy,
Na klęczkach pnąc się, jak pies, wlazłem im na czoło.
Tam dzikie antylopy biegały w około,
Białonogie i wełną odziane bogatą,
Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą;
I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada,
Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada —
Co mu rogi w tak długie piątrzą się ramiona,
Że wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
Albo niemi do skały przyczepia się szczytu,
I wisi jako ptaszek w otchłani błękitu.

ALMOTENABBI.

(Z arabskiego.)

Pókiż przez głuche piaski i przez dzikie lądy
Mam lecieć, za gwiazdami wypuściwszy wodze?
Gwiazdy nóg nie mające nie ustaną w drodze,
Jak ustają znużeni ludzie i wielbłądy.

Gwiazdy patrzą się wiecznie, bo nie mają powiek
Znużonych bezsennością, jak podróżny człowiek.

Słońce nam poczerniło oblicza i czoła,
Siwym włosom czarności przywrócić nie zdoła.

Czyliż to sędzia niebieski sroższym dla nas będzie,
Niśli ziemscy, litości nie mający sędzie!

Wody mam dość na drogę; kiedy z deszczem płynie,
Zbieram ją i w skórzane zamykam naczynie.

Pędzę z gniewem wielbłądy: nie gniewam się na nie:
Lecz niech czują, że z panem idą na wygnanie.

Wyjeżdżając z Egiptu, do wielbłądów rzekłem:
«Bieżcie i przednie nogi popędźcie tylnemi.»
I opuściwszy Egipt, jak strzała uciekłem,
Przez sąsiedzkie krainy Dżars i Alelemi.

Darmo rumak arabski wyprzedzić mię żąda,
Kark jego leci w poręcz z garbami wielbłąda.

Młody mój orszak zna się dobrze ze strzałami,
Jak guślarz, co je mięsza, gdy lud wróżbą mami.

Ilekroć turban zdejmą, włos czarny i długi
Wije się na ich głowach, jakby turban drugi.

Choć puchem młodocianym okryte ich skronie,
Ręka ich wali jeźdźce i zabiera konie.

Więcej zdobyli łupów, niż mieli nadzieję:
Jednak łup ich głębokiej żądzy nie zaleje.

Ich bitwa, jak u pogan wieczna i zacięta,
A bespieczni pod bronią, jakoby w dzień święta;

Nieme dzidy z ich ręki wypuszczone w pole,
Nauczyły się świstać jak skrzydła sokole.

Nie ustaną wielbłądy chociaż się zapienią,
I depcąc Regl i Ganem, nogi uzielenią.

Bicz mój od cudzej łąki wielbłąda odstraszy,
Bo tylko na gościnnej odpoczniemy paszy.

Dziś Pers i Arab będzie pastwiska nam skąpił,
Bo Abu Szodża Fatik do mogiły zstąpił.

Lud egipski drugiego Fatika nie liczy,
Jego miejsca na świecie nikt nie odziedziczy.

Abu Talib za życia nie miał równych sobie:
Dzisiaj wszyscy umarli — równi jemu w grobie.

Jegom szukał mem okiem, wołał memi usty:
Cóż znalazłem do koła? świat głuchy i pusty.

Tam wróciłem, skąd niegdyś byłem wędrownikiem,
I znowu chcę z piórami odnowić zabawę,
Ale mię pióro czarnym ostrzegło językiem:
«Nie piórem ale mieczem zarabiaj na sławę.

Weźmiesz pióro, gdy rękę zmordujesz żelazem,
Pióro pracuje tylko za miecza roskazem.»

Tak mię pióra uczyły w przyjaznej rozmowie.
Trzeba było posłuchać, z głupstwa się uleczyć:
Nie słuchałem; i teraz nie mogę zaprzeczyć,
Żem sam sobie zaszkodził, że mi braknie w głowie.

Mieczem można się tylko celu życzeń dobić;
Spytaj, czy kto na życie mógł piórem zarobić?

Gdy podróżujesz, obcy lud patrzy na ciebie,
Jak gdybyś żyć przychodził o żebranym chlebie.

Niesprawiediwość ludzkie rozdziela plemiona,
Chociaż wyszliśmy wszyscy z jednej matki łona.

Ha! Dziś inaczej będę gościnności szukać:
Wprawny do miecza, mieczem będę do drzwi stukać.

Niechaj oręż roztrzygnie, kto karku uchyli:
Czy owi, co cierpieli, lub ci, co gnębili.

Oręża z ręku naszych wydrzeć im nie damy,
Dłoń moja nie ma drżączki, a miecz nie ma plamy.

Niechaj wzrok do bolesnych widoków przywyknie —
To, co widzisz na jawie, jak sen prędko zniknie.

Nie skarż się, bo źli ludzie z twojej skargi dźwięku
Cieszą się, jako sępy z konających jęku.

Dobra wiara uciekła i osiadła w księgach;
Darmo szukać jej w ludzkich mowach i przysięgach.

Chwała Bogu wielkiemu! stwórcy mojej duszy!
Z jego łaski i trudy i nieszczęścia znoszę,
I na długiem wygnaniu znajduję roskoszy,
Kiedy inni w najsroższej dręczą się katuszy.

Nad cierpliwością moją dziwiły się losy,
Bo twardsze ciało moje, niżeli ich ciosy.

Śród teraźniejszych ludzi smutne płyną chwile.
Wolałbym żyć przed wieki, a dziś być w mogile.

Czas ojciec, będąc młodym, naszych przodków stwarzał;
A nas nikczemnych spłodził, gdy się już zestarzał.

IV.

ZIMA MIEJSKA.

Przeszły dżdże wiosny, zbiegło skwarne lato,
I przykre miastu jesienne potopy;
Już bruk, ziębiącą obleczony szatą,
Od stalnej Fryzów niekrzesany stopy.

Więzieni słotą w domowej katuszy,
Dziś na swobodne gdy wyjrzym powietrze,
Londyński pojazd turkotem nie głuszy,
Ani nas kręgi zbrojnemi rozetrze.

Witaj narodom miejskim pora błoga!
Już i Niemeńców i sąsiednich Lechów
Tu szuka ciżba, tysiącami mnoga,
Zbiegłych Dryadom i Faunom uśmiechów.

Tu wszystko czerstwi, weseli, zachwyca:
Czy ciągnę tchnienie, co się zimnem czyści,
Czy na niebieskie zmysł podniosę lica,
Czyli się śnieżnej przypatruję kiści.

Jedna z nich pływa w niepewnym żywiolc,
Druga ciężarem sporsza, już osiadła;
Tą wiatr poleciał stwardniałe kryć role,
Albo pobielić Wilii zwierciadła.

Lecz kogo sioło dzisiejsze uwięzi,
Zmuszony widzieć: łyse gór wiszary,
Grunt dziki, knieję nagiemi gałęzi
Niesilną, zimne podźwignąć ciężary:

Taki, gdy smutna ciągnie się minuta,
Wreszcie zmieniony kraj porzuca z żalem,
I dając chętnie Cererę za Pluta,
Pędzi wóz ku nam ciężarny metalem.

Tu go przyjmują gościnnie podwoje,
Rzeźbą i farbą odziany przybytek,
Tutaj rolnicze przepomina znoje
W pieszczonem gronie czarownych Charytek.

Na wsi, zaledwie czarna noc rozrzednie,
Każe wraz Ceres wczesny witać ranek;
Tu, chociaż słońce zajmie nieba średnie,
Pod atłasowych śpię cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblókłszy nankiny,
Modnej młodzieży przywoływam koło;
Strojem poranne zbywamy godziny,
Albo rozmową bawim się wesołą.

Ten, w ślniący kryształ włożywszy oblicze,
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści;
Drugi stambulskie oddycha gorycze,
Lub pije z chińskich ziół ciągnione treści.

A gdy godzina dwunasta nadbieży,
Wraz do śliskiego wstępuję powozu;
Sobol lub rosmak moje barki jeży,
I suto zdobiąc, nie dopuszcza mrozu.

Na sali orszak przywitam wybrany —
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W kolej szlą pełne smaków porcelany,
I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy węgrzyn mocny setnem latem;
Wrą po kryształach koniaki i pącze;
Płeć piękna gasi pragnienie muszkatem,
Co dając rzeźwość, myśli nie zaplącze.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
Dowcipne, czułe wszystkim płyną słowa;
I wdzięk niejeden zarumieni lice,
Niejedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce zniżone zagasło,
Rozsiewa mroki dobroczynna zima;
Boginie dają do rozjazdu hasło —
Zagrzmiały schody i już gości nie ma.

Którzy są z szczęściem poufali ślepem,
Pod twój znak idą, królu Faraonie,
Lub zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
Pędzą po suknach wytoczone słonie.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony,
I szklannem światłem błysną kamienice,
Młodzież, dzień kończąc wesoło spędzony,
Tysiączną sanią szlifuje ulice.

CHÓR STRZELCÓW.

(Podług muzyki z opery Webera: Wolny strzelec.)

Śród opok i jarów,
I plonów i głogów,
Przy dźwięku ogarów,
I rusznic i rogów;

Na koniu, co w cwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot:

Dalejże, dalejże z tropu w trop, dalejże, i t. p.
Z tropu w trop, hop! hop!

Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy.

Czy palnie na smugi,
Czy w górę do chmur:
Tam krwi płyną strugi,
Stąd leci grad piór.

Dalejże, dalejże, i t. p.

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Hej! lasy i niwy
Ozwijcie się w chór! —
Zatrąbił myśliwy,
Król lasów i gór.

Dalejże, dalejże, i t. p.

Czyj dowcip gnał rojem
Lataczów do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
Sztandary ich skrzydeł?

Hej wiatry, w burzliwy
Ozwijcie się chór! —
Wystrzelił myśliwy,
Król wiatrów i chmur.

Dalejże, dalejże, i t. p.

D O ......

Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą,
Co na twem czole połyska;
Gdybym się zmienił w tę szatę mglistą,
Co piersi twoje przyciska:

Drżenia bym serca twojego badał,
Czy nie odpowie mojemu;
Z twojem się łonem wznosił i spadał,
Posłuszny tchnieniu twojemu.

Gdybym się zmienił w wietrzyk skrzydlaty,
Co dysze w pogodnem niebie:
W drodze bym mijał najświeższe kwiaty,
A pieścił różę i ciebie.

Może nakoniec Bóg litościwy
Pracę by moję ocenił;
Może nakoniec byłbym szczęśliwy,
I w twe się serce zamienił. —

ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! Skąd ta noc i słota?
Była jutrznia i cisza, gdym był bliski brzegu:
Dziś, jakie fale, jaki wicher miota!
Nie można płynąć, cofnąć nie podobna biegu!
A więc porzucić korab' żywota? —

Szczęśliwy, czyjej przewodniczą łodzi
Cnota i Piękność, niebieskie siostrzyce!
Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi:
Ta puhar daje, ta odsłania lice,
Tamtej widok oświeca, a tej nektar słodzi.

Szczęśliwy, kto i w samej ulubował Cnocie!
Dopłynie, kędy sławy góruje opoka,
Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie:
Ale jeżeli Piękność nie zwróci nań oka,
Dopłynie we krwi i w pocie. —

A komu Piękność całe pokaże oblicze,
Potem śród drogi zdradliwa odlata,
Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze:
Ach, jakaż później czczość w obszarach świata!
Już nie dość krzepią i Cnoty słodycze. —

Zamiast Piękności niebieskiego wschodu,
Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród cienia;
Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
Zamiast jej rączek, chwytać za ręce z kamienia,
I długo śród takiego nie ustać zawodu? —

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani —
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie?
Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
Nie zdoła z niej wylecieć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie: tak na mnie świat woła —
Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi:
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzucona, krąży po niezmiernej głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła? —

Któż to krzyknął od lądu? jakie słychać żale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale:
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale? —

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga!
Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska —
Nie słychać z dala wichru, co tu liny targa,
Grom co tu bije, dla was tylko błyska! —

I razem ze mną, pod strzałami gromu,
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.
Ja płynę dalej — wy idźcie do domu.

17 kwietnia 1821.

THE MEETING OF THE WATERS [1].

Czyż jest na całym świecie tak miłe ustronie,
Jak dolina, gdzie jasne zlewają się zdroje? —
Dolino, będą w serca błyszczeć kwiaty twoje,
Póki w duszy ostatni promyk życia płonie!

Nie dla tego o tobie tak wspominać miło,
Że cię szmaragd odziewa i kryształ oblewa,
Że masz żywe strumienie, urodziwe drzewa:
Ach, w tobie coś droższego, coś milszego było!

Tu byli ukochani przyjaciele moi;
Oni rozlali lubość w lubej okolicy,
Oni czuli, że piękność, która ziemię stroi,
Milszą jest, kiedy w miłej odbita źrenicy.

Daj Boże, abym wrócił w to ciche ustronie,
I obok mych przyjaciół spoczął na twem łonie,
Kiedy przeminą wszystkie życia niepogody
I zmięszają się serca, jako twoje wody. —

D O M.....

Precz z moich oczu! — posłucham od razu;
Precz z mego serca! — i serce posłucha;
Prez z mej pamięci! — Nie — tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha!

[1] Z album p. Moszyńskiego. P. W.

Jak cień, tem dłuższy gdy padnie z daleka,
Tem szerzej koło żałobne roztoczy:
Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tem grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie;
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę —
Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samę piosenkę.

Czy grając w szachy, gdy pierwszemi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia —
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział —
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie, on tam ze mną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje,
Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje. —

A jeśli autor, po zawiłej probie
Parę miłośną naostatek złączył;
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył. —

Wtem błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleszczy grusza,
I puszczyk z jękiem w okno załopoce —
Pomyślisz sobie: że to moja dusza.

Tak w każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie:
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.
1822.

NOWY ROK.

(MYŚL Z JEAN PAULA.)

Skonał rok stary; z jego popiołów wykwita
Fenix nowy; już skrzydła roztacza na niebie,
Świat go cały nadzieją i życzeniem wita:
Czegoż w tym nowym roku żądać mam dla siebie?

Może chwilek wesołych? — Znam te błyskawice.
Kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
Czekamy wniebowzięcia: aż nasze źrenice
Grubszą niżeli pierwej zasępią się nocą.

Może kochania? — Znam tę gorączkę młodości!
W platońskie wznosi sfery, przed rajskie obrazy:
Aż silnych i wesołych strąci w ból i mdłości,
Z siódmego nieba w stepy, między zimne głazy.

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam.
Marzyłem boską różę; bliski jej zerwania
Zbudziłem się: sen zniknął, róży nie posiadam.
Kolce w piersiach zostały. — Nie żądam kochania!

Może przyjaźni? — Któżby nie pragnął przyjaźni!
Z bogiń, które na ziemi młodość umie tworzyć,
Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni
Najpierwszą zwykła rodzić i ostatnią morzyć.

O! przyjaciele, jakże jesteście szczęśliwi!
Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc społem,
Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem. —

Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chłośnie,
Lub je żądło owadów jadowitych drażni:
Jakże każda gałąska dręczy się nieznośnie
Za siebie i za drugie! — Nie żądam przyjaźni!

I czegóż więc w tym nowym roku będę żądał?
Samotnego ustronia, dębowej pościeli,
Skądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli?

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
Chciałbym we śnie, z którego nic mię nie obudzi,
Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata:
Kochać świat, sprzyjać światu — z daleka od ludzi.
Wilno 1823.

SEN.

(Z BYRONA.)

Dwoiste życie nasze: sen ma świat udzielny
Śród otchłani nazwanych bytem i nicestwem,
Nazwanych, lecz nieznanych. — Sen ma świat udzielny,
Z rzetelną władzą rządząc nad marnem królestwem.
Mary i życie biorą i postaci noszą;
Rozczulają i dręczą i łechcą roskoszą;
Troski dzienne ciężarem przywalają sennym;
I ujmują ciężaru naszym pracom dziennym.
One się do istoty naszej mogą wcielić,
Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić.

Jak posłańce wieczności, błysną i przepadną;
Jako przeszłości duchy, często przyszłość zgadną;
Jak wróżące Sybille, ciemność do ich ręki
Składa tyrańskie berło roskoszy i męki.
One, gdy zechcą, na to przerobić nas mogą,
Czem nie byliśmy nigdy; one rażą trwogą,
Wywołując cień z grobów. Więc mary są cienie? —
Przeszłość nie jestże cieniem! Czemże jest marzenie?
Robotą duszy! Dusza może wyprowadzić
Z nicestwa światy nowe i na nich osadzić
Doskonalsze, od ziemskich kształty promieniste;
Wlać im duch trwalszy, niśli w ciała rzeczywiste.

Opowiem wam, co mi się dawniej przywidziało:
Może we śnie — bo kiedy sen uwięzi ciało,
Duch wolny może obiedz rozległą krainę,
I długie pasmo życia w jednę zwić godzinę. —
Zdało mi się, żem widział młodych ludzi dwoje:
Chłopca i dziewkę. Stali na wzgórku oboje;
A wzgórek był zielony, pochyłej urody,
Niby jaki przylądek — tylko zamiast wody,
W koło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianożęci, i gdzieniegdzie z dala
Porozrzucane chaty. Nad niemi dym bury
Ulotne snuł kolumny. Sam wierzchołek góry
Zdobiły zasadzone drzew i kwiatów wieńce:
Nie przypadek je sadził, lecz umyślne ręce.
Chłopiec i dziewka patrzą: ta na okolice,
Piękne jak ona sama, a ten na dziewicę.
W nim rozwija się młodość, w niej piękność rozwita —
W obojgu młodość, ale młodość rozmaïta.
Jak wśród niebios jaśnieje wdzięczna twarz księżyca,
Tak w pośród lat niewieścich jaśniała dziewica.
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
Serce jego; wzrok jego w całym kręgu świata
Jedyne tylko widział swej kochanki lice.
I widział ją przed sobą, w niej utkwił źrenice —

I nie mógł ich oderwać; nie było w nim ducha,
Ona była mu duchem; głosu jej, drżąc, słucha,
Ona była mu głosem; on swych oczu nie ma,
Ona była mu okiem: bo ścigał oczyma
Jej spojrzenia i wszystkie oglądał predmioty,
W świetle od niej odbitem. On nie ma istoty,
Nie ma życia: w nią przelał całe życie swoje,
W niej jako w oceanie wszystkie myśli zdroje
Pogrążył; za jej słówkiem, za ręki dotknieniem,
Krew w nim ścina się lodem, albo wre płomieniem;
Twarz jego na przemiany goreje i bladnie,
Serce boli i bolów przyczyny nie zgadnie.
Lecz ona słodkich jego cierpień nie podziela,
Wzdycha, lecz nie do niego: ma w nim przyjaciela,
Ma brata — i nic więcej. On przestawał na tem,
Że ją zwał przyjaciołką, że go zwała bratem;
Teraz nie chce przestawać. Skądże ta różnica?
Czas rozwiązał zagadkę: kochała dziewica,
I kochała innego; i właśnie w tej chwili,
Gdy oboje na górze stali i patrzyli,
Ona wzrokiem kochanka dalekiego nęci,
Żeby leciał tak bystro, jak lecą jej chęci.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widać gmach starożytny. Stoi u przedsienia
Rumak z siodłem do drogi. W gotyckiej kaplicy
U ołtarza był chłopiec — nie widać dziewicy.
Chłopiec blady, samotny, przechodził się, myślił;
Usiadł, dobywa pióro, kilka słów nakreślił,
I z pochyloną głową na ręku oparty,
Wstał znowu, wstrząsnął głową i pisane karty
Na części rozerwawszy, w drżącej ciśnie dłoni —
I z gniewem w zębach szarpie, ale łez nie roni.
Uspokił się nieco, zapalone lica
Ostygły i zmartwiały. Wtęm weszła dziewica:
Z obojętnym uśmiechem spotyka młodziana.
Choć dostrzegła, że była od niego kochana,

Że jej cień jako całun padł na jego duszę,
I zgadła, że on dla niej ma cierpieć katusze
Długie, straszne: nie zgadła, że miał cierpieć wiecznie.
Chłopiec wziął ją za rękę; obojętnie, grzecznie,
Spojrzał — i w tej mu chwili na źwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła. I znowu czoło zaszło mrokiem —
Znowu puścił jej rękę i powolnym krokiem
Oddalił się w milczeniu; nie żegnał dziewicy;
Rozstąli się z uśmiechem. On wyszedł z kaplicy;
Raz jeszcze na ojczyste gmachy okiem rzucił,
Dosiadł konia, pojechał — i więcej nie wrócił.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Chłopiec dorosł młodzieńca. W obce pokolenia,
W dalekie zbłądził kraje i pod wschodniem słońcem
Poił duszę płomieniem. On wiecznym był gońcem
Na lądzie i na morzu. Do koła postaci
Podobne jemu krążą — przyjaciół czy braci? —
Tu mnóstwo scen okropnych snuło się od razu,
I ów chłopiec był cząstką każdego obrazu.
Ujrzałem go nakoniec. Dziwacznie przebrany,
Gdzieś daleko, w obozie wschodniej karawany,
Śród połamanych kolumn, na gruzie pomników,
Co przeżyły imiona swoich budowników —
Leżał — a przy nim wielbłąd żuł resztę obroku.
Kilka arabskich koni pasło się u stoku.
Podróżni, których znużył upał całodzienny,
Drzemali w cieniu ruin; on jeden bezsenny,
Na rękę wsparty, oczy na północ obrócił,
Z twarzą natchnienia pełną — rozmyślał, czy nócił? —
Niebo czyste, tak wszystkie chmury zdjęło z siebie,
Że ledwie co nie widać Pana Boga w niebie.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Dziewica z oblubieńcem pierścionki zamienia.
On ją pojął, mnogiemi osypał dostatki;
Widzę ją w cudzym domu, słyszę imię matki:
Otaczają małżonkę wesołe plemiona,
Nadobne syny, córki. — — Ale za cóż ona
Jakąś tęsknoty chmurą wdzięczną postać mroczy,
Zdradzając tajną boleść, co jej serce toczy?
Źrenico, niegdyś jasne, zamgliła powłoka;
Niby jakaś łza dawna przystygła do oka:
Skądże to? Wszak z kochankiem złączona na wieki;
Wszakże ten, co ją kochał, jest od niej daleki?
Nie będzie myśli czystych złem życzeniem brudzić,
Nie będzie jej westchnieniem nieumyślnem nudzić.
Czego smutna? Wszak darmo wzajemności żądał,
Darmo w jej oczach zimnych — nadziei wyglądał.
Wzgardzony, nie jest pewnie sprawcą jej katuszy;
Jest widmem dla pamięci, nie sępem dla duszy.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec znowu szuka domowego cienia.
Widzę go przed ołtarzem; z nim oblubienica
Młoda, wdzięcznej postawy, nadobnego lica:
Lecz nie była to owa najpierwsza kochanka,
Owa gwiazda błogiego młodych lat poranka;
Musiał o niej zapomnieć. Stoi zadumany,
Rozpatruje kościelne sklepienia i ściany:
Zadrżał i w tej mu chwili na źwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła — i znowu czoło zaszło mrokiem.
Pogląda na swą żonę, ale błędnym wzrokiem,
Powtarza jej przysięgi, których nie rozumie;
Z kim jest, gdzie jest, zapomniał w sprzecznych myśli tłumie.
Widzi tylko swą młodość, stary gmach, kaplicę,
I listek poszarpany — i swoją dziewicę.
Te przypomnienia kirem śmiertelnej zasłony
Oddzieliły na wieki młodzieńca od żony —
Po cóż w takiej godzinie takie przypomnienia?

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widzę dawną dziewicę. — Jakie w niej odmiany!
Ona w suchotach duszy. Jej rozum, znękany,
Opuścił ster myślenia; wzrok jej dziko łata,
Blask, co świeci w jej oku, nie jest z tego świata;
Ona jest jak królowa nad państwami marzeń.
Jej myśl stała się węzłem sprzecznych wyobrażeń;
Kształty, niedotykalne zmysłom śmiertelnika
I niewidzialne, ona dostrzega, dotyka,
I w poufałej wzywa do siebie rozmowie —
Taką chorobę wiek nasz obłąkaniem zowie.
Lecz nieraz mędrzec głębiej w obłąkanie wpada,
Jeśli melancholii smutny dar pasiada:
Bo wzrok melancholijny jak teleskop sięga,
Dalekie widma zbliża, rozłączone sprzęga,
I urok życia chłodną rozdarłszy uwagą,
Rozkrywa rzeczywistość wystygłą i nagą.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widzę z odzienia.
Kształty przy nim krążące znikły z senną marą —
Lub wojnę z nim toczyły. On stał się ofiarą
Nienawiści swych wrogów; zewsząd zguby bliski
Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.
Stoły jego zgryzota jak harpia plami,
On jak dawny Mitrydat karmił się jadami;
A trucizna nie była szkodliwą dla niego,
I służyła mu naksztalt chleba powszedniego:
Co innym śmiercią było, tem życie przewlekał.
Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie uciekał;
Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata,
Wdał się w rozmowę z wielkim geniuszem świata.
Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem,
Tajemna księga nocy stanęła otworem;
Jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi,
Duchy go otoczyły — i został się z nimi.

Nie ma więcej zmian w scenach mojego widzenia.

Zbudziłem się. — Jak dziwne wyroków zrządzenia!
Mój sen, dla dwojga ludzi smutny koniec znaczy:
Jednemu w obłąkaniu, obojgu w rozpaczy. —
Wilno, 1824 roku.

EUTHANAZJA.

(NAŚLADOWANIE Z BYRONA.)

Prędzej czy później, gdy mię czas owionie
Snem nieprzespanym, w którym się nic nie śni:
O niepamięci! wtenczas chłodne skronie
Weź pod twą ochronę do grobowej cieśni.

Nie proszę ręki druha na dziedzica,
Aby łzy otrzeć, lub grabić zostałość,
Lub żeby z włosem popsutnym dziewica
Żałować przyszła, lub udawać żałość.

Po co najęte płaczków korowody?
Samemu wstąpić pozwólcie do dołu!
Nie chciałbym chmurzyć niczyjej pogody,
I brać wesela kochanemu czołu.

Przecież miłości! jeśli w twojej sile
Poskromić jęki, marnym żalom sprostać:
Ty sama osłodź rozstania się chwilę —
Mnie, co odchodzę i tej, co ma zostać!

Maryllo moja! kiedy przeszłe bole
Z ostatnim puszczę w niepamięć oddechem,
Niech boski pokój widzę na twem czole:
A w bolach na cię patrzyłbym z uśmiechem.

Lecz oko martwe zrazi wzrok niebieski,
Przed bladem licem zbledną twe powaby:
Uronisz łeskę — człowiek dla tej łeski
Jak żyjąc słabiał, tak i umrze słaby.

A więc bez żalu i pobożnej prośby,
Samotny będę w ostatniej godzinie:
Dla nieszczęśliwych śmierć mało ma groźby,
Ból jeszcze zmniejszy i prędko przeminie.

Lecz umrzeć, odejść: kędy tyle gości
Rusza przedemną, kędy reszta ruszy —
Przepadać w nicość, jak pierwej z nicości
Wszedłem dla życia, żyłem dla katuszy? —

Gdyś wiek przeminął, wstrzymaj się u ścieku,
Ostatniem powróć na przeszłość obliczem;
Zlicz dni szczęśliwe: a wyznasz człowieku,
Czemkolwiek byłeś, że lepiej być niczem.

CIEMNOŚĆ.

(Z BYRONA.)

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny! —
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny;
A gwiazdy, w nieskończoność biorąc lot niezwykły,
Zbłąkawszy się, olśnąwszy, uciekły i znikły —
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było;
I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło —
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga:
O światło. —

Wszystko płonie. I wspaniałe gmachy
Panów koronowanych i wieśniacze dachy,
Domy świata całego jako lampy płoną,
Miasto nakształt ogromnych stosów zapalono;
I tłum ludzi do koła pożaru się tłoczy:
Chcą jeszcze raz ostatni zajrzeć sobie w oczy.
O, jak zazdrości godni ci, co się przywlekli
Przed oblicze ognistej Etny albo Hekli!
Jak błogosławią wieczne wulkanów pożogi,
Wszyscy, z jednem uczuciem nadziei i trwogi!
Rzucono ogień w puszcze: i doczesnym blaskiem
Puszcze gorą, ciemnieją i walą się z trzaskiem;
Zaryły się w popiele drzew strawione czoła,
I zagasły na wieki.

Znowu noc do koła;
I twarz ludzi z rozpaczy nie po ludzku błyska,
Odbijając ostatnie promyki ogniska.
Jedni padli i oczy schowawszy, łzy leją,
Drudzy na chudych łokciach podparłszy, się śmieją.
Ten biega tu i owdzie, suche żagwie zbiera,
Karmi niknącą iskrę i w niebo poziera;
Nieporuszone widzi czarnych chmur zasłony,
Jak kir nad nieboszczykiem światem rozciągniony.
Znowu pada i bluźni i w piasku się ryje,
Targa włos, zgrzyta zębem, ręce gryzie — wyje.
Dzikie ptastwo strwożone, skrzydły obwisłemi
Mocując się daremnie, czołga się po ziemi.
Drapieżny zwierz, co w lasach i pustyniach żyje,
Jak swojski ciągnie w miasto. Gadziny i żmije
Pełzną ludziom pod nogi i żądłami syczą;
Nie kaleczą — i głodnym stają się zdobyczą.

Wojna nieco ustała, wybuchnęła znowu.
Głodni, żelazem sobie szukali obłowu,
I z zakrawionym kąskiem na stronie usiedli,
I w milczeniu rozpaczy samotni go jedli.

Nie została miłości iskra w ludzkiem łonie,
Jedna była na całej ziemi myśl — o zgonie
Niechybnym i niesławnym. Ząb głodu pożerał
Wszystkich i narodami świat cały wymierał.
Nikt nie myślał o kości i o ciał pogrzebie;
Chudy karmił się, jedząc chudszego od siebie,
Psy darły swoich panów. Jeden pies zachował
Wierność panu swojemu: żywego pilnował
Teraz się umarłego wyżywieniem trudzi.
Znosi zdechłe lub słabe bydło, ptastwo, ludzi;
Sam nie dotknął pokarmu, z żałośnemi jęki
Lizał twarz pana swego, głaskał się u ręki,
Co go już nie głaskała — i zdechł. I nareszcie
Wszyscy ludzie wymarli.

W pewnem ludnem mieście
Zostali dwaj ostatni — dwaj nieprzyjaciele.
Zeszli się przy ołtarzu, gdzie jeszcze w popiele
Dogasało ognisko i kościelne sprzęty
Święte, czekały w stosach na ogień nieświęty.
Jak szkielety chudemi rękami pospołu
Grzebiąc, dostali kilka iskierek z popiołu,
I pracując piersiami słabemi, ognisko
Wydobyli na chwilę — jak na pośmiewisko.
Zwrócili oczy, gdzie się płomień żywiej pali:
Ujrzeli się, wzdrygnęli, padli i skonali
Zgrozą widoku swego zabili się społem;
Nie poznali się z twarzy, lecz głód nad ich czołem
Wyrył: nieprzyjaciele.

Świat cały był stepem;
Z ludnego i pięknego, milczącym i ślepym.
Bez pór roku, bez roślin, bez ludzi, bez czucia:
Trup, chaos powolnego żywiołów zepsucia.
Stoją gładkie rzek, jezior, oceanu tonie,
I nic się nie poruszy w ich milczącem łonie.
Okręty bez żeglarzów pośród morza tkwiły:
Maszty ich kawałami padały i gniły,

I tonęły na wieki w spokojnych wód bryle.
Burze usnęły, fale spoczęły w mogile,
Bo nie było księżyca, coby je podźwignął.
Wicher w stęchłem powietrzu uwiązł i zastygnął.
Znikły chmury; to dawne ciemności narzędzie
Stało się niepotrzebnem: ciemność była wszędzie.

MAJTEK.

«Słuchaj o majtku, nieszczęsny zbiegu,
Jakżeś nas prędko porzucił!
Od ojczystego odbijasz brzegu,
Ażebyś więcej nie wrócił?

Przecież wkopana w ziemię źrenica
Ku nam strzeliła wesoło;
Uśmiech, gość rzadki, zstąpił na lica,
Dawna pogoda na czoło. —

Każdy się krząta, pragnie odwlekać —
Tyś jeden skoczył z pośpiechem —
Możnaż z ojczyzny śpiesznie uciekać,
Uciekać — jeszcze z uśmiechem?»

Słuchaj — rzekł majtek — jam od lat wielu
Widział i kraj ten i ludzi:
A com ja widział, nigdy wesela
W sercu rodaka nie wzbudzi.

Widziałem mężną cnotę w ucisku,
W głowach pospólstwa ciemnotę,
W głowach rozumnych widoki zysku,
A w sercu niewiast pustotę.

Ja, co mię własne szczęście nie nęci,
Com uniesioną z powodzi
Resztę mych myśli, uczuć i chęci
Ojczystej powierzył łodzi:

Mógłżem skosztować powabów życia,
Gdy, skoro wicher zawieje,
W ostatniej łódce bliskiej rozbicia,
Ostatniem widział nadzieje?

1822.

POŻEGNANIE CHILD HAROLDA.

(Z BYRONA.)

I.

Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!
Już w mglistej nikniesz powłoce;
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce.
Dalej za słońcem, gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany!
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany!

II.

Za kilka godzin różane zorze
Promieńmi błyśnie jasnemi:
Zobaczę niebo, zobaczę morze,
Lecz nie zobaczę mej ziemi — —
Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje;
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

III.

Pójdź tu mój paziu, paziu mój mały!
Co znaczą te łzy i żale?
Czyli cię wichrów zdąsanych szały,
Czy morskie lękają fale?
Rozwesel oko, rozjaśnij czoło!
W dobrym okręcie, w pogodę,
Lotny nasz sokoł nie tak wesoło,
Jak my polecim przez wodę.

IV.

«Niech fala szumi, niech wicher głuszy,
Nie dbam: pogoda czy słota —
Te łzy wyciska z głębi mej duszy
Nie bojaźń, ale tęsknota.
Bo tam mój stary ojciec zostanie,
Tam matka zostanie droga,
Tam wszyscy moi, prócz ciebie, panie,
Prócz ciebie tylko i Boga.

V.

«Ojciec spokojnie mię błogosławił,
Nie płacze, ani narzeka;
Lecz matka, którąm we łzach zostawił,
Z jakąż tęsknotą nas czeka?» —
Dość, dość mój paziu! te łzy dziecinne
Źrenicy twojej przystoją:
Gdybym miał równie serce niewinne,
Widziałbyś we łzach i moją. —

VI.

Pójdź tu, mój giermku, giermku mój młody!
Skąd ci ta bladość na twarzy?
Czy rozhukanej lękasz się wody,
Czyli francuskich korsarzy?

«O nie, Haroldzie! Nie dbam o życie,
Nie dbam o losów igrzyska:
Alem zostawił żonę i dziecię —
To mi łzy gorzkie wyciska.

VII.

«Żona na końcu twojego sioła
W zielonej mieszka dąbrowie;
Gdy dziecię z płaczem ojca zawoła:
Cóż mu nieszczęsna odpowie?» —
Dość, dość, mój giermku! Słuszna ta żałość;
Ja, choć jej ganić nie mogę,
Mniejszą mam czułość, czy większą stałość:
Śmiejąc się, puszczam się w drogę!

VIII.

Kochanki, żony płacz mię nie wzruszy —
Bo nim zabłyśnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy
Nowy mąż, nowy kochanek. —
Nie żal mi ziemi, gdziem młodość strawił,
Nie straszne podróże wodne;
Żałuję tylko, żem nie zostawił
Nic, coby było łez godne.

IX.

Teraz po świecie błądzę szerokim,
I pędzę życie tułacze.
Czegoż mam płakać, za kim i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze? —
Pies chyba tylko zawyje z rana,
Nim obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana
Wściekłą powita paszczęką.

X.

Już okręt piersią kraje głębinę,
I żagle na wiatr rozwinął;
Nie dbam, ku jakim brzegom popłynę,
Bylebym nazad nie płynął.
Gdy mię twe jasne znudzą kryształy,
Ogromna, modra płaszczyzno,
Powitam lasy, pustynie, skały —
Bądź zdrowa, luba ojczyzno!

DZIEWICA NA ROZDROŻU.

IMPROWIZACYA DO H... S...

DZIEWICA.

Dwie drogi mam przed sobą: nie wiem kędy wiodą.
Wychodzę na świat z domu, od ojca, od matki,
Szukać i zbierać życia doczesnego kwiatki,
Co mi będą pociechą, rodzicom nagrodą:
Lecz jakie są, gdzie rosną, nic widzieć nie mogę.
O mój dobry pielgrzymie, opowiedz mi drogę!

PIELGRZYM.

Nie błądzi, kto się pytać ma ufność, pokorę.
Bo błądząc szukać drogi, śmiertelnych udziałem.
Na usłudze podróżnych już się zestarzałem;
Wielu pyta, lecz późno: ty się pytasz w porę.

Dwa są życia ogrody i dwie do nich drogi:
Jedna idzie od Wschodu, druga od Zachodu.
Ta jest strona skalista i przybrana w głogi,
Do tego, kędy wiedzie, podobna ogrodu.

Twarda ziemia w ogrodzie i twarde są płody,
Przedniejszą tam ozdobą są dęby i skały;
Długo rośnie tam owoc, nim będzie dojrzały,
Na wysokich zbyt drzewach rwać trzeba jagody.
Nie ma tam chwil i godzin, same tylko lata;
Nie ma pór, jedna wiecznie panuje pogoda;
Nie ma farb, wszystko kryje jednofarbna szata;
Nie ma nowych zwyczajów, wiecznie jedna moda;
Nie znają tam co różność, rozmaitość, mnóstwo:
Mieszkańcy tam, jednacy, jako jedno Bóstwo,
I myśl ich zawsze jedna, jako jedna wieczność,
Łączy przeszłość, obecność i przyszłą konieczność.
Po cierniach i opokach spoczywa wygoda,
Wpośród trudów błogiego używając stanu;
Ich użycia, żywota godłem — zdrowa woda,
A ich duszy obrazem — cisza oceanu.
Ten ogród jest ogrodem Cnoty czarownicy —
Nie powabny — i groźni siedzą tam strażnicy:
Lecz kto ufa, że Boga, że siebie nie zdradzi,
Lew mu bramę otworzy, słoń go zaprowadzi.

Na prawo widzisz drugą. Druga idzie ścieżka,
I gładka i pochyła i kwiatami zdobna:
Do tego, kędy wiedzie, ogrodu podobna.
Tam druga czarownica, zwodna Roskosz mieszka.
Widziałaś w piękne lato, przy zachodzie słońca,
Na powietrzu krąg drobnych, niezliczonych muszek?
To jest obraz mieszkańców, ich myśli, serduszek,
Ich żywota w ogrodzie i obraz ich końca!
Murawa tam posłaniem: lecz wpośród uśpienia
Nie odświeża mieszkańców balsam ukrzepienia.
Różnofarbnym czarują tam kwiaty kolorem:
Lecz które kwitły z rana, więdnieją wieczorem;
Tam mieszkańcy tak różni, jak różne owadki;
Ich myśli tak odmienne, jak odmienne kwiatki.
Używają ogrodu, niesyci ogrodu;
Piją miód i wypiwszy niekontenci z miodu.

Nie myślą tam co było, co będzie za długo,
Chcą samą, coraz inną obecnością władać;
Jedną czaszą słodycze, gorycz piją drugą,
Śmieją się, aby płakać, latają by spadać.
Ich jestestwo jest lekkie, jak puszek i cienie,
Tron ich chwały dźwigają Zefirów ramiona,
Obrazem ich żywota jest senne marzenie —
Ich szczęścia błyskawica oślepi i kona.
Kto, w próżnym między niebem i ziemią zakresie,
Chciałby mieć rydwan szczęścia ciągnion przez powiewy,
Niech tu idzie z ufnością i nadzieją Ewy:
Wąż mu bramę otworzy, motyl go zaniesie.

Masz ogrody i drogi, masz otwarte pole:
Lecz wybór chciej, dziewico, na twej złożyć szali;
Bo żeby woleć jedno, na to Bóg dał wolę,
A rozum, byśmy z woli przed Nim sprawę zdali.

ZALOTY.[1]

Póki córeczki opiewałem wdzięki
Mamunia słucha, stryj czyta;
Lecz skorom westchnął do serca i ręki:
Ja słucham, cały dom pyta.

Mama o wioskach i o duszach gada,
Pan stryj o rangach, dochodach,
A pokojowa służącego bada
O mych w kochaniu przygodach.

Mamo, stryjaszku! Jednę tylko duszę
I na Parnasie mam włości;
Dochodów piórem dorabiać się muszę,
A ranga — u potomności! —

[1] Z Album p. Moszyńskiego. P. W.

Czym dawniej kochał? Ciekawość jałowa!
Czy kochać mogę? Dowiodę:
Porzuć lokaja, kotko pokojowa,
Pójdź w wieczór na mą gospodę. —

DWA SŁOWA.[1]

Gdy sam na sam z tobą siedzę,
Nie mam czasu o nic pytać:
Patrzę w oczy, ustek śledzę;
Chciałbym wszystkie myśli czytać
Wprzód, nim w oczętach zaświecą;
Chciałbym wszystkie słówka chwytać
Wprzód, nim od ustek odlecą.

I nie potrzeba tłómaczyć,
Co chcę słyszeć, co zobaczyć:
Rzecz nie trudna i nie nowa
Moja luba: te dwa słowa:
«Kocham ciebie! kocham ciebie!»

Innego nie chcę widoku,
Kiedy z tobą będę w niebie;
Tylko niech te dwa wyrazy,
Napisane w twojem oku,
Odbite po tysiąc razy,
Widzę wszędzie w koło siebie.

I innej muzyki w niebie
Nie chcę od wschodu jutrzenki
Słyszeć od zachodu słońca:

[1] Z Album p. Moszyńskiego. P. W.

«Kocham ciebie! kocham ciebie!»
Dość mi tej jednej piosenki
Z warjacjami bez końca. —

DO D... D...

Moja pieszczotka gdy w wesołej chwili,
Pocznie szczebiotać i kwilić, i gruchać:
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać.

Lecz mowy żywość, gdy oczki zapali,
I pocznie mocniej jagody różować,
Perłowe ząbki błysną śród korali:
Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować.

Odessa, 1825.

ROZMOWA.

Kochanko moja! na co nam rozmowa?
Czemu, chcąc z tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną?

Kocham, ach! kocham, po sto razy wołam:
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego nie zdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać;
I, jak w letargu, nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremnem użyciem:
Teraz je z twemi chcę stopić ustami,
I chcę rozmawiać tylko serca biciem —
I westchnieniami — i całowaniami.
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata i po końcu świata!

Odessa, 1825.

SEN.

Chociaż zmuszona będziesz mię porzucić:
Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet, nie chciej mię zasmucić,
I rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutnem jutrem, niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wtenczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę; powieki
Zamykać nie chcę, gdy mię śmierć zamroczy:
Niechaj roskosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
I zstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twem łonie białem,
Znowu mię ramie kochane otoczy;
Zbudzę się, myśląc, że chwilkę drzemałem,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Odessa, 1825.

DO D... D...

ELEGJA.

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojej duszy —
Na dzień cały? — Nie, takiej nie życzę katuszy!
Gdyby godzinę tylko — szczęśliwe stworzenie,
Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie!
Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza:
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza[1],
To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca.
Ty, albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem,
Albo lękasz się nudy z żałosnym natrętem. —

Ty mię nie znasz! Namiętność zaćmiła me lice:
Ale spojrzyj w głąb duszy! Tam znajdziesz skarbnice
Czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci,
I wyobraźni, która ziemską dolę złoci.
Dziś ich nie możesz dojrzeć. — Wszak i na dnie fali,
Kiedy ją wicher zmięsza, kiedy piorun pali:

1 W Album p. Piotra Moszyńskiego:

Raz mię zapał w otchłaniach piekielnych zanurza,
Znowu ku niebu wznosi — a zawsze daremnie!
Lecz w duszy być nie możesz. — Patrz głęboko we mnie.
Usta mię źle tłumaczą, zawodzą źrenice:
Czas tylko w sercu mojem odkryłby skarbnice
Czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci,
I wyobraźni, i t. p. P. W.

Czyż widać krasne konchy, perłowe jagody? —
Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody!
O, gdybym zyskał pewność, że jestem kochany
Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
Którą mię straszy nieraz doświadczana zdrada! [1]
O, niech będę szczęśliwym, będziesz ze mnie rada! —

Jak duch, przez dzielnej wróżki zaklęty wyrazy,
Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać roskazy!
A jeżeliby czasem duma rozdąsana
Kazała poddanemu udać humor pana:
Śmiej się luba! Choć duma przyznać się zabrania:
Sługą będę. Cóż miałbym do rozkazywania?
Abyś raczyła chwilę dłużej ze mną bawić,
Podług mej woli suknię i włosy poprawić;
Abyś drobnych zatrudnień odbiegła domowych,
Słuchać starych oświadczeń i piosneczek nowych:
Wszystko byś niewielkiemi dokazała trudy,
Godziną cierpliwości, pół godziną nudy,
Albo chwilką udania. Kiedy będę mniemać,
Że słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drzemać;
Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,
Ja chcę w nich dobro czytać, na lepsze tłumaczyć.
W twe ręce powierzywszy moją przyszłą dolę,
Na twem złożyłbym łonie mój rozum i wolę.
Pamiątki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie.
Wtenczas by dziki zapęd, co mną dotąd miota,
Wypadł z duszy jak z łodzi miotanej niecnota,
Który burze sprowadza i bałwany pieni.
Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni;
Chociażby los groźnemi falami powiewał,
Jak syrena, bym nad nie wzbijał się i śpiewał.

[1] W Album p. Moszyńskiego:

Którą mię smutna przeszłość grozi bez ustanku:
Anioła byś w piekielnym widziała kochanku! —

GODZINA.

ELEGJA.

Przed godziną źrenicy nie zdjąwszy z zegarów,
Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy:
I słuchem natężonym pośród miejskich gwarów,
Rozpoznawałaś z dala łoskot mojej stopy.
Dzień miał jedną godzinę, w której — wspomnieć miło,
Że nie u mnie jednego serce żywiej biło!
Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
Jak Ixion w koło niej krążyłem z mą duszą.
Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem;
Gdy minęła, dzień cały o niej rozmyślałem,
Bawiąc się z mnóstwem drobnych lecz miłych pamiątek:
Jakie było przyjęcie? rozmowy początek?
Jak się czasem przykremu dało wymknąć słowu —
Po niem niezgoda, po niej milsza zgoda znowu.
Smuciłem się: ty z oczu powody wyśledzasz;
Przychodziłem z prośbami: ty jedne uprzedzasz,
Drugich wymówić nie dasz: na jutro odkładam,
I znowu jutro nie śmiem; czasem gniewny wpadam:
Rozbrajasz mię uśmiechem! a gdym w gniewie przebrał,
Gniewałaś się, jam znowu przebaczenia żebrał —
Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
Pieszczoty i nadzieje i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane trzyma! —
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknera, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
Patrzy i schnie i oczu nie może nasycić —
Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością łączył,
Od niej milsze dni zaczął i na niej zakończył,
Ona, w zbrukanem pasmie mojego żywota
Zabłysnęła mi jedna, jedna nitka złota;
Jam się do niej jak prządek skrzydlaty uczepił,
Snuł ją w koło i w niej się na wieki zasklepił.

Słońce wbiegło w tę samą nieba okolicę,
Godzina uderzyła. — Gdzież są jej źrenice?
Gdzie myśli? — Ona teraz w czułej pieści dłoni
Cudzą rękę, niewierna! i do cudzej skroni
Usta ciśnie i łza jej na cudzą twarz spada,
I serce biciom cudzej piersi odpowiada:
Dziś możeby tej nowej pary nie rozdzielił
Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!

Samotności wzgardzona! O tejże godzinie
Niegdyś cię porzuciłem: wracam w twą świątynię,
Jak do piastunki dziecię ze łzami powróci,
Obłąkane na chwilę ponętą łakoci. —
Daruj. Ponęta szczęścia zawsze nazbyt silna;
Zbyt trudno się przekonać, że zawsze omylna.
Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię;
Wszak jest nadzieja w czasie i milczącej dumie.[1]

Lecz nadzieje dalekie! Dziś, pogoda nęci
W polach, w niebie, na falach szukać niepamięci.
Czas przechadzki: dla czegóż me odejście zwlekam?
Za każdem drzwi ruszeniem jej posłańca czekam! —
Niekiedy rąk jej zdradne charaktery czytam,
Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.
Raz porwałem się z miejsca, stanąłem u progu:
Ach! była to godzina dawna — moc nałogu. —

Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
Mimo dotkliwą boleść i długą żałobę,

[1] W Album p. Moszyńskiego czytamy jeszcze następne wiersze:

Patrz — weszła na mem oknie wędrowna roślina:
Lecz nie ma liściom miejsca. Już gałąski zgina;
Kiedy te zwiędną, ziarno zmuszone umierać —
Tak i ja nie mam przed kim mych skarg rozpościerać:
Gorzki ten owoc cierpień, kiedy w ustach skona,
Pewnie i w sercu potem zamorzy nasiona. P. W.

Zabłąkawszy się w myślach — niestety, błąd luby!
Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swej zguby —
Bieży: i tak się mocno złudzeniem omami,
Że już progi przestąpił — i zalał się łzami. —

W DZIEŃ ODJAZDU.[1]

Cóż — choć miasto porzucę, choćby z oczu znikli
Mieszkańce, którzy do mnie sercem nie przywykli?
Mój wyjazd nie okryje nikogo żałobą,
I ja nie chcę łzy jednej zostawić za sobą!

Skąd mi tu żal niewczesny staje u podwojów?
Raz jeszcze do samotnych wracam się pokojów,
Jakbym czegoś zapomniał; wzrok mój obłąkany
Jeszcze wraca się żegnać przyjacielskie ściany!
One śród tylu ranków, śród nocy tak wielu,
Z cierpliwością słuchały mych westchnień bez celu.
Przy tem oknie częstokroć wieczór przesiedziałem,
Wyglądając, nie wiedząc czego wyglądałem — —

Ustałem, gdy mię znudziła tożsamość widoków,
Budząc echa łoskotem mych samotnych kroków.
Znowu odedrzwi ku drzwiom błądzę bez zamiaru,
Liczę takt w takt żelazne stąpanie zegaru;
Lub szeptania robaczka, co gdzieś utajony
Zdaje się, że kołace do drzwi swojej żony.

Bliski ranek. Czekają woźnice natręty.
Jedźmy! Jak niewitany przestąpiłem progi,
Tak odjeżdżam: nikt dobrej nie życzy mi drogi. —

[1] Z Album p. Moszyńskiego. P. W.

Pamiętam, kiedy młody, z lubej okolicy,
Od przyjaciół kochanych, od mojej dziewicy,
Jechałem i patrzyłem i pomiędzy drzewy
Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy:
Płakałem. — Miło płakać, póki wiek namiętny.
Stokroć boleśniej płacze starzec obojętny!
Młodemu lekko umrzeć. On, nie znając świata,
Myśli żyć w sercu żony, przyjaciela, brata:
Ale starzec, co życia zdjął szatę obłudy,
Niewierzący w nadludzkie ani w ludzkie cudy,
Zna, że całkiem na wieki zamyka się w grobie. —
Jak po błoniu, kwitnącem kolorami tęczy,
Przelatuje samotnie mdły kwiatek pajęczy,
Zdmuchniony gdzieś daleko z uwiędłej gałęzi;
Chociaż napotka różę i w majowej więzi
Pragnąc odpocząć, martwą zaplącze się dłonią.
Znowu go wichry zedrą i dalej pogonią,
Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
Nosiłem przez te ludne place i ulice,
I roje pięknych niewiast spotykałem codzień;
Chcą mię poznać — dla czego? — Że jestem przychodzień!
Dziatwa pędzi motyla, póki z dala świeci;
Złowi — spojrzy i ciska: niechaj dalej leci!
Lećmy! Szczęściem, zostały pióra do powrotu:
Lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu! —

Odessa, 29. października 1825.

Z PETRARKI.

Chiare, fresche e dolci aque.

O jasne, słodkie, o przeczyste wody,
W których zwierciadlanej fali
Laura kąpała swą anielską postać!
Drzewko wysmukłej urody,

I ty będziesz święte u mnie!
W twym cieniu lubiła zostać
Nie raz sama zmyślona,
I prześliczne jej ramiona
Spoczęły nieraz na twej majowej kolumnie.

O błonia, których brylantowa rosa
Nie raz obwiana jej lekkiemi szaty;
I wy trawki i wy kwiaty,
Ozdobo piersi i włosa:
Ostatni raz dajcie ucha
Ostatnim żalom cierpiącego ducha!
Jeśli tak chciały wyroki
I niebios okrutna wola,
Ażebym cierpiał i płakał do zgonu:
Niech przynajmniej moje zwłoki
Pośród zielonego pola
Zasną, gdy duch uleci ku bramom Sionu!

Z niewielką umrę trwogą,
Choć umieram w lat mych kwiecie,
Jeśli nadzieję uniosę błogą
Że duch mój pośród tej błoni,
W małej i cichej ustroni
Zostawi łódkę, w której błąkał się po świecie.

Może którego poranka,
Piękna, okrutna kochanka
Zabłądzi w znane doliny,
Gdzieśmy szczęśliwe pędzili godziny,
I swe jasne, wdzięczne oko
Zwróci, szukając mię wszędzie.
Ujrzy wzgórek pod opoką:
Ach! to mój grobowiec będzie;
I może wtenczas iskierka miłości,
Albo litość ją poruszy,
Westchnie, a to westchnienie za progiem wieczności
Odezwie się w mojej duszy.

I nad mogiłą stanie zamyślona:
Oczy jej zaćmi łez mglista zasłona.

Tu niegdyś wietrzyk pośród majowego lasku
(Chwila ta dla mnie będzie wiekopomna)
Kwiaty na pierś jej trząsał klejnotów potokiem;
A ona w takim blasku
Siedziała skromna,
Jak bóstwo różnofarbnym zakryta obłokiem.
Jedne kwiaty na kolana,
Drugie pomiędzy warkoczów pierścienie
Sypiąc się, błyszczą jak girlanda tkana
W perły i drogie kamienie.
Ten kwiatek do nóg jej pada,
Ten odleciał i smutny chce się w strumień rzucić,
Inny błądzi w powietrzu i zdaje się nócić:
«Tu miłość włada!»

Natenczas, pełen świętego przestrachu,
Myślałem, że z niebios gmachu
Zstępującego dostrzegam anioła.
Ten wzrok, ten uśmiech, ten majestat czoła,
Ten głos wdzięczny ileż razy
Uniosły duszę w tak roskoszne błędy,
Że otoczony rajskiemi obrazy
Pytałem sam siebie:
Jak tu przybyłem? i kędy?
Bo mnie się zdało, że już byłem w niebie! —

Ostafiewo 1827.

NA POKÓJ GRECKI.

(W domu księżny Zeneidy Wołkońskiej, w Moskwie.)

Skróś ciemnoty wiedziony jej gwiaździstym wzrokiem,
Goniąc białą jej szatę po szybach hebanu,
Wszedłem. — Czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielka mumia, zwłoki Herkulanu?

Nie! Tu cały świat dawny, na Piękności słowo,
Odbudował się, chociaż nie ożył na nowo!
Z mozaiki świat cały: każdy jego szczątek
Jest odłamem dzieł sztuki, wielkości pamiątek.

Tu kamienia podróżna nie śmie trącić noga:
Z kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz Boga.
Gniewny, zda się swojego pohańbienia wstydzić,
Depczących dawną wiarę ludzi nienawidzić,
I napowrót w marmuru ukrywa się łonie,
Skąd przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.

W koło pędzlem i dłutem strojne sarkofagi,
Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
Dziś, same na proch lecąc, potrzebują trumny.
Gdzieniegdzie ścięta głowa nieznanej kolumny,
Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
Wala się, jako trupia czaszka na mogile.

Tam, od starości ledwie na nogach się trzyma
Obelisk, ten przychodzień z kraju Mizraima.
Widzisz na nim te rysy dziwacznej osnowy,
Te pisma zatraconej dawnych sfinxów mowy?
To hieroglif! — Pod jego zasłoną leżąca
Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca:
Jak mumia, zamknięta w balsamiczne łoże,
Cała, nieskazitelna — zmartwychwstać nie może!

Nie tylko sztuki twoje, znikomy człowieku,
Lecz martwą pierś żywiołów przetrawia ząb wieku!
Patrz na ów kamień drogi, zaniedbany w piasku:
Niegdyś był cudnej barwy, słonecznego blasku;
Ileż wieków przeświecił: aż wylawszy z łona
Całą jasność, zamierzchał jak gwiazda zgaszona. —

Śród gruzów jeden cały stał obraz Saturna.
Tam jedna ryta z bronzu koryncklego urna;

W łonie jej zwolna płomyk przebudza się blady!
Czy to zmartwychwstającej geniusz Hellady? —
Wzniósł głowę, błysnął okiem i na skrzydłach tęczy
Podlatując, raz jeszcze promieniami wieńczy
Skronie bogów, niebianek, drzemiących w około,
I nimfy przewodniczki najpiękniejsze czoło.

O, niech te wszystkie bóstwa nad pamiątek ziemią
Wiecznie snem marmurowym i bronzowym drzemią:
Ciebie tylko niech, piękna przewodniczko, zbudzi
Najmniejszy z bogów dotąd uczczony od ludzi! —
Swawolniku! Uciekłszy z Afrodyty łona,
Drzemiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona.
Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje — [1]
O piękna Nimfo! bądźmy nabożni oboje! —
Niestety! Przewodniczka chłodnym rzutem oka,
Jak laską Merkurego, uderza z wysoka,
I duszę mą, lecącą w roskoszy kraj błogi,
Wypędza bez litości za nadziei progi!

Cóż opowiem, wrócony do śmiertelnych kraju? —
Ach, opowiem, że byłem w pół drogi do raju,
Z duszą napoły tęskną napoły radosną!
Słyszałem już tę rajską rozmowę wpół-głośną,
I widziałem to rajskie pół światła, pół cienia,
I doznałem — niestety, tylko pół zbawienia! —

Moskwa, 1827.

[1] W Album p. Piotra Moszyńskiego;
Twe bóstwo bez ofiary opuścić nie można,
O przewodniczko piękna, bądź równie pobożna! —
Rzekłem — i chcący bóstwa zająć się usługą.
Ku niemu jednę rękę wyciągnąłem, drugą —
Niestety! Przewodniczka i. t. d.

PRZYPOMNIENIE.

(Z PUSZKINA.)

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,
I noc, wpółprzejrzystą szatę
Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę:

Wtenczas mi samotnemu rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką;
Wtenczas mię ukąszenia serdecznej gadziny
Bezczynnemu srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i Przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedemną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i z przestrachem czytam własne dzieje;
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żałuję i gorzkie łzy leję —
Lecz smutnych rysów nie zmywam.

PODRÓŻNY.

(Z GOETHEGO.)

PODRÓŻNY.

Niewiasto młoda, bądź błogosławiona!
I niech Pan Bóg błogosławi
Niemowlątku, co się bawi
U twego łona!

Pozwól mi na tym zrębie opoki
Złożyć z siebie
Podróżne tłómoki,
I odpocząć blisko ciebie.

NIEWIASTA.

Gościu! jakie was rzemiosło
W takim lata upale
Po tej piasczystej skale
Aż w nasze strony zaniosło?
Może wy kupcem jesteście,
I z towarami nabranemi w mieście
Zwiedzacie sielan mieszkania?
Gościu! ty z mego śmiejesz się pytania?

PODRÓŻNY.

Towarów nie mam. Idę w bliskie miasto.
Już wieczór dzienną ochłodził pogodę.
Pokaż mi, śliczna niewiasto,
Krynicę, skąd pijesz wodę.

NIEWIASTA.

Tam kędy skały wyżyna,
Idź dalej — a ta drożyna
Wiedzie do świetlicy,
Gdzie mieszkamy,
Do krynicy
Skąd wodę mamy.

PODRÓŻNY.

Widzę przemyślnej ręki ludzkiej ślady
Pośród zarośli cienia:
Bo nie mogła skał związać w tak porządne składy
Rozrzutna dłoń przyrodzenia.

NIEWIASTA.

Dalej, wyżej —

PODRÓŻNY.

Mchu powłoka
Okryła sklepienia łuki;
Poznaję ciebie, twórczy duchu sztuki:
Twą pieczęć nosi opoka.

NIEWIASTA.

Dalej, pielgrzymie —

PODRÓŻNY.

Tu depczę napisy —
Daremnie czytać! zatarły się rysy,
Któremi twórca tej arcy-sztuki
Chciał swą pobożność wsławić pomiędzy prawnuki.

NIEWIASTA.

Pielgrzymie! ciebie zadziwia
To na kamieniach rosnące ziele?
Tam wyżej, gdzie się droga zakrzywia,
Jest przy mej chacie kamieni wiele.

PODRÓŻNY.

Wyżej?

NIEWIASTA.

Zaraz na lewo,
Gdzie śród krzaków wyższe drzewo —
Tu.

PODRÓŻNY.

O Gracje! o Muzy!

NIEWIASTA.

Widzisz naszą gospodę?

PODRÓŻNY.

Świątyni gruzy!

NIEWIASTA.

Niżej na boku,
Słyszysz szum potoku?
Stamtąd czerpiemy wodę.

PODRÓŻNY.

Dotąd w całej życia sile
Roztaczasz skrzydła na twej mogile,
O geniuszu dzielny!
Chociaż twoje arcydzieło
W około ciebie runęło,
Tyś nieśmiertelny!

NIEWIASTA.

Zaczekaj, zaraz z gospody
Przyniosę kubek do wody.

PODRÓŻNY.

Powiewna bluszczu szata
Boskie kształty oplata.

Ze stosu gruzów, jakby z rozłamanej trumny,
Jeszcze ku niebu dążycie społem
Dwie bliźnie kolumny.
Tam siostra wasza sama stoi między groby:
Posępny mech nad waszem wywinął się czołem.
Patrzycie z uroczystej wyrazem żałoby
Na szanowne postaci
Waszych sióstr i waszych braci:
Zwalone pod nogi,
Wbite do ziemi
Między ciernie, między głogi!
Wysmukła trawa powiewa nad niemi.

O, niewdzięczne przyrodzenie!
W takiejże u ciebie cenie
Arcydzieł twych arcydzieło?
Nieczule łamiesz własne świątynie,
I siejesz na ich ruinie
Głogi!

NIEWIASTA.

Jak moje dziecię usnęło!
Gościu, czy zechcesz u nas w komorze
Odpocząć, czy tu na dworze?
Jak miły chłodek! Biegę do strumyka;
Weź tyczasem na ręce mojego chłopczyka.
Śpij, me złoto! śpij, mój synku!

PODRÓŻNY.

Słodki dziecka spoczynku!
Święta Niewinność i święte Zdrowie
Kołyszą z lekka jego wezgłowie.
O, chłopczyku poczęty
Na świętej przeszłości grobie,
Niechaj Przeszłości duch święty
Spocznie na tobie!
Kogo duch jej okryje
Skrzydły czarownemi,
Ten z boskiem czuciem na ziemi
Każdego dnia użyje.

O, ziarko łube,
Wschodź i wypływaj
Na wiosny chlubę,
I towarzyszów głowy twym majem okrywaj!
A kiedy się kwiat okruszy,
Niech jak z rodzajnego drzewa
Pełny owoc wypłynie z głębi twojej duszy,
I przed oczyma słońca dojrzewa.

NIEWIASTA.

Oby życzenie twe spełniły nieba!
Jeszcze śpi mój maleńki?
Do wody na zakąskę nie mam nic prócz chleba.

PODRÓŻNY.

Dzięki i za to, dzięki!
Jak tu w koło mnie na całym świecie
Zieloność i kwiecie!

NIEWIASTA.

Mąż mój wkrótce powraca
Do chaty! w polu skończyła się praca:
Mój gościu, zostań do wieczora w chacie;
Wieczerzaj z nami,
Wieśniakami.

PODRÓŻNY.

Więc tu mieszkacie?

NIEWIASTA.

Tam na gruzach tej wielkiej połamanej bramy
Chatka nie daleka;
Ojciec nieboszczyk z gruzu wymurował,
I nam darował;
Tam mieszkamy.
Wydał mię za mąż za dobrego człeka,
I umarł na naszych ręku. —
A, moja duszko, już spałeś do woli!
Patrz, jak wesół, jak swawoli!
A, ty błazeńku!

PODRÓŻNY.

O, ty Naturo, wiecznie płodna matko!
Wszyscy żyjący równie sobie mili:

Chcesz, aby wszyscy żyli i użyli!
Wszystkich zarówno uposażasz — chatką.
Jaskółka górne osiada pałace,
Do gzymsów gniazdo przyczepia,
Nie wie, jakie dłuta prace
Zasklepia.
Gąsienica przędziwem obwinęła kwiatki,
I w nich na zimię tuli swoje dziatki.
A ty człowieku,
Między wspaniałe wyłomy
Przeszłego wieku
Nikczemne domy
Stawisz sobie:
Używasz życia na grobie!
Bywaj mi zdrowa szczęśliwa niewiasto!

NIEWIASTA.

Koniecznie chcecie iść w miasto?

PODRÓŻNY.

Niech łaska Boga
Ciebie i dziecię w zdrowiu i szczęściu zachowa.
Bądź zdrowa.

NIEWIASTA.

Szczęśliwa droga.

PODRÓŻNY.

Tą ścieżką z prawej strony,
Jeśli się nie mylę,
Trafię do miasta?

NIEWIASTA.

Tak jest, do Werony.

PODRÓŻNY.

Jak stąd daleko:

NIEWIASTA.

Dwie mile.

PODRÓŻNY.

Bądź zdrowa.
Przyrodzenie! Wzywam twej opieki
Na przeszłości mogile,

Zbłąkany pielgrzym daleki!
Ty przed północy powiewem
Prowadź mię w ciche ustronie,
W południe okryj mi skronie
Laurowem drzewem.
A gdy z dziennych trudów końcem
Wrócę na spoczynek
Do mej chatki, zachodniem ozłoconej słońcem,
Niechaj mię powita
Taka piękna kobieta,
I taki na ręku synek!

MORLACH W WENECJI.

(Z SERBSKIEGO.)

Gdym ostatniego cekina postradał,
I gdy mię chytra zdradziła niewiasta,
Chodziłem smutny, a Włoch mi powiadał:
«Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta.
Piękne dziewczęta znajdziem w jego murach,
I grosza więcej niż kamieni w górach.

Żołnierze w złocie i w jedwabiu chodzą,
I dobrze piją i dobrze się bawią!
Nakarmią ciebie, napoją, nagrodzą,
I bogatego do domu wyprawią.
Wtenczas twa kurtka srebrnym haftem błyśnie,
Na sebrnym sznurku twój kindżał zawiśnie.

Gdy wejdziesz do wsi, kędy się obrócisz,
Do okien będą cisnąć się kobiety,
A gdy przed oknem staniesz i zanucisz,
Będą ci sypać do czapki bukiety.
Pójdźmy, Dymitry, do okrętu wsiędziem,
Pojedziem w miasto i bogaci będziem.»

Wierzyłem głupi, rzuciłem ojczyznę,
I góral wszedłem w sen okręt z kamienia.
Tu czuję w chlebie powszednim truciznę,
W powietrzu darmo szukam odetchnienia,
Ni wolnej myśli, ni wolnego ruchu,
Przykuty, zdycham jak pies na łańcuchu.

Kiedy dziewczętom rozwodzę me żale,
Dziewczęta szydzą z mojej obcej mowy:
Tu nawet moi rodacy górale
Przyjęli język i obyczaj nowy.
Jestem jak drzewo przesadzone w lecie,
Słońce je spali, a wicher rozmiecie.

Miło na górach spotkać znajomego!
Wszystko to byli przyjaciele starzy;
Witaj, wołali, synu Aleksego!
Tu nie spotykam żadnej znanej twarzy.
Jestem jak mrówka wychowana w lesie,
Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie.

DO ....

(NA ALPACH W SPLUGEN.)

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać sie nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoją widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj, w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody;

I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie:
Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady;
Lub może się nowemi miłostkami bawisz,
Lub o naszych miłostkach śmiejąca się prawisz!
Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią Pani!
Że cię roskosz usypia i wesołość budzi,
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróżne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie;
I przeszłaby twa nóżka wodą niedotknięta,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta! —
Spoczynek by nas czekał pod góralską chatą;
Tam, zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła, zbudziła się na mojem ramieniu! —
1829.

D O H.....
WEZWANIE DO NEAPOLU.
(NAŚLADOWANIE Z GOETHEGO.)

Znasz-li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa;
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?

Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi?
Znasz-li ten kraj? —
Ach, tam, o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty ze mną była!

Znasz-li ten gmach,
Gdzie wiele stoi podwoi,
Gdzie kolumn rząd
I tłum posągów stoi?
A wszystkie mnie
Witają twarzą białą:
Pielgrzymie nasz,
Ach, co się z tobą stało?
Znasz-li ten kraj? —
Ach, tam, o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty ze mną była!

Znasz-li ten brzeg,
Gdzie po skalistych górach
Strudzony muł
Swej drogi szuka w chmurach?
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał
W kaskadach grzmią potoki?
Znasz-li ten kraj! —
Ach, tu, o moja miła!
Tu byłby raj,
Gdybyś ty ze mną była!

Neapol, 1829.

DO MEGO CICERONE W RZYMIE[1].

(DO PANNY HENRJETY ANKWICZOWNY.)

Mój Cicerone! Oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię
Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie —
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliwa fala; może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy —

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojej, śród włoskiej krainy,
Za cały napis to imię wykreślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny!

Czy drżącą ręką, po długiem dumaniu,
Rył go powoli, jak nagrobek w skale?
Czy go, odchodząc, uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu? —

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twem świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet w serca z głazu:
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu —
Ach — ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma! —

Rzym, 1830.

[1] Z rękopisu. P. W.

«GDY TU MÓJ TRUP I T. D.»[1]

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagląda i głośno zagada,
Dusza wówczas daleka, ach daleka!
Błąka się i narzeka, ach narzeka!

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
I liczne mam serca mego rodzeństwo:
Piękniejszy kraj, niż ten co w oczach stoi,
Rodzina milsza, niż całe pokrewieństwo. —

Tam wpośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami —
Tam leżę śród bujnej i wonnej trawy,
Tam pędzę za wróblami, muszlami.

Tam widzę, jak z ganku biała stąpa,
Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
I pośród zbóż jak w toni wód się kąpa,
I ku nam z gór jak jutrzenka świeci. —

«TE ROZKWITŁE ŚWIEŻO DRZEWA I T D.»

Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią;
Wody szepczą, słowik śpiewa,
I koniki cicho dzwonią.

Czemuż zadumany stoję
I wiosną się nie weselę?

[1] Wszystkie następne wiersze są z rękopisu. P. W.

Bo sieroce serce moje:
Z kimże wiosnę tę podzielę!

Przed mym domem, w pomrok szary,
Stają muzycy tułacze:
Słyszę śpiew i dźwięk gitary,
Odmykam okno i płaczę.

Zakochani to minstrele,
Pod oknem kochanki nucą:
Mnie nie bawią, ale smucą:
Z kim się muzyką podzielę?

Tylem uczuł, cierpiał tyle,
Lecz nie powrócę do domu:
Opowiadać nie mam komu —
Zamknę powieść na mogile.

Założywszy ręce, siadam,
Na samotną patrząc świecę;
Czasem piosnkę w myśli składam,
Czasem pióro smutne chwycę.

Piękne myśli, piękne słowa,
Czuję wiele, piszę wiele;
Ale dusza moja wdowa:
Z kimże piosnki te podzielę?

Rodzę myśli, rodzę słowa:
I czemuż się nie weselę!
Bo dusza moja jak wdowa,
Widzi tylko sierót wiele.

Mija wiosna, mija zima,
Mija pogoda i słota:
Nie przeminie żal pielgrzyma,
Be on wdowiec i sierota!

DO SAMOTNOŚCI.

Samotności! do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż roskoszą padam w jasno-czyste chłody
Twych niezgłębionych kryształów!

Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami!
Igram z niemi jak z falami,
Aż ostygły, znużony, złożę moje zwłoki
Choć na chwilę w sen głęboki.

Tyś mój żywioł: te jasnych wód szyby
Słodzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem.
I za cóż znowu muszę, nakształt ptaka-ryby,
Wyrywać się w powietrze, słońca szukać okiem? —

I bez oddechu w górze, bez ciepła na dole,
Równie jestem wygnańcem — w oboim żywiole! —

«POLAŁY SIĘ ME ŁZY, I T. D.»

Polały się łzy me czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek klęski;
Polały się łzy me czyste, rzęsiste! —

«KOCHANEK DUCHÓW, I T. D.»

Kochanek duchów, ileż was spotkałem,
Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało,
Ileż to rączek tonąc uściskałem:
A serce nigdy z sercem nie gadało!
Wydałem wiele serca, jak ze skrzyni
Młody rozrzutnik; lecz dłużnicy moi
Nic nie oddali. Któż dzisiaj obwini,
Że się rozrzutnik postrzegł, że się boi
Zwierzać w niepewne i nieznane ręce?
Żegnam was, żegnam, nadobne dziewice;
Żegnam was, żegnam, o duchy młodzieńcze!
Rozrzutnik młody, resztę skarbcu schwycę,
W ziemię zakopię — nie czas reszty tracić —
Już czuję starość: mam żebrać w potrzebie?
Znalazłem tego, co zdoła zapłacić
Rzetelnie, z lichwą, i na czas — On w niebie! —

«NAD WODĄ WIELKĄ, I T. D.»

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne.

Na wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne.

Nad wodą wielką i czystą
Błysnęło wzdłuż i grom ryknął!
I woda tonią przejrzystą
Odbiła światło — głos zniknął.
A woda, jak dawniej czysta,
Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę do koła
I wszystko wiernie odbijam!
I dumne opoki czoła
I błyskawice pomijam.

Skałom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błykawicom grzmieć i ginąć:
Mnie płynąć, płynąć — i płynąć! —

Lausanne, 1838.

OBJAŚNIENIA.

BALLADY.

Str. 14. Świtezianka.

Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się Undiny czyli nimfy wodne, które gmin nazywa Świteziankami.

Str. 32. To lubię.

Ta ballada jest tłumaczeniem wiejskiej pieśni: (jakkolwiek zawiera opinje fałszywe i z nauką o czyszcu niezgodne, nie śmieliśmy nic odmienić, aby tem wyraźniej zachować charakter gminny i dać poznać zabobonne mniemania ludu naszego. Najbłędniejsze zaś jest zakończenie tej pieśni, przez śpiewanie Anioł Pański).[1]

Str. 42 w. 33. Kołdyczewa nurty sinie.

Nazwisko jeziora.

Str. 68. Ucieczka.

Ta powieść znajoma jest ludom wszystkich krajów chrześciańskich. Poeci rozmaicie ją przerabiali; Bürger ułożył z niej sławną swoję Lenorę. Nie znając piosnki gminnej niemieckiej, nie można wiedzieć, o ile Bürger rzecz i styl odmienił. Niniejszą balladę ułożyłem podług piosnki, którą niegdyś słyszałem w Litwie śpiewaną po polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ledwie kilka zostało mi się w pamięci, i te służyły mi za wzór stylu.

[1] Ustęp objęty (......) znajduje się w nocie do wydania wileńskiego roku 1822.

Str. 69. w. 6. **Ma kwiat paproć i car ziele.**[1]

Zioła używane do gusłów w Litwie.

Str. 70. w. 19. **Dom mój na górze Mendoga.**

Góra Mendoga pod Nowogródkiem obrócona na smętarz; stąd w tamtych okolicach Litwy: «pójść na Mendogową górę» znaczy umrzeć.

Str. 73. w. 8. **A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.**

Ksiądz po staremu zamiast: książe.

Str. 76. w. 10. **Odsłonił — cały dwór klasnął.**

Wyrażenie europejskie. W duchu wschodnim należałoby powiedzieć: cały dwór włożył do ust otwartych milczenia palec podziwu.

SONETY.

Str. 101. w. 10. **Alcejski chwytam bardon i strojem Ursyna.**

Bardon, czyli lutnia alcejska, tak nazwana od sławnego liryka greckiego Alceusza, który urodzony w Mitylenie, żył około roku 604 przed Chrystusem. — Ursyn, przydomek Juliana Niemcewicza.

Str. 101. w. 13. **Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.**

Leta, rzeka zapomnienia w Elizium, z której piły dusze zmarłych, aby zapomnieć doznanych na ziemi cierpień; a kiedy po kilku wiekach w inne wracały ciała, znowu z niej pić miały, aby wyluzować z pamięci tajemnice tamtego świata (Mytologiczne).

SONETY KRYMSKIE.

W rękopisach, a mianowicie w Albumie p. Piotra Moszyńskiego, znajdują się różne, drobne warjanty — a właściwiej pierwsze rzuty — Sonetów Krymskich. Ogłaszamy z nich dwie najgłówniejsze (do I i XVI), oraz sonet p. t. «Jastrząb» przez autora zupełnie wypuszczony ze zbioru krymskich obrazów.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE (do str. 107.).

Okrążyły mię stepy nakształt oceanu;
Pocztowa łódź nurtami zielonemi brodzi;

[1] Te objaśnienia do ballady Ucieczka, znajdują się tylko w wydaniu poznańskiem, roku 1832.

Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Widać gdzieniegdzie kraśne ostrowy burzanu.

Noc mię zaszła w obszarach niezmiernego łanu.
Patrzę w niebo: gwiazd szukam, przewodniczek łodzi —
Tam zdala błyszczy obłok, jakaś gwiazda wschodzi —
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu;

W głuchem milczeniu nocy słychać lot powolny
Dzikich gęsiorów, drżących przebudzić sokoła;
Słychać co swej kochance szepce konik polny,

I gdzie wąż śliską piersią dotyka się zioła.
Jak lubo drzemać, patrzyć i słuchać do koła,
W pół senny, w pół na jawie, czuć i marzyć zdolny! —

XVI.

KYKYNEIS (do str. 117.).

PIELGRZYM.

Siność błyszczy pomiędzy wąwozów roztwory —

MIRŻA.

To jest morze.

PIELGRZYM.

Po wodzie krążą śnieżne plamy —

MIRŻA.

To obłoki, na które z wierzchu poglądamy.

PIELGRZYM.

A owe mchy na brzegu? —

MIRŻA.

Mchy? — Powiedz: jawory!

PIELGRZYM.

Gruz nam ścieżkę zawalił —

MIRŻA.

Tu stały futory.
Burza je w głąb' strąciła; jeszcze sterczą z jamy
Końce drzew zasypanych, meczetów odłamy,
A wkoło nich latają — myślisz, że komary? —

To są orły! — Lecz stójmy — otchłanie pod nogą! —
Odjedźmy. Ja wnet skoczę w całym konia pędzie;
Ty z ukróconym cuglem, z gotową ostrogą —

Gdy zniknę z oczu, patrzaj tam, na skał krawędzie!
Jeżeli błyśnie pióro: to mój zawój będzie;
Jeśli nie — już ludziom nie jechać tą drogą. —

JASTRZĄB'.

Biedny jastrząb', śród niebios porwała go chmura.
W obcy zaniosła żywioł i dalekie strony;
Nocną przesiąkły rosą, wichrami znużony,
Śród ludzi na tym maszcie roztoczył swe pióra.

Nie bój się! żadna na cię nie czatuje ręka;
Bespiecznyś, jakbyś siedział na leśnej gałęzi:
On jest gościem, Giovanno! — kto gościa uwięzi,
Jeżeli jest na morzu, niech się burzy lęka!

Wspomnij na moje, wspomnij na swe własne dzieje! —
I tyś na życia morzu widziała straszydła,
I mnie wicher odpędził, z tobą zlałem skrzydła:

Po cóż te słowa miłe, te zdradne nadzieje?
Sama w niebespieczeństwie — drugim stawisz sidła? —

Str. 107. w. 4. Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Na Ukrainie i Pobereżu nazywają burzanami wielkie krzaki ziela, które w czasie lata kwiatem okryte, nadają przyjemną rozmaitość płaszczyznom.

Str. 110. w. 3. Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęli te mury.

Diwy, podług starożytnej mitologji Persów, złośliwe geniusze, które niegdyś panowały na ziemi, potem wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata za górą Kaf.

Str. 110. w. 5. Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu! —

Wierzchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

Str. 110. w. 6. Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury.

Chylat, suknia honorowa, którą Sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

Str. 110. w. 15. To Czartyrdah!

Najwyższa w pasmie gór Krymskich na brzegu południo-

wym; daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiej chmury sinawego koloru.

Str. 111. Bagczysaraj.

W dolinie otoczonej ze wszech stron górami, leży miasto Bagczysaraj, niegdyś stolica Girajów, Chanów Krymskich.

Str. 111. w. 8. I pisze Baltazara głoskami «ruina».

«Tejże godziny wyszły palce ręki człowieczej, które pi«sały przeciwko świecznikowi na ścianie pałacu królewskiego, «a Król (Baltazar) widział część ręki, która pisała.» Proroctwo Danielowe. V. 5.

Str. 111. w. 15. Rozchodzą się z dżiamidów pobożni mieszkańce.

Mesdżid lub Dżiamid, tą to zwyczajne meczety. Zewnątrz, po rogach świątyni, wznoszą się cienkie, wystrzelone w niebo wieżyczki, które minaretami — menare — zowią, są one w połowie swej wysokości otoczone galerją, szurfe, z której muezzinowie, czyli oznajmiciele, zwołują lud na modlitwę. To zwoływanie, wyśpiewane z galerji, zowie się izanem. Pięć razy na dzień, w oznaczonych godzinach, daje się słyszeć izan wszystkich minaretów, a czysty i donośny głos muezzinów przyjemnie rozlega się w powietrzokręgu miast muzułmańskich, w których, z powodu nieużywania kołowych pojazdów, szczególniejsza cichość panuje. Sękowski, Collectanea. T. I. str. 66.

Str. 112. w. 7. Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa.

Eblis albo Iblis lub Garazel, jest to Lucyfer u Mahometanów.

Str. 112. w. 9. Budzi się błyskawica i pędem Farysa.

Farys, rycerz u Arabów Beduinów.

Str. 112. Grób Potockiej.

Niedaleko pałacu Chanów wznosi się mogiła, w guście wschodnim zbudowana, z okrągła kopułą. Jest powieść między pospólstwem w Krymie, że ten pomnik wystawiony był przez Kerym Giraja dla niewolnicy, którą nadzwyczajnie kochał. Niewolnica miała być Polka, z domu Potockich. Autor uczenie i pięknie napisanej Podróży po Krymie, Murawiew-Apostoł utrzymuje, że powieść ta jest bez zasady i że grobowiec kryje zwłoki jakiejś Gruzinki. Nie wiemy, na czem opiera swoje mniemanie: bo zarzut, iż Tatarowie

w połowie ośmnastego wieku tak łatwo niewolnic z domu Potokich uprowadzać nie mogli, nie jest dostateczny. Wiadome są ostatnie zaburzenia kozackie na Ukrainie, skąd niemało ludu uprowadzono i przedano sąsiednim Tatarom. W Polsce liczne są familje szlacheckie imienia Potockich i wspomniana branka niekoniecznie mogła należeć do możnego domu dziedziców Humania, który najazdom tatarskim lub rozruchom kozackim mniej był dostępny. Z powieści gminnej o grobowcu Bagczysarajskim, poeta rossyjski Aleksander Puszkin z właściwym sobie talentem napisał powieść: Fontanna Bagczysarajska.

Str. 113. Mogiły haremu.

W roskosznym ogrodzie, wśród wysmukłych topoli i drzew morwowych, stoją grobowce z białego marmuru Chanów i Sułtanów, ich żon i krewnych; w pobliskich dwóch budowach leżą trumny zwalone bez ładu: były one niegdyś bogato wybite; dziś sterczą nagie deski i szmaty całunu.

Str. 113. w. 6. Nad niemi turban zimny błyszczy śród ogrodu.

Muzułmanie nad grobami mężczyzn i niewiast stawiają kamienne zawoje innego dla obu płci kształtu.

Str. 113. w. 8. Zostały dłonią Giaura wyryte imiona.

Giaur, poprawniej Kiafir, znaczy niewierny. Tak Muzułmanie nazywają chrześcian.

Str. 113. Bajdary.

Piękna dolina, przez którą zwykle wjeżdża się na brzeg południowy Krymu.

Str. 114. Ałuszta w dzień.

Jedno z miejsc najroskoszniejszych Krymu. Tam już wiatry północne nigdy nie dochodzą i podróżny w listopadzie szuka częstokroć chłodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich, jeszcze zielonych.

Str. 114. w. 2. rannym szumi namazem niwa złotokłosa.

Namaz, modlitwa muzułmańska, którą odprawiają, siedząc i bijąc pokłony.

Str. 114. w. 4. Jak z różańca Chalifów rubin i granaty.

Muzułmanie używają w czasie modłów różańca, który u znakomitych osób z kosztownych bywa kamieni. — Granatowe

i morwowe drzewa, czerwieniejące się roskosznym owocem, są pospolite na całym brzegu południowym Krymu.

Str. 115. w. 17. O minarecie świata! o gór Padyszachu

Padyszach, tytuł Sułtana tureckiego.

Str. 116. w. 2. Gabryel pilnujący edeńskiego gmachu.

Zostawiam imię Gabryela, jako powszechniej znajome; ale właściwym strażnikiem niebios podług mitologji wschodniej jest Ramek — konstellacja Arcturus — jedna z dwóch wielkich gwiazd zwanych as semekein.

Str. 116. w. 16. Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice.

Salhir, rzeka w Krymie, wypływa z podnóża Czatyrdahu.

Str. 117. Droga nad przepaścią w Dżehud-Kale.

Miasteczko na wyniosłej skale: domy na brzegu stojące mają podobieństwo do gniazd jaskółczych; ścieżka wiodąca na górę jest przykra i nad przepaścią wisząca. W samem mieście ściany domów łączą się prawie ze zrębem skały, spojrzawszy przez okno, wzrok gubi się w głębi niezmierniej.

Str. 117. w. 2. Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.

Koń krymski w trudnych i niebespiecznych przeprawach zdaje się posiadać szczególniejszy instynkt ostrożności i pewności; nim krok postawi, trzymając na powietrzu nogę, szuka kamienia i probuje, czy bespiecznie stąpić i ostać się może.

Str. 117. w. 16. To jest morze. Śród fali zda się, że ptak-góra.

Ptak-góra, znajomy z Tysiąca Nocy. Jest to sławny w mitologji perskiej, powielekroć od poetów wschodnich opisywany, ptak Simurg. «Wielki on — powiada Firdusi w Szah-Name — jak góra, a mocny jak twierdza; słonia unosi w szponach swoich,» i dalej: «ujrzawszy rycerzy — Simurg zerwał się jak chmura ze skały, na której mieszka i ciągnął przez powietrze jak huragan, rzucając cień na wojska jeźdźców.» Obacz Hammera: Geschichte der Redekünste Persiens. Wien 1858. str. 65.

Str. 118. w. 2. Ta wyspa żeglująca w otchłani, to chmura!

Z wierzchołka gór wyniesionych nad krainę obłoków, jeżeli spojrzymy na chmury płynące ponad morzem, zdaje

się, że leżą na wodzie w kształcie wielkich wysp białych. Ciekawy ten fenomen oglądałem z Czatyrdahu.

Str. 118. Ruiny zamku w Bałakławie.

Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku, zbudowanego niegdyś przez Greków, przychodniów z Miletu. Później Genueńczycy wznieśli na tem miejscu twierdzę Cembala.

POWIASTKI I BAJKI.

Str. 124. w. 6. **Siciński? i w Upicie? — Imię strasznej sławy!**

Siciński, poseł Upicki na sejmie (roku 1652), pierwszy dał przykład zerwania obrad, użyciem bezprawnem veto, przez co władzę królewską do reszty osłabił, a kraj gminowładztwem szlacheckiem zawichrzył. Jest podobnie: że, gdy wracał do domu okryty przekleństwem ziomków, na samym progu zginął od pioruna. Kilka lat temu pokazywano w Upicie dawnego, ale dobrze zachowanego trupa, który pod imieniem Sicińskiego, włóczony od dziadów kościelnych jako osobliwość, był igraszką miasteczka.

WIERSZE RÓŻNE.

Str. 177. Czyn.

Czyn, w Rossji znaczy klassę albo rangę.

Str. 190. Farys.

Jeździec. Jest to zaszczytne nazwanie u Arabów Beduinów, znaczące to samo co chevalier, rycerz, w wiekach średnich. — Tadż-Ul-Fechr, pod tem imieniem znany był na wschodzie Wacław hr. Rzewuski: tadż znaczy wieniec, fechr sława.

Str. 190. w. 15. **Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,**
Gwiazda na czole jak jutrzenka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strasznej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Te cztery wiersze, zawierające opisanie konia, są tłumaczone z arabskiego czterowiersza, umieszczonego w notach do Antologji Arabskiej pana de Lagrange.

Str. 190. w. 31. **Czuje, krakał, zapach trupi.**

Powszechny na Wschodzie przesąd, że sępy czują śmierć z daleka i krążą za człowiekiem mającym umrzeć. Jakoż za-

ledwie skona podróżny, wnet kilka ich zjawia się w okolicy chociaż pierwej nie były widziane.

Str. 194. w. 4. **Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli.**

Huragan. Jest to wyraz amerykański urikan i oznacza straszliwą burzę tropikową. Ponieważ znajomy powszechnie w Europie, użyliśmy go zamiast wyrazów arabskich Semum, Serser, Asyf, i t. p. w znaczeniu wichru albo trąby powietrznej, zasypującej niekiedy całe karawany. — Persowie nazywają go Girdebad.

Str. 195. Szanfary.

Jeden z najsławniejszych przed Mahommedem rycerzy czyli farysów arabskich, wojownik i poeta; był z pokolenia Asd. Obrażony przez rycerzy z pokolenia Salaman wzywał swoich aby mu dopomogli zemścić się krzywdy. — Nie otrzymawszy wsparcia, Szanfary opuścił swe pokolenie i napisał niniejszą kasydę (powieść) wyrzucając rodakom ich zniewieściałość i niewdzięczność. Udał się sam na wojnę i poprzysiągł, póty nie złożyć oręża, póki nie zabije stu Farysów z pokolenia Salaman. Już był ich zabił 99, gdy wpadłszy w zasadzkę Salamanów, sam zginął. Głowa jego walała się w koczowisku i gdy jeden z Farysów trącił go nogą, tak mocno skaleczył się o kość czaszki, że wkrótce życie utracił i dopełnił liczby stu, zaprzysiężonej przez Szanfarego.

Tę kasydę tłumaczyłem z francuskiego, przekładu P. de Sacy. Później miałem sobie udzielone od N. Sękowskiego tłumaczenie polskie dosłowne, z obszernym uczonym komentarzem. Korzystając z tej nowej pomocy starałem się tekst mego przekładu ile możności poprawić. Z komentarza P. Sękowskiego umieszczam kilka przypisów.

Bracia moi, postawcie wielbłądy na nogi!

W oryginale: Podnieście piersi wielbłądów. Wielbłądy kładą się na ziemi, zginając pod siebie nogi. Kiedy karawana ma ruszyć, człowiek siada na siodło i ciągnąc wodze, podnosi wielbłąda.

Brew malować, włos trefić w kąpieli zapachów?

Arabowie nacierają powieki pewną farbą brunatną, zwaną kohl, co u nich za wielką poczytują ozdobę.

Czy mię kiedy noc zbłąka, choć piaszczysta fala.

W pustyni kierują się podróżni po gwiazdach. Beduini kładą w rzędzie celnych przymiotów rycerza, trafność jechania w dzień i w noc.

Zęby dzwonią jak strzały we wróżka prawicy.

Dawni Arabowie poganie mieli w świątyni mekkańskiej strzały wyroczne zalum, z których rozmaitego mięszania wróżono o przyszłości.

Jak płaczące farysa małżonki lub córki.

Kiedy Arab zginie na wojnie, żony jego i krewne wychodzą na bliskie wzgórze, płaczą, jęczą i wrzaskliwie narzekając, zaklinają jeźdźców swego pokolenia, ażeby zemścili się jego zgonu.

Jeśli do studni jadę, lecący pułk strusi.

W oryginale jest tu mowa nie o strusiach, ale o ptastwie zwanem Katho, wielkości kruka. W poezji abrabskiej często znajdujemy wzmiankę o tem ptastwie przelatującem stadami pustynie Arabji. Farys powinien znać położenia źródeł w pustyni, ażeby wiedział, gdzie ma popasać.

Boleści podzieliły losem moje ciało.

Przenośnia wzięta z zwyczaju Arabów, którzy zabiwszy wielbłąda, losem ciągną, jaka część komu się dostanie.

Może to Diw, przechodząc, tyle szkody zrobił?

Diw, znaczy duch, genjusz: wyraz polski dziw, zdaniem P. Sękowskiego pochodzi z perskiego i musiał dawniej toż samo mieć znaczenie.

A włos mój brudu pełny, nieznający wody.

Szanfary przysiągł zemścić się na pokoleniu Salaman. Arab po takiej przysiędze nie umywa się, nie strzyże i nie zaczesywa włosów, nie zmienia odzieży i nie pije wina, dopóki zemście zadosyć nie uczyni.

Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada.

W oryginale: «myślały, że jestem z rodu kozłów.» Tu następuje ich opisanie. Mowa tu zapewne o gatunku kóz dzikich, Antilope rupicapra (Chamois).

Str. 200. ALMOTENABBI.

Sławny rycerz i poeta arabski, wygnany ze swej ojczyzny,

udał się do Egiptu, do przyjaciela swego, sułtana Abu-Szodża-Fatyk, którego gdy już przy życiu nie znalazł, opuścił Egipt i w podróży tę kasydę ułożył.

Str. 250. Morlach.

«Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta.»

Rzeczpospolita wenecka zaciągała na żołd swój wielką liczbę górali Sławian.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM IX.

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA.

NOWE WYDANIE ZUPEŁNE.

TOM DRUGI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1876.

TREŚĆ TOMU DRUGIEGO.

WIERSZE RÓŻNE.

V.

	Strona
Do Joachima Lelewela	3
Warcaby	10
Do doktora S.	18
Do Aleksandra Chodźki	20
Do Marji P.	22
W imionniku S... B...	—
W imionniku	23
W imionniku H. Stołowińskiej	—
W imionniku*	24
W imionniku**	—
W imionniku***	25
W imionniku K. Rzewuskiej	—
Do imionnika A. S.	26
Do Marji Szymanowskiej	—
W imionniku Celiny Szymanowskiej	27
Wizyta Pana Franciszka Grzymały	—

VI.

Romeo i Julia	29
Don Carlos	32
Ugolino	37

Giaur	41
Grażyna	89
Konrad Wallenrod	129
Zdania i uwagi	193
Objaśnienia	209

V.

DO JOACHIMA LELEWELA.[1]

Bellorum causas et vitia et modos
Ludumque Fortunae, gravesque
Principium amicitias, et arma —

Periculosae plenum opus aleae
Tractas, et incedis per ignes
Suppositos cineri doloso.
HORAT. L. II. c. 1.

O, długo modłom naszym będący na celu,
Znowuż do nas koronny zejdziesz Lelewelu!
I znowu cię obstąpią pobratymcze tłumy,
Abyś naprawiał serca, objaśniał rozumy.
Nie ten, co wielkość całą gruntuje w dowcipie,
Rad tylko, że swe imię szeroko rozsypie,
I że barki księgarzom swemi pismy zgarbi:
Nie taki ziomków serca na wieczność zaskarbi;
Ale kto i wyższością sławy innych zaćmi,
I sercem spółrodaka żyje między braćmi.
Lelewelu, w oboim jak ci zrównać blasku?
Szczęśliwyś i w przyjaciół i w prawd wynalasku.
Oto, nad wiek młodziana przerosłeś niewiele:
Tobie mędrszemu siwe zajrzą Matuzele.

[1] Z okoliczności rozpoczęcia kursu historji powszechnej w uniwersytecie wileńskim, dnia 6 stycznia 1822 roku.

Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki,
Między Teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki;
A' jak mocno w Litewskiem uwielbianyś gronie,
Publicznie usta nasze wyznają i dłonie.

Już długo z sal uczonych wracało na sucho,[1]
Łakome, a przez ciebie znarowione ucho:
Zacznij słynąć cudami dla uczniów natłoku,
Coś je tylekroć sprawił w onegdajszym roku,
Gdy, twojem czarodziejskich użyciem sposobów,
Greckie i Rzymian cienie ruszałeś z pod grobów.
Wstąją z martwych, przechodzą na prawdy zwierciadła,
Od czoła ich Plutona przyłbica odpadła
I żelazne na piersiach łamią się pokrycia,
W których myśli i chęci taili za życia.
Oto mędrzec Fedona, to Persów zabierca:
Patrzym w bezdenność myśli, w labirynt ich serca.
Tam iskra światła, owdzie nasiona potęgi;
Gdy je zdarzeń pomyślnych wzmaga oddech tęgi,
Iskra łunę roznieca, z nasionek wylęga
Olbrzym, dosięgający brzegów ziemiokręga.
Tak dzielne geniusze panują nad światem:
Teraźniejszość upada przed ich majestatem;
Stworzenia, które kiedyś wyda przyszłość mętna,
Niosą kolor ich blasku, lub ich razów piętna.
Ale równa jest wielkość, czy to światu władać,
Czy sztuki wielkiej władzy nad światem wybadać.

Nie raz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie,
Słońce kirem zachodzi, woda płomień buchnie:
Nadarzeń się takowych mnogie żyją świadki,
Przecież ich źródła dociec umie arcy-rzadki.
A na podobnej liczbie jeszcze gorzej zbywa,
Coby, różnego wątek spajając ogniwa,
Potrafili wybadać, za rozsądku wodzą,
Jak się z przyczyny wspólnej różne skutki rodzą —

[1] Te dwa wiersze opuszczone były w pierwszych krajowych wydaniach.
P. W.

Jak podziemny wypadek morzem zakołata,
I niebieskiego sprawi zaburzenie świata.

Z mniejszości postępujmy ustawnie do góry
Z martwej przejdźmy w krainę żyjącej natury.
Kędy ludzkość jest światem, żywiołami duchy,
Jak śledzić przyczyn, związać następów łańcuchy?
Tu zaćmi nieskończona różność widowiska,
Tu po obcych świadectwach droga myśli śliska,
A bóstwo Prawdy, skąpiąc nagiego promienia,
Pełni swojej nie raczy ukazać z pod cienia.
Bo jej trudno dostrzeże, choć kto oczy wlepi:
Od dzieciństwa jesteśmy długo na nią ślepi.
Skoro zaczniem przezierać, że nie dosyć bystrze,
Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze,
I szkła swojej roboty wsadzają na oko,
Przez które widać szerzej i więcej głęboko.
Ale jaką im barwę dał mistrz wynalasku,
W takim wszystkie przedmioty okazują blasku —
Stąd cudze malowidła, własne wzroku skazy,
Omyłką na zewnętrzne przenosim obrazy.
Człowieku, sługo wieczny! bo nie tylko zmysły,
Ale i sądy twoje od drugich zawisły!
Pierś dziecinną ojcowskie napełniają czucia;
Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia.
Nie raz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie:
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
Albo niem nauczyciel poił ucho twoje,
Zawżdy część własnej duszy mięszając w napoje.
A tok gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,
Żeś z nad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy.

A słońce Prawdy wschodu nie zna i zachodu;
Równie chętne każdego plemionom narodu,
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyznie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.
Stąd kto się w przenajświętszych licach jej zacieka
Musi sobie zostawić czystą treść człowieka,

Zedrzeć wszystko, co obcej winien jest przysłudze,
Własności okoliczne i posągi cudze.

Ku takim pracom niebo dziejopisa woła.
Odważają się liczni: ale któż wydoła?
Tylko sam, komu rzadkim nadało się cudem
Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem,
Nad burzę namiętności, interesu sieci,
Z pomroków ducha czasu nad gwiazdy wyleci;
Uważa skąd dla ludów przyszła ryknie burza,
Albo się pod otchłanie przeszłości zanurza.
Grzebiąc zapadłe wieków odległych ciemnoty,
Wykopuje z nich prawdy kruszec szczerozłoty.
Lelewelu! rzetelną każdy chlubę wyzna,
Że ciebie takim polska wydała ojczyzna.
Na świętym dziejopisa jaśniejąc urzędzie,
Wskazujesz nam, co było, co jest — i co będzie!

Pierwszy towarzyskiego widzim obraz stanu,
Od łożyska Eufratu po wieże Libanu.
Na równiach, niedzielonych żadnemi przegrody,
Tam najprzód w wielkie ciało zrosły się narody;
Zaraz na karku onych ciemięscy usiedli,
Miasta wałem, a ludy łańcuchem obwiedli.

Owdzie między wysepki i morskie rękawy
Drobny Greczyn urządzał pospolite sprawy;
Ruchem do mirmidońskich podobny zwierzątek,
Od których słusznie mniemał wyciągać początek.
W cudzych osiada miastach, lecz je sam bogaci,
Przychodnim bogom swojskie nadaje postaci;
Dla nieznanych cór nieba pierwszy w jego rodzie
Wystawiono Piękności kościół i Swobodzie.
Tych natchnieniem Helenin gdy piersi zagrzewał,
Walczył, rozprawiał, kochał, nauczał i śpiewał.

Lecz już medańska szabla okrąża do koła.
Bałwanowi wschodniemu świat uchylił czola,

Trzaskiem samowładnego napędzona bicza
Wali się od Kaukazu zgraja niewolnicza.
Xerxes ludy podeptał, miasta porozwalał,
Morza flotą zahaczył, lądy tłumem zalał:
Wtem, z małej chmurki greckiej, gdy pioruny padną,
Rozprysnęły się tłumy, floty poszły na dno.

Zgubnego Europejczyk umknąwszy rozgromu,
Poszedł Azyanina nękać w jego domu;
A na perskie wezgłowia upuściwszy skronie,
Drzemał i na bok rzucił ordzewiałe bronie.
Tak swobodnie sennego zabrali w łańcuchy,
Wilcze Romula plemię, Italskie pastuchy.
Kłótliwi i przez własne wyuczeni zwady,
Jak gwałtem lub chytrością wyniszczać sąsiady,
Ustawni napastnicy, przy chwilach pokoju
Ramiona do nowego krzepili rozboju,
Albo darli sie z sobą; wtenczas tylko w zgodzie,
Kiedy społem o cudzej przemyślali szkodzie.
Lecz skoro zapaśnikom przeciwnych nie stało,
Z otyłości próżniackiej coraz słabnie ciało.
Rzym pastwi się nad światem, a tyran nad Rzymem,
Świat rzymski obumarłym staje się olbrzymem.

Któż w nieżyjących zwłokach nowy duch roznieci?
Wy ogniste z pod lodów skandynawskich dzieci!
Oto Senior, swym pełnym odziany kirasem,
Niosąc kopiję w toku, różaniec za pasem,
Pobożności oddany, kochance i chwale,
Pod dach gotycki ściąga na ucztę Wazale.
Damy wskazują wieńce, bardy w lutnie dzwonią,
Młodzież kopije kruszy, albo w pierścień gonią.
Czulsze serce niż u nas biło im z pod stali:
Oni najpierwsi z niebios Miłość przywołali,
Serdeczną i za dawnych niecenioną wieków
U duchownych Hebreów i cielesnych Greków.
Oni, kiedy praw słaba chwieje się budowa,
Krzepili ją łańcuchem rycerskiego słowa.

Aby naprawiać krzywdy, piękne zyskać względy,
Ważyli się na puszcze i zamorskie błędy —
Nowe herby z odległych przynosząc turniei,
Lub krwią kupując palmę męczeńską w Judei.
Tymczasem na ich zamkach zasiadły opaty,
Ksiądz cisnął się do celi, a mniszka za kraty;
Na wystrzał bulli z tronów spadały korony,
Rzym powtórnemi ziemię opasał ramiony.
Aż zadały pułkowe orężników władze
Śmierć domowym rozruchom i obcej przewadze.

U ludów, gdzie społeczny gmach na pismach wsparty,
Panów i sług powinność objaśniły karty.
Takie na Albiońskim spisano ostrowie,
I takie Jagiellony dali nam królowie.
Lecz w innostronnych krajach naczelników stopa
Buntujące się panki zniżyła do chłopa.
Hiszpańczyk dalej zrobił: od brzegów Gadesu
Doścignął aż do światów nieznajomych kresu;
Tam co rok z flotą chodzi, nowe skarby kopie,
I żelazami całej pogroził Europie.
Naprzeciw chęciom jego inne pany dążą,
Odcinają się mieczem i przymierza wiążą.
Natenczas sztuka stanu, w tajniach urodzona,
Rozciągnęła szeroko polipu ramiona.
Kto chce zyskać, lub swoje posiadać bespiecznie:
Oko miej zawżdy czujne, broń dobytą wiecznie.
Stąd wzajemna nieufność, ustawiczne czaty,
Walki, częste nabytki i prędkie utraty.
Wszystkie ludy i ziemie za swe mając spadki,
Rozdawano, jak przedaż, wiano albo datki;
Nieprzyjaciołmi często bywali obrońce,
Albo dla okrągłości cudze rwali końce.

Taką w całej Europie szły koleją sprawy,
Nim dojrzały w wulkanach nadsekwańskich lawy.
Tam, zadawniony ucisk, ponawiane skargi,
Wieczne państwa świętego z doczesnem zatargi,

Wyskoki głów myślących, zapały młodzików,
Duma panów, rozkutych wściekłość niewolników;
A jak ziemia, ciężarna sprzecznemi nasiony,
Z potwornem niegdyś cielskiem rodziła Pytony,
Tak z pomąconych chęci i myśli natłoku
Rewolucyjny Gallów wylągłeś się smoku!
Darmo go przemoc złamie i w piasek zagrzebie:
Posiane kły, mścicieli odradzają z siebie.
Kłótliwa wschodzi zgraja: w jednych chęć urasta,
Platoniczne po ziemi odbudować miasta:
Drudzy skarbce do nowej znosili budowy,
Żeby z nich potem własne poczynić obłowy;
Gdy przeciwników szyję zgięli, albo zsiekli,
Poszli cudzą przelewać, własną krwią ociekli.
Z gminowładnego wzleciał ptak cesarski gniazda;
I krwawa legionów zabłysnęła gwiazda —
A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Gdzież jestem, Lelewelu! Jaka chęć uniosła,
Opiewać morza, których nie tknęły me wiosła?
Poziomy płazik, orlej nabrawszy ochoty,
Uczone myśleń twoich naśladować loty!
Wyręczaj mię: bo w polskiem dziejopisów kole
Wyniosły jesteś, stanąć mający na czole!
Ty, co nie dozwoliłeś tylu księgom kłamać,
Z samego kłamstwa prawdę umiejąc wyłamać,
Znasz lepiej trudne twojej nauki ogromy,
Słodkości jej owoców sam lepiej świadomy.
Głosem, którym okrzyki i oklaski wzniecisz,
Powiedz, jak tam zaszedłeś, skąd tak rano świecisz?
Na wierzchy, gdzie parnaska trzyma cię opoka,
Zwabiaj niższych łagodnym twego blaskiem oka.
Niejedne już zyskałeś z godniejszych rąk wieńce:
Nie gardź tym, jaki wdzięczni składają młodzieńce;
I daruj, jeśli będziem chwalić się po świecie,
Że od ciebie wzięliśmy na ten wieniec kwiecie.

WARCABY.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

Franciszku! Dosyć prawne roztrząsać księgarnie,
Niech je pył zasłużony choć na czas ogarnie;
Rzuć słabości i niecnot przeglądać obrazy,
W naturze ziemskej pilnie wszystkie liczyć skazy.
Zbyt to są dla ułomnych smutne widowiska,
Serce z nich nic nie czerpa choć rozum coś zyska —
Inna jest żyć bez zbrodni, inna poznać zbrodnie;
Często i prawodawca nie był z prawem zgodnie.
Lokryjczyk wbrew statutom, które sam uchwala,
Ojcowskie karał oko za grzechy synala;
I ten, co zakon wyrył na głazach dwunastu,
Zgwałcenia jego pierwszy daje przykład miastu.

Ale po cóż umarłe mam wołać przykłady?
Silniejszem jest natura mojej wsparciem rady.
Choć prawo siedzi w mieście, prawość na wsi mieszka;
Nie marmur, lecz zielona wiedzie do niej ścieżka.
Myśmy ze wsi nie mędrsi, może lepsi wyśli —
Bieżmy tam! Kto się bawi, ten o złem nie myśli.

A jeśli niedojrzałej wiosny słotna pora,
Lub skwar nas w domu zamknie, albo chłód wieczora:
Czyż to piękną zabawkę wynaleść zabroni?
Niechaj się czasem umysł i do gry nakłoni.
Nie do tej, gdzie aż w północ oczekując nudnie,
Dręczę ciało, a wdzięcznie myśli nie zatrudnię:
Tak zwykle gmin się tylko bawi mało-warty,
Kręcąc skazówki, kości miotając, lub karty;
Kruszec jest grania celem, graczów wabi żądza,
Podłość walczy o zyski, ślepy los przysądza.

Ale czyj duch wznioślejszy, pojętność niesłaba,
Temu lepiej rozmyślna przystoi Warcaba.
Z nadkitajskich wzięliśmy tę zabawę granic,
Przez nią w zbrojne rzemiosło wprawiał się Sułtanic;
Jak nacierać: jakiemi wycofać się biegi,
Pouczał się, kościane hetmaniąc szeregi,
Lub do miejsca stosując różnych zdatność osób —
Z trudnej gry brał trudniejszy królowania sposób.
Dziś, nie koronna głowa, ni mieczny zabierca,
Ale Warcabę czułe ulubiły serca;
Hucznych znikając zabaw, nie łakome zysku,
Dzionek na towarzyskiem skracają igrzysku.
Precz od nich, z ulicznego wydobyty steku,
Obyczajem i twarzą nieznany człowieku!
Dobrańsza tylko para wychodzi do szranek:
Przyjaciel z przyjacielem — z kochanką kochanek.

Franciszku! czuły sercem; a zimny z urzędu,
Nie znasz miłości, nie masz dla Warcaby względu.
Pozwól, niech tobie gry tej prawidła wymienię;
Bo tamte — jedno kiedyś nauczy spojrzenie. —

O Wido! Gdybym dostał twój pędzel bogaty!
Wido, tak biegle w polskie przestrojony szaty!
Zdarz, niech twojego torem idąc wynalasku,
Opisom mym udzielę powabu i blasku!
Niech stąd Warcaba świeżej nabędzie zacności,
Niech chwalonym przez ciebie Szachom nie zazdrości;
A mnie niech wdzięcznie czyta ten dla kogo piszę,
Niech cierpliwie słuchają mili towarzysze.

Wiedzcie tedy, iż gra ta jest bojów obrazem.
Trzeba miejsca, chcąc wojska przeciwne zwieść razem:
A więc, naprzód, dla Warcab szranki przybierz świetnie.
Niech je siedem dróg równych z obu stron rozetnie;
Potem czarne i białe strugaj czworościany,
I w miejscach opisanych rozsadź na przemiany.

Kiedy się plac ogrodzi, skreśli i wymierzy,
Nie zaniedbaj do walek przywołać rycerzy.
Dwunastu ma ich jedna, tyleż druga strona;
Że pieszo walczą, pieszków niech noszą imiona.
By omyłek w wojennym tłumie uniknęli,
Tamci czarny strój mają, ci są całkiem bieli;
A chociaż różni, szaty w różnym noszą wzorze,
Przecież stają na czarnym z obu stron kolorze.
Pułk chce się z pułkiem zetrzeć, trupem usłać pole,
Albo żywym broń wydrzeć i zaprzeć w niewolę.
Każdy na czoło jednym postępując krokiem,
Nieprzyjaciela swego pilnem śledzi okiem;
Patrzy, czy który rycerz, zapędzony w biegu,
Nie wymknie się choć na krok ze swego szeregu:
A skoro z tyłu za nim próżny plac odkryje,
Wskoczy nagle i utnie zuchwalcowi szyję.
Czy wygrana ucieszy, czy pośród pogromu:
Cofnąć stopy pod karą niewolno nikomu;
Iść naprzód, walczyć, gonić za nieprzyjacielem,
Wedrzeć się do obozu: jest głównym gry celem.
Kto pierwszy umiał zdobyć przeciwników szranki,
Ozdobi się laurowym wieńcem z rąk kochanki;
I jako błędni niegdyś czynili rycerze,
Do boju idąc, damę na koń z sobą bierze.
Co wprzódy stąpał pieszo, dziś po całym szlaku,
W przód i w tył, w lewo, w prawo hasa na rumaku.
Jeśli mu jaki śmiałek waży się zajść w oczy —
Dopędzi go, zabije i nazad uskoczy.
Tak ów Karol trwożliwy już umykał z tronu
Przed nachodem powstańców i wojsk Albionu:
Ale jak tylko dostał pomoc Orleanki,[1]
Potłumił i Angliki i buntowne Franki.

Odpieraj więc jak możesz i kładź wszędzie tamy
Ażeby twój przeciwnik nie mógł zdobyć damy.

[1] Jeanne d'Arc.

Jeśli jej i sam z obcych wziąść nie zechcesz szyków,
I własną mocą w boju zgnębisz przeciwników:
Wtenczas dla nich prócz straty największa sromota,
Według praw tracą sławę i paść muszą kota.
Częstokroć wódz, w swej sile zaufany zbytnie,
Nie chce rycerki, myśląc, iż sam wszystkich wytnie;
A tymczasem przeciwnik, mając pomoc w damie,
Wypędzi go z obozu, doścignie i złamie.
Już wódz chwieje się ranny, miecz upuszcza z dłoni,
Kochanka nad nim żadnej łeski nie uroni:
Tak, co wprzódy zwycięstwa karmił się otuchą,
Umiera, a co gorsza umiera na sucho.'
Pary więc szukaj gwałtem, lub przez chytre środki;
W parze miłe zwycięstwo, w parze i zgon słodki.
Choć przegrasz, mniejszą będzie daleko przegrana,
Jeżeli grób twój łzami odwilży kochana.

Masz tedy prawa wojny: ktrótkoć je podaję. —
Różnych jeszcze narodów znaj różne zwyczaje:
Sarmata, ufność w samej kładący odwadze,
Woła na cię przed bojem: «zwalczę lecz nie zdradzę!»
Stąd piersią w pierś uderza, w tył razów nie ciska,
Choćby kark nieprzyjazny nadstawiał się z bliska.
Dama jego podskoków wyprawiać niezdolna,
Równym jak mąż jej krokiem postępuje zwolna,
Ten tylko u rycerskiej wzgląd zyskawszy młodzi,
Że się jej z krwawych bojów ujść bez hańby godzi.
Hiszpan śmiało uderza na miecze i spiże,
Z czoła walczy, lecz okiem i tam i sam strzyże;
Często skradać się lubi śród gwaru, śród pyłu,
I zdradliwie przebija nieprzyjaciół z tyłu;
Stąd w takich bojach nie raz za cięciem bułata,
Dwóch, czterech, pięciu zgładzić potrafi ze świata.
Gdy zwyciężony padnie, Hiszpan, zdarłszy zbroje,
Cofa się, by łup unieść między pułki swoje.
Dama Kastylska w bitwach różnym trybem stawa:
Nie masz w księgach zwyczaju wyraźnego prawa.

Raz, chciwa wojennemi ozdobić się łupy,
Staje na bojowisku i obdziera trupy;
Ale kiedy nad niemi pastwi się okrutnie,
Często pieszek podskoczy i dumny łeb utnie.
Jeśli zaś rzuca martwych i dalej ucieka,
Od nieprzyjaznych szyków stawając z daleka —
Choć jedna tylko walczy, gęste trupy ściele,
Liczniejsi jej nie mogą zbić nieprzyjaciele.
Francuz, staczając walki, naprzód idzie żwawo,
Zabijając w tył, lata i w lewo i w prawo:
Strzelec trafny, nie zważa na damy, na pieszki,
Częstokroć kulą sięgnie aż w sam koniec ścieżki,
Jeżeli mu się kogo położyć udało,
Przez całe szranki wpada do obozu śmiało.

Znając wojska, wybieraj jakieć się podoba;
Jednak muszą się na to gracze zgodzić oba.
Po polsku walczą zwykle celniejsi zasługą.
Bój ten wymaga sztuki i ciągnie się długo;
Pod koniec, kiedy damy tłumnie wjadą w szranki,
Bardzo trudno przychodzi ścigać jejmościanki.
Gra więc hiszpańska krótsza, podstępna, zajadła,
Wielu dzisiejszym wodzom do smaku przypadła.
Bardziej prawi, niżeli do wybiegów zdatni,
Ćwiczą się nieprzyjaciół w chytrej łowić matni.
Francuz, że prędko kończy i daleko skacze,
Lubią go tylko młodzi i zuchwali gracze.

Lecz nie dosyć, Franciszku, żeś świadom obrotów,
Żeś widział wojska: jeszcześ do bitwy nie gotów.
Czyż ten hetman, kto tylko rąbie, strzela, kole?
Nie: umiej szyki sprawiać, umiej przeznać pole!
I w grze są różne miejsca: wskaże moja rada,
Kiedy je zająć, kiedy strzedz się ich wypada.

Najprzód, w prawo jest koniec o podwójnym głazie;
Młynek, to port bespieczny w niebespiecznym razie.

Tam broń się, choćby na cię bito bez spoczynku,
Nim ustąpisz, przemoknie krwią droga do młynku.
Jeżeli grasz po polsku, a młynek w twej właści,
Możesz damy wygodnie bronić od napaści;
Przeciwnie, gdy hiszpanka na placu zostanie,
Stanąwszy w młynkach, łatwe na nią polowanie.
Z lewej strony głaz jeden w koniec szranków bodzie,
Miejsce to zowią beczką: groźne na przechodzie;
Gdyż, jeżeli w niem dama zasiędzie na czaty,
Nabawi pewnie klęski, albo znacznej straty.

Te są w tyle, inne są z czoła stanowiska,
Kędy na nieprzyjaciół można natrzeć zbliska.
Iż przyległe granicom, nazwane są kątki;
W nich bitwa często krwawe zwykła mieć początki,
W nich się kryje kto słaby, lub ostrożny zbytnie,
I w nich biegły gromiące stawi działobitnie.
Pomnij zrazu je zająć, byś obce rwał skrzydła;
Tak doświadczenie każe, tak walki prawidła.
Środkiem gracz najbieglejszy i najgorszy lezie,
Często jest tam zwycięstwo, ale częstsze rzezie:
Chyba się losem szczęsnym przeciwnik omyli —
Wtenczas możesz mu pieszków w jednej zrąbać chwili;
Lecz kiedy w kąty wjedzie, zapęd wojska wstrzyma,
Tak się zaprzesz na środka, iż stąpać gdzie nie ma —

Ale pocóż szeroko przepisy rozwodzę?
Nie przepisy stanowią zwycięstwo lecz wodze.
Oni, początkiem bojów, dają bojom prawa,
Od nich zależy cała w warcabach zabawa.
Nie prędko do potyczki bohater przywabi,
Co się powolnie wlecze jak ów togat Fabi.
Nie śmiejąc ni uciekać, ani stawić czoła,
Wyda roskazy, znowu wydane odwoła;
To w przód, to w tył pojeżdża, patrzy, głową kręci,
Myśli: wtem, co umyślił, wypadło z pamięci:
I przegrawszy nareszcie po rozwagach długich,
Pozna, iż sam się znudził i nie bawił drugich.

Równie śmieszny, kto drobnych obyczajem dzieci,
Bez namysłu, bez celu, oślep w ogień leci;
Biją go jeśli natrze, łowią jeśli zmyka,
Ginie wreszcie, nie ciesząc zgonem przeciwnika.
Ten tylko słusznie wielkie gracza imię bierze,
Kto męstwo i rozwagę w jednej trzyma mierze,
Czyja głowa i ręka z bojem oswojona,
Kto i dobrze umyśli i prędko wykona.
A gdzież są tacy gracze? Lecz wieszczy głos słyszę:
— Słowom moim udzielą wiary towarzysze —
Franciszek będzie takim, jeśli tylko przyjmie
Ustawy, w przyjacielskim nakreślone rymie!

Lecz za cóż go nie wołam do stolika ze mną,
Z gry objaśniać naukę, może w pismach ciemną?
Gdy mu inni te służby pomniejsze oddadzą —
A jakąż one dla mnie zakazane władzą?
Warcaby, niegdyś moja zabawko ustawna,
Za cóżem niewidziany koło was oddawna? —

O ty! dla której tajne me zapały,
Której imię pomyślić staję się za śmiały:
Tobie spokojność moję gdym przegrał w warcaby,
Odtąd już gra ta dla mnie straciła powaby! —
Nie dziw, żem toczył zawsze mniej szczęśliwe boje:
Tyś patrzyła w warcaby — ja w oblicze twoje;
I wiecznie chcąc je widzieć i tracąc na wieki,
Najdroższego oblicza będąc niedaleki,
Miotany od sprzecznego poruszeń natłoku,
Ból w sercu, w licach bladość, ogień miałem w oku.
Alem się nadaremnym nie zdradził zapałem;
Westchnienie zatłumiłem, słówka połykałem:
Bo los wynosząc ciebie między jasne rody,
Z samą nadzieją wieczne przykazał rozwody!
Ustąpię, jęki nawet z głębi nie wypadną:
Lecz pamiętam — bo pamięć nie jest mi podwładną!
Pamiętam dzień ów grania i szczęścia ostatni,
Gdyś mię i pieszki moje wpędziła do matni.

Odtąd, na wieki w jednym porzucone szyku,
Brańcy obok zwycięsców tkwią na mym stoliku.
Raz tylko śmiałem ulżyć grą długiej żałobie,
Lecz więcej grzechu tego nie pozwolę sobie;
Bo twoja oczywiście zstępująca postać,
Kazała grze poczętej nietknioną pozostać.

Franciszku! Czy litości, czyli doznam wiary,
Czy to bóstwo, czy zmysłu popsutego czary:
Z uniesieniem widzący, a niechętni badać,
Nadludzkie tobie cudo muszę wyspowiadać.
Pomnisz, jak przeraźliwych strat odniósłszy rany,
Z jej obecności, z waszej pociechy obrany,
Całe dni pustelnicza więziła mię klatka —
Wielu niespanych nocy dotrwałem ostatka.
Raz, gdy już świateł lampa konająca skąpi,
Nagle się gęstwa cieniu koło mnie rozstąpi;
Wzrok osłupiał i myśli splątały się tłumnie:
Alić jasny powietrzem anioł spływa ku mnie —
Boże! to jej twarzyczka, jak poranek blada;
Włos na szyję srebrnemi promykami spada.
Chmurka jej przezroczysta za sukienkę służy,
Czerwieniejąc u piersi obwiąskami róży —
Widziałem ją, jak ciebie oglądam na jawie,
Widziałem ją w codziennej obecną postawie;
Tylko mającą bardziej jasności do koła,
Więcej boską — bo więcej piękną być nie zdoła!
Ku stolikowi potem przyśliznęła kroku;
Spotkaliśmy się okiem, cały byłem w oku,
Sercem tak blisko serca i licem do lica,
Szczupła nas rozdzielała tylko Warcabnica.
Odtąd już wielokrotnie w przedporanne cienie,
Bóg jest łaskaw podobne zsyłać mi widzenie.
Zawżdy około warcab pobawi się zbliska,
Lecz nie chce, abym graniem zmienił stanowiska:
Snać od bóstwa sprawionych orszaków i błoni,
Dotykać skazitelnej nie godzi się dłoni.

Tak gra musiała dla mnie wszelki powab zgubić.
Franciszku, jeśli dłużej chcesz warcaby lubić:
Na spółbliźnich uzyskuj tryumfalny wianek,
Nigdy nie wyzywając do boju niebianek!
Pomnij, że kto ośmielił na Pafią dłonie,
Tydejczyk rychło zbrzydził szeregi i bronie;
A ja, com niegdyś smutki rozweselał cudze,
Teraz smutny was mijam, lub uczeniem nudzę.

DO DOKTORA S...

PRZEDSIĘBIORĄCEGO PODRÓŻ NAUKOWĄ DO AZJI

W PRZEDMIOCIE HISTORJI NATURALNEJ.

Kapłanie Eskulapa! W pogaństwo zagnany,
Szerząc cześć twego bóstwa między Aziany,
Gdy cudzoziemcom zdrowie niesiesz w upominek,
Porzucasz chorujące serduszka Litwinek.
Sam nie umrzesz z tęsknoty: bo i w obcem niebie,
W wodach, w ziemiach, znajomi powitają ciebie.
Spojrzyj na tłum, co wietrzne kraje rozwesela:
Jak król najdrobniejszego znasz obywatela,
Wiesz, swojska-li ptaszyna, czy ziem dzikich córa,
Ile wiosen przelata i gdzie złoży pióra.

Morze, straszące samym widokiem swych głębi,
Badawczego zapału w tobie nie wyziębi:
Znijdziesz pod zwierciadlaną rozeznawać tonią
Roślinki hodowane Amfitryty dłonią,
Których postać znikoma jak senne marzenia,
I kolory zmiennejsze od tęczy promienia.
Tam jest gwiazda, co tylko dnom podmorskim świta,
I latarnia przy której dumał Stagiryta:

I łódź, wiosłem żyjącem morskie tnąca szyby,
I pałasze, któremi walczą wieloryby.

Godna zazdrości podróż! Ale tam pielgrzyma
Zewsząd śmierć liczna, łatwa i niesławna ima.
Dalszych rybiego państwa nie badajmy ciemnic:
Dosyć jest dla rozumu lądowych tajemnic.
Za twem skinieniem, władco cudotwornej laski,
Trysną źródłem nauki astrachańskie piaski —
Każemy pękać górom, znijdziem w ich ciemnotę,
Zważać w kuźni natury klejnotów robotę.
Ja, bogactw niełakomy, cenię wynalaski,
W których wielkie pamiątki, choć pomniejsze blaski:
Odszedłbym od brylanty rodzącego szystu
Do geodów zamkniętych na klucz z ametystu.

Wiesz ich początek? — Między edeńskiemi drzewy,
Kiedy nasz ojciec pierwszy raz westchnął do Ewy,
Ziemia to pierworodne miłości westchnienie
Złowiła i w kosztowne zawarła kamienie.
Te prawdy, po hebrajsku zapisane w skałę,
W tajnych archiwach ziemi leżą skamieniałe.
Od Humboldta weź klucze na te alfabety,
I stań się biografem naszego planety;
Niech cię nie trwoży zmudne latopismo świata,
Z warstw ziemi, jak ze zmarszczków policzysz jej lata.
A gdzie w czasach i czynach zdarzy się zagadka,
Poradzisz się Mamuta, naocznego świadka.
Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze,
W imię Bojana wstanie i paszczę rozedrze;
Ze snów czterdziestowiecznych ten przeszłości goniec,
Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec.
Wieść nowa jako cudo, a jako świat stara,
Prawdziwa jak rachunek i dziwna jak mara.

Żegnam cię! Idź, w przeszłości załóż twe dziedzictwa,
Przypomnij matce ziemi czasu jej dziewictwa.

Mnie poetę już zamiar opanował nowy:
Ja o przyszłości z niebem wdałem się w rozmowy.
Astrologicznem okiem wyczytałem z gwiazdy,
I bliski i radosny koniec naszej jazdy.
Znowu czoło z podróżnych orzeźwiwszy znojów,
W stary Tokaj Niemeńskich przymięszamy zdrojów.
Tego królem badaczów ogłosi biesiada,
Czyje oko najpierwej dno kielicha zbada —
Gdy wszystkich nieprzyjaciół rozumu i cnoty,
Pomiędzy zaginione wliczymy istoty,
I będziem o rozjedzie, co nas dziś rozżali,
Jak o przedpotopowych dziejach wspominali.

DO ALEKSANDRA CHODŹKI.

(IMPROWIZACJA.)

Olesiu! Czemże tobie zapłacę,
Za twoje rymy odwdzięczę?
Ja duch mój wieszczy w obłędzie tracę:
Jakim cię kwiatem uwieńczę?

Ty, jako sokół nad piękną błonią
Ujrzałeś orła w polocie;
Smutny cień skrzydła samotne ronią,
Lecz w oczach jego gwiazd krocie.

Tyle jest w ustach twoich łoskotu,
Tyle w twych oczach bystrości;
Tyś pojął tajnie orlego lotu:
Sam orzeł tobie zazdrości.

Orzeł z łabędziem raz już ostatni
Może swe pienia wywodzi;

Jeszcze go orszak otacza bratni:
Lecz straszna chwila nadchodzi —

Precz żal niemęski, precz żal niewieści!
Zmienność ja nucę żałosną:
Bracia! słuchajcie dzikiej powieści!
Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki:
Który z nich w lotnym przegonie,
Gdy się sprobują, obaczą, jaki
Ma usiąść na ptaszym tronie?

Orzeł wyleciał: któż go doścignie,
Kto żagle, takie ma pierza,
Kto kiedy orła w wiatrach wyścignie,
Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk; on się rozczulił,
On królem ptaków chciał zostać;
On się pod orła skrzydło utulił,
Bo orła w locie nie dostać.

Orzeł wyleciał — lecz się zmordował,
I spadł ku ziemi i zginął;
Kolibryk w jego skrzydle się schował
Skąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada, ty latać będziesz:
Adam gdy ginie, ty żyjesz;
Na jego tronie ty kiedyś siędziesz,
Jego się blaskiem okryjesz.

Tyś go zrozumiał, ty go wysławisz,
Ty piosnkę świętą zadzwonisz,
I duszę jego światu objawisz,
I łeskę po nim uronisz.

Tak, godną łeskę nad nim uronić
Tobie zostało, mój bracie!
Tobie i piosnkę świętą zadzwonić
Po przyjaciela utracie —

1825, Wilno. Klasztor Bazyljanów.

DO MARJI P...[1]

OFIARUJĄC JEJ DRUGI TOMIK POEZJI.

Marjo, o siostro moja! — nie krewnym łańcuchem,
Aleśmy pobratani umysłem i duchem —
Gdy mi dziwactwo losu i twój wyrok wzbrania.
Równie święte a milsze powtarzać nazwania:
Choć innem spojrzyj okiem w przeminione lata,
I pamiątki kochanka przyjmij z ręki brata —

W IMIONNIKU S... B...

Minęły chwile, szczęśliwsze niestety!
Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
Kiedy mi łatwiej było o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.

Ryknęły burze, ciągłe leją słoty,
Trudno wynaleść na ojczystej błoni,
Trudno wynaleść, gdzie kwiat błyskał złoty,
Listka dla przyjaznej dłoni.

[1] Z rękopisu. P. W.

Co wynalazłem, niech tobie poświęcę!
Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z tej miary,
Iż był ten listek w przyjacielskiej ręce,
Że to ostatnie są dary.

Wilno, 1824.

W IMIONNIKU

LUDWIKI MACKIEWICZÓWNEJ.[1]

Nieznajomej, dalekiej, nieznany, daleki
Kiedy nas jeszcze losy dalej chcą rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: «Witam cię! — Bądź zdrowa na wieki!»

Tak wędrowiec, zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnej drodze przyczynić wesela;
A kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela.
Lecz nim piosnkę przypędzą echa ku jej stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochłonie —

W IMIONNIKU H. STOŁOWIŃSKIEJ.[2]

Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza,
Życie jest wąską ścieżką, łączącą dwa morza:
Wszyscy z przeszłości mglistej w przyszłość lecim mroczną.
Jedni najprościej dążą i najrychlej spoczną;

[1] Napisany na prośbę jej narzeczonego, I. C., 24 października 1824 roku w dzień wyjazdu autora z Litwy.
[2] Z autografu w Gazecie Codziennej, 1860, N. 102. P. W.

Drugich na stronę wiodą łudzące widoki:
Plony, ogrojce wdzięków i sławy opoki.
Szczęśliwi, jeśli goniąc mary wyobraźni,
Przed końcem drogi znajdziem świątynię przyjaźni!

W IMIONNIKU *.

Błogo temu, kto w twojej pamięci utonie,
Jak ten koral, lub owa jagoda perłowa,
Co ją woda Baltycka w swem przeczystem łonie
Pod lazurową barwą na wieki przechowa.

Lecz ja, jak drobny kamyk, ni krasą korali,
Ni wdziękiem perłowego dochodzący blasku,
Chciałbym choć jedną chwilkę poigrać w tej fali,
Nim zapomniany legnę w niepamięci piasku. —

W IMIONNIKU **.[1]

Ilekroć ujrzysz, jak zhukana fala
Po głębiach barką przerzuca tułaczą:
Niech się anielskie serce nie użala
Nad płynącego trwogą i rozpaczą!
Tę barkę wicher odbił od okrętu,
Na którym żeglarz swe nadzieje złożył;
Jeżeli wszystko jest pastwą odmętu,
Czegóżby płakał? o cóżby się trwożył?

[1] Z rękopisu. P. W.

Lepiej mu, pośród żywiołów bezrządu,
Walczyć co chwila z nowemi przygody,
Niż gdyby wybrnął i z cichego lądu
Patrzał na morze i liczył swe szkody.

W IMIONNIKU ***.[1]

Ku różnym stronom ściągnęliśmy dłonie,
W różnych mieszkały światach nasze myśli,
Oczy ku różnej wyglądały stronie:
Jakże, o luba, ku sobieśmy przyszli?

Jak gwiazdy różne wielkością i kształtem
Do przeciwnego wyrzucone biegu,
Kiedy je niebo jednostajnym gwałtem
Wiecznie odtrąca od każdego brzegu.

Wieczni wygnańcy z powszechnego świata,
Jestże to dla nich szkodą czy korzyścią:
Że wstręt ku wszystkim znowu je pobrata,
I że się muszą kochać nienawiścią? —

W IMIONNIKU K. RZEWUSKIEJ.

Różnym losem rzuceni na świata powodzie,
Spotykamy się z sobą, jak dwie różne łodzie;
Twoja, barwą nowotną i pancerzem lśniąca,
Bisiorem wiatry chwyta, nurt piersią roztrąca;

[1] Z rękopisu. P. W.

Moja, na woli burzy i morskich straszydeł,
Wyrzucona bez steru; ledwo z resztą skrzydeł!
Gdy jej owad tajemny nawskróś piersi porze,
Gdy gwiazdy chmurą zaszły, kompas ciskam w morze.
Rozminiem się! — I kiedyż w jednę pójdziem drogę?
Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę —

DO IMIONNIKA A. S.[1]

Słychać, że pud suwenirów pobrałeś z Rusinek,
Które ci pozyskała czułość albo sztuka;
Niechęć i przyjaźń kilka życzeń w upominek
Do sentymentalnego wpakuje sunduka.
Czy jedziesz w kraje lodów, czy na dworzec słońca,
Obyś zawsze tam jeździł gdzie ci się podoba;
Oby na twym kompasie u jednego końca
Zawsze było życzenie — na drugim żałoba.

W Moskwie, 1826.

DO MARJI SZYMANOWSKIEJ.

Na jakimkolwiek świata zabłysnęłaś końcu,
Tobie wieszcze, jak Gwebry indyjskiemu słońcu,
Chylą czoła wieńczone w nieśmiertelne liście,
I arf tysiącem twoje opiewają przyjście.
Zdziwisz się, kiedy nagle z Cherubinów chóru,
Wyrwie się jakiś odgłos nieznany i dziki

[1] Z rękopisu. P. W.

Pomiędzy tryumfalne pieśni i okrzyki.
Jako wieśniak pośrodku królewskiego dworu,
Ale śmiały i wszystkich roztrącać gotowy,
Pójdzie prosto ku Tobie i z duszą obejmie,
Królowo tonów! Ty go powitasz uprzejmie:
To Twój dawny znajomy — to dźwięk polskiej mowy.

W IMIONNIKU CELINY SZYMANOWSKIEJ.

Zaczyna się werbunek. Widzę zdala: goni
Ogromna ciżba pieszych, hułanów, huzarów,
Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów;
Chcą w albumie założyć obóz różnej broni.
Stanie się! Będę wtenczas siwym bohaterem,
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku
Ja w tej armii pierwszym byłem grenadjerem.

Petersburg, 1829.

WIZYTA PANA FRANCISZKA GRZYMAŁY.

Exegi monumentum.

Świeci się pomnik mój nad szklanny Puław dach,
Przetrwa Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach;
Ni go łotr Wirtemberg bombami mocen zbić,
Ni podły Austryak niemiecką sztuką zryć.
Bo od Ponarskich gór i bliźnich Kowna wód,
Szerzę się sławą mą aż za Prypeci bród;

Mnie w Nowogródku, mnie w Mińsku czytuje młódź,
I nie leniwa jest przepisać wielekroć.
W folwarkach łaskę mam, u ochmistrzyni cór,
A w braku lepszych pism, czyta mnie nawet dwór.
Stąd mimo carskich gróźb, na złość strażnikom ceł,
Przemyca w Litwę żyd tomiki moich dzieł.

Paryż, 1833.

VI.

ROMEO I JULIA.

(Z TRAGEDJI SHAKESPEARA.)

AKT II. SCENA II.

(Ogród Kapuletów.)

ROMEO, wchodzi.

Kto rany nie odebrał, żartuje z żelazem.

(Julja ukazuje się w oknie.)

Lecz stójmy, co to w oknie błysnęło zarazem?
To wschód słońca, a słońcem są Julii lica! —
Wnijdź o prześliczne słońce na zgubę księżyca:
Już ta bogini zbladłe odwraca jagody,
Ujrzawszy nimfę ziemską celniejszej urody.
Przestań być nimfą bóstwa zazdrosnego tobie;
Nimfy Dyanny chodzą w zielonej żałobie:
Zieloność barwa głupców. — Porzuć modne stroje!
To ona! moja pani! o kochanie moje!
Gdyby wiedziała ona, że ją kocham tyle!
Mówi, ale nie usty; zaczekajmy chwilę,
Mówi okiem; w mem oku odpowiedź gotowa.
O! zbyt chełpliwy jestem, nie do mnie to mowa.
Dwie gwiazdy, w pilnej kędyś posłane potrzebie,
Proszą oczu Julii, by raczyły w niebie

Świecić, nim gwiazdy wrócą i znowu zaświecą.
I cóż, jeśli jej oczy do niebios ulecą?
I cóż, jeżeli gwiazdy błysną śród jej czoła?
Blask Julii oblicza gwiazdy zaćmić zdoła,
Jako dzień gasi lampy; a niebo jej okiem,
Powietrzną jasność takim łałoby potokiem,
Że ptaki dzień w omylnym witałyby dźwięku.
Patrz, patrz! skronie anielskie złożyła na ręku!
Gdybym był rękawiczką, co jej dłoń okrywa,
I mógł dotknąć się lica!

JULJA.

O, ja nieszczęśliwa!

ROMEO.

Mówi! O przemów jeszcze! Tyś moim aniołem,
Ty śród cieniów północy świecisz nad mem czołem,
Jak wysłaniec niebieski, kiedy się roztoczy,
Srebrzystem skrzydłem rażąc śmiertelników oczy:
Zaledwo spojrzeć śmieją — on dosiadł obłoku,
I lekko w napowietrznym żegluje potoku.

JULJA.

Romeo! Za cóż ciebie Romeo nazwano!
Wyrzecz się ojca twego, zamień twoje miano,
Albo mi serce oddaj; gdy serce twe zyska
Julia, Kapuletów zrzecze się nazwiska.

ROMEO.

— Odpowiadać, czy słuchać?

JULJA.

Montegu! Niestety,
Nazwanie twoje tylko razi Kapulety:
Za cóż osobę twoją wliczać między wrogi?
Ty nie jesteś Montegu, o Romeo drogi!
Bo i cóż jest Montegu? Nie jest to źrenica,
Ani ręka, lub stopa, lub jaka część lica
Wrodzona człowiekowi. Montegu jest imię.
Niech je Romeo zrzuci, niechaj inne przyjmie.
Co po imieniu? Róża, choć nazwisko zmieni,
Czyliż się mniej powabnym kolorem rumieni?

Romeo, choćby cudze sobie imię nadał,
Czyliżby swoje miłe przymioty postradał?
Zguba imienia szkodzić nic może osobie.
Za to imię oddaję całą istność tobie.
Za jedno tylko imię!

ROMEO.

Chwytam cię za słowo.
Bądź moją, a ja zaraz ochrzczę się na nowo,
I nazwisko Romea rzucam precz odemnie.

JULJA.

Kto ty jesteś i po co błądzący po ciemnie
Mięszasz się w mowy cudze?

ROMEO.

O, moje kochanie!
Ukryć przed tobą muszę imię i nazwanie.
To imię własnym moim jest nieprzyjacielem,
Jeśli stało się twojej nienawiści celem;
I gdybym je napisał, podarłbym bez zwłoki.

JULJA.

Znam ciebie! Chociaż głosu twojego potoki
Ucho moje nie słyszy — oko patrzy słowy —
Tyś Romeo Montegu, znam dźwięk twojej mowy.

ROMEO.

Ani jeden ni drugi, bo nie lubisz obu.

JULJA.

Skąd, jak tutaj przyszedłeś? jakiego sposobu
Użyłeś, aby zwalczyć tak mnogie przeszkody?
Zrąb wysoki i mocny zamyka ogrody;
Wiem kto jesteś, w tem miejscu grób znalazłbyś pewny,
Gdyby się dojrzał ojciec — albo który krewny —

ROMEO.

Mury te przeleciałem na miłości piórach;
Słaba dla niej zapora w parkanach i murach.
Miłość umie wykonać, na co się odważy:
Tym sposobem uszedłem Kapuletów straży.

JULJA.

Jeżeli cię tu znajdą, legniesz z ich prawicy.

ROMEO.

Więcej niebespieczeństwa jest w twojej źrenicy,
Niż w tysiącznych ich mieczach. Spojrzyj tylko mile,
A ja oprę się wszystkich Kapuletów sile.

JULJA.

Ach! za świat bym nie chciała, by cię tu ujrzeli.

ROMEO.

Płaszcz nocy mię okryje od nieprzyjacieli.
Kochaj mię tylko, potem niech się groźba ziści.
Lepiej jest koniec znaleść w cudzej nienawiści,
Niśli w długim miłości niewzajemnej zgonie.

DON CARLOS.

(Z TRAGEDJI SCHILLERA.)

AKT I. SCENA I.

(Ogród królewski Aranjuez.)

KAROL I DOMINGO.

DOMINGO.

Zbiegły dni wesołego w Aranjuez pobytu,
Królewic nieweselszy wraca do Madrytu:
Próżnośmy tu rozrywek szukali.
(Podchodzi do Karola.)
Mój książę,
Niech się w końcu ta smutna zagadka rozwiąże!
Przed rodzicielskiem sercem odkryj twoje chęci,
Czegoż dla jedynaka ojciec nie poświęci?
Czego król nie dokaże władnemi ramiony?
Jakiż twój ślub od niebios dotąd nie spełniony?
Karolu! Byłem z tobą, widziałem w Toledzie
Kiedyś hołdownej książąt przodkował czeredzie;

Tłumy do całowania ręki twojej biegły,
Królestwa sześciorakie u nóg twoich legły;
Stałeś dumnie, młodzieńczy ogień z liców strzela,
Pierś wre królewskim duchem, wzrok pjany wesela
Oblatywał gromady. — Czytałem w tem oku:
I Karol był szczęśliwy.

(Karol odwrąca się.)

Teraz, od pół roku,
Ta nigdy z czoła twego nie schodząca chmura!
Ból w głębi zatajony, tęsknota ponura,
Której źródeł napróżno dwór stara się dociec,
Którą naród podziela. — Ach! i król twój ojciec
Niejedną noc bezsenną winien tej zagadce —
Ona niejedną łeskę wyciska twej matce!

KAROL, odwraca się z zadziwieniem.

Matce?

DOMINGO.

Książe!

KAROL, uderzając się w czoło.

O! gdybym darować był w stanie.
Temu, co ją za matkę narzucił —

DOMINGO.

Mój Panie!

KAROL, spostrzega się.

Tak — tak — bom ja z matkami nieszczęśliwy tyle!
Zaledwiem świat obaczył, w pierwsze życia chwile
Już byłem matko-bójcą —

DOMINGO.

Byłeś mimo woli;
Czyż cię dotąd grzech taki na sumieniu boli?

KAROL.

A moja druga matka — wszakżem przez nią zgubił
Miłość ojca! Mnie ojciec i tak mało lubił;
Że byłem jedynakiem, to cała zasługa:
Teraz mu drugą córkę daje matka druga —
A co się jeszcze z tego na przysłość rozwiąże,
Ciemna otchłań —

DOMINGO.

Żartujesz, żartujesz, mój książe!
Królowa, którą wielbią z zapałem Hiszpanie —
Ty nienawiści okiem miałbyś patrzeć na nię?
Patrząc na nię, na przyszłe oglądać się czasy?
Jakże? Czyliż to bóstwo, czy ten anioł krasy,
Monarchini prócz koron z samego oblicza,
Która ledwie dziś wiosnę dwudziestą dolicza,
Niegdyś twa narzeczona? — Nigdy, z żadnej miary —
Nigdy — to nie podobna — próżno, nie dam wiary!
Nie powstała w Karolu taka dzikość płocha,
Żeby się tem miał brzydzić, co świat cały kocha!
Książe! jeżeli pani dojdzie ta nowina,
Że miłością zyskała nienawiść u syna,
Czułe jej serce mocno nad tem zaboleje.

KAROL.

Jak to, skąd wiesz?

DOMINGO.

Ostatnie pamiętam turnieje.
Król kopią draśniony już był bliski szwanku:
Elzbieta pośród panien patrzyła z krużganku —
A wtem «król ranny» nieme powstają rozruchy,
W końcu aż do królowej szmer dochodzi głuchy:
«Co? książe? zawołała, ach książe!» — i zbladła,
I zaledwie z krużganku na plac nie wypadła.
Wtem, że król ranny, wieści pewniejsze dolecą;
«Król? zawołać lekarzy» odetchnęła nieco.

(Po niejakiem milczeniu.)

Zamyślasz się —

KAROL, ponuro.

Spowiednik króla, kapłan boski,
Dziwno, że na tak błahe czatujesz pogłoski;
Lecz słyszałem i dobrze w pamięci naznaczę,
Że takie słówko-łowy i gestów szperacze
Więcej broją niżeli truciznik i zbójca —
Jeżeli chcesz zapłaty, idź do mego ojca.

DOMINGO.

Książe jest za ostrożny. Słusznie, w dworzan tłumie

Niechaj będzie ostrożnym, niechaj nim być umie,
I rozróżnia, kto szczerze, a kto radzi chytrze,
Ja zawsze całem sercem —

KAROL.

Więc już po twej mitrze! —
Gdy się ojciec o twojem przywiązaniu dowie,
Już więcej na królewskiem nie polegaj słowie,
Że pierwsza w państwie mitra twych nie minie skroni.

DOMINGO.

Książe sobie żartuje.

KAROL.

A niech Pan Bóg broni!
Ja, mój straszliwy ojcze, ja żartować z ciebie,
Co rządzisz duszą ojca i możesz ją w niebie
Albo w piekle osadzić? —

DOMINGO.

Nie pragnę zuchwale
Przedzierać świętych zasłon, kryjących twe żale!
Ale wiem, że na tajne sumienia choroby
Ma kościół, matka nasza, rady i sposoby!
Ma strapionym ucieczkę i że do niej klucza
Nie mocarzom światowym, ale nam porucza.
Grzech nawet, do wieczności strącony odmętu,
Na wieki pokryć może pieczęć sakramentu.
Rozumiesz — dość mówiłem.

KAROL.

Nie mam wcale chęci
Kusić tak poważnego strażnika pieczęci.

DOMINGO.

Zawsze nieufność! — Książe — prawdziwie — nie raczy
Poznać wiernego sługę.

KAROL.

Niech sługa wybaczy — —
Świętym jesteś, niech sobie i najświętszym z ludzi:
Ale się twoja świętość nazbyt o mnie trudzi.
I tak droga szeroka, zawód oddalony,
Trzeba zajść aż do Rzymu, Piotra osieść trony:
Z tylą nowin za ciężko. — Powiedz to królowi,
Bo król przez ciebie mówił.

DOMINGO.

Król przezemnie mówi?

KAROL.

O! wiem ja bardzo dobrze! Wiem, że na tym dworze
Oddawna mię zdradzają; wiem, że w każdej porze
Tysiączne płatne oko czyny moje śledzi,
Że król zaprzedał w ręce ostatniej gawiedzi,
Zaprzedał syna swego, jedynego syna!
Że hojnie każda o mnie płaci się nowina,
Że słówko, co się kiedy z ust moich wyśliźnie,
Hojniej niżeli za krew przelaną ojczyznie — —
Ale dosyć już o tem — tak jest, dosyć o tem!
Może serce boleśnym zaranione grotem,
I tak już może nadto —

DOMINGO.

Król dzisiaj wieczorem
Napowrót w miasto z całym wybiera się dworem.
Wszystko już w gotowości, służby już zwołane;
Wasza wysokość —

KAROL.

Dobrze, dobrze, zaraz stanę.

(Sam.)

Nędzny Filipie! W jakiej dręczysz się katuszy!
Nędzny, jak syn twój nędzny! Widzę do twej duszy
Wpijającą się krwawą podejrzenia żmiję.
Nieszczęsny, jeśli twoja ciekawość odkryje
Straszne tych kazirodnych tajemnic zasłony —
Ale jeśli odkryłeś, coś zrobił szalony! —

UGOLINO.

(WYJĄTEK Z KOMEDJI.)

Dante z Wirgiljuszem zstępują do piekła. Przeszedłszy jego różne oddziały i przypatrzywszy się rozmaitym karom, spotykają Ugolina. Ten, zapytany od Dantego, opowiada mu jak był z dziećmi głodem zamorzony.

(Z PIEŚNI III.)

«Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w naród zatracenia —
Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki.
Wzniosła mię z gruntu potęga wszechwładna,
Mądrość najwyższa, miłość pierworodna:
Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją.»
Te słowa ryte na bramie czernieją,
Ich treść, o Mistrzu! jest dla mnie tajemna.

On, głosem zwykłym świadomej osobie,
Tu rzecze: z marnych wyzuj się przestrachów,
Wszystko, co podłe, niechaj zamrze w tobie;
Spuścić się mamy do wieczności gmachów,
I napotkamy tłumy niezliczone,
Wiekuistego światła pozbawione.

Rzekł — przyjacielską rękę mi podaję,
Dobrotliwemi zachęca uśmiechy.
Uczułem w sercu wzruszenie pociechy,
I wszedłem śmiało w tajemnicze kraje.
Stamtąd wzdychania, żale i okrzyki
Szumią śród nocy bez gwiazd i księżyca;
Słucham i łzami nabiegła źrenica.
Okropny hałas, tysiączne języki,
Wybuchy gniewu, szlochania boleści,
I wycie mężów i lament niewieści!

Zgiełk przeraźliwy tak rozlicznych wrzasków,
To wre naprzemian, to się społem zetrze:
Jako tumany afrykańskich piasków,
Kiedy się zerwą i zmącą powietrze.

(Z PIEŚNI XXXII, koniec.)

Gdy z miejsc okropnych szukamy przechodu,
Dwóch potępieńców ujrzałem w parowie.
Wyższy niższemu głową legł na głowie;
A jak łakomie szarpiemy chleb z głodu,
Tak on zatopił kły w ciało sąsiada,
Tam kędy czaszka do barków przypada.
Nie z takim gniewem Tydej zemstą ślepy
Menalipowej głowy gryzł czerepy,
Jak on swą zdobycz żuje i wysysa.
Człowieku, rzekłem, co paszczą tygrysa
Mścisz się nad wroga nienawistną głową,
Powiedz mi, jakie masz zemsty powody,
A ja ci moją odpłacę wymową
Kiedyś pomiędzy ziemskiemi narody,
Jeśli mię Pan Bóg żywcem stąd wydźwignie.
A język w ustach moich nie zastygnie.

(PIEŚŃ XXXIII.)

Od strawy dzikiej oderwał paszczękę
Ów potępieniec i krew z ust ocierał
Włosami czaszki, której mózg pożerał,
I mówi: «Srogie chcesz odnawiać męki;
Serce mi pęka, nim usta otwieram.
Lecz gdy ze słów mych, jak z nasion, dojrzeje
Hańba dla zdrajcy, którego pożeram,
Słuchaj: wypowiem, wypłaczę me dzieje.
Nie wiem, kto jesteś, przez jaki cud nowy
Zaszedłeś do nas; lecz po dźwięku mowy
Poznaję w tobie Włocha, Florentina:
Widzisz przed sobą hrabię Ugolina;
A ten, co teraz jest mej zemsty łupem
Zwał się Ruggieri, był arcybiskupem.

Jak mię w zdradzieckię usidlono słowa,
Jak nieostrożnie wpadłem w jego ręce:
Nie warto mówić, bo rzecz nie jest nowa.
Lecz o mym zgonie, o mej strasznej męce,
Jeśli nikt wieścią uszu twych nie skaził,
Słuchaj i osądź czy on mnie obraził?

Jest w głębi wieży podziemna pieczara,
Sławna mym zgonem; dziś może w niej jęczy
Na nowo jaka niewinna ofiara.
Tam oknem witem z żelaznych obręczy
Widziałem mnogich księżyców oblicze,
Aż mię raz we śnie przywidziana mara
Zdarła przyszłości chmury tajemnicze.
Przyśniło mi się, że biskup zawzięty
Polował wilka z małemi wilczęty,
Na owej górze, co wzniosłemi szranki
Z pizańską ziemią i Luką graniczy.
Już chudą psiarnię zemkniono ze smyczy;
Hrabia Gualandi, Sismondi, Lafranchi
Szczują na czele: zdobycz będzie łatwa.
Już wilk znużone zatrzymuje kroki;
Upada wreszcie i ojciec i dziatwa,
I widzę kłami rozprute ich boki.
Budzę się! Jeszcze noc nie zeszła z nieba,
Już moje dziatki, wspólniki niewoli,
Szlochają przez sen i wołają: chleba! —
O, jeśli dotąd serce ci nie boli,
Kiedy pomyślisz, co się we mnie działo,
I co me serce nadal przeczuwało,
Jeśli nie płaczesz: któż ci łzy wyciśnie?
Budzą się dzieci; wkrótce chwila błyśnie,
W której nam zwykle udzielano strawy;
Lecz na sen pomnąc, truchlałem z obawy.
W tem z bram więzienia łoskot mię doleci —
Zamurowano! — Spojrzałem na dzieci.
Spojrzałem z niemej wyrazem rozpaczy,
A w głębi serca czułem mróz jak w grobie.

Gwido mój mały wołał: co to znaczy?
Tak dziko patrzysz, ojcze mój, co tobie?
Nie mogłem mówić ni łzy z oczu dostać;
Milczałem — długo — aż do nocy końca.
Nazajutrz do nas zbłądził promyk słońca,
I w twarzach dzieci ujrzałem mą postać;
Natenczas z bolu gryzłem obie ręce —
Synowie myśląc, że mię głód tak pali,
Łamiąc rączęta ze łzami wołali:
Ojcze kochany, ulżyj twojej męce,
Zjedz twoje dzieci — tyś nas ubrał w ciało,
Tobie nas biednych rozebrać przystało.
Musiałem milczeć i ból w sobie morzyć —
Wkrotce i mowa w ustach nam zamarła!
Jęczyć nie śmiałem, by dzieci nie trwożyć.
O ziemio! czemuś ty nas nie pożarła!
Weszło czwartego dnia światło zabójcze,
Anzelmek mały przywlekł się pod nogi,
I rozciągniony wołał: ojcze drogi!
Ach czemu ty nas nie ratujesz, ojcze?
Wołał i skonał! — Jak mię tu widzicie,
Tak ja widziałem wszystkie dzieci moje,
Jedno po drugiem wszystkich było troje —
Wszystkie u nóg mych zakończyły życie.
Od zwłok jednego do drugiego biegłem,
Ślepy, na trupach potknąwszy się, ległem.
Dzień jeszcze siódmy do słońca zachodu
Krzyczałem z żalu, a nakoniec — z głodu,
Bo głód był jeszcze sroższy od żałości —»

Skończył i dziko wywróciwszy oczy,
Na nowo usta w krwawą czaszkę broczy,
I jak pies, zębem zgrzytając, rwie kości.

GIAUR.

UŁAMKI POWIEŚCI TURECKIEJ.

(Z LORDA BYRONA.)

JULJANOWI

NIEMCEWICZOWI

W DOWÓD GŁĘBOKIEGO SZACUNKU.

POŚWIĘCA

TŁUMACZ.

PRZEMOWA TŁUMACZA.

O wpływie Byrona na całą tegoczesną literaturę przekonywają się codzień czytelnicy, bo widzą na wszystkich utworach późniejszych barwę i piętno tego wielkiego poety. O zaletach i wadach dzieł jego tyle ksiąg napisano, że z nich możnaby ułożyć małą bibbliotekę: nie myślimy poruszać tej pleśni krytyczno-panegirycznej, głębobo już zasypanej innemi ważniejszemi polemikami.

Ale tłumacz czuł się obowiązanym powiedzieć zdanie swoje o dziełach autora pod jednym przynajmniej względem, pod względem moralnego ich charakteru i dążenia. Wiadomo, iż Byrona oskarżano o bezbożność i anti-socjalizm; zarzucano mu, że występnych ludzi wybierając na bohaterów swoich pieśni, robił niejako apoteozę zbrodni; Fryderyk Schlegel nazwał go emisarjuszem szatana, a wszyscy zgodzili się, że był apostołem sceptycyzmu.

Wszakże, jeśli sądząc dzieła pod względem sztuki, krytycy zwykli je odnosić do wieku, w którym wzięły początek, porównywać z dziełami spółczesnemi i późniejszemi. Należałoby równą zachować metodę, oceniając moralny charakter autorów.

Byron był dzieckiem przeszłego wieku; wszedł na świat w epoce moralnej, najnieszczęśliwszej dla człowieka, dla poety. Właśnie wtenczas spadała zasłona po pierwszym akcie rewolucji. Straszna walka piśmienna i słowna przeciętą została

gilotynami i zagłuszona grzmotem wojny europejskiej. Stronnictwa, osłabione wzajemnym mordem, ustąpiły z placu boju; niedobitków Napoleon rozbroił i wziął na kagańce. Wszystko ucichło. Był to czas dziwnego otrętwienia; o tych wielkich pytaniach, które świat zaburzyły, lękano się już mówić — zaprzestano myśleć. Dzieła wszystkie ówczesne noszą cechę trwogi umysłowej i moralnego upadku. Są to niby rozmowy winowajców zamkniętych w więzieniu, którzy wstydzą się wspominać przeszłości — bo haniebna, boją sie pomyśleć o przyszłości — bo okropna, i bawią się gawędką o pogodzie i deszczu.

Dusza Byrona nie mogła żyć śród takiej literatury; gwałtem wyrywała się za jej sferę. Młody autor, prześladowany od krytyków, ścigał ich wzajem, a z krytyków sądząc o czytelnikach, zaczął lekceważyć całą publiczność. Po tej kłótni autorskiej z literatami, nastąpił rozbrat moralny z ludźmi, którego szczegóły należą do biografji.

> Zalśniony gniewem, złorzecząc obłudzie,
> Choć znał, zapomniał, że są lepsi ludzie.
>
> (Korsarz.)

Odtąd zdało się Byronowi, że człowiek z sercem nie może żyć w towarzystwie, że musi uciec od świata lub mścić się nad nim. Odtąd bohaterów swoich, dzieci duszy swojej, wychowywał na pustyni lub w jaskiniach łotrów.

Ale dzieci Byrona nie są to pospolici zbrodniarze, nie zimni egoiści albo szaleni fanatycy, zakochani w swojej przewrotności i głupstwie. Poeta zostawia im jedną przynajmniej cnotę, jedno szachetne uczucie, które ich mimowolnie z rodzajem ludzkim wiąże, które nie pozwala im pogrążyć się w zupełną moralną ciemność i świecąc na dnie sumienia, tem wyraźniej daje widzieć wszystkie jego szczerby i plamy. Ludzie Byrona mają sumienie: i tu jest główna różnica między naszym autorem i pisarzami przeszłego wieku. Przeszły wiek był sofistą: a więc nie znał różnicy złego i dobrego, ćwiczył się tylko w rozumkowaniu i za cel sobie położył, ze wszystkiego wytłumaczyć się a raczej wygadać. Typem przeszłego wieku

jest Panglo[1] Woltera. Ten Panglos, francuski Job, w największem spodleniu moralnem nie traci dobrego humoru; walając się w śmieciach i wypluwając zęby, zawsze pyszni się i cieszy się, że był i jest filozofem. Ludzie Byrona gardzą taką sofisterją: czują, że są winni, cierpią; duma tylko nie dozwala błagać im przebaczenia, a czytelnik czuje, że do poprawy brak im tylko — czasu, bo wszyscy zbyt rychło giną. Czytelnik pewny jest, że ani Giaur, ani Korsarz, ani nawet Don Juan nie skończyliby jak Panglos albo Foblas.

I sceptycyzm Byrona różny jest od tej obojętności na wszystko, co jest wysokie i piękne, od tej zwierzęcej nieczułości, którą sofiści ochrzcili sceptycyzmen, a która jest tylko dobrowolną głucho-ślepotą. Cała filozofja przeszłego wieku dążyła do tego, ażeby ludzi już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawd wyższych i zasadniczych; ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne, albo niewarte dochodzenia. Byron pierwszy z poetów nie dał się zaspokoić taką sofistyczną kondemnatą myślenia i uczucia. Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkiemi trudnościami dogmatów i tradycji, klął i dąsał się jak Tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy: ależ mu brakło równie jak jego bohaterom — czasu! Może dla tego tylko nie sprawdziła się przepowiednia Waltera Skota.

Nie był tedy Byron kontynuatorem przeszłego wieku: owszem powiedzieć można, że ruch umysłowy dążący ku sofisterji, on jeden na drodze literatury zatrzymał i wstecz zawrócił. Odgłos powszechny nazwał Byrona Napoleonem poetów; również Napoleona uznano za jedynego poetę Francji. Wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka, któraby jedno z tych bereł dźwignąć mogła!

Uważano, że w dwojakim sposobie sceptycyzm ukazuje się na świecie: raz jako mrok wilgotny i zimny, wróżący

[1] Po polsku: Wszystkomowny, albo Najjęzyczliwszy.

noc długą; drugi raz jako to chwilowe ściemnienie porankowe, połączone z powiewem orzeźwiającym, które zapowiada dzień. Byron wyobraża tę drugą epokę sceptyków, niepewnych w swojem dążeniu, ale pełnych ducha i szczerości.

Paryż, 1835.

PRZEDMOWA AUTORA.

Rozerwane ułamki niniejszego poematu składają powieść o smutnych losach branki muzułmańskiej, która za niewierność ukaraną została sposobem tureckim, utopiona w morzu, i której zgonu pomścił się kochanek jej, młody Wenecjanin. Zdarzenia podobne trafiały się dawniej często na Wschodzie; teraz rzadsze. Może kobiety muzułmańskie nauczyły się więcej ostrożności, może chrześcianie mniej są teraz pochopni do śmiałych przędsięwzięć miłosnych i mniej w nich szczęśliwi. Zdarzenie, które jest treścią naszej powieści, odnieść należy do owych czasów, kiedy wyspy Jońskie ulegały panowaniu Rzeczypospolitej Weneckiej; kiedy Arnauci, na chwilę wyparci z Morei, znowu, po bezskutecznem wtargnieniu Moskali, zaczęli ją plądrować. Wiadomo, że odstrychnienie się Majnotów, obrażonych tem, że im zabroniono Mistrę rabować, ściągnęło nowe klęski na Grecję. Kraj ten stał się naówczas teatrem okrucieństw, których przykład trudno znaleść, nawet w dziejach prawowiernego ludu muzułmańskiego.

noc długą; drugi raz jak
rankowe, połączone z
powiada dzień. P
niepewnych w
rości.

Paryż,

GIAUR.[1]

Umilkły wiatry; ciche lśnią się fale
Przy grobowcowej Temistokla skale,
Która wyniosłem niebo czołem bodzie
I z góry patrząc na morza i smugi,
Najpierwsza wita lądujące łodzie.
Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

Wyspy szczęśliwe, w każdej porze roku
Zarówno miłe i sercu i oku!
Gdy was przychodzień z gór Kolonny wita,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta,
I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.
Tu szklanne morza cichego oblicze,
Na falach drobnych, jak uśmiechu dołki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki
Strzegące brzegów, z któremi łagodnie
Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.
Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliźnie,
I złamie szyby na modrej płaszczyźnie,
I kwiecie z brzegu przyniesione miota:
Jakaż w tym wietrze wonia i pieszczota!
Tam, na skał wierzchu, u ścieku poników,
Błyszczy się róża, sułtanka słowików;

[1] W układzie strof zastosowaliśmy się do wydania angielskiego dzieł Lorda Byrona p. John Murray, 1859 roku. P. W.

Jej brzmią pochwały kochankowie leśni,
Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.
Śliczna i skromna, królowa ogrodów,
Nie tknięta wichrem, nie zwiędła od chłodów,
Nie znając naszych zim niebespieczeństwa,
Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.
Balsamy, których niebo jej udziela,
W wonnych kadzidłach ku niebu odstrzela;
Niebo wzajemnie codzień jej użycza
Swietnych kolorów swojego oblicza.
Tam w polu tyle jest kwiecia dla wianków,
Tam w lasach tyle cienia dla kochanków,
Tam groty dla nich ciosane umyślnie! —
Dziś morski zbójca w te groty się ciśnie,
I nocą z małej czatuje galery
Na bespiecznego żeglownika stery.
Skoro miesięczna zabłyśnie pochodnia,
Zabrzmi gitara morskiego przechodnia —
Zbójca swój rudel zaraz na głąb' pędzi:
Zakryty cieniem nadbrzeżnych krawędzi,
Zahacza statek, zdobycze rozdziela:
Wrzask konających mięsza pieśń wesela.
Dziwna! Gdy kraj ten Natura obrała
Na ogród Bogów, i hojnie nań zlała
Tyle bogactwa, piękności tak wiele,
Jakby we własnem zakochana dziele:
Dziwna, że dzieła własnego się zrzeka!
I dziś Natura wpuszcza tu człowieka,
Który, odwieczny miłośnik zniszczenia,
Ogród Edeński na nowo wyplenia —
I jako leśny dzik, kwiecie wytłacza,
Niepokropione znojami oracza,
Ani znające ręki ogrodnika;
Tu kwiecie samo do koła wynika;
Za tyle wdzięków, za taką obfitość
Uprasza tylko człowieka o — litość.
Dziwna! Tu ziemia oddycha pokojem:
A serce ludzkie chucią i rozbojem!

Czyż kraje światła na nowo ogarnie
Noc namiętności rządzących bezkarnie? —
Patrząc, myśliłbyś, że tu zbuntowani
Wojsko aniołów zwalczyli szatani.
I cherubinów trony dziś przywłaszcza
Tłum, który piekieł wyzionęła paszcza.
Tak śliczny kraj ten, ojczyzna roskoszy;
Tak brzydki Tyran, co go dziś pustoszy! —

Kto na śmiertelnem oglądał posłaniu
Piękne oblicze zaraz po skonaniu,
Nim dzień przeminął — pierwszy dzień nicestwa,
Ostatni trudów i bolów jestestwa —
Nim śmierć ostatniem przyciśnieniem ręki,
Zgładziła rysy, gdzie chronią się wdzięki:
Kto pomni twarz tę anielsko-łagodną,
Tak zimno piękną, tak smutnie pogodną!
Zda się w letargu zasypiać głęboko?
Zda się być żywą — gdyby nie to oko!
Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność,
Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność,
I straszy widzów i serca im studzi,
I z oczu trupa wpada w serca ludzi —
Gdyby nie wzrok ten, nim pierwszy dzień minie —
Nim ta godzina — w tej jeszcze godzinie
Smierć tak łagodnie, niewidomie władnie,
Że jej tyraństwa nikt zrazu nie zgadnie!
Dziś do tej twarzy Grecya podobna:
Martwa oddawna, lecz dotąd nadobna.
Jej widok ziębi, jej wdzięk do łez wzrusza,
Bo już piękności nie ożywia dusza.
Jej wdzięk jest tylko uśmiech pozostały
Na chwilę w ustach, co ducha oddały.
A jej rumieńca chorowita krasa,
Która na trupich licach nie zagasa,
Ostatni odblysk zachodnich promieni,
Co się w około ruiny czerwieni,

Ostatnie czucie bo żegna nadzieję,
Iskra niebieska, która dotąd tleje,
Lecz już swej miłej ziemi nie rozgrzeje.

Ojczyzno mężów nieśmiertelnej chwały!
Każda dolina, każdy wierzch twej skały,
Jakże pamiętne! — Bo każde z nich było
Kolebką swobód lub sławy mogiłą!
Arko potęgi! Dziś, czyliż tak mało,
Czyż tylko tyle po tobie zostało? —
Wstań niewolniku podły, wstań na chwilę,
Powiedz: ten wąwoz czy nie Termopile?
Ty, z duchów orlich wyrodzony płazie
Na Leonida gnieżdżący się głazie,
Przypomnij, nazwij tych opok wyżyny,
Zatokę, wyspy: — wyspy Salamini!
Powstań! Te dawnę zapomniane boje
Odnów i przywłaszcz: to dziedzictwo twoje!
Z popiołów przodków, może wróg rozdmucha
Iskrę, zarodek ich wielkiego ducha.
A kto z was w boju żywota dokona,
Wliczy swe imię pomiędzy imona,
Na których wzmiankę pochlebstwem pijani
Zwykli się trzeźwić, zwykli drżeć tyrani.
Kto z was ojczyzny z więzów nie wybawi,
Zginie — lecz tyle synom swym zostawi,
Sławy, nadziei — że staną się zdolni
Rozerwać jarzmo i umierać wolni!
Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna;
Sto razy wrogów zachwiana potęgą,
Skończy zwycięstwem. — Grecya jest księgą,
W której wiekami stoi wypisano:
Że klęska wolnych jest świata wygraną.
Królowie, sławę kupując u cieśli,
Gdzieś bezimienne piramidy wznieśli:
Wolni, nie dbają, chociaż czasu fala
Wszystkie grobowce i pomniki zwala;

Większe pomniki zostały nad niemi:
Zostały góry ich ojczystej ziemi.
Tam muza oczom przechodniów ukaże
Groby swobodnych, wolności ołtarze. —
Długoby mówić, przechodzić okropnie
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie;
Dosyć jest wiedzieć: że nikt nie zagrzebie
Ducha swobody — chyba on sam siebie!
Bo własne tylko upodlenie ducha
Ugina wolnych szyję do łańcucha.

Mieszkańcy ziem tych! Macież wy powieści
Dawnym podobne i whichby treści
Natchnęły muzę do polotów szczytnych,
W ślad muzy Greckiej wieków starożytnych,
Gdy ludzie byli ziemi swojej godni?
Dziś, oni pełną z kolebek w mogiły —
Z ognistą duszą, coby mogła siły,
Natchnąć do dzieła godnego pomników,
Dziś, oni pełzną z kolebek w mogiły —
Niewolni — gorzej: słudzy niewolników,
Zmazani całą szkaradą, co brudzi
Niewiele wyższych nad zwierzęta — ludzi.
Nie mają nawet tej dzikich odwagi,
Piersi, gotowej przyjąć oręż nagi:
Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa
Z nowym towarem — stare oszukaństwa:
W tem tylko widać Greków dowcip dawny
I z tego tylko Grek na wschodzie sławny!
Daremnie wolność tylekroć zaklina,
Aby skruszyli jarzmo poganina,
By kark podnieśli zgięty łańcuchami —
Nie, Grecy — nie mam litości nad wami! —
Przecież z Grecyi wziąłem te powieści,
Z czasów niedawnych i żałosnej treści.

Zdala, śród morza pogodnego błyska,
Szybko pod cienie nadbrzeżne się wciska
Statek. Rybacy poznali z obrotów:
Że to piratów statek lub majnotów:
Chcą z barką swoją w cieniach się przewinąć,
I brzeg niepewny zdaleka ominąć.
Choć im trud dzienny osłabił ramiona:
Choć rybim łowem barka przeciążona:
Silnie wiosłują, rudel krzywią w stronę
Aż dopłynęli do Porto-Leone,
Gdzie ich noc czeka, noc prawdziwie godna
Kraju wschodniego: cicha i pogodna.

Kto tam grzmi konno po skalistej drodze?
Wygięty naprzód, na wiatr puścił wodze:
Kopyt tententy jak grzmoty po grzmotach
Wciąż budzą echa drzemiące po grotach.
Koń jak kruk czarny, a na bokach piana,
Jak gdyby świeżo z morza zszumowana.
Wieczór już uśpił fale morskich toni,
Ale nie serce tej dzikiej pogoni.
Groźnie na jutro niebo się zachmurza,
Ale groźniejsza w sercu Giaura burza.
Nie znam cię, rodu twego nienawidzę:
Ale w twych licach takie rysy widzę,
Które w pamięci kiedy się raz wrażą,
Z czasem się głębiej werżną, lecz nie zmażą.
Tyś młody, blady, lecz namiętne bole
Gorzały długo na tem smagłem czole.
Złe oko twoje, choć mię nie urzekło,
Choć jak meteor błysnąwszy uciekło:
Zgadłem, że Turek takiego człowieka
Powinien zabić — lub niech sam ucieka.

Tam — tam — poleciał. Śladem jego biegu
Szły mimowolnie oczy me wzdłuż brzegu.

A chociaż z taką szybkością prześcignął,
Choć jak latawiec tylko w oczach mignął:
Jego wzrok, jego twarz nakształt pieczęci
Wciśnione czułem w głąb' mojej pamięci.
I długo w uchu kuk kopyt słyszałem
Czarnego konia lecącego cwałem.
Spiął ostrogami, wbiegł na wierzch opoki
Ocieniającej głębinę zatoki;
Obleciał wkoło, znowu na dół gonił,
Skałą od moich oczu się zasłonił.
Zgadłem dla czego. Temu, co ucieka,
Jest obrzydliwą źrenica człowieka;
On najpiękniejsze na niebiosach gwiazdy
Klnie, że zdradzają ścieżki jego jazdy.
Zbiegając z góry, nim konia nawrócił,
Spojrzenie straszne, jak ostatnie rzucił.
I wybiegł znowu, znowu w górę skoczył,
Wtem, nagle stanął, konia w bok zatoczył,
I patrzy z góry, na strzemionach staje —
Czegoż on patrzy, tam, w oliwne gaje?
Księżyc na nowiu wschodzi z za gór grzbietów,
Błyszczą nad miastem lampy minaretów,
W mieście wre teraz Bajramu uciecha.
Tu, choć nie dojdą ni wystrzałów echa,
Ni muzułmanów pobożne okrzyki:
Przecież błysk widać każdej tofaiki.
Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu —
Dziś. — Lecz ty Giaurze, kto jesteś? Co znaczy
Twój ubiór obcy i twój wrzok rozpaczy?
Co cię obchodzi Bajram? Po co czekać
Naszego święta lub przed niem uciekać? —

On stał. Wtem, nagły strach lica mu ścisnął,
I strach ten nagle wściekłością zabłysnął.
A blask ten nie był jak rumieniec nikły
Gniewów, co wschodzić i przemijać zwykły:

Ale jak bladość marmurowej bryły,
Powiększająca ciemnotę mogiły —
Brwi nasunione, osłupiałe oko.
Wtem rękę dźwignął i podniósł wysoko,
I na wiatr miotał, jakby groził gniewny.
Stał: czy uciekać czy gonić, niepewny;
A wtem koń zarżał niecierpliwy zwłoki,
I rżenie echem odbiły opoki.
Giaur za miecz porwał i szczęk rękojeści,
Wybił go nagle z tej niemej boleści,
Jak zbójcę budzi krzyk sowy złowrogi.
Znowu koniowi w bok wraził ostrogi:
Dalej, w cwał koniu, tu idzie o życie! —
Znowu koń czarny zagrzmiał po granicie.
Chyży jak dziryt, leci wzdłuż zatoki,
Dalej ku morzu, wpadł między opoki.
Nie widać twarzy, znikła strusia kita;
Na chwilę grzmiące ucichły kopyta.
Raz tylko wstrzymał rumakowi wodze,
I nieruchomy, chwilę stał na drodze,
Chwilę; i znowu opoka zabrzmiała:
Giaur poleciał jakby go śmierć gnała.
Straszna to chwila, w której duch rozkręci
Za jednym razem cały zwój pamięci,
I w jednę drobną kroplę czasu zleje
Życia bolesne i zbrodnicze dzieje!
Kto nienawidzi, kocha się, lub boi,
Temu za piekło jedna chwila stoi.
Cóż on czuł wtenczas, gdy trapiące duszę
Wszystkie od razu wycierpiał katusze?
Chwila spoczynku, śród potoku zdarzeń,
Kto zliczy ile mieści wyobrażeń?
Bo choć dla czasu zdaje się nicością:
Ona dla myśli jest całą wiecznością.
Bo nieskończone, niezmierne cierpienie,
Może w myśl jedną zgromadzić sumienie,
I w jednej chwili wycierpieć od razu
Bole bez końca, nadziei, wyrazu!

Przeszła godzina. Giaur jak cień przeminął.
Uciekł? czy zginął? czy sam tylko zginął? —
W czarnej godzinie przybył, jak zesłana
Od niebios kara za grzechy Hassana;
Przyszedł i smętarz zrobił z Baszy domu;
Przyszedł i odszedł, jak wicher Symomu,
Co wieje bożym obciążony gniewem,
I za którego śmiertelnym powiewem
Cyprys umiera, choć jest śmierci drzewem,
Choć wiosną nawet nie zrzuca żałoby —
Jeden, co wiernie opłakuje groby!

Nie masz rumaków na stajniach Hassana,
Komnata jego od sług odbieżana:
Pająk samotnik, na ścianach się czepia
I szpary szarym całunem zasklepia.
W twierdzy Hassana nie widać żołnierzy;
W jego haremach gniazdo nietoperzy:
Zamiast strażnika, puszczyk krzyczy z wieży.
W ogrody czasem dziki pies przybieży,
Spragniony wyje na suchą fontanę —
Stoją wód łoża z marmura usłane,
Lecz owdowiałe — bo zdroje wymarły.
Zielska się dzikie na dnie rozpostarły.
Niegdyś, jak wdzięcznie fontanny tu grały,
Łagodząc nieba wschodniego upały;
Niegdyś, tryskając srebrnej rosy tęcze
I fantastyczne wirując obręcze,
Roskosznym chłodem rzeźwiły do koła
Powietrze, ziemię i spragnione zioła.
Jak było mile, blaski gwiazd pogodnych
Widzieć odbyte na tych łukach wodnych,
Słuchać muzyki tych szemrań łagodnych! —
Tu często Hassan w niemowlęcym wieku
Bawić się lubił u kaskady ścieku;
Tu drzemiącemu w matki swej objęciu,
Piastunka woda śpiewała dziecięciu.

Hassan młodzieniec na te wodotryski
Poglądał, siedząc obok Odaliski,
I śpiew jej milsze zdawał się mieć tony,
Gdy był od szmeru kaskad nastrojony.
Lecz Hassan stary nigdy sennej skroni
Wieczorem u tej kaskady nie skłoni.
Z marmurów woda uciekła chłodząca,
Z serca Hassana wyszła krew gorąca.
Tu nie usłyszysz już głosu człowieka;
Nikt się nie śmieje, nie klnie, nie wyrzeka.
Ostatni ludzki głos echem odbity,
Był to krzyk na śmierć ciągnionej kobiety.
Głos skonał. Odtąd milczą te pałace;
Wiatr tylko oknem otwartem kołace.
Lecz choć wiatr szumi, choć się nieba chmurzą,
Już tu nikt okna nie zamknie przed burzą.
Cieszy się pielgrzym, gdy w stepach odkryje
Ślady na piasku, chociaż nie wie czyje;
Tu gdyby ludzki jęk odbiły echa,
W jęku tym jakaś byłaby pociecha,
Ten jęk by mówił: — nie wszystko skonało,
Jedno tu życie ludzkie pozostało! —
Jeszcze w tych gmachach znalazłbyś wspaniałe
Izby i sale puste, dotąd całe;
Dach jeszcze cały, chociaż ząb zniszczenia
Roztacza ciągle ściany i sklepienia:
Lecz zgroza siedzi przed bramą na straży,
Sam Fakir do wrót zbliżyć się nie waży;
Derwisz ubogi nie przestąpi progu
Za chleb i za sól podziękować Bogu;
Nędza i zbytek uchodzą na stronę
Niepowitane i nieugoszczone.
Pałac, gościna wiernego narodu,
Stał się jaskinią zniszenia i głodu.
Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana,
Od czasu gdy miecz Giaura ciął w turban Hassana.

Słyszę dźwięk zdala końskiego kopyta.
Jadą podróżni, lecz mię nikt nie pyta —
Już bliżej: Turcy — już widzę turbany
I w srebrem kutych pochwach atagany.
Wódz ich na przedzie w bogatym zawoju,
Zapewne Emir, bo w zielonym stroju.
Ho! kto ty? — Salem! Waszej jestem wiary.
Emirze, widzę że wieziesz towary;
Widzę, że wóz twój jest ciężko ładowny —
Ostrożnie wieziesz: musi być kosztowny.
Może do portu śpieszysz dla noclegu?
Jestem przewoźnik: mam łódkę u brzegu.

«Zgoda, rzekł Emir, pośpieszaj, czas nagli.
Odbijem cicho; nie rozpinaj żagli,
Niech leżą zwite; wiosłami uderzaj,
I szybko, cicho, po nad brzegiem zmierzaj,
I wieź nas prosto, pomiędzy opoki,
Tam, na sam środek najgłębszej zatoki —
Teraz odpocznij. Dobre masz ramiona:
Podróż i zręcznie i prędko skończona.
Lecz ona — zacznie podróż dalszą, z której —»

Rzucili w wodę —
Ciężko plusnęło i powoli tonie,
Rozstąpiły się w koło szklanne błonie.
Zważałem ciężar: dziwnie mi się zdało —
Ruszył się — pewnie morze nim ruszało.
Może to było księżyca błyśnienie,
Nagle odbite o morza przestrzenie?
Patrzyłem ciągle: i wodne obręcze,
W mniejsze i węższe ściskały się tęcze,

Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna;
Nakoniec w środku: wyszła bańka wodna,
Perłowe kółko — błysnęło — przepadło —
Znowu zatoka gładka jak zwierciadło.
I tajemnica usnęła w topieli.
Geniuszowie morscy ją widzieli:
Lecz drżąc z przestrachu w swych domach z korali,
Nic o tem z żadną falą nie gadali.

Jak król motylów, za wiosny powrotem,
Na skrzydłach jasnych purpurą i złotem,
Z nad szmaragdowej kaszemiru błoni
Wzlatuje, dzieci wabiąc do pogoni,
I z ziół na zioła i z kwiatów na kwiaty
Ciągnie myśliwców i myli ich czaty —
Wreszcie uleci i niknąc w obłoku
Zostawia żałość w sercu i łzy w oku;
Podobnie piękność wabi starsze dzieci,
Tak bystro lata i tak wdzięcznie świeci —
To łowców trwoży, to nadzieją mami:
Gonią wesoło — łowy kończą łzami.
Lecz jeśli w ręce myśliwemu wpada,
I motylowi i piękności biada!
Chcąc uciec, darmo skrzydełka natęża;
Igraszka dziecka, lub ofiara męża.
Cacko, za którem żądza chciwie goni,
Straciło urok gdy je mamy w dłoni;
A gdy wdzięk barwy i świeżość przeminie,
Rzucim, niech leci — lub samotnie ginie.
Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,
Czyli ofiarom swobodę zostawisz?
Motyl odartem skrzydełkiem, czyż może
Latać jak dawniej z fiołków na róże?
Z pięknością w jednej uwiędłą godzinie,
Czyż razem pokój na wieki nie zginie?
Zgraja motylów, co pod niebem lata,
Nie szuka w dole zranionego brata:

Płeć piękna dla nas ma litości tyle!
Lecz dla płci własnej ma serce motyle.
Piękność nad każdem nieszczęściem łzy leje:
Nad siostr upadkiem — tylko się zaśmieje.

Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem
Jest jak skorpion opasany żarem.
Krąg coraz mocniej zwęża się i błyska
I więźnia coraz gwałtowniej dociska,
Aż gdy go zewsząd, na wylot przepieka,
Skorpion cierpi, dąsa się i wścieka.
Jeden mu został sposób wyjść z pożogów:
Ma żądło, które wyostrzył na wrogów,
Które trucizną pewną rany poi;
Jeden ból zada i wszystkie wygoi:
To żądło więzień topi w głowie swojej.
Podobnie dusza zła kona w cierpieniach,
Lub żyje jako skorpion w płomieniach;
Bo kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni,
Światu niezdatni, a nieba niegodni,
Rozpacz nad nimi, pod nimi noc gruba,
W koło płomienie — a w pośrodku zguba!

Ponury Hassan z haremu ucieka.
Pieszczot, widoku kobiet się wyrzeka.
On w lasach trudy myśliwców podziela,
Ale nie może dzielić ich wesela.
Dawniej polować nie miał we zwyczaju,
Póki Leila mieszkała w seraju.
Dziś czy Leila uszła? czy nie żyje?
Hassan wie tylko, lecz sam w sobie kryje.
Różne powieści krążą między gminem:
Słychać, że uszła z Wenecyaninem.

W dzień Ramazanu, gdy zapadło słońce,
A z minaretów jasnych lamp tysiące
Bajram na całym obwieściły wschodzie,
Leila poszła kąpać się w ogrodzie,
I nie wróciła — szukano daremnie.
Mówią, że z Giaurem zeszła się tajemnie,
Wsiadła z nim na koń za pazia przebrana
I w noc Bajramu zbiegła z państw Sułtana.
Oddawna Hassan miał ją w podejrzeniu:
Ale w jej oczach i w jej uściśnieniu
Tyle wyczytał miłości i wiary,
Że znowu brance zaufał pan stary.
Wieczorem poszedł w meczet na pacierze,
I w noc Bajramu jadł w kiosku wieczerzę.
Tak powiadali czarni niewolnicy,
Niewierni pańskich haremów strażnicy.
Lecz inni głoszą, że gdy padł mrok szary,
Przy bladem świetle wschodzącej Fingary,
Widziano Giaura na czarnym rumaku
W cwał lecącego po nadbrzeżnym szlaku
Z cuglem spuszczonym, skrwawioną ostrogą;
Lecz nie wiózł panny, ni pazia, ni kogo. —

Oko jej czarne: i któż się ośmieli
Wzrok ten malować? te oczy gazeli
Wielkie i słodkie, ciemne i błyszczące!
Dusza z nich mówi przez iskier tysiące,
Które ze źrenic lecą przezroczystych,
Jako z Dżemszyda rubinów ognistych.
Dusza z nich mówi! Wbrew słowom proroka:
«Że postać niewiast jest ziemi powłoka»
Allahu, dusza mówi z tego oka! —
I choćbym, w drodze ku lepszemu światu;
Przechodził ostre mosty Alzyratu,
Wisiał nad piekła ognistym potokiem
I cały rajski ogród miał przed okiem —

I w nim wabiące hurysy dziewice,
Powiem: kto widział Leili źrenice,
Ten Alkoranu nauk nie usłucha!
Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?
Jest cackiem, z którem bawi się mężczyzna? —
Niech na nię spojrzy sam Mufty, a wyzna,
Że nieśmiertelność wygląda z jej źrenic!
Na jej obliczu cudowny rumieniec
Wiecznym i świeżym błyszczy się szkarłatem,
Jakby granatów posypany kwiatem.
Jej włosy jako hijacynty płyną.
Gdy okolona rówiennic drużyną,
Stanie nad wszystkie głową wyniesiona,
I da warkoczom płynąć przez ramiona:
Włosem zamiata ślad swój na marmurach —
Ślad nóżki bielszej, niśli śniegi w górach,
Kiedy z rodzinnych obłoków wylecą
I ziemią jeszcze nieskalane świecą.
Jako monarcha ptaków Frangestanu
Łabędź, podnosi głowę z oceanu
I pysznie skrzydłem uderza po fali
Skoro dostrzeże podróżnika w dali:
Z taką powagą ona zwraca głowę,
I śnieżne ramię i piersi perłowe,
I z taką piękną dumą wzrokiem miota.
Gdy na nią oczy śmie zwrócić pustota,
Cofną się, blasku wytrzymać nie mogą:
Pochlebiać chciały — upadają z trwogą.
Jak była oczom piękną Gruzyanka
Tak miała serce czułe dla kochanka.
Kochanka? — Któż jej kochanek? — Hassanie,
Ty nim nie jesteś, dziki muzułmanie! —

Ponury Hassan dał rozkaz podróży.
Oddział wasalów, co mu w dworcu służy,
Jak orszak i straż pojedzie za panem:
Każdy z janczarką, z łukiem, z ataganem.

Sam Hassan zbrojny, jedzie na ich czele.
Zwiesił na pasie krzywą karabelę,
Wypróbowaną na Albańskich głowach —
Kiedy raz zbójców napotkał w parowach
I tak rozgromił muzułman zwycięski,
Że ledwo kilku uszło z wieścią klęski.
Za pas dwa zatknął bogato oprawne
W perły i złoto, pistolety sławne:
Hassan przed laty dostał je od Baszy,
Ich widok zbójców i wabi i straszy.
Mówią, że Hassan jedzie pojąć żonę,
Pocieszyć znowu serce zakrwawione
Zdradą Leili, co uszła z haremu,
I dziś, o zgrozo! służy niewiernemu.

Ostatnim blaskiem zachodniego słońca
Złocą się góry i kaskada grzmiąca,
Żywiona czystym i świeżym gór śniegiem.
Tu często kupiec Grek staje noclegiem,
Znajdując pokój w ustroniu głębokiem
Pewniej, niż w mieście pod swych panów bokiem.
Tu się nie lęka o całość swej skrzyni:
W miastach niewolnik, wolny na pustyni;
Tu wesół, spróżnia czaszę pełną wina,
Którem się brzydzą usta moslemina.

Najpierwszy jedzie Tatar wódz orszaku,
Zdaleka widny po żółtym kołpaku;
Opodal konni ciasną jamy szyją
Po krętej ścieżce na skałę się wiją.
Nad nimi sterczą w górę czarne szczyty,
Gdzie sępy ostrzą dzioby o granity,
I lecą na dół; już zwietrzyli łupy:
Nim zajdzie słońce, będą świeże trupy.

U spodu rzeka, która w zimie bucha
Ogromną wodą, a w upały sucha,
Nagie i czarne łono swe odsłania,
I kilka kaskad srebrzystych pochłania.
W około ścieżki kawały granitu
Leżą bezładnie, strącone ze szczytu:
Czas je pospychał, albo zbiły gromy.
Wierzch skały niknie we mgle niewidomy.
Bo żaden z ludzi czoła Liakury,
W pogodę nawet, nie widział bez chmury.

Już w gaj wjechali, i po kilku chwilach
Dojdą wierzchołka; już krzyczą «Bismillach!
Tu już bespiecznie, stąd już widać błonie;
Wkrótce w dół zjedziem, na wiatr puścim konie.»
Gdy Czausz tak mówił — ogień z góry błysnął,
Nad uchem ołów niewidzialny świsnął:
Tatar przewodnik wyleciał z kulbaki.
Ledwie czas mają zatrzymać rumaki:
Skoczyli z siodeł, jańczarki odwiedli —
Ale trzech spadło pierwej niśli zsiedli —
Z rąk niewidzialnych rany odbierają
I ginąc, darmo o zemstę wołają.
Dobyli szabel, na rumaków karkach,
Na odwiedzionych wsparli się janczarkach,
Na pół wciśnieni między końskie boki;
Inni uciekli pod ścianę opoki,
I tam ręcznego czekają spotkania,
Nie lubiąc służyć za cel do strzelania
Wrogom, co bronią niewidzialną rażą,
A wstępnym bojem spotkać się nie ważą.
Sam Hassan został; z konia zsiąść nie raczy,
Spokojnie jedzie, aż z przodu zobaczy
Blask ręcznej broni. Rozbójników zgraja
Strzela wzdłuż drogi, z przodu się zaczaja,
I z tyłu słychać z janczarek łoskotu,
Że mu przecięto drogę do odwrotu.

Więc wściekły wąsy od gniewu najeżył;
I w koło wzrokiem ognistym uderzył;
«Choć wrogi w koło, choć gęste wystrzały,
Jam z krwawszych bitew nie raz wyszedł cały.»
Zbójcy wychodzą, stają na skał szczycie:
«Rzucaj broń, krzyczą, komu miłe życie!»
Ale Hassana oczy i rozkazy
Straszniejsze, niśli nieprzyjaciół razy:
I z garstki szczupłej, ale wiernej panu,
Żaden nie rzucił swego ataganu,
I żaden podle nie krzyknął «amanu.»
Nieprzyjaciele coraz bliżej godzą;
Razem ze wszystkich zasadzek wychodzą,
A z gęstwi lasu, dowódca orszaku
Leci sam przodem, na dzielnym rumaku.
Któż ten dowódca? Strój nosi Albański,
Ale miecz prosty, miecz to chrześciański —
«Znam go, znam Giaura, wściekły Hassan woła,
Znam go, poznałem ze smagłego czoła,
Poznałem czarne złowrogie źrenice,
Jego nikczemnej zdrady pomocnice;
Konia czarnego znam, choć leci pędem,
Chociaż nakryty Arnautskim rzędem.
Podły odstępco twojej podłej wiary!
Teraz cię turban nie zbawi od kary.
Gdziemkolwiek spotkał, w jakiejkolwiek chwili:
Dobrze, żem spotkał zdrajcę mej Leili.»

Jak się wezbrana rzeka w morze leje:
I morską burzę spotkawszy, szaleje,
Łamią się fale, drżą opoki brzegu,
A nurty ryczą pod pianami śniegu:
Tak się spotkały wrogów zgraje obie,
Losem i gniewem gnane przeciw sobie.
Szable nad uchem grzmią, lecąc w kawały,
Huczą po skałach dalekie wystrzały;
Starcia się łoskot i karabel dźwięki,
Huk karabinów, konających jęki,

Echo żałosne po dolinie szerzy,
Przywykłej tylko do śpiewów pasterzy!
Liczba nie wielka, lecz bitwa straszliwa:
Nikt przebaczenia ni daje, ni wzywa. —
Paro kochanków, mocne są twe sploty
Gdy się ściskacie podzielać pieszczoty:
Lecz nie tak cisną miłości ramiona,
Gdy w nich spoczywa piękność ulubiona,
Jako się barki zwiążą nienawistnie,
Kiedy wróg wroga ostatni raz ściśnie!
Przyjaźń ostygnie, pieszczota się skończy:
Objęcia wrogów i śmierć nie rozłączy.

Z szablą po samą rękojeść uciętą
Krwią opryskaną i mocno ujętą
W sinej od ciała odrąbanej dłoni,
Co jeszcze drgała nie pusczając broni —
Obok turbana, którego zawoje
Miecz Giaura zerwał i przerżnął na dwoje;
W delii długiej, zmiętej, rozpostartej,
Od mnogich razów na sztuki podartej,
Zaczerwienionej, jak chmury przed burzą,
Gdy po dniu jasnym burzliwą noc wróżą;
Krwią zlawszy piasek i gałęzie boru,
Gdzie wiszą szmaty jego palamporu;
Z piersią przebitą i otwartą ciosom,
Barkami na wznak, twarzą ku niebiosom —
Tak leżał Hassan. Oczy już zbielały
Jeszcze otwarte, Giaura wyzywały.
Giaur stanął nad nim i w Hassana lice
Utopił równie straszne dwie źrenice.

«Tak! Tyś pochował w falach mą Leilę!
Jam cię pochował w czerwonej mogile!

Jej duch kierował mieczem: jej morderca
Uczuł raz pierwszy, co to jest ból serca!
Proroka wołał — ale nadaremnie:
Prorok twej głowy nie wyrwie z podemnie!
Allaha wołał — wiatr prośbę rozdmuchał:
Allah ni słyszał, albo nie wysłuchał. —
O psie pogański! czyż Opatrzność głucha
Na krzyk Leili, twych krzyków usłucha?
Zbójcą zostałem! Jeździłem na zwiady,
Aż w końcu zdrajca padł ofiarą zdrady.
Jam spełnił swoje, zemścił się nad tobą:
A teraz, dalej — w świat — jadę sam z sobą!» —

Na polu słychać brzęk dzwonków wielbłąda:
Matka w ogrodzie z altany wygląda.
Na łąkach błyszczy już wieczorna rosa,
Już ku wschodowi ciemnieją niebiosa
I rozniecają drżących gwiazd ognisko.
Już wieczór: Hassan zapewne już blisko.
Matka stroskana zstępuje i bieży
Do swych haremów, i pogląda z wieży:
Nie widać! — Nie zwykł jeździć tak pomału,
Nie zwykł popasać nawet w czas upału —
Nie przysłał darów ślubnych: czy się lenił?
Czy konie strudził? czy serce odmienił?
Skarga niesłuszna! Już Tatar posłaniec
Widny zdaleka; już na skały kraniec
Wstępuje zwolną; już zjeżdża z urwiska
I wąwozami na dół się przeciska.
Koń nic nie winien; koń pewnie z ciężarem,
Zapewne ślubnym objuczony darem;
Tatara mile przyjmę i nagrodzę
Za prędką jazdę po takiej złej drodze.

W bramie siadł Tatar; od siodła odpina
Juki nie wielkie: czy to dary syna?
Na twarzy smagłej bladość: czy to smutek!
Czy podróżnego utrudzenia skutek?
Odzież spryskana krwi świeżej kroplami:
Może poranił konia ostrogami?
Rozwinął pakę. — O aniele święty!
O Azraelu! to zawój rozcięty!
To syna szaty całe krwią zbroczone! —
«Pani, okropną twój syn pojął żonę.
Mnie oszczędziły ręce poganina,
Bym ci pokazał krew twojego syna.
Legł śmiercią mężnych, pokój Hassanowi!
Przekleństwo wieczne zabójcy Giaurowi!»

Turban w kamieniu prostym wyrzezany,
I słup już dzikiem zielskiem opasany;
Na nim z Koranu modlitwa wyryta,
Którą dziś ledwie podróżny wyczyta:
To cały pomnik, w bezludnej ustroni,
Gdzie Hassan zginął od niewiernej broni.
Zacny Osmanlis. Nikt między wiernymi
Przykładniej świętej nie nawiedził ziemi,
Nikt bardziej winem nie gardził wyklętem,
I nikt pobożniej ku przybytkom świętym
Twarzy nie zwracał, gdy na świątyń dachu,
Słyszał wołanie Illa-hu, Allah-hu.
Z rąk cudzoziemca wziął śmiertelne rany,
I śród ojczyzny leży jak wygnany,
Zdala od domu, na bezdrożu dzikiem;
Ani się pomścił nad swym rozbójnikiem.
Lecz duch Hassana już rajskie dziewice
Wiodą w roskoszy wiecznej okolice;
Okiem błyskają ku niemu jak słońcem,
Wiecznie pogodnem i nie zachodzącem;

Biegą — zielone chustki wywijają,
Pocałunkami rycerza witają:
Bo raj roskoszy zgotowany temu,
Kto zginął, walcząc przeciw niewiernemu.

Lecz ty, niewierny! ciebie anioł śmierci
Monkir, swą kosą rozerwie na ćwierci;
Potem zawlecze na nowe katusze
Przed tron Eblisa, twą przeklętą duszę.
Tam ogień, wiecznych męczarni narzędzie,
Ciało twe palić — w duszy goreć będzie;
Słuch nie obejmie, język nie obwieści,
Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści! —
Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem:
I trup twój z grobu wyłażąc wieczorem,
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,
Powinowatych spijać krew niewinną.
Tam, na rodzeństwo własne zajuszony,
Wyssiesz krew swojej siostry, córki, żony;
Ścierw twój zasilisz cudzym życia zdrojem,
Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem.
A twe ofiary rozstając się z światem
Poznają, że ich ojciec był ich katem;
Przeklną cię, twoje usłyszą przekleństwa,
I na pniu wyschnie szczep twego rodzeństwa.
Ostatnia twoja ofiara na świecie
Będzie twa córka, najmilsze twe dziecię:
Ona konając, krzyknie na cię «ojcze!»
I krzyk ten ściśnie usta dzieciobójcze,
Ale ssać muszą, dopóki się żarzy
Ogień w źrenicach, rumieniec na twarzy —
Aż ujrzysz w końcu, jak szklanna powłoka
Zamrozi, zaćmi ostatni blask oka.
Natenczas ręką przeklętą z jej głowy
Oderwiesz włosów warkocz bursztynowy;
Z tego warkocza pukiel darowany,
Może na sercu nosi jej kochany;

A ty dziś w piekle złożysz jego szczątki,
Jak samobójstwa twojego pamiątki.
Krwią twoją własną najmilszą ociekły,
Gryząc twe usta i zgrzytając wściekły,
Wrócisz się znowu pomiędzy grobowce;
A tam upiory, twoi współwędrowce,
Gule, Afryty, spotkają cię w mroku.
I oni twego zlękną się widoku,
I do podziemnych skryją się otworów,
Spotkawszy widmo, brzydsze od upiorów.

Jak się ten zowie Kalajor ponury?
Twarz mi znajoma. — Raz go napotkałem
W ojczyźnie mojej. Leciał między góry
Na dzielnym koniu, pominął mię cwałem;
Leciał jak tylko zdoła koń wyskoczyć —
Oblicze jeźdźca ledwie mogłem zoczyć:
Lecz widać było z twarzy i wejrzenia,
Że go opętał duch złego sumienia —
Nie chciałbym nigdzie zdybać takiej twarzy,
Bo złą jest wróżbą spotkanie zbrodniarzy!
I teraz strasznie wygląda ten człowiek,
Jak gdyby śmierć mu patrzyła z pod powiek.

Sześć lat minęło, jak przybył w te strony.
Wszedł do klasztoru; czy światem znudzony?
Czy za grzech jakiś pokutę odprawia —
Ale przed nikim grzechu nie objawia.
Nigdy on w ławkach podczas mszy nie siedzi,
Nie chodził ani razu do spowiedzi,
Ani się kłania przed Bogarodzicą
Ani przed ołtarz idzie z kadzielnicą:
Dni całe siedzi zamknięty w ukryciu.
Nie wiem o jego przygodach i życiu:
Słyszałem tylko, że przybył ze wschodu
Tureckim statkiem od stron Carogrodu.

Żeby był Turkiem, z twarzy się nie zdaje;
Zna chrześciańską mowę i zwyczaje.
Pewnie skruszony jaki Apostata,
Dziś opłakuje przeszłe błędów lata.
Tylko że świętych obrazów się lęka,
Przed Pańskim chlebem i winem nie klęka.
Dał wielki skarbiec, który może złupił,
I tym gościnność w klasztorze zakupił.
Lecz gdybym ja był na miejscu Przeora,
Albo bym wygnał tego Kalajora,
Albo w pokutnej zamurował celi,
Tak, żeby o nim ludzie nie wiedzieli.
Często on marzy, bezprzytomnie gada
O pięknej pannie, która w morze wpada,
Słyszy szczęk mieczów, strzały nad opoką,
I widzi Turka konające oko.
Ilekroć na tym wierzchu skały stawa,
Grozi mu z dołu jakaś ręka krwawa:
On sam ją widzi, i czyja, pamięta;
Ręka pałaszem od ciała odcięta,
Wystaje z ziemi i kiwa nań w dali,
Ażeby skoczył ze skały do fali.

Z pod mnichowskiego czarnego kaptura
Świeci jak z grobu źrenica ponura,
Czasem z ukosa błyskawice ciśnie,
I całą burzą dawnych lat zabłyśnie;
Barwa tych oczu co chwila się mieni.
Chcą ją uważać widzowie zdziwieni:
I wnet uczują ten urok spojrzenia
Wymowny, trudny do wypowiedzenia,
Cechę umysłu, co niezgięty w dumie
Zna swoją wyższość, i pokazać umie.
A jako ptaszek, gdy go wąż urzecze,
Trzepioce skrzydłem, ale nie uciecze:

Tak widz, ujęty w sidła jego wzroku,
Chce i nie może rozerwać uroku.
Przed nim wpół-trwożny braciszek umyka,
Kiedy samego przypadkiem spotyka;
Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem
Zaraża wszystkich boleścią i grzechem.
Przecież, zbyt rzadko uśmiechać się raczy;
Śmiejąc się, tylko urąga rozpaczy.
Poruszy usta, i drżące wnet przytnie:
Widać że radość w nim już nie zakwitnie,
I że uczucie wzgardy i niedoli
Już nigdy szczerze śmiać się nie dozwoli.
I tak też było. Trupie jego śmiechy
Nie są poczęte z serdecznej uciechy.
Okropne lica! Jakież być musiały,
Kiedy za młodu namiętnie gorzały?
Wiek jeszcze wszystkich rysów nie pozgładzał,
Tylko szpetnemi pięknie poprzegradzał;
Jeszcze niekiedy rumieniec w nich pała:
Znaczno, że dusza nie całkiem sczerniała.
Gmin widzi tylko w tem posępnem oku
Świadectwo zbrodni i pieczęć wyroku:
Pilniejszy badacz odgadnie z wejrzenia
Wielkość umysłu, zacność urodzenia —
Dary niestety zbyt źle umieszczone,
Skalane zbrodnią, smutkiem przetrawione.
Był to przybytek nie podły, nie mały,
Gdy w nim tak wielkie zalety mieszkały!
Dziś został pustym, lecz poważnym gmachem:
Ludzie nań lubią poglądać ze strachem.
Chaty bez dachów w pustkach widzi co dzień,
I rzadko do nich zagląda przechodzień:
Lecz wieża, legła w szturmie albo w burzy,
Co się czarnemi ruinami chmurzy,
Wzbudza podróżnych dumania i żale —
Złamane łuki, opuszczone sale
Wiele o dawnej powiadają chwale.

W długiej kapicy w fałdy obwinięty
Zcicha przez kolumn przesuwa się rzędy;
Straszy patrzących, i sam strachem zdjęty
Staje i patrzy na święte obrzędy;
Lecz gdy się ozwał u ołtarza dzwonek,
Księża uklękli — cofa się w przysionek.
Tam, przy niepewnym pochodni promieniu,
Twarz jego blada połyska się w cieniu,
Tam będzie czekał, aż się nieszpór skończy;
Słucha śpiewania, lecz głosu nie łączy.
Patrz! tam cień rzuca na bielone ściany.
Kaptur opadły, i włos rozczochrany,
Gęsty i czarny bezładnie się wije,
Jakby Gorgona swe najbrzydsze żmije,
Wyrwawszy z głowy, splotła mu na skronie.
Bo ten Kalajor, choć mieszka w zakonie,
Ślubu nie zrobił: więc nie strzyże głowy,
I nosi włosy jak człowiek światowy.
Kapicę przywdział jako inne mnichy.
Dał skarb na kościół — lecz zapewne z pychy
Nie z pobożności: hojnie kościół nadał,
W którym ni razu pacierza nie gadał —
Tam — patrz na niego — w dzwonek uderzono.
Wszyscy uklękli, sakrament wzniesiono:
Stoi jak posąg, i widać z postawy
Wyraz rozpaczy, wzgardy i obawy.
Ratuj nasz kościół, o święty Bazyli!
Bośmy na karę bożą zasłużyli,
Żeśmy takiego grzesznika wpuścili.
Jeżeli zły duch czasem sobie sprawia
Człowieczą postać: on tak się objawia.
Te oczy jego, na słowo kapłańskie,
Nie są niebieskie, ni ziemskie — szatańskie!
Serce zbyt czułe, do kochania skłonne:
Lecz nie zna co to kochanie dozgonne;
Długie cierpienia dzielić siły nie ma,
Długich z rozpaczą walek nie wytrzyma.

A twarde serce gdy miłość skaleczy,
Jej rany nigdy już czas nie uleczy! —
Jako rodzimy kruszec od płomienia
Wprzód się rozżarza niśli zaczerwiena,
Wrzucony w pieca płomieniste jamy
Zgina się, mięknie, lecz zawsze ten samy;
A potem, wedle sztukmistrza rozkazów,
Służy do dania lub odbicia razów,
Albo pierś twoję przed śmiercią zastawi —
Albo pierś wroga śmiertelnie zakrwawi:
Lecz gdy raz śmierci ukuto narzędzie,
Ten kto je ostrzy, niech ostrożnym będzie! —
Tak ogień uczuć i sztuka kobieca
Najtwardsze serca zmiękcza i roznieca:
Lecz raz nagięte, zmianom nie ulegnie,
I pierwej pęknie, niśli się odegnie.

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,
Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie;
Pusta pierś, czując otchłanie do koła,
Chce je zaludnić — i o boleść woła.
Bo niedzielone każde czucie nudne,
I szczęście samo do zniesienia trudne!
Serce w cierpieniach, gdy samotność widzi,
Chcąc mieć pociechę, wszystkich znienawidzi.
I jest to serce jak człowiek w mogile,
Gdyby z letargu zbudził się na chwilę,
I czuł z wzdrygnieniem, że robactwo toczy
Odżyłe jego oblicze i oczy,
I nie miał siły bronić swych wnętrzności
Od tych szkaradnych, niespodzianych gości.
To serce jest jak Pelikan, gdy leci
Przez obszar pustyń, do gniazda, do dzieci,
Krew swą gotowy na żywność im przelać,
Życie z głodnemi nie skąpy podzielać —
Już dziobem piersi rozranił szlachetne:
I widzi tylko swe gniazdo — bezdzietne.

Najsroższe męki, które nędzni znoszą,
Samotnej duszy zdają się roskoszą —
Sierocej, stepem otoczonej dzikim,
Trawiącej czucia niedzielone z nikim.
Któżby był niebios ciekawy widoku
Bez słońca i bez żadnego obłoku?
Lepiej jest płynąć, choć się niebo chmurzy,
Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy —
I gdy żywioły zakończyły wojnę,
Być wyrzuconym na brzegi spokojne,
W pustą zatokę i bez towarzyszy;
Późnego zgonu czekać w wiecznej ciszy.
Lepiej raz przepaść w zaburzone fale,
Niśli żyć, gnijąc po trochu na skale.

«Tyś dni twe przeżył, ojcze spowiedniku:
Licząc różańce, prawiąc msze bez liku,
Za cudze zbrodnie błagając gniew boski,
A sam nie znając zgryzoty ni troski,
Prócz smutków krótkich, zwyczajnych w tem życiu!
Siwy, spokojny, jak byłeś w powiciu,
Przeraża ciebie walka uczuć dzika,
Ilekroć zajrzysz w serce pokutnika,
Choć jego skargę, jego łzę żałosną,
Przyjmujesz w duszę czystą i litosną.
Moje dni krótkie na płaczu padole,
Obfite w roskosz, lecz płodniejsze w bole —
Przecież, pomiędzy roskosze i trudy,
Przeszedłem życie nie doznawszy nudy;
Na ucztach, w bojach, z kielichem, z kindżałem,
Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.
Dziś, nic nie kocham, ani nienawidzę,
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę:
A dzisiaj jeszcze wolałbym być gadem
I pod klasztorem pełzać, strasząc jadem,

Niż być wskazanym w cichym mniszym stanie
Na modlenie się i na rozmyślanie. —
Przecież, spoczynku nadzieja mię łechce:
Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę.
«Wkrótce się wszystko skończy tak jak życzę:
Zasnę w mogile, nie marząc czem byłem.
Choć moje życie zda się tak zbrodnicze,
Gdybym mógł odżyć — żyłbym tak jak żyłem.
Dziś w mej pamięci, jak w ciemnej mogile,
Leżą już zmarłe mych roskoszy chwile;
Lepiejby dawno leżeć razem z niemi,
Niż ciężką włóczyć tęsknotę po ziemi.
Nigdy mój umysł nie upadł na męstwie
W długiem i strasznem żywota męczeństwie
Sam dobrowolnie w grób się nie położę,
Jak dawni głupcy, lub dzisiejsi tchórze.
Ze śmiercią nie raz spotkałem się zbliska;
Chętniebym poległ śród pobojowiska,
Gdybym rycerskim mógł oddychać szałem
I kochać sławę — jak piękność kochałem.
Lecz jam nie walczył dla oklasków gminu —
Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu:
To innych dzieło; niech rżną się żołdacy,
Dla wielkiej sławy lub nikczemnej płacy.
Ale mię dzisiaj jeszcze niech poruszy
Przedmiot prawdziwie godny mojej duszy,
Niech mam przed sobą kochankę, lub wroga:
Choćby mi groził i miecz i pożoga,
Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,
Na miecz i ogień jeszcze się odważę.
Bo mężny, na śmierć ze wzgardą poziera,
Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydziera.
Kto mi dał życie, niechaj je odbiera:
Ja śmierć bez trwogi spotykałem nie raz
Gdym był szczęśliw i dumny — a teraz?

«Kochalem Ojcze — o nie — ubóstwiałem —
Lecz to są słowa, słowo często kłamie:
Ja miłość moją czynem pokazałem —
Przypatrz się rdzawej na tym mieczu plamie:
To jest krew dawna, dotąd się nie starła,
Przelana dla Tej, co dla mnie umarła.
Krew ta dobyta z serca mego wroga —
Nie trwóż się księże, nie wznoś rąk do Boga,
Za grzech zabójstwa nie lękam się kary;
Wróg mój był także wrogiem twojej wiary.
Samo wspomnienie o Marji synie,
Już obudzało złość w tym poganinie.
Głupiec niewdzięczny! Bo jeżeli rana,
Jeśli śmierć ręką Chrześcian zadana,
Jest Turkom kluczem rajskiego ogrójca:
Tedy do raju wysłał go zabójca,
I teraz może Hurys czarnooka
Witać Hassana u bramy Proroka.
Kochałem. — Miłość często drogę znajdzie
Tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie:
A miłość taka śmiała na przygody,
Czyliżby miała zostać bez nagrody?
Gdzie? kiedy? — Po cóż mam głosić przed światem?
Byłem szczęśliwy w miłości: dość na tem.
A przecież często żałuję — daremnie! —
Wolałbym nie być kochany wzajemnie.
Ona umarła. — Jak? — O to nie pytaj;
Jeśli śmiesz, sam to odgadnij, wyczytaj:
Bo tu wyryte noszę na mem czole,
Kaima pismem me zbrodnie i bole.
Ale mię nie klnij! — Posłuchaj: ja byłem
Przyczyną śmierci — lecz nie ja zabiłem.
Mógłbym i śmiałbym to samo uczynić,
Gdyby kochanka śmiała mi przewinić.
Jemu niewierna: więc on Ją pochował —
Mnie była wierną: jam go zamordował.
Choć śmierć jej była zasłużoną karą,
Lecz jej niewierność była dla mnie wiarą.

Bo mi oddała serce, skarb sieroty,
Jedyny, którym nie rządzą despoty.
Ach! późnom przybył, nie mogłem jej zbawić!
Mogłem jej tylko małą ulgę sprawić —
Mogłem w ślad za nią jej wroga wyprawić.
Jego śmierć lekka. — Ale jej męczeństwo
Było dla myśli mych takiem straszydłem.
Że w końcu ludziom i sobie obrzydłem.
«On zginął słusznie, zrządzeniem wyroków.
On wiedział o tem od swoich proroków,
Których słuch wieszczy śmierć przeczuwa w dali
I słyszy wystrzał wprzód nim broń wypali;
Zginął śród bitwy, zgiełku i hałasu,
Bez mąk, bez bolu — cierpieć nie miał czasu
Raz tylko wezwać Mahometa zdołał,
Raz tylko w niebo o pomstę zawołał.
Poznał mię w tłumie — lecieliśmy cwałem;
On poległ — długo nad leżącym stałem,
I duszy jego ujścia pilnowałem —
Konał jak tygrys pokłóty od szczwaczy:
Lecz nie czuł tego co czuję — rozpaczy!
Szukałem w licu sinem, krwią nabiegłem,
Znaków boleści: — żadnych nie dostrzegłem.
Rysy, śmiertelną okryte ciemnotą,
Jeszcze wściekłością tchnęły — nie zgryzotą.
Cóżbym dał za to, gdybym w jego twarzy
Mógł widzieć rozpacz ginących zbrodniarzy!
Widzieć, jak późna niedołężna skrucha,
Z konającego wywołuje ducha
Zbrodnie — i nie chce zbrodniarza rozgrzeszyć,
Nie może zbawić a nawet pocieszyć.

«W krainach zimnych i serca są chłodne,
Uczuć prawdziwej miłości niegodne:
W mojem gorącem sercu, czucia moje
Wrzały jak w Etnie płomieniste zdroje.

Nie umiem nucić w żałosnych piosenkach
O lubych więzach i okrutnych wdziękach.
Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,
Ust nieme drżenie, mieniące się lica,
Serca katownia i głowy szaleństwo,
Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męstwo,
Pierś chciwa zemsty, dłoń zbrojna kindżałem:
Wszystko co czułem i co dokonałem,
Jeśli to znakiem kochania — kochałem!
Nie wiem, co wzdychać i skargi wywierać:
Wiem, jak wzajemność zyskać i umierać.
Umrę: lecz pierwej roskoszy użyłem;
Niech co chce będzie — szczęśliwy już byłem.
Mamże kląć losom? — Jam sprawca mej doli:
Ja chciałem cierpieć, nie zmieniłem woli.
Dziś, wróć mi dawne trudy i roskosze:
Jam gotów znosić, co zniosłem, co znoszę,
Gotów żyć znowu, jakeśmy z nią żyli.
Gotów na wszystko — prócz śmierci Leili.
Życia mojego żałować nie warto,
Żałuję życia, które jej wydarto.
Ona śpi, falmi nakryta chłodnemi —
Ach! czemuż grobu nie miała na ziemi!
Czemuż to serce schorzałe nie może
Znaleść i dzielić jej podziemne łoże?
Ach! był to anioł życia i światłości!
Widzę go dotąd w oczach moich gości,
Krąży w koło mnie, wabi mnie i nęci,
Moja zaranna jutrzenka pamięci!

«Zaiste, miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych;
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
Pobożność duszę w niebiosa porywa:
Ale z miłością niebo w duszę wpływa!
Uczucie, które bóstwem zapalamy,
Które wytrawia wszystkie myśli plamy,

Jest to promyczek wszechtwórczego słońca,
Korona duszę w około wieńcząca. —
Wyznam, że moja miłość była inna;
Była zbyt ziemska, ludzka, nawet gminna.
Jam grzesznik ojcze — lecz ona niewinna.
Ach! ona była mą gwiazdą polarną!
Zgasła. — Któż teraz oświeci noc czarną?
Ach! gdyby jeszcze weszła mi pogodnie,
Wiodła mię znowu, chociażby na zbrodnie!
Bo cóż dziwnego, że kto wraz postrada
I całe szczęście i wszystkie nadzieje:
Pokornie głowy pod wyrok nie składa,
Ale klnie losom i z bolu szaleje —
I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,
A zwiększa tylko winy i cierpienia?
Ach! serce chore na wewnętrzne rany,
Nie dba na żaden cios zewnątrz zadany!
Ko raz spadł z niebios, już się nic nie lęka:
Mniejsza gdzie spadnie, wie, że wszędzie męka.
«Widzę kapłanie, że tobie obrzydłem:
Drżysz i odwracasz oczy pełne trwogi.
I tegom dożył! żem stał się straszydłem,
Jestem dla ludzi jako ptak złowrogi!
Prawda, że miałem drapieżność jastrzębia,
Żem latał niszcząc i lejąc krwi strugi;
Alem się uczył kochać od gołębia —
Umrę nie znając co kochać raz drugi.
Dobrzeby było nieraz ludzi dumnych
Uczyć przykładem ptaków bezrozumnych!
Słowik, co w gajach nóci z wiosny porą,
Łabędź, co zdobi błękitne jezioro,
Małżonkę sobie jednę tylko biorą.
Niechaj trzpiot z licznych miłostek się chwali;
Niech tych wyśmiewa, co w miłości stali,
Niech sobie cacek szuka coraz innych:
Ja mu nie zajrzę tych uciech dziecinnych.
Lecz u mnie człowiek lekki i przewrotny,
Mniej wart niżeli ów łabędź samotny,

Stokroć mniej niśli nieszczęsna dziewczyna,
Którą uwiódłszy zdrajca, zapomina.
Nie, ta na sercu mem nie ciąży wina!
Leilo! byłaś myśli moich treścią,
Moją roskoszą i moją boleścią;
Tyś była cnotą, ty zbrodniami memi,
Nadzieją w niebie — i wszystkiem na ziemi!
Tak piękna jak ty nie była stworzona:
A jeśli jest gdzie, już nie dla mnie ona.
Nie chciałbym widzieć na ziemi i w niebie
Podobnej tobie, chyba samą ciebie.
Życia mojego okropne wypadki,
Łoże śmiertelne, przyzywam na świadki,
Że ciebie dotąd kocham jak kochałem — —
Ty jesteś lubym serca mego szałem.

«I jej nie było — a jam z nią nie zginął!
Żyłem: lecz ból mi oddychać nie dawał,
Wąż pierś mą ścisnął, serce me obwinął,
Myśli me kąsał i zemstą napawał.
Odtąd świat cały miałem w obrzydzeniu;
Nie śmiałem zajrzeć w oczy przyrodzeniu.
Na wszystkie jego wdzięki i ozdoby
Padł całun mojej wewnętrznej żałoby!
Resztę, kapłanie, wiesz z mojej powieści,
Wszystkie me grzechy i część mych boleści:
Ale mi nie mów więcej o pokucie!
Już późno! — bliskiej śmierci mam przeczucie,
Chociażbym przyjął wiarę objawioną,
Czy już odrobisz, co już raz zrobiono?
Za łzy pociechy wdzięczen jestem tobie.
Ksiądz nie pomoże nic w mojej chorobie;
Tajnie mej duszy sam w milczeniu badaj,
Jeśli masz litość nademną, nie gadaj.
Gdybyś mógł wrócić życie mej Leili,
Jabym pokutę zaczął od tej chwili,
Kupiłbym zaraz i msze i odpusty,
I modliłbym się stygnącemi usty.

«Pójdź do jaskini, gdy strzelcy wychwycą
Z gniazda lwię małe, i rozmów się z lwicą,
Sprobuj ukoić jej żałośne jęki:
Mojej nie ulżysz, nie rozdrażniaj męki —

«W młodości latach, w szczęśliwych godzinach,
Gdym lubił dzielić smutki i wesela,
W mojej ojczyzny kwitnących dolinach
Miałem — czy mam go dotąd? — przyjaciela —
Daj mu ten pierścień. Przysięgliśmy na nim,
Wspomnieć o sobie choć raz przed skonaniem.
Wiem, że mnie kochał: chcę by się dowiedział —
O moim zgonie. On mi przepowiedział —
Dziwno — on wzrokiem przeniknął proroczym
Przed laty, wszystko co ma ze mną stać się!
Śmiałem się — wtenczas mogłem jeszcze śmiać się —
Gdy on ostrzegał — nie pamiętam o czem!
Lecz teraz, myślą wyzywam na nowo
Wzgardzone niegdyś każde jego słowo.
Powiedz, że zgadnął. — Będzie mu nie miło,
Że się proroctwo tak na mnie spełniło.
Powiedz, że chociaż w tym wieku namiętnym,
Gdyśmy wesołe przeigrali chwile,
Lecąc pospołu w niebespieczeństw tyle,
Wtenczas bywałem często niepamiętnym
I roztargnionym — może obojętnym —
Powiedz, że dzisiaj językiem zdrętwiałym
Za jego szczęście pomodlić się chciałem:
Ale cóż taka modlitwa pomaga,
Gdy winowajca za niewinnym błaga? —
Przed ludźmi: niech on sławy mej nie broni;
On, wiem że dobry: przebaczy — a oni,
Niech co chcą mówią. — Sława! — Cóż mi po niej?
Nie będę prosił, aby zgonu mego
Nie opłakiwał — nie jestem tak dumny —
Nie masz piękniejszej ozdoby dla trumny,
Jak łza żałosna brata kochanego.

Pierścień ten — niech go z rąk twoich otrzyma,
Wręcz mu i opisz coś miał przed oczyma:
Ciało uwiędłe, duszę zagaszoną,
Łódź, falą uczuć na step wyrzuconą,
Zwój pism zatarty, liść z dalekiej strony
Wichrem przygnany i mrozem zwarzony.

«Tylko mi nie mów o snu przywidzeniach. —
Nie — to mój ojcze nie było w marzeniach!
Kto marzy, ten śpi: ja wtenczas nie spałem —
Ja teraz nie śpię — i zapłakać chciałem:
Ale nie mogłem. Źrenica łez głodna,
Czułem że była wyschnęła aż do dna:
Chciałem wydobyć z niej łzę, łzę jedyną:
Byłaby dziwną i miłą nowiną —
Chciałem, i teraz chcę — lecz rozpacz wzbrania:
Rozpacz silniejsza, niśli chęć płakania!
Nie mów pacierzy, w skutek ich nie wierzę;
Silniejsza rozpacz, niż twoje pacierze.
Zbawienia nie wart jestem — i nie żądam;
Nie raju, ale spoczynku wyglądam.
Wtenczas — widziałem ojcze — tak — tu była!
Widziałem dobrze. — Powstała — odżyła!
Białą, świecącą obwiana symarą:
Jak widzę teraz — tam nad falą szarą,
Gwiazdę błyszczącą przez obłok zachodni:
Ona świeciła jaśniej i łagodniej!
Dziś, gwiazda świeci słabiej i tajemniej;
Jutro, wieczorem, wnijdzie jeszcze ciemniej;
Ja, nim doczekam jej promieni drżących,
Nieczuła bryła i postrach żyjących,
Ja — umrę ojcze. Już — kończąc cierpienie —
Zbiera się dusza w ostatnie westchnienie. —
Tu ją widziałem, ojcze — i powstałem,
I wszystkich naszych nieszczęść zapomniałem,

I porwałem się z łóża i objąłem —
I cóż do mego serca przycisnąłem?
Cień był w objęciu bez tchu i bez życia,
Sercem nie czułem wzajemnego bicia!
Lecz to Leila! — to jej postać była!
Kochanko moja, jak się ty zmieniła!
Spojrzałaś tylko, słowa nie wyrzekłaś,
Byłaś tak blisko, i z rąk mi uciekłaś! —
Lecz choć tak zimna, tak dla mnie — zmieniona:
Obym cię tylko przycisnął do łona,
Całe me szczęście objąłbym w ramiona.
Niestety, marę objąłem ulotną!
Ręce opadły na mą pierś samotną.
Lecz patrz! to Ona! to jej szata długa —
Jej ręka śnieżna! — Patrz, jak na mnie mruga
Tem czarnem okiem — włosy rozpostarła —
Nie — jam nie wierzył — ona nie umarła!
Ale on umarł — ja go sam obalił —
Jam go pochował, kamieniem przywalił:
On tu nie wróci, bo ciężka mogiła
Ciśnie go z góry. — Ty! po coś wróciła?
Oni mówili, że ta twarz jak zorze,
Ta postać śliczna, już zapadła w morze,
I że się nad nią fala szumna leje!
Rybacy mówią — szkaradne to dzieje —
Chciałbym powiedzieć — język mi drętwieje.
Ach! jeśli prawda, że ty wyszłaś z morza,
Szukać dla siebie spokojnego łoża:
Ach! przesuń mokrą dłoń przez me powieki —
Niech już ostygną, zamkną się na wieki,
Lub rękę połóż na me serce wdowie!
Czy ciebie marą, czy duchem świat zowie:
Zostań, oświecać chorego wezgłowie,
Odchodząc, weźmij z sobą mego ducha —
Potem niech wyje szturm, niech morze bucha!!

«Takie me imię, takie są me dzieje.
Samemu tobie powierzam wyznania;
Wdzięcznie przyjmuję łzę politowania —
Suche me oko, już łez nie wyleje!
Gdy skonam, pogrzeb ubogi mi sprawisz,
Krzyż tylko prosty na grobie postawisz —
Bez żadnych liter — nie chcę, by wędrowiec
Napisy czytać szedł na mój grobowiec.» —

Umarł. Nie doszedł nikt po jego zgonie
Jak się nazywał, w jakiej świata stronie
Jego ojczyzna. Ostatnie wyznania
Mnich tylko słyszał we chwilach skonania.

Tyle zostało o Giaurze podania,
I o Leili, którą on postradał,
I o Hassanie, któremu śmierć zadał.

GRAŻYNA.

(POWIEŚĆ LITEWSKA.)

Warjanty Grażyny, według autografu znajdującego się w zbiorze hr. Aleksandra Przeździeckiego, ogłoszone były w wydaniu warszawskiem z roku 1858. W autografie tytuł powieści jest: «Korybut Książe Nowogrodzki,» a rzecz dzieje za czasów Kiejstuta: Grażyna zowie się tu Karyną. Wszakże w ciągu rękopisu epoka zbliżona do czasów Witołda, a w miejscu Korybuta i Karyny, czytamy imiona Witołda i Grażyny.

P. W.

Coraz to ciemniej; wiatr północny chłodzi;
Na dole tuman: a miesiąc, wysoko,
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi,
We mgle niecałe pokazywał oko.
I świat był nakształt gmachu sklepionego,
A niebo nakształt sklepu ruchomego —
Księżyc jak okno, którędy dzień schodzi.

Zamek na barkach nowogrodzkiej góry
Od miesięcznego brał pozłotę blasku;
Po wałach z darni i po sinym piasku
Olbrzymim słupem łamał się cień bury,
Skadając w fossę, gdzie wśród wiecznych cieśni,
Dyszała woda z pod zielonych pleśni.

Miasto już spało, w zamku ognie zgasły;
Tylko po wałach i po basztach straże
Powtarzanemi płoszą senność hasły.
Wtem się coś z dala na polu ukaże:
Jakowiś ludzie biegą tu po błoniach;
A gałąź cieniu za każdym się czerni —
A biegą prędko, muszą być na koniach;
A świecą mocno, muszą być pacerni.

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa:
Trzej to rycerze jadą wzdłuż parowa.
Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy
Krzyknie, i w trąbkę mosiężną uderzy.

Uderzył potem raz drugi i trzeci,
Strażnik mu z baszty rogiem odpowiada;
Brzękły wrzeciądze, pochodnia zaświeci,
I most zwodzony z łoskotem opada.

Na tentent koni zbiegli się strażnicy,
Chcąc bliżej poznać i męża i stroje.
Pierwszy mąż jechał w zupełnej zbroicy,
Jaką zwykł Niemiec przywdziewać na boje;
I krzyż miał czarny na białej kapicy,
I krzyż na piersiach u złotej pętlicy,
Trąbkę na plecach, kopiję u toku,
Różaniec w pasie i szablę u boku.[1]

Poznali męża Litwini z tych znaków;
Więc cicho jeden do drugiego szepce:
To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków;
Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce.
O, gdyby nie był nikt tu więcej z warty,
Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha;
Aż pod most pięścią zgiąłbym łeb zadarty! —
Tak oni mówią; on niby nie słucha:
Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał,
A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał.

«Książe jest w zamku?» «Jest; lecz o tej porze
Bardzoście wasze poselstwo spóźnili;
Dziś nie możecie stawić się we dworze,
Chyba na jutro.» «Jutro? ani chwili!
Zaraz, natychmiast, choć w spóźnioną porę,
Litaworowi o posłach donieście;
Niebespieczeństwo na mą głowę biorę,
A wy dla znaku pierścień tylko weźcie.
Nie trzeba więcej: skoro ujrzy godło,
Pozna kto jestem, i co nas przywiodło.»

[1] Dwaj knechty przed nim idą, zsiadłszy z koni,
Z odkrytą głową, bez płaszczów i broni.

Cichość do koła, zamek we śnie leży:
Co za dziw? Północ; jesienią noc długa —
Za cóż dotychczas w Litawora wieży
Lampa jak gwiazdka między kratą mruga?
Wszak dziś powrócił, jeździł w kraj daleki:
Snu potrzebują troskliwe powieki.

On przecie nie śpi. Posłano na zwiady.
Nie śpi. Lecz żaden z pałacowej straży,
Ani z dworzanów, ani z panów rady,
Do progu jego zbliżyć się nie waży.
Daremnie poseł i grozi i prosi:
Groźba i prośba na nic się nie przyda;
Kazano wreszcie obudzić Rymwida.
On wolę pańską nosi i odnosi,
On głową w radzie, prawą ręką w boju,
Jego nazywa książe drugim sobą:
W obozie, w zamku, jemu każdą dobą
Wstęp do pańskiego otwarty pokoju.

W pokoju ciemno, i tylko od stoła
Kaganiec światłem konającem płonął.
Litawor chodził po gmachu do koła,
A potem stanął i w myślach utonął.
Słucha, co Rymwid o Niemcach powiada;
Ale mu na to nic nie odpowiada;
To się rumieni, to wzdycha, to blednie,
Wydając twarzą troski niepowszednie.
Poszedł ku lampie, żeby ją poprawił;
Wrzkomo poprawia, a do głębi ciśnie:
Wcisnął nareszcie i całkiem zadławił —
Nie wiem, przypadkiem czyli też umyślnie.

Snać, że poskromić nie mógł wnętrznej wrzawy,
I w pogodniejsze wystroić się lice;
A jednak nie chciał, by sługa z postawy
Zgadnął pańskiego serca tajemnice.
Znowu komnatę obchodzi do koła;
Lecz kiedy okna kratowane mijał,

Widna przy blasku miesięcznego koła,
Co się przez szyby i kraty przebijał —
Widna posępność zmarszczonego czoła,
Przycięte usta, oczu błyskawica,
I surowego zagorzałość lica.

Potem w róg gmachu zwraca się z pośpiechem,
Każe podwoje zamknąć Rymwidowi
Siadł, i z kłamliwą spokojnością mówi,
Szyderskim mowę zaprawując śmiechem.

«Wszak mi sam z Wilna przywiozłeś Rymwidzie,
Że Witołd, pan nasz możny i łaskawy,
Miał mię podwyższyć książęciem na Lidzie,
I spadłe dla mnie po żonie dzierżawy,
Jak swoją własność, lub zdobycze cudze,
Litaworowi podarował słudze?»
«To prawda, książe —» «My więc po te dary
Jako przystało wystąpimy godnie.
Każ wynieść na dwór książęce sztandary,
Zapalić w zamku ognie i pochodnie. —
Gdzie są trębacze? niechaj o północy
Zjadą na miasto, a stanąwszy w rynku,
Na cztery wiatry trabią z całej mocy,
A póty będą trąbić bez spoczynku,
Póki się wszystko rycerstwo rozbudzi.
Niech każdy piersi zbroją ubespiecza,
Nasadzi groty i pociągnie miecza.
Zgotować żywność dla koni i ludzi:
Każdemu z mężów zgotuje niewiasta,
Ile zjeść można od ranka do zmroku.
Czyj koń na paszy, sprowadzić do miasta,
Nakarmić i wziąść na drogę obroku.
A skoro słońce z Szczorsowskiej granicy,
Pierwszym promieniem grób Mendoga draśnie,
Wszyscy staniecie na Lidzkiej ulicy.
Czekać mię rzeźwo, zbrojno i zapaśnie.»

Tak mówi książe. Wprawdzie jego mowa
Zaleca zwykłe do drogi przybory:
Lecz za co nagle i niezwykłej pory?
Dla czego postać była tak surowa?
A kiedy mówił, choć gwałtowne słowa
Biegą, że jedno drugiego nie ścignie:
Zda się, jakoby wyszła ich połowa,
A reszta w piersiach przytłumiona stygnie.
Ta postać coś mi niedobrego wróży,
I głos ten myśli spokojnej nie służy.

Umilkł Litawor; zdało się, że czeka,
Aż Rymwid wziętym odejdzie rozkazem.
I Rymwid milczy, a odejście zwleka:
Bo to co słyszał, i co widział razem,
Kiedy stosuje i waży w rozumie,
Z lekkich słów ciężką rzecz odgadnąć umie.

Ale cóż pocznie? Zna, że książe młody
Namowom cudzym mało daje ucha,
I nie lubiący w długie brnąć wywody,
Zamiary knuje w swojej głębi ducha;
A skoro uknuł, nie dba na przeszkody,
I hamowany lew srożej wybucha.
Lecz Rymwid, jako wierna panu rada
I znany rycerz w litewskim narodzie,
Zapewnie hańbie niemałej podpada,
Gdzieby powszechnej nie zabiegał szkodzie.
Milczeć, czy radzić? na dwoje myśl dzieli:
Waha się, w końcu na drugie ośmieli.

«Panie gdziekolwiek chęci twoje godzą,
Nigdyć na ludziach i koniach nie zbędzie:
Wskaż tylko drogę, my za twoją wodzą
Nie patrząc kędy; gotowi iść wszędzie!
I Rymwid pewnie nie przyjdzie ostatni.
Ale o panie, na różnym miej względzie

Pospólstwo ślepe, twoich rąk narzędzie,
I mężów którzy na coś więcej zdatni.
Bo i twój ojciec, choć lubił sam z siebie
Wyciągać skrycie przyszłych dzieł osnowy:
Jednak, nim gminne miecze ku potrzebie,
Wprzódy ku radzie mądre wzywał głowy;
Kędym ja nieraz z wolnem zdaniem siadał,
A com umyślił, śmiało wypowiadał! —
Więc i dziś, wybacz; jeśli w szczerym głosie
Zeznam co serce ustom przekazało. —
Długo ja żyłem, i na siwym włosie
Dźwigam i czasów i czynów nie mało;
Przed się dziś widzę, oby nie ze szkodą!
Rzecz, dla nas starych niezwykłą i młodą.
Jeżeli prawda, że na Lidzkie państwo
Ciągniesz do twojej należące właści;
Ten pochód skory coś nakształt napaści
Zrazi i nowe i dawne poddaństwo;
Ci jak zwycięscy czekają zdobyczy,
Tamci kajdanów, jak lud niewolniczy.

«Zaraz po kraju wieść ziarna rozsypie —
Ucho je gminne chwyta i przesadza;
Skąd w końcu gorzki owoc się wyradza,
Co truje zgodę i co sławę szczypie.
Okrzykną zaraz, żeś chciwy łupieży
Wdarł się na państwo, któręć nie należy.

«Inaczej cale po dawnym zwyczaju
Litewskie niegdyś stąpały książęta,
Niosąc stolicę do własnego kraju;
Tych książąt dobrze wiek mój zapamięta.
I jeśli zechcesz iść po starym trybie:
Spuszczaj się na mnie, w niczem nie uchybię.

«Naprzód rycerstwo obeszlemy wszędy:
I tych co w mieście zostali się bliscy,

I co na wiejskie powrócili grzędy,
Mają na zamek zgromadzić się wszyscy;
Więc krewne pany, więc starsze urzędy,
Ku bespieczeństwu, a większej ozdobie,
Z sowitym pocztem niech staną przy tobie.
Co nim dokonasz, ja mogę tymczasem
Wyruszyć jutro, lub pojutrze zrana,
Ze służbą, z świętą osobą kapłana,
Tudzież z potrzebnym do uczty zapasem:
Aby się wszystko złatwiło na przodzie,
A na zwierzynie nie brakło i miodzie.

«Nietylko bowiem sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni;
A widząc zrazu pańskiej hojność dłoni,
Dobrze stąd sobie na przyszłość tłumaczy.
Tak zawżdy było w Litwie i na Żmudzi:
Jeśli nie wierzysz, pytaj starych ludzi.»

Skończył, podchodzi ku oknom i doda:
«Wietrzno, niepewna na jutro pogoda.
Jakiegoś widzę rumaka przy wieży,
A tuż i rycerz oparty na łęku,
Drudzy dwaj chodzą konie wodząc w ręku:
Posły niemieckie — poznałem z odzieży.
Czy ich zawołać? czyli niech na dole
Przez usta sługi odbiorą twą wolę?»

To mówiąc okno przymknięte zaszczepił,
Niby niechcący i patrzył i gadał:
Ale umyślnie pytanie uczepił,
By coś o posłach niemieckich wybadał.

Na to mu prędko Litawor odpowie:
«Jeżeli kiedy wychodzę po radę
Do cudzych, własnej nie ufając głowie,
Zawżdy twe zdanie na początku kładę:

Boś zewsząd godzien mojej czci i wiary,
Jak w polu młody, tak na radzie stary.

«Więc choć nie lubię, by dzieł przyszłych końce
Lada czyjemu widne były oku —
Zamiar, wylęgły w myśleniu pomroku,
Źle jest przed czasem wykazać na słońce;
Niechaj rzecz cała, dokonania bliska,
Jak piorun wprzódy zabija, niż błyska —
Przetoż ja krótko pytanie odbywam:
Kiedy? dziś, jutro; gdzie? na Żmudź, do Rusi.»
«To być nie może!» «Będzie i być musi! —
Lecz dzisiaj tobie głąb' serca rozkrywam.

Dla tegom kazał do konia i zbroi,
Dla tego nagle i orężnie godzę:
Bo wiem Witołda, że z wojskami stoi,
Gotowy wstręty czynić mi po drodze;
A może na to chciał do Lidy zwabić,
By zwabionego pojmać albo zabić.

Ale ja z mistrzem Pruskiego Zakonu
Tajemne zaraz związałem przymierze,
Aby mi swoje dał w pomoc rycerze;
Za co w nagrodę ustąpię część plonu.
Jeśli, jak słyszę, przybyli posłowie —
Znać, żem na jego nie zwiedziony słowie.

«Wprzód więc nim zajdą siedmiorakie gwiazdy,
Ruszymy przydać ku litewskiej sile
Niemców pancernej trzy tysiące jazdy,
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle. —
Będąc u mistrza, sam sobie wybrałem,
Jakie ma przysłać rumaki i chłopy,
Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem,
Żelazem kute od głowy do stopy:
Wiesz, jako dzielnie brzeszczotami sieką,
I dzidą srożsi od naszych daleko.

«Knecht zasię każdy ma żelazną żmiję,
Którą ołowiem i sadzą utuczy,
Potem, ku wrogom nawracając szyję,
Podraźni iskrą: wnet paszcza zahuczy
Ogniem i gromem — zrani lub zabije,
Kogo jej strzelca trafny wzrok poruczy.
Od takiej broni niegdyś obalony,
Pradziad Gedymin na szańcach Wielony.

«Wszystko gotowo. Tajemnemi drogi,
Jutro, gdy Witołd w zaufaniu zbytniem,
Na Lidzie słabe zostawił załogi,
Wpadniem, podpalim, zabierzem i wytniem.»

Rymwid, niezwykłą rażony nowiną,
Stał pełen dziwu, nieprzytomny sobie;
Przegląda burzę, myśli o sposobie;
Skłócone myśli jedne w drugich giną.
Ale rzecz nagła, próżno zwlekać zdanie;
Z gniewem i żalem zawoła: «O panie!
Bogdajbym nigdy nie dożył tej pory:
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczora wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać: raczej ogień z wodą!

«Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowiąc: przyjacielu.
Że bardziej jeszcze, niśli złe sąsiady,
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy,
Często u wspólnej pijają biesiady,
Snu używają pod jednemi dachy,
I miecze łączą ku wspólnej potrzebie.
A jeszcze bardziej nad Litewskie męże,

I nad Polaki, zawziętsi na siebie
Od wieku wieków są ludzie i węże:
A przecież, jeśli do domowych progów
Wąż zaproszony gościem od człowieka,
Jeśli dla chwały nieśmiertelnych bogów,
Litwin mu chleba nie skąpi i mleka:
Wtenczas gad swojski pełznie w jego ręce,
Społem wieczerza, z jednych kubków pija,
I nieraz senne piersi niemowlęce
Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija:

«Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt, ni gościną, ni prośbą, ni dary! —
Małoż Prusaki i Mazowsza cary,
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszcze?
On, wiecznie głodny choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele.

»Spólna moc tylko zdoła nas ocalić!
Darmo hordami ciągniemy co roku
Burzyć ich twierdze i mieściny palić:
Przebrzydły Zakon, podobny do smoku,
Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro —
I ten ucięty rośnie w dziesięcioro.
Wszystkie utnijmy! — Napróżno się trudzi,
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki:
Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,
Na Litwie całej nie znajdzie się taki,
Coby ich nie znał chytrości i dumy,
Nie stronił od nich jak od krymskiej dżumy;
Coby nie wolał stokroć od ich broni
Raczej śmierć w polu, niśli pomoc zyskać,
Raczej żelazo rozpalone w dłoni,
Niśli krzyżacką prawicę uściskać!

«Lecz Witołd grozi? — Czyż bez obcych mieczy
Już nie zdołamy rozeprzeć się w polu?

Albo, czy do tych kresów zaszły rzeczy,
Iż domowego naszych zwad kąkolu.
Nie zdoła wyrwać dłoń bratniej przyjaźni,
Oręż dla cudzej zachowując kaźni? —

«Skądże masz pewność, że słuszna twa skarga,
Że Witołd znowu stawiąc się upornie,
Zdrady napina i umowy targa?
Posłuchaj — szlij mnie do niego powtórnie —
Wznowim umowę — —» «Dość tego, Rymwidzie!
Znane mi dobrze Witołda umowy:
Wczoraj mu taki wiatr zawiał do głowy,
Dzisiaj nań znowu co innego przyjdzie.
Wczoraj ufałem książęcemu słowu:
Że sobie Lidę w dziedzictwo zabiorę —
Dziś Witołd uknuł coś różnego znowu:
Na gwałt swobodną wyśledziwszy porę,
Gdy się do domów rozjechali moi,
A on u Wilna obozami stoi,
Dziś oznajmuje, jakoby Lidzianie
Za swego pana słuchać mię nie chcieli;
Więc Witołd Lidę dla siebie wydzieli.
Mnie zaś w nagrodę inny kraj dostanie —
Pewnie Ruś gołą, lub bagna Warega!
Bo tam wskazana jest siedziba nasza,
Tam Witołd braci i krewnych wypłasza,
A świętą Litwę sam jeden zalega!
Patrz, jak uradził! A wie, na co radzić:
Bo w jedno bije, chociaż różną drogą;
Chciałby się jeden nad wszystkich posadzić,
I sobie równych cisnąć pod swą nogą.

«Przebóg! Czyż nie dość, że Witołda buta [1]
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę!
Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła;

[1] Przebóg! czyż nie dość że duma Kiejstuta.

Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,
Świat jako wielki, zbiegliśmy do koła:
To na Krzyżactwo, to znowu przez Tatry
Na Polski pięknie zbudowanej sioła.
Stamtąd po stepach, żeglujące z wiatry
Goniąc błędnego obozy Mogoła;
A cośmy skarbu z zamków wyłamali,
I co żywego szablica nie dotnie,
Głód nie dogryzie, ogień nie dopali!
Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.
Na trudach naszych w potęgę urasta;
Od Fińskich zatok po Chazarów morze,
Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta;
Sam w jakiem mieście! w jakim siedzi dworze!
Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojrzy bez strachu:
A przecież mniejsze od Witołda gmachu,
Co jest na Wilnie, lub Trockiem jeziorze!
Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie —
Lecz któżby wierzył? U syna Kiejstuta,
W pałacu świeższa murawa i kwiecie! —
Takim podłoga kobiercem osuta,
Takie po ścianach rozwisłe bisiory,
Z liściem ze srebra i kwieciem ze złota:
Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory
Cudniejsza branek Lechickich robota —
W kratach u niego szklanne okiennice,
Przywoźne kędyś aż od ziemi końca,
Błyszczą, jak polskich rycerzy zbroice,
Albo jak Niemen, przed oczyma słońca
Z pod śniegu zimne gdy odsłoni lice. —

«A ja — com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od maleńkiego wieku.

Z pieluchów zaraz przewiniony w zbroje,
Książe, jak Tatar żył o końskiem mleku? —
Cały dzień konno; w wieczór końska grzywa
Poduszką moją, przy niej noc wystoję,
A rankiem znowu trąba na koń wzywa —
Że wtenczas, kiedy moi rówiennicy,
Jeżdżąc na kijach, szablami z łuczywa
Bespiecznie sobie grali po ulicy,
By siwą matkę lub dziecinną siostrę
Zabawić wojny kłamanej obrazem:
Wtenczas z Tatary jam gonił na ostre,
Lub wręcz z Polaki ścinał się żelazem!

«Przecież me państwa, od Erdwiłła czasu,
I piędzią szerzej ziemi nie zaległy! —
Patrz na te mury z dębowego lasu,
I na ten pałac mój z czerwonej cegły;
Pójdź przez komnaty pradziadów siedliska:
Gdzie szklanne kuple? gdzie kruszcowe łupy?
Miasto blach złotych, mokry kamień błyska;
Miasto kobierców śniade mchu skorupy!
Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa, czy skarby? Nie; nic — kromie sławy!

«Ale i sławą wszystkim po nad głowę
Witołd podleciał: Witołd wszystkich gasi!
Jego, jakoby drugiego Mindowę,
Na ucztach wielbią Wajdeloci nasi;
Jego na strunach i na wieszczym rymie
Do potomnego wysyłają blasku:
Nasze śród gminu kto wypatrzy imię?
Kto podjąć raczy z niepamięci piasku? —

«Przecież nie zajrzym. Niech walczy, niech gromi,
Niechaj się w imię i skarby bogaci:
Tylko — niech zęba chciwego poskromi,
Od swych ojczyców, od ziemi swych braci!

Czyż dawno w środku pokoju i zgody
Gwałtem Litewska wstrząśniona stolica?
Czyż dawno Witołd kniaziów wielkich grody
Naszedł i z tronu zmiótł Olgierdowica?
I sam owładał! A tak lubi władać,
By jego poseł, jak Krywejty goniec,
Książąt podwyższał, albo zmuszał spadać! —
O! czas, że temu położymy koniec;
Czas, że po sobie jeździć nie dozwolim! —
Póki młodego w piersiach żywię ducha,
Póki żelazo ręki zdrowej słucha,
Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolim,
Com z łupów krymskich jednego wziął sobie,
Jakiemu równym dany tobie drugi,
A jeszcze dziesięć rży przy moim żłobie,
Któremi wierne poobdzielam sługi —
Dopóki koń mój — póki szabla moja — —»
Tu mu gniew słowa i tchnienie zatłoczył.
Umilkł, lecz chrzęstem ozwała się zbroja;
Znać, że się wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.
Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosa
Spada, z długiego żary trzęsąc włosa:
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął,
I siekł w podłogę — od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.

Znowu ich głuche obeszło milczenie,
Znowu rzekł książe: «Dosyć próżnej mowy,
Oto noc prawie dochodzi połowy,
Wkrótce usłyszym drugich kurów pienie:
Wiesz, com rozkazał: bądźcie w pogotowiu,
Ja legnę — może duch troskliwy spocznie.
I ciało trochę pokrzepię na zdrowiu,
Bom trzy dni nie spał. Teraz jeszcze mrocznie;
Lecz dziś zapełnia księżyc rogi nowiu,
Świt będzie widny: ruszymy niezwłocznie.

Synom Witołda w Lidzie zostawimy,
Godne dziedzictwo — popioły i dymy!»

To powiedziwszy, usiadł i w dłoń klasnął:
Skoczyli słudzy, kazał zwlekać szaty,
I legł, nie na to może, aby zasnął,
Lecz aby Rymwid miał się precz z komnaty.
I on, gdy widzi, iżby nic nie sprawił,
Ani co mówił, ani dłużej bawił —
Poszedł, a jako znał powinność sługi,
Wytrąbił ukaz, rycerstwo zgromadził,
Potem do zamku wrócił się raz drugi.
Po cóż? Czy żeby znowu z panem radził?
Nie. W inną stronę wiódł on kroki swoje:
Na lewe skrzydło zamkowej budowy,
Gdzie ku stolicy spadał most zwodowy,
Szedł krużgankami przed księżnej podwoje.

Była na ów czas książęciu zamężną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną.
A chociaż wiekiem, od młodej jutrzenki,
Pod lat niewieścich schodziła południe,
Oboje, dziewki i matrony wdzięki
Na jednem licu zespoliła cudnie.
Powagą zdziwi, a świeżością znęca:
Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie;
Że kwiat młodego nie stracił rumieńca,
A razem owoc wnet pełni dorośnie.
Nie tylko licem nikt jej nie mógł sprostać:
Ona się jedna w dworze całym szczyci,
Że bohaterską Litawora postać
Wzrostem wysmukłej dorówna kibici.
Książęca para, kiedy ją okoli
Służebne grono, jak w poziomym lesie
Sąsiednia para dorodnych topoli,
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.

Twarzą podobna i równa z postawy,
Sercem też całem wydawała męża.
Igłę, wrzeciono, niewieście zabawy,
Gardząc, twardego imała oręża;
Często myśliwa, na żmudzkim rymaku
W szorstkim ze skóry niedźwiedziej kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku.
Z pociechą męża nie raz w tym ubiorze,
Wracając z pola, oczy myli gminne;
Nie raz od służby zwiedzionej na dworze,
Odbiera hołdy książęciu powinne.

Tak zjednoczona zabawą i trudem,
Osłoda smutku, spólniczka wesela,
Nie tylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sądy i tajne układy,
Częstokroć od jej zależały rady —
Acz innym rzecz ta nie była świadoma:
Bo księżna, wyższa nad żon prostych rzędy,
Które zbyt rade, że panują doma,
Chciałyby z tem się popisować wszędy —
Owszem, cudzemu pilnie kryła oku,
Z jaką potęgą w sercu męża władnie;
Nawet baczniejsi i bliżsi jej boku
Nie prędko mogli zbadać i niesnadnie.

Mimo to Rymwid mądry odgadywał,
Gdzie mu jedyne pozostało wsparcie:
Szedł więc i księżnej wynurzył otwarcie,
Wszystko co widział i co przewidywał,
Jaka stąd dawnym zwyczajom obraza,
Książęciu hańba, narodowi skaza.

Mocno Grażynę wieść nowa uderzy;
Lecz panią swojej będąca postaci —

Udaje wrzkomo, iż temu nie wierzy,
Pokoju w głosie i twarzy nie traci.
«Nie wiem ja, rzekła, czyli nad rycerzy
Więcej u pana słowo niewiast płaci;
To wiem, że sobie sam radzi roztropnie —
Wiem jeszcze lepiej, co uradzi, dopnie.
Wreszcie, jeżeli nagła gniewu flaga
Doczesną burzę w sercu jego wzbudzi,
Jeśli niekiedy, lotem młodych ludzi,
Chęć swą nad słuszność, lub nad możność wzmaga:
Zostawmy, niech czas i cicha uwaga
Rozjaśni myśli, zapały przystudzi —
Pierzchliwe słowa niepamięć zagrzebie;
Tymczasem drugich nie trwóżmy i siebie.»

«Wybaczaj księżno! O, nie są to słowa,
Co z ust w gorącej pryskają godzinie,
Których zagasłych pamięć nie dochowa;
Nie jest to zamiar, który w plątaninie
Chęci niewczesnych rodzi myśl jałowa,
Który jako dym zamroczy i zginie:
Te iskry znaczą wielki pożar w duchu,
Ten dym strasznego zwiastunem wybuchu!

«Nie dzisiaj jestem przy pańskiej osobie,
Od lat dwunastu znał mię wiernym sługą:
Przecież, na pamięć nie przywiodę sobie,
By ze mną mówił tak szczerze, tak długo.
Odkładać próżno; co rozkazał, zrobię,
Bo już rozkazał, bym przed gwiazdą drugą
Zgromadził wojska nad grób Peresieka —
Noc będzie widna, droga nie daleka.» [1]

[1] Karyna milczy. Przymkniona powieka.
Pochyłe czoło, w którem się przebija
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka:
W niepewnych rysach wschodzi i przemija,
I znowu wschodzi, całą twarz obleka;
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem.

«Co słyszę, jutro? Biada mojej głowie!
Nie chcę, ażeby po Litwie gadano,
Że brat na bratnie następował zdrowie,
Wziął gardło, lub dał za Grażyny wiano!
Pójdę i w pierwszej z książęciem rozmowie —
Owszem, dziś idę, chociaż to nie rano.
Wprzód niśli nocą świt opędzi rosę,
Tuszę, iż dobrą odpowiedź przyniosę.»

Żegnają siebie po tym rozhoworze,
A w jedno miejsce dążyli oboje.
Księżna i chwili nie bawiąc w komorze,
Spieszy w gmach pański przez tajne pokoje;
Rymwid, nie bawiąc i chwili na dworze,
Śpieszy krużgankiem i w pańskie podwoje
Że nie śmiał wstąpić, na progu usiada,
Szczeliną patrzy i ucha dokłada.

Niedługo czekał. Klamka zaszeleści,
Z ubocznych progów mignie postać w bieli.
«Kto?» woła książe, zerwał się z pościeli,
«Kto?» «Ja» odpowie znany głos niewieści.
Potem coś dłużej rozmawiać zaczęli.
A chociaż Rymwid domyślał się treści,
Głosu nie złowić: bo w echo wplątany,
Połknęło mejsce, lub odbiły ściany.

Rozmowa coraz żwawsza i zmięszana,
Coraz wolniała, coraz trudniej słychać,
Częściej głos pani, bardzo rzadko pana;
Milczał niekiedy zdawał się uśmiechać.
Nakoniec księżna padła na kolana,
Wstał, nie wiadomo podnieść, czy odpychać,
Kilka słów potem wymówił goręcej;
A potem milczał i nie mówił więcej.

Już umyśliła: przystąpiła krokiem,
Skinęła czołem i źrenicą błyśnie;
Ach, od tej myśli państwa los zawiśnie! —
«Co słyszę, i t. d.

I było cicho. Znowu postać w bieli,
Przemknie się ku drzwiom, klamką zaszeleści:
Czy uprosiła, czy się nie ośmieli
Prosić go dłużej — już w swój gmach niewieści
Odeszła księżna. Książe do pościeli
Wrócił — legł. Cicho i widać w tej cisze,
Że go sen twardy wprędce ukołysze.

Rymwid daremnie jeszcze chwilę badał;
Odszedł nareszcie i w lewym balkonie
Giermka obaczy, który z Niemcy gadał.
Słucha ciekawie, lubo ku tej stronie
Nie szła rozmowa i wiatr ją okradał;
W tem giermek ręką ukazał ku bronie:
Coby oznaczał, Rymwid łacno zgadał.
Strasznie to pychę Krzyżaka ubodło,
Zbiegł, chwycił konia, poskoczył na siodło:
«Przysięgam — wrzeszcząc — gdybym nie był posłem,
Przysięgam na ten krzyż, Komtura znamię,
Iż za obelgę, którą dziś poniosłem
Przędkoby zemstę znalazło to ramię.
Między monarchy na poselstwach wzrosłem;
Ni przy cesarkiej, ni papieskiej bramie
Nie spotkało mię co u twego panka:
Pod gołem niebem doczekać się ranka —
Iść precz, za czyim? za giermka rozkazem!
Ale ostrzegam, że nas nie ułowi
Pogański wykręt i nie minie płazem,
Wołać nas wrzkomo przeciw Witołdowi,
A potem wspólnem otoczyć żelazem!
No obaczymy, czy Witołd odbije
Ten miecz, zanadto waszej bliski szyi!

«Powiedz książęciu, jeśli nie dowierza,
Sam niechaj spyta, powtórzyć gotowem,
Choć razy dziesięć temże samem słowem,
Teraz i zawsze: bo ze słów rycerza
Nic nie wyrzucić, jak ze słów pacierza.

A com rzekł usty, prawicą dowiodę,
Jama, którąście pod nami kopali,
Na waszę własną wykopana szkodę,
Dziś jeszcze, jeszcze tej nocy się zwali;
Tak, jakem Ditrich Halstark von Kniprode,
Komtur zakonu! Za mną knechty dalej!»

Zaczekał jednak. Lecz po krótkiej zwłoce,
Gdy nic nie słyszał, bramą w pole goni.
Kiedy niekiedy zbroja zamigoce,
Kiedy niekiedy podkowa zadzwoni,
Kiedy niekiedy słychać rżenie koni;
Coraz znikają w dali i w pomroce —
Las, a nakoniec i góra zasłoni.

«Jedźcie szczęśliwie! Bogdaj wasza noga
Nigdy w litewskiej nie postała ziemi!»
— Rzekł Rymwid, patrząc z uśmiechem za niemi —
Dzięki, o księżno! Jaka zmiana błoga,
Jak niespodziana! Proszę teraz, kto tu
Pochlebi sobie, że zna serce cudze?
Ów głos gniewliwy, owa postać sroga
Słowa wiernemu nie dał wyrzec słudze!
Ptaszego zda się chciał pożyczyć lotu,
By spaść co prędzej na Witołda głowę:
Wtem, jeden uśmiech i słówko miodowe,
Wytrąca oręż, zmusza do powrotu.
Nie dziw, zapomniał starzec siwobrody, [1]
Że księżna piękna, a Litawor młody!»

Tak mówiąc z sobą, wzniósł do góry oczy:
Może się lampa za kratą ukaże.
Napróżno patrzył; ciemność okna mroczy;
Wraca więc znowu i na ganek kroczy,
Ażali książe wołać nie rozkaże.
Napróżno czekał, zapytawał straże,

[1] A jam zapomniał — widzę żem zbyt stary —
Co to jest młodość i niewieście czary.

Zbliża się ku drzwiom, w pokoju noc cicha,
A książe dotąd snem twardym oddycha.

«Cuda prawdziwe! Nie odgadnę cale,
Jakim dziś wszystko idzie u nas torem:
Niedawno wołał, w największym zapale,
Rozkazał wojsko zgromadzić wieczorem,
A sam śpi dotąd? miał wyciągnąć rano? —
Stoją rycerze od Niemców wezwani,
A Niemcom z niczem odjechać kazano.
Ktoż zaniósł rozkaz? oto giermek pani! —

«Ile z wczorajszej wróżyłem rozmowy —
Wprawdzie żadnegom nie słyszał wyrazu,
Lecz długie prośby, głos pana surowy —
Miałażby księżna pomino rozkazu
Ważyć się sama aż na krok takowy,
Ufna potędze niewieścich pieścideł? —
Lękam się bardzo, aby tego razu
Zbytniej śmiałości nie puściła skrzydeł.
Prawda, iż nieraz poczynała śmiele;
Lecz to byłoby więcej, niż zawiele.»

Dalsze rozmowy przerwał mu posłaniec,
Który wszedł cicho i zdaleka mruga;
Więc oba spieszą w zamku lewy kraniec.
Stamtąd krużgankiem zbiegła księżnej sługa,
Wnet sama pani w sieniach go spotyka,
Wprowadza i drzwi za sobą zamyka.

«Radco sędziwy, nie dobrze się dzieje;
Ale rozpaczy oddać się nie godzi:
Jeśli nas dzisiaj zawiodły nadzieje,
Szczęśliwsze jutro może wynagrodzi.
Bądźmy cierpliwi: nie robić hałasu
Między żołnierstwem i dworską gawiedzią;
Posły odprawim do innego czasu.
Ażeby książe, nagłą odpowiedzią

Nie przyrzekł Niemcom, póki zemstą płonie,
Coby rad cofnął, gdy z gniewu ochłonie.

«Ty się nie lękaj: jakkolwiek wypadnie,
Zamiarom pana nic się nie uszkodzi;
I potem wojsko może zwołać snadnie
Jeżeli czas mu serca nie ochłodzi.
Dzisiaj miał jechać, ale wyznam szczerze,
Ja tak kwapionej wyprawie nie wierzę.
Ledwie w domowe powrócony progi,
Wczoraj zaledwie z piersi złożył zbroje,
Z dalekiej jeszcze nie wytchnąwszy drogi,
Miałżeby znowu dziś ruszać na boje?» —

«Co słyszę, księżno? Ty mówisz o zwłokach?
Jak cię niestety rachuba omyli!
Już jest zapóźno; już po tylu krokach
Nie będzie czekał godziny, pół chwili —
Wreszcie obaczym. Lecz wprzód chciałbym wiedzieć,
Jak przyjął książe wczorajszą namowę?» —
Grażyna właśnie miała opowiedzieć,
Gdy ich zdarzenie pomięszało nowe.

Tentent jezdnego słychać na dziedzińcu.
Zdyszały giermek dopada komnaty,
Przynosi wieści od litewskiej czaty,
Która po lidzkim biegając gościńcu,
Teraz od Niemców dostała języka:
Że wódz krzyżacki jazdę z lasu ruszył
A za nią knechtów i obóz pomyka;
I że przed świtem, jak czatownik tuszył,
I jak niemieckie wyznawały brańce,
Chce miasto ubiedz i szturmować szańce.

Niechaj więc Rymwid wraz do pana skoczy,
By go przebudzić i prędko uradzić —
Czyli na murach obrony rozsadzić:
Czyli na polu Niemcom zajrzeć w oczy.

Czatownik radzi, abyśmy się skradli
Do nich z ubocza, bo są niedaleko;
Wprzód nim się knechty z działami przywleką,
Abyśmy znagła na lud jezdny padli:
Tak zapędzonym na chrapy i rowy [1],
Łacno Rajtarom i Bratom łby zmieciem —
Potem Fusknechtów wziąwszy pod podkowy,
Do szczętu plemię jaszczurze wygnieciem. —
Mocno Rymwida dziwi ta nowina,
Daleko mocniej dziwi się Grażyna.

«Giermku, zawoła, kędyż są posłowie?»
Umilknął giermek, a niepewne lice,
I pytające topiąc w niej źrenice:
«Co słyszę księżno?» zdumiony odpowie,
Alboż o własnem zapomniałaś słowie?
Niedawno, kiedy piały drugie kury,
Samaś mi rozkaz książęcy przyniosła;
Ażebym biegał co prędzej do posła;
I wyprawił go przed świtem za mury!»

«Tak» rzecze, księżna twarz odwraca zbladłą;
Lecz pomięszanie widne w jej osobie,
Do ust wyrazy nieporządne kładło.
«Tak, prawdę mówisz, przypominam sobie —
Jakże to wszystko z głowy mi wypadło!
Biegnę — nie — stójmy — albo, wiem, co zrobię» —
Stanęła, milczy. Przymkniona powieka,
Czoło pochyłe, w którem się przebija
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka;
W niepewnych rysach okaże się, mija,
I znowu wschodzi, całą twarz obleka.
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem:
Już umyśliła, postąpiła krokiem.

[1] W nieznanym kraju, znienacka, w pomroku,
Gdy ich żelazo i ogień powita,
Pewno Rajtary nie dostoją kroku:
Zaczem lud pieszy weźmiem pod kopyta.

«Tak jest, raz jeszcze idę budzić męża.
Wojsko niech zaraz w drogę się wybiera.
Ty, giermku, rozkaż osiodłać hestera,
I wynieś resztę pańskiego oręża.
Wszystko to ma być natychmiast gotowe!
Przykazuję wam imieniem książęcia.
Odpowiedź, starcze, wkładam na twą głowę.
Jaki cel, kędy mierzą przedsięwzięcia,
Nie gadać, ani pytać do poranku.
Idźcie, i pana czekajcie na ganku.»

Wybiegła, drzwiczki za sobą zatrzasła.
Wybiega Rymwid, a myśli po drodze:
«Gdzie idę? po co? Wszak wojska i wodze
Już zgromadzone, już wydane hasła!» —
Odetchnął tedy, zwolnił nieco kroku,
Stanął z nagiętem ku ziemi obliczem,
I myśląc długo, nie myślał o niczem:
Bo w mnogich zdarzeń i wniosków natłoku,
Myśli samopas plączą się bezładnie,
Ani ich rozum znużony owładnie.

«Próżno tu czekam. Już bliski poranek;
Wkrótce się cała zagadka rozwiąże.
Muszę z nim mówić, śpi, czy nie śpi książe» —
Więc stąpał prosto na pałacu ganek:
A wtem się zlekka rozwarły podwoje.
Litawor wyszedł sam jeden do sieni,
Szatę miał, w jaką stroi się na boje,
Całą od sutej błyszczącą czerwieni;
Głowę pod hełmem; piersi, miasto zbroje,
Pancerz obwijał z żelaznych pierścieni;
W lewicy tarczę mniejszego obłęku,
A pas od miecza na prawem niósł ręku.

Gniewem lub troską zdał się kołatany;
Nierównym stąpał i niepewnym krokiem;

Gdy się zbliżały rycerze i pany,
Uczcić łaskawem nie raczył ich okiem.
Drżący z rąk giermka wziął łuk i kołczany,
Miecz nawet zwiesił po nad prawym bokiem:
A chociaż wszyscy omyłkę widzieli,
Przestrzegać pana nikt się nie ośmieli.

Już zstąpił z ganku, już chorągiew złota
Wzniesiona, pocznie na dzień krwawy świtać,
Już dosiadł konia, już przyboczna rota,
Miała go wrzaskiem i trąbami witać:
Lecz dał znać ręką aby zamknąć wrota —
Jechać w milczeniu i o nic nie pytać.
A pacholiki i nadworne sługi
Aż za most wywiódł na dziedziniec drugi.

Stąd nie gościńcem puścili rumaki,
Ale na prawo skręcając się dołem,
Przepadli między kurhany i krzaki;
Znowu ku drodze nawracają kołem:
Wąwoz ciemnemi wiedzie ich zatoki,
Ścieśnione coraz rozsuwając boki.

Jest od przykopów miejskich tak daleka,
Jako niemieckiej broni grzmot doniesie,
Mała, zaledwie znana komu rzeka,
Wąskiem korytem błądząca po lesie;
Ku drodze jednak coraz szerzej ścieka,
Gubiąc się w wielkim jeziora okresie —
Puszcza okrywa z boków jej zwierciadła,
A z przodu góra wyniosła usiadła.

Tam, gdy litewskie wymknęły się roty,
Ujrzą śród góry przy blasku księżyca,
Zbroje, chorągwie, szyszaki i groty.
Błysnęło, zagrzmi na hasło rusznica;
Sypią się męże, ściskają się roty:
Murem krzyżacka stanęła konnica.

Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie:
Na czole Ponar zasadzone bory,
Gdy z nich oskubie wicher szaty letnie,
A rosa jasne wieszając bisiory,
Nagle się mrozem w szron perłowy zetnie:
Błędnym przechodniom zdają się u wnijścia
Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.

Ten widok gniewy w książęciu poduszcza.
Skoczył z wyniosłem nad głową żelazem;
Wali się zbrojna w ślady jego tłuszcza.
Ale się wodze dziwią, że tym razem
Wojsko bez sprawy ladajako puszcza,
Ani ich zwykłym ostrzeże rozkazem,
Kędy sam myśli na czole ugodzić,
A jakie skrzydła odda im przywodzić.

Więc Rymwid, pańską zastępując wolę,
Obiega hufy, szykuje śród drogi;
Wklęsłe ku górze ściskając półkole,
Pancernych w środek, łuczników na rogi:
Tak zawsze Litwa zwykła stawić pole.
Dał hasło: chylą majdany do nogi —
Warknęły struny, świsnęła strzał chmura,
Jezus, Marja! — Naprzód, hop hop, ura!

Dopieroż, drzewca ułożywszy w toku
Zerwą się bliżej, pierś na pierś uderzy —
Za cóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięstwa i klęski rycerzy?
Swoi i cudzy zmięszani w natłoku:
Zewsząd szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzy;
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy,
Co miecz oszczędza, druzgocą podkowy.

Książę jak skoczył, tak goni na czele,
Ani się jeden między tłumem boi.

Znają czerwony płaszcz nieprzyjaciele:
Poznali godła na hełmie i zbroi;
Cofa się walcząc nieśmiała gromada,
Zwycięzca pędzi i na karki wsiada.

Lecz któryż z bogów siłę w nim osłabił?
Cóż stąd, że zbiegłych natarczywie goni?
Cóż stąd, że bije? nikogo nie zabił.
Bezwładna szabla po pancerzach dzwoni,
Albo się zwija odbita żelazem,
Albo uchybia, albo idzie płazem.

Czując Krzyżacy tak słabe natarcie,
Odzyszczą serce; z okropnym hałasem
Nawrócą czoła, potkną się zażarcie,
I gęstym włóczni otoczą go lasem;
Czy przelękniony, czy splątany w tłumie,
Brać ich na szable i tarcze nie umie.

Trudno mu było całą unieść szyję,
Krzyżactwo zewsząd kole, strzela, siecze:
Wtem, huf litewski nawałę rozbije,
Biorąc go między puklerze i miecze:
Ten słabe razy swojemi poprawia,
A ten od cudzych razów go zastawia.

Już noc pierzchała, już różane włosy
Zorza na wschodnim roztacza obłoku.
Bitwa wre dotąd, ślepe lecą ciosy,
Ni w tył ni naprzód nie ruszono kroku;
A bóg zwycięstwa, przyszłe ważąc losy,
Równy krwi ciężar stąd i zowąd bierze —
I szala dotąd w równej stoi mierze.

Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzyma:
W koło go mokrem ramieniem obchodzi,
Dnem podkopuje, pierś górą wydyma;

Ten, natarczywej broniąc się powodzi,
Na twardych barkach gwałt jej dotąd trzyma;
Ani się wzruszy skała w piasek wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta.

Krzyżactwo, długiej niecierpliwe bitwy,
Na wierzchu góry stojący odwodem
Ostatni hufiec pędzą w środek Litwy:
Komtur ich wiedzie, sam uderza przodem;
A zmordowanych długiemi gonitwy,
Gdy naparł świeżym i dzielnym narodem,
Łamią się szyki — Krzyżactwo zwycięża.
Wtem z góry zagrzmiał straszliwy głos męża.

Ku niemu wszystkich podnoszą się oczy.
Stoi na koniu; a jako rozwiodła
Szeroko cienie sterczących warkoczy,
Na śnieżnej górze wybujała jodła,
Tak go szeroki płaszcz do koła mroczy:
Czarny płaszcz, czarny koń i hełm i godła.
Trzykroć zawołał, zleciał nakształt gromu,
Nie wiedzieć za kim, albo przeciw komu.

Dobiega Niemców, między tłumem tonie:
Bitwy nie ujrzysz; ale zgiełk i jęki
Dają odgadnąć w jakiej walka stronie,
I jak straszliwy piorun jego ręki.
Tam szyszak zniknie, ówdzie sztandar padnie;
Tłoczy się hufiec, mięsza się bezładnie.

Jako leśnicy, gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali;
Jęczą topory, chrobocą pił zęby;
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali;
Nakoniec, między wyciętemi zręby,
Ujrzysz i mężów i błyskanie stali:
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Darł się ku Litwie rycerz nieznajomy.

Śpieszaj rycerzu ożywić duch męski,
Krzepić słabnących śpieszaj, jeszcze pora!
Litwini bliscy ostatecznej klęski:
Dzid i puklerzów warowna zapora
Już rozłamana; sam Komtur zwycięski
Po całem polu szuka Litawora;
On się nie kryje: oba konie bodą,
Wkrótce śmiertelny pojedynek zwiodą.

Litawor szablę wynosi do cięcia.
Komtur dał ognia z piorunowej broni.
Zadrżą Litwini, pojrzą na książęcia:
Niestety, szabla wypadła mu z dłoni,
Cuglę z słabego wyciekły ujęcia;
Już pod szyszakiem nie dotrzyma skroni,
Spływając z siodła już się bokiem chyli:
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.

Jęknął mąż czarny; a jak czarna chmura
Ryknąwszy, błyśnie piorunowym gradem,
Z taką szybkością leci na Komtura:
Zaledwie pierwszym zwarli się napadem,
Pojrzeć, aliści Komtur już pod koniem,
A rycerz bieży i tratuje po niem.

Gdzie obskoczyły książęcia dworzany,
Przybiega, chwyta, rwie pancerza węzły,
Ostrożnie zdziera blach zafarbowany,
Wyśledza postrzał głęboko ugrzęzły.
Wtem, krew na nowo wytrysnęła z rany,
Ból zemdlonego do zmysłów przywoła;
Otwiera oczy, spoziera do koła,
I znowa wciska na oczy przyłbicę;
Z gniewem żołnierze i sługi odpycha,
A Rymwidowi ściskając prawicę:
«Już jest po wszystkiem starcze, mówi z cicha,
Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę — —

Ratunek próżny, wkrótce umrzeć muszę,
Wieźcie do zamku, tam wyzionę duszę.»

Rymwid szerokie oczy w nim utopił:
Ledwie śmie wierzyć, od zmysłów odchodzi.
Upuszcza rękę, którą łzami kropił,
Dreszcz kości wstrząsa, pot mu czoło chłodzi,
Teraz poznaje głos, nieznany wczora:
Niestety, nie był to głos Litawora!

Tymczasem rycerz upuszczone wodze
Starcowi wręczył; sam do pana skoczył,
Rumaki każe nawrócić ku drodze,
Chwiejącego się ramieniem otoczył,
Składa na piersiach, krew dłonią zaciska;
Dał znak, samotrzeć pędzą z bojowiska.

I zbliżają się pod okopy grodu.
Zaszli im drogę ciekawi mieszkańce:
Ci, bodąc konie przez tłumy narodu,
W milczeniu śpieszą na zamkowe szańce,
A skoro wpadli, uchylono zwodu.
Rycerz strażnikom przykazuje srogo,
Ni tam ni za się nie puszczać nikogo.

Wnet z resztą hufów ciągną bojownicy.
A choć wygrali tak przeważne pole,
Mała stąd radość była po stolicy;
Ból serca ścisnął, żałoba na czole;
Każdy się pyta troskliwy o pana:
Gdzie jest? czy żyje? jak głęboka rana?

Nikt nie był w zamku, nikt o niczem nie wie;
Podjęto mosty i zemkniono zwory.
Tymczasem w fosę, między gęste krzewie,
Zchodzą trabanci z piłami, z topory,
Sieką chróst, walą topole, modrzewie,
A ociosane pnie, gałęzie, wiory

Toczą na barkach i wozach do miasta:
Na taki widok żal i postrach wzrasta.

Kędy świątynie miał władca pioruna,
I bóg co wichrem niepogodnym świszcze,
Gdzie woły, konie, trzoda srebrno-runa,
Codziennie krwawi poświęcone zgliszcze:
Tam stos ogromny kładą pod obłoki,
Dwudziestem sążni długi i szeroki.

W środku dąb sterczał; a pod dębem stoi
Niemiecki braniec na dzielnym rumaku,
Z orężem, w hełmie i zupełnej zbroi,
Trzykroć łańcuchem przykuty do haku:
Wódz to krzyżacki, co był posłem wprzody,
Zabójca księcia, Dieterich z Kniprody.

Biegą mieszczanie, rycerze, kapłany;
Czekają końca, zgadywać nie śmieją:
Każdy zarówno w myślach kołysany
Między bojaźnią, żalem i nadzieją —
W zamek smutnemi poziera oczyma,
A słuch na wieści wyprężony trzyma.

Przecież i trąba ozwała się z wieży,
I most opada, i wolnemi kroki
Rusza się orszak w żałobnej odzieży,
Niosąc na tarczach bohatera zwłoki:
Przy nim łuk, włócznia, miecz i sajdak leży,
W koło purpurą świeci płaszcz szeroki:
Książęce stroje; lecz nie widać lica,
Bo je spuszczone zawarła przyłbica.

To on, to książe! Wielkiego pan kraju,
Mąż dużej ręki, któż mu rówien będzie
Czy gromić Niemce i hordy Nogaju,
Czy lud na słusznym rozsądzać urzędzie?
Panie nasz! za cóż dawnego zwyczaju
Nie widać w twoim pogrzebnym obrzędzie?

Nie tak albowiem starożytność święta
Czciła twe przodki, Litewskie książęta.

Za cóż do nieba nie idzie za tobą
Twój giermek, każdej nieodstępny drogi,
I z próżnem siodłem, okryty żałobą
Towarzysz pola, koń jelenio-nogi;
I sokół, i psy, co wiatr pyskiem sieką,
I drugie z pyskiem wietrzącym daleko?

Szemrała gawiedź. Rycerze na stosie
Składają ciało, mleko i miód leją;
Przy długiej trąby i fletni odgłosie,
Śmiertelne pieśni Wajdeloci pieją.
Starszy pochodnią wziął i nóż ofiarny:
Stójcie! — Stanęli. — Nadjechał mąż czarny.

Któż on? pytają wszyscy, któż on taki?
Poznało wojsko: on na polu wczora,
Kiedy Litewskie złamano orszaki,
I obstąpiono zewsząd Litawora,
Przypadł: odwagę stygnącą zapalił,
Niemców wysiekał, Komtura obalił.

Tyle o czarnym rycerzu wiedziano.
Dziś w tymże płaszczu, na tymże rumaku:
Lecz po co przybył? skąd ród? jakie miano?
Stójcie i patrzcie! Uchyla szyszaku,
Uchyla twarzy: on! Litawor! książe! —
Dziw nagły zmysły i mowę zabiera;
Nakoniec radość skrzepły głos rozwiąże.
Opłakanego widząc bohatera,
Wrzasną i klasną, wrzask o gwiazdy bije:
Litawor żyje! książe, pan nasz żyje!

Stał i ku ziemi dzierżał lice blade.
Hałas grzmi jeszcze powtarzany echem;
Zwolna wzniósł czoło, obejrzał gromadę,
Za okrzyk lekkim dziękując uśmiechem.

Nie był to uśmiech, co z serca poczęty,
Rozjaśni lica i w oczach zaświeci;
Ale jakoby gwałtem przyciągnięty
Usiadł na ustach i wkrótce uleci:
Tyle dodaje smutnej twarzy wdzięku,
Ile kwiat w bladem nieboszczyka ręku.

«Zapalcie zgliszcza!» Palą — ogień bucha,
A książe dalej: «Wiecie-li wy, czyje
Zwłoki na stosie giną?» — Cichość głucha.
«Niewiasta! choć ją męska zbroja kryje!
Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha —
Ja się zemściłem, lecz ona nie żyje!» [1]
Rzekł — bieży na stos, upada na zwłokach,
Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

[1] Ludy, słuchajcie! Dla waszej nauki
Powiem: słuchajcie i zważcie dokładnie!
Wy, syny wasze, wnuków waszych wnuki
Niechaj to w sercu zachowają na dnie:
Co człowiek zbłądził rażon gniewu jadem,
To książe wielkim naprawi przykładem —»

EPILOG WYDAWCY.

Czytelniku, jeżeliś przepatrzył cierpliwie,
I nie rad snać do końca — czemu się nie dziwię:
Bo w żmudnem zaplątaniu, gdy wątku nie schwyta
Podrażniona ciekawość, gniewa się niesyta —
Za co książe sam został, a wyprawił żonę?
Za co śród boju przyniósł niewczesną obronę?
Czy księżna własną wolą zastąpiła męża?
Przecz Litawor na Niemce jął się do oręża? —
Dostatnich odpowiedzi napróżnobyś badał.
Wiedz-że, iż autor, co te historje składał,
Ile widział, lub słyszał — był naonczas w mieście —
Nie mogąc prawdy zmacać i na jaw wysadzić.
A nie chcąc fałszywemi domysłami zdradzić,
Gdy umarł — jam rękopis wziął po nieboszczyku,
A sądząc, iż rad będziesz, miły czytelniku,
Kiedy z ukrycia wyjdą na publiczne oczy,
I koniec się jakkolwiek przycięty dotoczy:
Pytałem Nowogrodzian, ludzi godnych wiary;
Ale żaden nie wiedział, jeno Rymwid stary;

«Jeżeli ktoś te dzieje odczytał cierpliwie,
I nie rad z nich do końca — czemu się nie dziwię:
Bo splątawszy się w wątku, resztą we mgle toną,
Porzucając ciekawość swą niedosyconą,
Wiedz-że: iż co się stało dawno i tajemnie
Po tylu wielkich latach, nie może być ze mnie,
Do gruntu dziś wyśledzić a na jaw wysadzić,
A fałszem nie chcę uszu łatwowiernych zdradzić!
Więc za co księżna w polu zastąpiła męża,
Przecz Litawor na Niemce imał się oręża:
Nikt przyczyn dostatecznych a pewnych nie wyda,
Bo nikt nie wiedział, oprócz starego Rymwida,

I ten, jak stary, prędko rozstał się z żywotem,
A póki żył, nikomu nie powiadał o tem. —
Snać, w przysiędze uwiązan, albo w obietnicy. —
Szczęściem, był drugi człowiek świadom tajemnicy:
Giermek księżnej, pod on czas we dworcu przytomny.
Ten, jako człowiek prostak, mniej w języku skromny,
Gadał, a jam spisował, widząc iż powieści,
Wiążą się do podanej od autora treści.
Czyli całkiem prawdziwe, trudno dać porękę;
A kto o fałsz pomówi, nie wyzwę na rękę:
Bo tu nic zgoła własną nie nadstarczam głową,
A com z giermka usłyszał, oddam słowo w słowo.
Giermek zaś tak powiadał:
«Księżna sfrasowana,
Długo błagała męża, padłszy na kolana,
Ażeby na kark Litwie nie zwał nieprzyjaciół.
Ale on tak się w gniewie uporczywy zaciął,
Iż jej prośby z szyderczem słuchając obliczem,
«Nie i nie» odpowiadał, i odprawił z niczem.
Sądziła go przekonać łacniej w innym czasie;
Rozkazała posłańców zatrzymać w tarasie —

I ten niedługo zasię rozstał się z żywotem,
A póki żył nikomu nie powiedział o tem,
Snać w przysiędze uwiązan, albo w obietnicy.
Był jednak drugi człowiek, świadom tajemnicy:
Giermek księżnej, naonczas we dworcu przytomny.
Ten, jako człowiek prostak, mniej w języku skromny,
Co wiedział, co nie wiedział, plótł tajemnie zrazu,
Ale gdy strach ominął dawnego zakazu —
Bo zakazano było przed ludem rozplatać —
Wieść tłumiona poczęła coraz szerzej latać.
Przez tysiąc ust pędzona w nieśmiertelnym ruchu,
Długie przepadłszy wieki, doszła nam do słuchu.
Ile w niej prawdy, niech każdy sam bada,
A nie wyzwę na rękę, choć kto kłamstwo zada:
Bo już nic zgoła swoją nie dostarczam głową.
Co on giermek wyjawił, oddam słowo w słowo.
Giermek zaś tak powiadał)
«Księżna sfrasowana,
Iż nie mogła prośbami złamać gniewu pana,
Sądziła go przekonać snadniej w innym czasie
I kazała mnie posły zatrzymać w tarasie —

Lub za mury wyprawić. Wyprawiłem cicho;
Zbłądziliśmy oboje: a stąd całe licho.
Bo Komtur, odpowiedzią twardą zagniewany,
Miasto posiłków, niesie ogień i tarany.
Kiedym o tej nowinie uwiadomił panią,
Biegła znowu do męża, ja zdaleka za nią.
Weszliśmy; ciemno było w komnacie i głucho,
Książe strudzony zasnął na oboje ucho.
Stanęła podle łoża, lecz nie śmiała budzić,
Czy nie chcąc darmo prosić, czy sennego trudzić;
Ale wrychle na obrót rzuciła się nowy:
Bierze szablę, książęciu leżącą u głowy,
Pancerz kładzie, mężowski płaszcz na piersiach zwiesza,
I lekko drzwi przemknąwszy na ganek pośpiesza.
Mnie srogo zakazuje o niczem nie gadać.
Koń już był osiodłany. Kiedy miała wsiadać,
Szabli nie obaczyłem przy jej lewym boku,
Zapomniała przypasać, lub zgubiła w mroku.
Biegnę, szukam, powracam: aż zamkniono wrota;
Patrzę oknem; niestety! już za bramą rota.
Strach mię ścisnął, jakobym obrzucan zarzewiem;

Albo precz wygnać. Mnie się ten zamiar podoba.
Wygnałem: ale grubo zbłądziliśmy oba!
Bo Komtur, odpowiedzią twardą rozgniewany,
Szedł natychmiast, gotując ognie i tarany.
Kiedym o tej nowinie uwiadomił panią,
Znowu biegła do męża, ja zdaleka za nią —
Weszliśmy. Ciemno było w komnacie i głucho;
Książe strudzony zasnął na oboje ucho.
Słanęła podle łoża, lecz nie śmiała budzić,
Czy nie chcąc darmo prosić, czy sennego trudzić;
Ale wrychle na obrót rzuciła się nowy:
Zdjęła szablę, wiszącą książęciu u głowy,
Pancerz kładzie, mężowski płaszcz na piersiach zwiesza,
I cicho drzwi przymknąwszy, na ganek pośpiesza;
Mnie srogo zakazała o niczem nie gadać.
Wraz i konia podano; a gdy miała wsiadać,
Mniemałem, nie ujrzawszy miecza przy jej boku,
Że go miała zapomnieć lub zgubić w pomroku:
Biegam, szukam, powracam a — zamknione wrota.
Patrzę w okna — niestety, już za bramą rota!
Strach mię ścisnął jakobym obrzucon zarzewiem;

Myślę, pocę się, kręcę, co mam począć nie wiem.
Widać blask, i grzmot działa rozlega sią w dali:
Zrozumiałem, że z Niemcy bitwę zagajali.
Wkrótce Litawor, czyli dosyć mając spania,
Czy zbudzony łoskotem, zerwał się z posłania
Woła, klaszcze i woła — ja, drżący ze strachu,
Wsunąłem się na klęczkach w ciemny zakąt gmachu.
Widziałem, jako szukał oręża i zbroje,
Kołatał we drzwi, skoczył na księżnej pokoje,
Wrócił, wyłamał rygle, wyleciał na ganek.
Ja do okna — a już się zbierało na ranek —
Książe spoziera w koło i nastawia uszy,
I krzyczy, ale w zamku nie ma żywej duszy.
Potem, na dół jakoby nieprzytomny sobie,
Skoczył, gdzie stały jego rumaki przy żłobie;
Wyjechał ku okopom, wstrzymał się u wałów,
Słuchał skąd zgiełk uderza, skąd ogień postrzałów:
A wypuściwszy wodze 'lotem błyskawicy
Przez dziedziniec, most, bramę pędzi ku stolicy,
Ja w oknie patrzę, czekam niecierpliwie końca:
Wszystko ucichło, zgasło. Koło wschodu słońca

Myślę, pocę się, kręcę, co mam począć nie wiem?
W tem grzmot niemieckiej broni rozlega się w dali:
Zrozumiałem, że w polu bitwę poczynali.
Wkrótce Litawor, czyli dosyć mając spania,
Czy zbudzony łoskotem, zerwał się z posłania.
Woła, klaszcze i woła — ją drżący ze strachu,
Wsunąłem się na klęczkach w ciemny zakąt gmachu.
Widziałem, jako szukał oręża i zbroje;
Kołatał we drzwi, skoczył na księżnej pokoje.
Wrócił, wyłamał rygle, wyleciał na ganek.
Ja do okna — a już się zbierało na ranek. —
Książe spoziera w koło i nadstawia uszy,
I krzyczy; ale w zamku nie ma żywej duszy
Potem, na dół jakoby nieprzytomny sobie,
Skoczył, gdzie stały jego rumaki przy żłobie;
Wyjechał na dziedziniec, wstrzymał się u wałów,
Słuchał, z której zgiełk strony, gdzie ogień postrzałów:
I zawróciwszy konia, lotem błyskawicy,
Przez dziedziniec, most, wały, skoczył ku stolicy.
Jam w oknie stał ciekawie, oczekując końca:
Alem niedługo czekał. Koło wschodu słońca

Wraca Litawor, Rymwid — i Grażynę z lęku
Wysadziwszy omdlałą, dźwigali na ręku.
Strach wspomnieć! Kędy stąpią, krwawy strumień pryska,
W pierś ciężko zaraniona i skonania bliska —
Padła niema, to nogi ściskając książęce,
To załamane k'niemu wyciągajac ręce:
«Przebacz mężu mój! pierwsza i osatnia zdrada!»
Książe płacze, podnosi — zemdlona upada —
Skonała. — Wstał i odszedł i rękami oczy
Zakrył i stał. — Ja wszystko widziałem z uboczy;
A gdy z Rymwidem jęli kłaść na łoże ciało,
Umknąłem. — Wiecie wszyscy, co się dalej stało.»

Tyle on giermek gadał, pod sekretem zrazu,
Lecz ze śmiercią Rymwida minął strach zakazu.
Bo Rymwid wzbronił o tem przed ludem rozplatać. —
Wieść tłumiona poczęła coraz szerzej latać!
Dziś, żadnego nie znajdziesz w Nowogródzkiej gminie,
Coby ci nie zanócił piosnki o Grażynie:
Dudarze ją śpiewają, powtarzają dziewki,
I dotąd pole bitwy zwą polem Litewki.

Wraca Litawor, Rymwid, i Grażynę z lęku
Wysadziwszy, do gmachu dźwigali na ręku.
Strach wspomnieć! Kędy stąpią, krew strumieniem pryska,
Bo pierś ciężko raniona i skonania bliska;
Padła z łoża, to nogi ściskała książęce,
To załamane k'niemu wyciągając ręce:
«Przebacz mężu, to pierwsza i ostatnia zdrada!» —
On, rzewnie płacząc, przy niej na kolana pada —
Skonała. — Wstał i odszedł — i rękami oczy
Zakrywszy stał — ja wszystko widziałem z uboczy;
A gdy z Rymwidem jęli kłaść na łoże ciało,
Uciekłem. — Wiecie wszyscy, co się potem stało.»

KONRAD WALLENROD.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Z DZIEJÓW LITEWSKICH I PRUSKICH.)

Dovete adunque sapere come sono
due generazioni da combattere — bi-
sogna essere volpe e leone.

MACCHIAVELLI.

BONAWENTURZE I JOANNIE

ZALEKIM

NA PAMIĄTKĘ LATA TYSIĄC OŚMSET DWUDZIESTEGO SIÓDMEGO

POŚWIĘCA

AUTOR.

PRZEDMOWA.

Naród Litewski, składający się z pokoleń Litwinów, Prusów i Letów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, niedosyć żyznym, długo Europie nieznajomy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prusowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród, tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł odrazu oprzeć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciołom, z jednej strony prowadząc ciągłą i morderczą z Zakonem Krzyżowym wojnę, z drugiej łupiąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogroda Wielkiego, i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep Krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witołda, których władza rozciągała się od Baltyckiego do Czarnego morza. Ale to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznej siły, któraby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoję właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń ruskich, i weszli w stosunki polityczne z Polską.

Sławianie, oddawna już chrześcianie, stali na wyższym stopniu cywilizacji; a lubo pobici lub żagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemiężycielem, i pochłonęli go, jak Chiny najeźdzców Tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wassale stali się Polakami; wielu książąt Litewskich na Rusi przyjęło religję, język i narodowość ruską. Tym sposobem Wielkie Księstwo Litewskie przestało być litewskiem; właściwy naród litewski ujrzał sie w dawnych swoich granicach, jego mowa przestała być językiem dworu i możnych i zachowała się tylko między pospólstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbytecznym wylewie opada, i płynie węższem niżeli pierwej korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu zdarzenia. Zeszły ze sceny życia politycznego i Litwa i najsroższy jej nieprzyjaciel Zakon Krzyżowy; stosunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie; interes i namiętności, które zapalały ówczesną wojnę, już wygasły; nawet pamiątek nie ocaliły pieśnie gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości: jej dzieje przedstawiają z tego względu szczęśliwy dla poezji zawód: że poeta, opiewający ówczesne wypadki, samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller:

«Was unsterblich im Gesang soll leben,
«Muss im Leben untergehen.»

«Co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości.»

(Trzecie to już dzieło polskie ogłaszam w stolicy MONARCHY, który ze wszystkich królów ziemi liczy w państwie swojem najwięcej plemion i języków. Będąc zarówno ojcem wszystkich, zapewnia zarówno wszystkim wolne posiadanie dóbr ziemnych i droższych jeszcze dóbr moralnych i umysłowych. Nietylko zostawia poddanym swoim istniejącą wiarę, zwyczaje i mowę, ale nawet zatracone albo do upadku

chylące się pamiątki dawnych wieków, jako dziedzictwo należne przyszłym pokoleniom, wydobywać i ochraniać roskazuje. JEGO szczodrobliwością wsparci uczeni przedsiębiorą pracowite podróże, dla wyśledzenia i zachowania pomników fińskich: JEGO opieką zaszczycone towarzystwa uczone, kształcą i pielęgnują dawną mowę Letów, pobratymców litewskich. Oby imię Ojca tylu ludów we wszystkich pokoleniach wszystkiemi językami zarówno sławione było.)[1]

[1] Ustęp nawiasami zamknięty znajduje się tylko w edycji Poezji (w dwóch tomach, u Karola Kraja, w Petersburgu) z roku 1829. Nie masz go ani w wydaniu pierwszem Wallenroda (1828), ani w żadnem z późniejszych. Miejscowe okoliczności i wymagalności cenzury musiały zniewolić autora do jego napisania. P. W.

WSTĘP.

Sto lat mijało, jak Zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i zgarnąć pod siebie.

Z tej strony, tłumy litewskiej młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt, bez straty życia lub swobody,
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałąska litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnem zielu;
Śmiałe, jak dawniej, wyciąga ramiona,
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
Tylko słowiki Kowieńskiej dąbrowy,
Z bracią swoimi Zapuszczańskiej góry,
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy,
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.

A ludzie? — ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć: tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! Wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi;
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topor z zielonych ogołoci wianków;
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów;
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów:
Wszystko rozerwie. — Lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach Wajdeloty.

I.

OBIÓR.

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:
Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie.
Zewsząd Komtury do stolicy śpieszą.
Kędy zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego, uradzą,
Na czyich piersiach wielki miecz zawieszą.
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu:
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w Zakonie zasługi;
Dotąd, powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżej stawi Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy:
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach;
Czy Ottomana przez morskie odmęty —
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nietylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata:
Zdobią go wielkie chrześciańskie cnoty,
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów;
Ani swej broni dla podłego zysku
Nie sprzedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na kraśne lica pogląda zdaleka,
Od czarującej rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał —
I sypał damom grzecznych słówek krocie,
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie:
Były to rzadkie chwile zapomnienia —
I wkrótce, lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne;
Słowa: Ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły.
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły,
I pogrążał się w dumy tajemnicze.

Może, wspomniawszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania?
Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem:
Był to mnich siwy — zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! Świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Tak naczelnicy zakonnej obrady
Rozpamiętują Konrada przymioty.
Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
Konrad światowej nie lubił pustoty,
Konrad pijanej nie dzielił biesiady.
Wszakże zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju;
I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową;
Jakiś rumieniec chorowity krasił:
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogniów błyskawice.
Z piersi żałosne westchnienie ucieka,
I łzą perłową nabrzmiewa powieka;
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni nucone cudzoziemską mową —
Lecz je słuchaczów serca rozumieją.
Dosyć usłyszeć muzykę grobową —
Dosyć uważać na śpiewaka postać.
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie,
Chcące z głębiny ciemnej coś wydostać:
Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą w obłędnych pogoniach,

Ściga swą młodość na przeszłości toniach —
Gdzież dusza jego? — W krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręka, w muzycznym zapędzie,
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza struny po kolei,
Prócz jednej struny — prócz struny wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,
I nadzwyczajnej dziwili się zmianie:
Konrad, zbudzony, żżymał się i gniewał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu —
Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
Straszliwie groził, nie wiadamo komu.
Trwożą się bracia. — Stary Halban siada,
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowejś tajemnej wymowy.
Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w serce Wallenroda budzi:
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.

Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy, i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca —
Da hasło trąbą: wtem, królewskie zwierzę
Grzmi z głębi piersi — strach na widzów pada:
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
I lwa potężnie uderzy — oczyma —
Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II.

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono.
Z obradnej sali idą do kaplicy:
Najpierwszy Komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiewa hymny do świętego Ducha.

HYMN.

Duchu, światło Boże!
Gołąbku Syonu!
Dziś chrześciański świat ziemne podnoże
Twojego tronu
Widomą oświeć postacią,
I roztocz skrzydła nad Syońską bracią.
Z pod twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznemi promień blaski,
I kto najświętszej godniejszy łaski,
Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli:
A padniem na twarz syny człowieka,
Temu, nad kim spoczywa twych skrzydeł opieka.
Synu Zbawicielu!
Skinieniem wszechmocnej ręki
Naznacz, kto z wielu
Najgodniejszy słynąć
Świętym znakiem twojej męki,
Piotra mieczem hetmanić żołnierstwu twej wiary,
I przed oczyma pogaństwa rozwinąć
Królestwa twego sztandary:
A syn ziemi niech czoło i serce uniża
Przed tym, na czyich piersiach błyśnie gwiazda krzyża.

Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił,
Spocząwszy nieco, powracać do choru,
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi orzeźwić się chłody:
Jedni zasiedli zamkowy krużganek,
Drudzy przechodzą gaje i ogrody.
Noc była cicha, majowej pogody;
Zdala niepewny wyglądał poranek;
Księżyc, obiegłszy błonie szafirowe,
Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,
Drzemiąc to w ciemnym, to w srebrnym obłoku,
Zniżał swą cichą i samotną głowę:
Jak dumający w pustyni kochanek —
Obiegłszy myślą całe życia koło,
Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
To łzy wylewa, to spojrzy wesoło;
Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło
Skłania, i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze.
Lecz Arcykomtur chwil darmo nie traci:
Zaraz Halbana i celniejszych braci
Wzywa do siebie i na stronę bierzę,
Aby zdaleka od ciekawej rzeszy,
Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi
Wychodzi z zamku, na równinę spieszy.
Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,
Błądzili kilka godzin w okolicy,
Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.
Już ranek: pora wracać do stolicy;
Stają — głos jakiś — skąd — z narożnej wieży:
Słuchają pilnie: — to głos pustelnicy.
W tej wieży dawno, przed laty dziesięciu,
Jakaś nieznana pobożna niewiasta,
Zdala przybywszy do Marji miasta —
Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,
Czy skażonego sumienia wyrzuty —
Pragnąc ukoić balsamem pokuty,
Pustelniczego szukała ukrycia,
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani:
Wreszcie, stałością prośby przełamani,
Dali jej w wieży samotne schronienie.
Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono cegły i kamienie:
Została sama z myślami i Bogiem,
I bramę, co ją od żyjących dzieli,
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
Kędy pobożny lud słał pożywienie,
A niebo wietrzyk i dzienne promienie.
Biedna grzesznico! Czyż nienawiść świata
Do tyla umysł skołatała młody,
Że się obawiasz słońca i pogody?
Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
Nikt jej nie widział przy okienku wieży,
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,
Oglądać niebo w pogodnej ozdobie,
I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,
I stokroć milsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu:
Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma,
Gdy nocą przy jej błąka się ukryciu;
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma.
Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki.
I z pruskich wiosek, gdy zebrane dzieci
Igrają w wieczór u bliskiej dąbrowy,
Natenczas z okna coś białego świeci,
Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzenki:
Czy to jej włosa pukiel bursztynowy,
Czyli to połysk drobnej, śnieżnej ręki,
Błogosławiącej niewiniątek głowy — —
Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:
«Tyś Konrad! — Przebóg, spełnione wyroki!
Ty masz być mistrzem, abyś ich zabijał! —

Czyż nie poznają? — Ukrywasz daremnie —
Chociażbyś jak wąż inne przybrał ciało:
Jeszczeby w twojej duszy pozostało
Wiele dawnego — wszak zostało we mnie!
Chociażbyś wrócił po twoim pogrzebie,
Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie.» —
Słucha rycerstwo: to głos pustelnicy!
Spojrzą na kratę: zda się pochylona,
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona —
Do kogóż? — Pusto w całej okolicy.
Zdaleka tylko jakiś blask uderza,
Nakształt płomyka stalowej przyłbicy,
I cień na ziemi — czy to płaszcz rycerza?
Już znikło. — Pewnie złudzenie źrenicy,
Pewnie jutrzenki błysnął wzrok rumiany,
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

«Bracia! rzekł Halban, dziękujmy niebiosom:
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły;
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.
Czy słyszeliście? wieszczba o Konradzie:
Konrad dzielnego imię Wallenroda! —
Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda;
Słowo rycerskie: na jutrzejszej radzie,
On mistrzem naszym!» — «Zgoda, krzykną, zgoda!»

I poszli krzycząc. Długo po dolinie
Odgłos tryumfu i radości bije:
«Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje Zakon, niech pogaństwo zginie!»

Halban pozostał mocno zamyślony;
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spojrzał ku wieży, i cichemi tony
Taką piosenkę odchodząc zanucił:

PIEŚŃ.

Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica:
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłej Kowieńskiej dolinie,
Śród tulipanów i narcyzów płynie:
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów,
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna swego oblubieńca:
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona.
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza —

I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali
Ale smutniejsza — ale sama jedna. —

Serce i potok ostrzegać daremnie!
Dziewica kocha, i Wilija bieży:
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczej wieży. —

III.

Gdy Mistrz praw świętych ucałował księgi,
Skończył modlitwę i wziął od Komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi:
Wzniósł dumne czoło. Chociaż troski chmura
Ciężyła nad niem, w koło okiem strzelił,
W którem się radość na pół z gniewem żarzy —
I, niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapał Mistrza, to groźne oblicze
Napełnia serca otuchą, nadzieją:
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku?
Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku?
Drżyjcie Litwini! już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamię krzyża.

Nadzieje próżne. Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały długi rok w pokoju,
Litwa zagraża: Wallenrod, niegodnie,
Ani sam walczy, ani szle do boju;
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.

Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby;
Módlmy się woła, wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnej zaprzecza,
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnej stolicy,
Teraz do koła wsi co noc podpala,
I lud bezbronny chwyta z okolicy.
Pod samym zamkiem dumnie się przechwala,
Że idzie na mszę do mistrza kaplicy —
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny!
Litwa szarpana wewnętrzą niezgodą;
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,
Stąd Krymskie hany lud potężny wiodą.
Witołd, zepchnięty od Jagiełły z tronu,
Przyjechał szukać opieki Zakonu,
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka:
O wsparcie dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada:
Mistrza nie widać. Halban stary bieży;
W zamku, w kaplicy nie znalazł Konrada.
Gdzież on? Zapewne u narożnej wieży.
Śledzili bracia nocne jego kroki;
Wszystkim wiadomo: każdego wieczora,
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
On idzie błądzić po brzegach jeziora;

Albo klęczący, przyparty do muru,
Okryty płaszczem, aż do białej zorzy
Świeci zdaleka, jak posąg z marmuru,
I przez noc całą senność go nie zmorzy.
Często na cichy odgłos pustelnicy
Wstaje, i ciche daje odpowiedzi;
Brzmienia ich zdala ucho nie dośledzi:
Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy,
Rąk niespokojnych, podniesionej głowy,
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

PIEŚŃ Z WIEŻY.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzewiała krata?
Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka.
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga:
Ten ogień żywią pobożne kapłany —
Jest wieczne źródło na górze Mendoga:
To źródło żywią śniegi i tumany —
Nikt moich westchnień i łez nie podsyca,
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia:
Spokojność, nakształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie
Strzegła mię zbliska, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki.
A mnie najpierwej żądano w zamęscie;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki!
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czem w Litwie nikt pierwej nie wiedział?

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach,
I kędy dziewic słuchają książęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po roskosznem niebie —
Ach, ja wierzyłam — bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach, odtąd marzę w dobrych i złych losach,
Tylko o tobie, tylko o niebiosach:

Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło —
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko do koła ucichło, zagasło! —
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął — zostawił nadzieję.

Nadzieję, cichem powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje.
Zbudził się Konrad, i z dzikiem uśmiechem:
«Gdzież jestem, wołał, tu słychać — nadzieje?! —
Na co te pieśni? — Pomnę twoje szczęście:
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwej żądano w zamęscie —
Biada, o biada wam nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiędną,
I będą żółte, jako piersi gadu!
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Którebyś dotąd pędziła wesoło,
Gdyby — Ty milczysz? — Śpiewaj i przeklinaj;
Niechaj łza straszna, co głazy przecieka,
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło!
Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy:
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka.»

GŁOS Z WIEŻY.

«Daruj, moj miły, daruj mi, jam winna.
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna —
Precz mi z tą pieśnią! — Miałażbym narzekać?
Z tobą mój luby, z tobąśmy przeżyli
Znikomą chwilę: lecz tej jednej chwili
Nie będę mieniać z całą ziemian zgrają
Na ciche życie przepędzone w nudzie!
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są jako konchy, co się w bagnie tają:
Ledwie raz na rok, falą niepogody
Wypchnięte, z. mętnej pokażą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu,
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie — jam na takie szczęście nie stworzona!
Jeszcze w ojczyźnie ciche pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie,
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz z poziomej uciekałam łąki,
I na najwyższym stanąwszy pagórku,
Myślałam sobie: gdyby to skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z nimi, i tylko z tej góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
Kwiat niezabudki, a potem za chmury
Lecieć wysoko! wysoko! i — zniknąć —
Tyś mię wysłuchał! Ty, skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie!
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę:
Bo gdzież ma lecieć, po jakie roskosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?»

KONRAD.

«Wielkość! i znowu wielkość, mój aniele
Wielkość, dla której jęczymy w niedoli! —
Kilka dni jeszcze, niech serce przeboli,
Kilka dni tylko już ich tak nie wiele —
Stało się! Próżno po czasie żałować;
Płaczmy — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele:
Bo Konrad płakał — ażeby mordować.
Po coś tu przyszła, po co moja droga!
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?
Jam się poświęcił na usługi Boga. —
Nie lepiejż było w świętych jego murach
Zdala odemnie płakać i umierać,
Niż tu, w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowej wieży, w powolnych torturach
Konać, i oczy samotne otwierać,
I przez niezłomne tej kraty okucia
Pomocy żebrać — a ja słuchać muszę —
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc zdaleka, i kląć moją duszę,
Że w niej są jeszcze ostatki uczucia!» —

GŁOS Z WIEŻY.

«Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej!
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,
Już nie usłyszysz! Już okno zamykam:
Spuszczę się znowu w moją wieżę ciemną,
Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam.
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, moj jedyny!
I niech zaginie pamięć tej godziny,
W której nie miałeś litości nademną!»

KONRAD.

Więc ty miej litość! Ty jesteś aniołem! —
Stój! A jeżeli prośba cię nie wstrzyma,
O ten róg wieży uderzę się czołem,
Będę cię błagał skonaniem Kaima —»

GŁOS Z WIEŻY.

«O, miejmy litość, nad sobą samemi! —
Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,
Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi,
Na morzach piasku dwie rosy kropelki;
Że lada wietrzyk, z ziemnego padołu
Znikniem na zawsze: ach, gińmyż pospołu! —
Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć:
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
Póki w niem ziemski panował kochanek.
Pragnęłam zostać w klasztorze, i skromnie
Oddać dni moje zakonnic usłudze:
Lecz tam, bez ciebie, wszystko w około mnie
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze —
Wspomniałam sobie, że po latach wielu,
Miałeś powrócić do Marji-grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biednego narodu —
Kto czeka, lata myślami ukraca;
Mówiłam sobie: on już może wraca,
Może już wrócił — czyż nie wolno żądać,
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniej umarła przy tobie? —
Pójdę więc, rzekłam, w pustelniczym domku,
Około drogi, na skały ułomku,
Zamknę się sama: może rycerz jaki
Koło mej chatki przechodzący blisko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko;
Może pomiędzy obcemi szyszaki
Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroje,
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni — jeszcze serce moje,
Zdaleka nawet kochanka odgadnie.
I gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko do koła wyniszczać i krwawić,

Wszyscy go przeklną — będzie jedna dusza,
Co mu zdaleka śmie pobłogosławić! —
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichej ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmie podsłuchać wędrowiec.
Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki;
Myślałam sobie: on może z wieczora
Wybieży z dala od swych towarzyszy,
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora,
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy. —
Niebo spełniło niewinne życzenia!
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia! —
Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem
Sny pocieszały, choć obraz był niemy:
Dziś, ile szczęścia! Dziś, możemy razem —
Razem zapłakać. —»

KONRAD.

«I cóż wypłaczemy? —
Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków z twojego objęcia;
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo!
Teraz stanąłem u życzeń mych celu,
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu:
A ty mi przyszłaś wydzierać zwycięstwo! —
Odtąd jak znowu z okna twej wieżycy
Spojrzałaś na mnie: w całym kręgu świata
Znowu nic nie ma dla mojej źrenicy,
Tylko jezioro i wieża i krata — —
W koło mnie wszystko wre wojny rozruchem:
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku,
Ja niecierpliwem, wytężoném uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
I dzień mój cały jest oczekiwaniem!
A gdy wieczornej doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem:

Ja życie moje liczę na wieczory!
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnej żąda zguby,
I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrżnięte sioła i zniszczone kraje.
Albo, gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jednem westchnieniem, skinieniem, oczyma,
Umie przygasłą chęć zemsty rozdmuchać. —
Wyrok mój zda się przybliżać do końca:
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca:
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapał w pole nagromadził,
Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i krzyżem na Wileńskie mury —
A przecież — wyznam ze wstydem! w tej chwili
Kiedy się ważą narodów wyroki:
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli. —
Młodości! jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem, lecz z męstwem! — a dzisiaj, ja stary,
Dzisiaj powinność, rozpacz, wola Boża
Pędzą mię w pole: a ja siwej głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojej nie stracić rozmowy!»

Umilknął. Z wieży słychać tylko jęki.
W milczeniu długie przeciekły godziny;
Noc rozrzedniała, i promyk jutrzenki
Już zarumienił lica cichej wody;
Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny
Ze szmerem ranne przewiewały chłody:
Ptaszęta cichem ozwały się pieniem,
Umilkły znowu — i długiem milczeniem
Znać dają, że się zbudziły zawcześnie.

Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,
Długo na kratę poglądał boleśnie.
Słowik zanucił — Konrad na około
Spojrzał: już ranek; opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę,
I w krzakach zginął.

Tak duch piekielny od wrót pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV.

UCZTA.

Był dzien Patrona, uroczyste święto.
Komtury z Braćmi do stolicy jadą;
Białe chorągwie na wieżach zatknięto:
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli Bracia; a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele. Po lewicy tronu
Wziął miejsce Witołd ze swemi hetmany;
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już Mistrz, powstawszy, daje uczty hasło:
«Cieszmy się w Panu!» Wnet puhary błysły,
«Cieszmy się w Panu!» tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł i na łokciu wsparty
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

«Cieszmy się, rzecze. Cóż to, bracia moi,
Także rycerzom cieszyć się przystoi?
Zrazu wrzask pjany, a teraz szmer cichy —
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?

Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy na pełnem trupów bojowisku,
Śród gór Kastylskich lub Finlandzkich lasów,
Przy obozowem piliśmy ognisku:

Tam były pieśni! — Między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela?
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem.»

Zarazem różni śpiewacy powstali.
Tam: Włoch otyły słowiczemi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali —
Owdzie: Trubadur od brzegów Garony,
Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,
Zaklętych dziewic i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał; piosenki ustały;
Nagle zbudzony przerwanym łoskotem,
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem:
«Mnie, rzekł, jednemu śpiewałeś pochwały,
Jeden nie może dać innej nagrody:
Weź i pójdź z oczu! — Ów Trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w rycerskiem gronie
Dziewicy nie masz, coby mu na łonie
Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży. —

«Tu róże zwiędły. — Innego chcę barda,
Zakonnik rycerz innej chcę piosenki:
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak samotnik pjany.

Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa — i nudzi;
I znowu niechaj znudzonych przestrasza.
Takie jest życie — taka piosnka nasza! —
Kto ją zaśpiewa?»

«Ja» odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział.
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów.
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła,
I tem skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy.

«Ja śpiewam, zawoła.
Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem:
Dziś, jedni legli w ojczyzny obronie,
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jej martwem ciałem;
Jak sługi, wierne w dobrym i złym losie,
Giną na swego dobroczyńcy stosie.
Inni sromotnie po lasach się kryją,
Inni — jak Witołd, między wami żyją. —

«Ale po śmierci — Niemcy, wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju?
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
Czy w ich niemieckiej, barbarzyńskiej mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie? —

«O dzieci, jaka na Litwę sromota! [1]
Żaden mi żaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza, stary Wajdelota,
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony —
Samotny, w obcej ziemi zestarzałem;
Śpiewak, niestety! śpiewać nie mam komu;
Na Litwę patrząc oczy wypłakałem —
Dzisiaj — jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiem, gdzie leży mój dom ulubiony,
Czy tam, czy ówdzie, czyli z tamtej strony. —

«Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,
Co w mej ojczyźnie najlepszego było —
I te ubogie, dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi Niemcy — weźcie mi pamiątki!

«Jak zwyciężony rycerz na igrzysku:
Zachowa życie, ale cześć utraca;
I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięscy powraca,
I raz ostatni wytężając ramię,
Broń swą pod jego stopami rozłamie:
Tak mię ostatnia natchnęła ochota.
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę:
Niech wam ostatni w Litwie Wajdelota
Nóci ostatnią litewską piosenkę.»

Skończył i czekał Mistrza odpowiedzi.
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem:
Konrad badawczem i szyderczem okiem
Witołda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy Wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witołd mienił,

[1] W pierwszej petersburskiej edycji:
«O dzieci, jaka Litwinom sromota!

Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił:
Dręczy go równie i gniew i sromota;
Nakoniec, szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę rostrąca:
Spojrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu nad czołem wisząca
Opadła nagle w bystrym łez potoku.
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania,
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy scichą: «Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni i kto je rozumie —»
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:
«Oto jest nóta litewskiego śpiewu!»

Wtem Konrad powstał: «Waleczni rycerze,
Dziś zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i książąt podarunki bierze:
Jak winne hołdy z podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierzę;
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę — będzie to grosz wdowi.

«Pośród nas widzim książęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie:
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie, niechaj się oddali.
Ja — czasem lubię te posępne jęki
Niezrozumiałej litewskiej piosenki:
Jak lubię łoskot rozhukanej fali,
Albo szmer cichy wiosennego deszczu,
Przy nich spać miło. — Śpiewaj stary wieszczu.»

PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
Bo jeśli słuszna Wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych smętarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica:
W bieliznie, z wiankiem ognistym na skroniach
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją;
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,
Na sioła, zamki i bogate miasta:
A ile razy krwawą chustą skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko! — Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusiemi czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony!

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić. —

O wieści gminna! Ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła. — [1]

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:

[1] W pierwszej petersburskiej edycji:
Ty czasem miewasz i miecz archanioła.

Pieśń ujdzie cało! Tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I stamtąd dawne opowiada czasy —
Tak słowik, z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu;
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nóci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni,
Trącając kości żelaznym oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni —
Echa mu wtórzą. Ja słuchałem zdala.
Tem mocniej widok i piosnka rozżala:
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła:
Tak na dźwięk pieśni, kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje —
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono —
Marzyłem cudnie — srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry!
Myśl, znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę —
Lutnia umilkła w otrętwiałem ręku;
Śród żałośnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę;
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy
Jeszcze na ścianach pałacu rostoczy
Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:

Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie — niegdyś całe życie.

Lecz po co zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiewak nie obwini:
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki —
O nim zaśpiewam: uczcie się Litwini!

Umilknął starzec i do koła słucha,
Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać.
W sali do koła była cichość głucha;
Ta zwykła wieszczów na nowo zagrzewać.
Zaczął więc piosnkę, ale innej treści;
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po strunach słabiej i rzadziej uderzał,
I z hymnu zstąpił do prostej powieści.

POWIEŚĆ WAJDELOTY.

Skąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki;
Wieźli łupy bogate w zamkach i cerkwiach zdobyte.
Tłumy brańców niemieckich z powiązanemi rękami,
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwycięsców:
Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,
Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu.
W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie Peruna,
Tam książęta litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna:
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Oni sami śród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
Między Litwinów uciekli; książę Kiejstut ich przyjął,
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli?
«Nie wiem, rzecze młodzieniec, jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę schwytany.
Pomnę tylko, że kędyś w Litwie śród miasta wielkiego
Stał dom moich rodziców. Było to miasto drewniane,
Na pagórkach wyniosłych; dom był z cegły czerwonej.
W koło pagórków na błoniach puszcza szumiała jodłowa,
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.
Razu jednego, w nocy, wrzask nas ze snu przebudził,

Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby.
Kłęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy w bramę,
Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem;
Krzyk okropny: do broni! Niemcy są w mieście, do broni! —
Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu. Jeden wypuścił się za mną.
Zgonił, porwał mię na koń. Nie wiem co stało się dalej:
Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem —
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu.
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w mem uchu.
Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu. — Oto jest wszystko, co z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy marzeniach
Widzę postać szanowaną matki i ojca i braci:
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,
Coraz grubsza i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dziecińtwa płynęły, żyłem śród Niemców jak Niemiec,
Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano:
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrych, mistrz Krzyżacki, chował mię w swoim pałacu,
On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił jak syna:
Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha uciekał
Do Wajdeloty starego. Wówczas, pomiędzy Niemcami,
Był Wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty,
Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rozpowiadał o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
On mię często ku brzegom Niemna sinego prowadził:
Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać;
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń: łzy ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy,
Nóż ostrzyłem tajemnie: z jaką zemsty roskoszą
Rżnąłem kobierce Winrycha, lub kaleczyłem zwierciadła,
Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem.
Potem, w latach młodzieńczych, częstośmy z portu Kłajpedy,
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwiedzać.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią, zdało się, że dziecinniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małymi.
Starzec pomagał pamięci: on piękniejszemi słowami
Niśli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile młodości; ileż to dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach Zakonu
To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe rostrąca się morze,
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa:

Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce?
Już je piasek obleciał. Widzisz te zioła pachnące?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie:
Ach, daremnie! Bo nowa żwiru nasuwa się hydra.
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija,
I rozciąga do koła dzikiej królestwo pustyni —
Synu! plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini!
Synu! piaski z zamorza burzą pędzone, to Zakon!
Serce bolało słuchając. Chciałem mordować Krzyżaków —
Albo do Litwy uciekać: starzec hamował zapędy.
Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać oręże,
I na polu otwartem bić się równemi siłami;
Tyś niewolnik: jedyna broń niewolników jest zdrada.
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność. Dalej obaczym co począć. —
Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami Teutonów:
Ale w pierwszej potyczce, ledwiem obaczył chorągwie,
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał:
Poskoczyłem ku naszym — starca za sobą przywodzę.
Jako sokoł wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum,
I puszczają, żeby braci sokołów wojował:
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy —
Pójdź myśliwcze do domu, z klatką nie czekaj sokoła.» —

Skończył młodzieniec: a Kiejstut słuchał ciekawie — słuchała
Córa Kiejstuta Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory;
Kiejstutówna jak zwykle w sióstr i rówiennic orszaku
Za krosnami usiada, albo się bawi przędziwem;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich,
I o swojej młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka;
Wszystko umie na pamięć, nieraz i w śnie powtarza.
Walter mówił, jak wielkie zamki, miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą rycerze,
A dziewice z krużganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem,
I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,
Której postać anielską w cudnym pokazał obrasku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach:
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego nauczyć,
Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele. Z jakiem roskosznem wzrus
Słyszał z ust jej litewskie już zapomniane wyrazy!

Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie,
Jako iskra z popiołu: były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni i jeszcze
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości; któremu
Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu — Ojczyzna.

Skądże, pomyślał Kiejstut, nagła w mej córce odmiana?
Gdzie jej dawna wesołość, gdzie jej dziecinne rozrywki?
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem:
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krosną:
Jej z rąk igła wypada, nici plątają się w krosnach,
Sama nie widzi co robi, wszyscy mi to powiadają.
Wczoraj postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby wiedzieć, kiedy jej oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają?
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;
Skąd powraca? z doliny; cóż w tej dolinie? młodzieniec
Ogród dla niej zasadził. Jest-że ten ogród piękniejszy
Niśli me sady zamkowe (pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich ponęta).
Nie ogródek to wabi. Zimą widziałem jej okna;
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemnił kryształu:
Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna
I gorącem westchnieniem lody na szybach stopiła,
Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczy,
Słysząc, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli —
Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony:
Mamże go z domu wypędzić? On tak potrzebny dla Litwy;
Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko —
Pójdź Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę!

Walter pojął Aldonę. — Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści: w waszych miłosnych romansach,
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi — —
Walter kochał swą żonę — lecz miał duszę szlachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek —
Innym krajom skowronek miłość i roskosz obwieszcza;
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie.
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonemi tłumami;
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbroj, rżenia rumaków.
Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega;
Tu i owdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno do koła oblegli.

Dzień w dzień od taranów walą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
Pod niebiosami ognistym wznosi się bomba polotem,
I jak sokoł na ptaki z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło, Litwin do Kiejdan uchodzi:
W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach
Broni się. Niemcy dalej ciągną, plądrując i paląc.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie.
Kiejstut zawsze spokojny: od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać;
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli —
Idąc w ślady swych przodków, bił się i nie dbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli: chowany śród Niemców,
Znał potęgę Zakonu, wiedział, że Mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, oręże i wojska;
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony:
Litwa pierwej czy później równej ulegnie kolei;
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.
«Synu! Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem;
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły,
I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż poczniemy z Niemcami?» — «Ojcze, Walter powiadał,
Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny niestety!
Może kiedyś objawię.» — Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno zmieniony!
Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły,
W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślenia
Lice jego przysłaniał — ale w objęciach Aldony
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne,
Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał wejrzeniem.
Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;
Cały ranek przed domem z założonemi rękami,
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikiemi oczyma; w nocy porywa się ze snu:
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.
«Mężu drogi, co tobie?» pyta ze łzami Aldona;
«Co mnie — będęż spokojnie drzemał, aż Niemcy napadną
«Sennego, związawszy, w ręce katowskie oddadzą?»
«Boże uchowaj, mężu! straże pilnują okopów.»
«Prawda, straże pilnują, czuwam i szablę mam w ręku!
A kiedy wyginą straże, wyszczerbi się szabla —
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję?» —
«Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek.» — «W tem Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego! —
Ja sam! możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie Wajdelota.» — «Drogi Walterze ujedźmy.
Dalej w Litwę skryjmy się w lasy i góry od Niemców.»
«My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim.

Tak uciekali Prusacy: Niemiec ich w Litwie dogonił.
Jeśli nas w górach wyśledzi?» — «Znowu dalej ujedziem.»
«Dalej? dalej, nieszczęsna! dalej ujedziem za Litwę?
W ręce Tatarów, lub Rusi?» — Na tę odpowiedź Aldona
Pomięszana milczała: jej zdawało się dotąd,
Że ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie było schronienia.
Załamawszy ręce, pyta Waltera: co począć?
«Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom,
Skruszyć potęgę Zakonu: mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przeklęta godzina,
W której, od wrogów zmuszony, chwycę się tego sposobu!»
Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą.
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,
Dotąd mu żywot słodzące: nawet uczucie miłości. —
Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wznieciwszy, rdzeń głęboko wypalą:
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiewne,
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioły.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców lub napadani wzajemni.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo,
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza;
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry.
Z wyszczerbionemi szablami, z porąbanemi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spojrzał na żonę, słowa do niej nie wyrzekł;
Po niemiecku z Kiejstutem i Wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona — serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki. Gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
Walter patrzał najdłużej z niemej wyrazem rozpaczy;
Wtem gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu,
Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca,
I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego,
«Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć!
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapełnić nie może; stają się gniazdem jaszczurek —
Daruj, luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać.
Dzisiaj o wszystkiem zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie,
Czem bywaliśmy dawniej. Jutro —» i nie śmiał dokończyć. —
Jaka radość Aldonie! Zrazu myśli nieboga,

Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły:
Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,
W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę w niepamięć; mówił o czasach szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną rozmowy,
Pierwszej w dolinę przechadzki i o wszystkich dziecinnych,
Ale sercu pamiętnych, pierwszej miłości zdarzeniach.
Za cóż tak lube rozmowy słowem jutro, przerywa?
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
Łzy mu kręcą się w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmie?
Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiątki
Na to tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty,
Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości? —
Darmo się pytać. Aldona patrzy, czeka niepewna,
I wyszedłszy z komnaty, jeszcze przez szpary pogląda.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary,
I Wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło: tętnią po bruku kopyta,
Dwaj rycerze z tumanem rannym spieszą się w góry,
Wszystkieby straże zmylili — jednej nie mogli omylić,
Czujne są oczy kochanki: zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie.
«Wróć się, o luba do domu; wróć się, ty będziesz szczęśliwa,
Może będziesz szczęśliwa, w lubej rodziny objęciach!
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz?
Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę;
Jesteś wolną, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie!
Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nademną!
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał,
Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie,
Zdradzać, mordować i potem ginąć śmiercią haniebną.
Ale po latach ubiegłych imię Alfa na nowo
Zabrzmi w Litwie i kiedyś z ust Wajdelotów posłyszysz
Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty,
Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem:
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa.»
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.
«Jedziesz, jedziesz!» krzyknęła i zatrwożyła się sama
Słowem jedziesz: to jedno słowo brzmiało w jej uchu.
Nic nie myśliła, o niczem pomnieć nie mogła; jej myśli,
Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko splątało się tłumnie:
Ale sercem odgadła, że nie podobna powracać,
Że nie podobna zapomnieć. Oczy zbłąkane toczyła,
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie:
W tem wejrzeniu już dawniej nie znajdowała pociechy,
I zdawała się szukać czegoś nowego i w koło
Oglądała się znowu. — W koło pustynie i lasy.

W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca:
Był to klasztor zakonnic, chrześcijan smutna budowa.
Na tej wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony:
Jak gołąbek, porwany wiatrem śród morskiej topieli,
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę; udał się za nią w milczeniu,
Opowiedział swój zamiar, taić przed światem nakazał,
I u bramy — niestety! — straszne to było rozstanie — —
Alf z Wajdelotą pojechał. Dotąd nic o nich nie słychać.
Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi:
Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy —
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił —
Przyszłość resztę pokaże. — Niemcy, skończyłem piosenkę. —

Koniec już koniec, wielki szmer na sali:
I cóż ów Walter? jakie jego czyny?
Gdzie? nad kim zemsta? słuchacze wołali.
Mistrz tylko jeden śród szumnej drużyny
Siedział milczący z pochyloną głową.
Mocno wzruszony, porywa co chwila
Puhary z winem i do dna wychyla.
W jego postaci zmianę widać nową:
Różne uczucia w nagłych błyskawicach,
Po rozpalonych krzyżują się licach;
Coraz to groźniej czoło mu się chmurzy,
Usta drżą sine, obłąkane oczy
Latają niby jaskółki śród burzy —
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy:
«Gdzie koniec pieśni? wraz mi koniec śpiewaj! —
Albo daj lutnię? — czego drżący stoisz? —
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,
Zaśpiewam koniec — jeśli ty się boisz! —

«Znam ja was! — Każda piosnka Wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie:
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie — chwałę i zgryzoty — —
Jeszcze w kolebce, wasza pieśń zdradziecka
Nakszałt gadziny obwija pierś dziecka,
I wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny! —

«Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela;
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mięszać w puhary wesela.
Słuchałem pieśni — za nadto niestety! —
Stało się, stało. — Znam cię zdrajco stary! —
Wygrałeś! — Wojna, tryumf dla poety!
Dajcie mi wina, spełnią się zamiary!

«Wiem koniec pieśni. — Nie — zaśpiewam inną! —
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
Tam mnie Maurowie ballady uczyli —
Starcze, graj nótę — tę nótę dziecinną
Którą w dolinie — o! był to czas błogi —
Na tę muzykę zwykłem zawsze nócić —
Wracajże starcze! — bo przez wszystki bogi
Niemieckie, pruskie — —»

Starzec musiał wrócić,
Uderzył lutnię i głosem niepewnym
Szedł za dzikiemi tonami Konrada,
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
Rycerzy długa uśpiła biesiada — —
Lecz Konrad śpiewa: budzą się na nowo,
Stają i w szczupłem ścisnąwszy się kole,
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

BALLADA.

ALPUHARA.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady:
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
  Almanzor z garstką rycerzy.
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary:
  Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
  Rwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów błysnęły krzyże:
  Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
  Zbite w upornej obronie,
Przerżnął się między szable i groty,
  Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan, na świeżej zamku ruinie
  Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie.
  Rozdziela brańce i łupy.

Wtem, straż oddźwierna wodzom donosi:
  Że rycerz obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
  Ważne przywożąc nowiny.

Był to Almanzor król Muzułmanów.
  Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
  I tylko błaga o życie.

«Hiszpanie, woła, na waszym progu
  Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
  Waszym prorokom uwierzyć.

«Niechaj rozgłosi sława przed światem
  Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięsców chce zostać bratem,
  Wassalem obcej korony.»

Hiszpanie męstwo cenić umieją:
  Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
  Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał!
  Wodza najczulej uścisnął —
Objął za szyję, za ręce chwytał,
  Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął — padł na kolana —
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał do koła — wszystkich zadziwił:
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił —
Krwią mu nabiegły źrenice.

«Patrzcie, o giaury! jam siny, blady —
Zgadnijcie, czyim ja posłem? —
Jam was oszukał: wracam z Grenady;
Ja wam zarazę przyniosłem! —

«Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać —
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać!»

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona:
Chciałby uściśnieniem wiecznem
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki
Jeszcze się usta nie zwarły:
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli:
Dżuma za nimi w ślad biegła;
Z gór Alpuhary nim się wywiekli,
Reszta ich wojska poległa.

«Takto przed laty mścili się Maurowie:
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina? —
Cóż? jeśli kiedy uiści się w słowie,
I przyjdzie mięszać zarazę do wina —
Ale nie — o nie! — dziś inne zwyczaje! —
Książe Witołdzie! dziś litewskie pany
Przychodzą własne oddawać nam kraje,
I zemsty szukać na swój lud znękany!

«Przecież, nie wszyscy — o! nie, na Peruna!
Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpiewam —
Precz mi z tą lutnią! — zerwała się struna,
Nie będzie pieśni! — ale się spodziewam,

Że kiedyś będą. — Dziś — zbytnie puhary —
Zanadto piłem. — Cieszcie się i bawcie —
A ty Al — manzor, precz mi z oczu stary!
Precz mi z Albanem! — samego zostawcie.»

Rzekł i niepewną powracając drogą,
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,
Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą
Stół z puharami i winem wywrócił.
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął,
I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali.
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
Że gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w bezprzytomność wpada:
Ale na uczcie — publiczna sromota! —
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie!
Kto go podniecił? gdzie ów Wajdelota? —
Wymknął się z ciżby i nikt o nim nie wie.

Były powieści, że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał:
Że tym sposobem znowu chrześciany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
Ale skąd w Mistrzu tak nagłe odmiany?
Za co się Witołd tak.srodze rozgniewał?
Co znaczy Mistrza dziwaczna ballada? —
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

VI.

WOJNA.

Wojna. Już Konrad hamować nie zdoła.
Zapędów ludu i nalegań rady;
Dawno już cały kraj o pomstę woła,
Za Litwy napaść i Witołda zdrady.

Witołd, co wsparcia u Zakonu żebrał,
Dla odzyskania Wileńskiej stolicy;
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził,
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów leżące po drodze,
Wszedł z wymyślonym od Mistrza roskazem,
A potem oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
Zakon, i wstydem i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniósł na Pogany.
Wychodzi bulla: morzem, lądem płyną
Nieprzeliczone wojowników roje;
Możni książęta z wassalów drużyną,
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;
A każdy na to swe życie poślubił,
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie: i cóż tam sprawili?
Jeśliś ciekawy, wynijdź na okopy,
Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli:
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krawym płomieni ruczajem obleje. —
Oto są wojen napastniczych dzieje;
Łacno je skreślić: rzeź, grabież; pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje,
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz dalej niosły,
Rycerze dalej w głąb' Litwy zabiegli,
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli;
W końcu ustały i wieści i posły —
Już w okolicy nie widać płomieni,
I niebo coraz dalej się czerwieni.
Darmo Prusacy z podbitej krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają;
Darmo szlą częstych gońcow po nowiny:
Spieszą się gońcy — i nie powracają.
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rozpaczy.

Minęła jesień. Zimowe zamieci
Huczą po górach, zawalają drogi:
I znowu zdala na niebiosach świeci
Północne zorze? czy wojny pożogi?
Coraz widoczniej razi blask płomieni,
I niebo coraz bliżej się czerwieni.

Z Marienburga lud patrzy ku drodze.
Już widać zdala: kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych — Konrad! Nasi wodze! —
Jakże i witać? zwycięsce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków? — Konrad wzniósł prawicę,
Pokazał dalej ciżbę rozproszoną:

Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę! —
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;
Walą się, depcą jak podłe owady
W ciasnem naczyniu ginące pospołu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi;
Ci w biegu nagle przystygli do drogi,
Lecz ręce wznoszą i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podrożne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć, i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała.
Harpija głodu ich lica wyssała.
Tu słychać trąby litewskiej pogoni,
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni —
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło! Konrad wszystkich zgubił —
On, co z oręża takiej nabył chwały
On, co się dawniej rostropnością chlubił:
W ostatniej wojnie lękliwy, niedbały,
Witołda chytrych sideł nie dostrzegał,
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał! —

Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,
A nieprzyjaciel w koło rozproszony
Niszczył posiłki, przecinał dowozy:

Codziennie z nędzy marły Niemców krocie —
Czas było szturmem położyć kres wojny,
Albo o rychłym zamyślać odwrocie.
Wtenczas Wallenrod, ufny i spokojny,
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty, knował tajemne układy,
I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego niewzruszony łzami,
Miecza na jego obronę nie dźwignął:
Z założonemi na piersiach rękami,
Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał —
Tymczasem zima nawaliła śniegi;
I Witołd, świeże zebrawszy szeregi,
Oblegał wojsko, na obóz napadał.
O, hańbo w dziejach mężnego Zakonu! —
Wielki mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy!
Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Litwy! —

Czyście widzieli, gdy z tego pogromu
Wojsko upiorów prowadził do domu? —
Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica,
I Konrad cierpiał — ale spojrzyj w oczy:
Ta wielka, na pół otwarta źrenica,
Jasna, z ukosa miotała pociski,
Niby kometa grożący wojnami,
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Któremi szatan podróżnego mami —
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem!

Drżał lud i szemrał. Konrad nie dbał o to;
Zwołał na radę niechętnych rycerzy;

Spojrzał, przemówił — skinął, o sromoto!
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
W błędach człowieka widzą sądy Boga:
Bo kogoż z ludzi nie przekona — trwoga?

Stój, dumny władco! Jest sąd i na ciebie! —
W Marienburgu wiem ja loch podziemny:
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie.
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali
I w dzień i w nocy tajemnie się pali.
Dwanaście krzesel koło tronu stoi,
Na tronie ustaw księga tajemnicza,
Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi;
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
W lochach od gminnej ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nie przepuszczą bratu;
Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku:
Sztylety w ręku, rapiery u boku:

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
I stojąc z mieczem przed księgą zakonu,
Rzekł: «Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.

Kto on jest? nie wiadomo. Przed dwunastu laty
Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce, rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ów giermek, podejrzany o jego zabicie,
Z Palestyny uszedł skrycie,
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam, w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody,
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody:
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął nakoniec zakonnika śluby,
I został Mistrzem — dla Zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiecie. Tej ostatniej zimy,
Kiedy z mrozem i głodem, i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy,
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów,
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą:
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą:
Lecz sędziowie, on mówił — językiem Litwinów! —
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły,
A o czem świeżo mój szpieg donosi,
I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
Sędziowie, ja na Mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezyę, zdradę.»

Tu oskarżyciel przed zakonu księgą
Ukląkł, i wsparłszy na krucyfix rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,
Na Boga i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę rostrząsają;
Lecz nie ma głosów, ni cichej rozmowy;
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.

Każdy z kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu na księdze Zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykłada —
I wszyscy zgodnie zawołali: biada!
I trzykroć echem powtórzyły mury
Biada! — W tem jednem, jednem tylko słowie
Jest cały wyrok. Pojęli sędziowie:
Dwanaście mieczów podnieśli do góry
Wszystkie zmierzony — w jednę pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu, a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: biada! —

VI.

POŻEGNANIE.

Zimowy ranek; wichrzy się i śnieży.
Wallenrod leci śród wichrów i śniegów;
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
Woła, i mieczem bije w ściany wieży:
«Aldono, woła, żyjemy Aldono!
Twój miły wraca, wypełnione śluby —
Oni zginęli, wszystko wypełniono!»

PUSTELNICA.

«Alf? — To głos jego! — — Mój Alfie, mój luby!
Jakże! już pokój? ty powracasz zdrowo?
Już nie pojedziesz?»

KONRAD.

«O! na miłość Boga,
O nic nie pytaj! — Słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo.
Oni zginęli. — Widzisz te pożary?
Widzisz? To Litwa w kraju Niemców broi! —
Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi.
Trafiłem w serce stugłowej poczwary;
Strawione skarby; źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta — morze krwi wyciekło —
Jam to uczynił, dopełnił przysięgi —
Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło!

Ja więcej nie chcę — wszak jestem człowiekiem! —
Spędziłem młodość w bezecnej obłudzie,
W krwawych rozbojach. — Dziś, schylony wiekiem,
Zdrady mię nudzą; nie zdolnym do bitwy;
Już dosyć zemsty — i Niemcy są ludzie!
Bóg mię oświecił. Ja powracam z Litwy;
Ja owe miejsca, twój zamek, widziałem,
Kowieński zamek — już tylko ruiny —
Odwracam oczy, przelatuję cwałem,
Biegę do owej, do naszej doliny:
Wszystko jak dawniej! Też laski, te kwiaty;
Wszystko jak było owego wieczora,
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty:
Ach! mnie się zdało, że to było wczora! —
Kamień, pamiętasz, ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas: tylko mchem zarosły —
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem.
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami!
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami!
Źródło, gdziem szukał dla ciebie napoju:
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził,
Nawet twój mały chłodnik zostawiono,
Com go suchemi wierzbami ogrodził —
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy:
Dziś ich nie poznasz! dzisiaj, piękne drzewa,
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatów unoszą się puchy! —
Ach, na ten widok, pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia serce ożywiło;
Całując wierzby padłem na kolana:
Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!
Obyśmy, w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu; niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni! —

«Tak wróćmy! Pozwól! — Mam w Zakonie władzę,
Każę otworzyć. — Lecz po co roskazy?
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardszą od stali: wybiję, wysadzę,
Sam cię, o luba! ku naszej dolinie,
Tam poprowadzę, poniosę na ręku,
Lub dalej pójdziem. — Są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie białowieskich lasów,
Kędy nie słychać obcej broni szczęku,
Ani dumnego zwycięscy hałasów,
Ni zwyciężonych braci naszych jęku —
Tam, w środku cichej, pasterskiej zagrody,
Na twojem ręku u twojego łona
Zapomnę, że są na świecie narody,
Że jest świat jakiś — będziem żyć dla siebie! —
Wróć, powiedz, pozwól» —

Milczała Aldona,
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.
W tem krwawa jutrznia błysnęła na niebie:

«Aldono, przebóg! ranek nas uprzedzi,
Zbudzą się ludzie, i straż nas zatrzyma,
Aldono!» — wołał, drżał z niecierpliwości;
Głosu nie stało, błagał ją oczyma.
I załamane ręce wzniósł do góry —
Padł na kolana, i żebrząc litości,
Objął, całował zimnej wieży mury.

PUSTELNICA.

«Nie! już po czasie! — rzekła smutnym głosem,
Ale spokojnym — Bóg mi doda siły,
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem —
Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu,
Nie zstąpić z wieży, chyba do mogiły.
Walczyłam z sobą — dziś, i ty, moj miły,
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu! —
Chcesz wrócić na świat — kogo? nędzną marę!

Pomyśl, ach pomyśl! jeżeli szalona
Dam się namówić, rzucę tę pieczarę,
I z uniesieniem padnę w twe ramiona —
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
Odwrócisz oczy i z trwogą zapytasz:
Ten straszny upiór, jest-że to Aldona? —
I będziesz szukał w zagasłej źrenicy,
I w twarzy, która — ach myśl sama razi! —
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy
Pięknej Aldonie oblicza nie kazi! —

«Ja sama — wyznam — daruj, mój kochany!
Ilekroć księżyc żywszem światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany;
Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć z bliska! —
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszemi orszaki:
Lecz dotąd w mojem zachowałeś łonie,
Też same oczy, twarz, postawę, szaty. —
Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać —
Alfie! nam lepiej takimi pozostać,
Jakimi dawniej byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu — ale nie na ziemi! —

«Doliny piękne zostawmy szczęśliwym:
Ja lubię moję kamienną zaciszę,
Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym,
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę —
I w tej zaciszy można, Alfie drogi,
Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić:
Porzuć już zdrady, mordy, i pożogi,
Staraj się częściej i raniej przychodzić.

«Gdybyś — posłuchaj — około równiny
Chłodnik podobny owemu zasadził,
I twoje wierzby kochane sprowadził,
I kwiaty — nawet ów kamień z doliny —

Niech czasem dziatki z pobliskiego sioła,
Bawią się między ojczystemi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła,
Niechaj Litewskie powtarzają śpiewy —
Piosnka ojczysta pomaga dumaniu,
I sny sprowadza o Litwie i tobie —
A potem, potem, po mojem skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie.» —

Alf już nie słyszał. On po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci:
W dzikich widokach i w naglonym biegu
Znajdował jakąś ulgę, utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz; roztargał odzienie,
I z piersi zrzucił wszystko — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy;
Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada —
Cień krąży dalej! i cichemi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada.
Głos tylko słychać: «biada, biada, biada!»

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
Pomyślał chwilę — i wszystko zrozumiał.
Dobywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojnem okiem:
Pusto do koła, tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał —
Spojrzy ku brzegom, staje rozrzewniony;
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była:
«Dzień dobry, krzyknął, przez tyle lat z sobą
Tylkośmy nocną widzieli się dobą:
Teraz, dzień dobry! — jaka wróżba miła!

Pierwszy dzień dobry, po latach tak wielu!
Zgadnij, dla czego przychodzę tak rano?»

ALDONA.

«Nie chcę zgadywać; bądź zdrów, przyjacielu!
Już nazbyt światła, gdyby cię poznano —
Przestań namawiać. — Bądź zdrów. Do wieczora
Wynijść nie mogę, nie chcę — —»

ALF.

«Już nie pora!
Wiesz, o co proszę? — Zrzuć jaką gałąskę —
Nie — kwiatów nie masz: więc nitkę z odzieży,
Albo z twojego warkocza zawiąskę,
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży,
Chcę dzisiaj — jutro nie każdemu dożyć —
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojem łonie,
Na który jeszcze świeża łeska płonie;
Chcę go przed śmiercią na mem sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem —
Mam zginąć wkrótce, nagle — zgińmy razem!
Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę?
Tam będę mieszkał. Dla znaku, co ranek,
Wywieszę czarną chustkę na krużganek.
Co wieczór lampę u kraty zaświecę:
Tam wiecznie patrzaj. Jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona:
Zamknij twe okno, może już nie wrócę —
Bądź zdrowa!» —

Odszedł i zniknął. Aldona
Jeszcze pogląda zwieszona u kraty. —
Ranek przeminął, słońce zachodziło:
A długo jeszcze w oknie widać było
Jej białe z wiatrem igrające szaty,
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

«Zaszło nakoniec» rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,
W której zamknięty od samego rana
Siedział, patrząjąc w okno pustelnicy:
«Daj mi płaszcz, szablę. Bądź zdrów, wierny sługo,
Pójdę ku wieży. Bywaj zdrów na długo,
Może na wieki. — Posłuchaj Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę: opuść to mieszkanie.
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić —
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nic powiedzieć:
W godzinę skonu — prócz jej i prócz ciebie! —
Bądź zdrów Halbanie! Ona będzie wiedzieć:
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano —
Lecz cóż to? słyszysz? — W bramie kołatano.»

«Kto idzie?» trzykroć odźwierny zawołał;
«Biada!» krzyknęło kilka dzikich głosów.
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega.
Alf, zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu: «stało się» zawoła,
Nalał i wypił. «Starcze! w ręce twoje!»

Halban pobladnął. Chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki,
Opuszcza rękę: «To oni — już przyszli.»

«Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czegoż myślisz? Masz nalaną czaszę —
Moja wypitą. — Starcze, w ręce wasze!»

Halban poglądał w milczeniu rozpaczy:
«Nie, ja przeżyję — i ciebie, mój synu! —
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki!
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta;
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci. —
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości.» —

Na poręcz okna Alf z łzami pada —
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokom: które wnet postrada.
Objął Halbana; westchnienia zmięszali
W ostatniem, długiem, długiem uścisnieniu.
Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

«Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie!
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!
Oto jest starzec, kapelan Zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!»

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania.
Lecz coraz blednie, pochyla się, słania;
Wsparł się na oknie i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, Mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:

«Oto są grzechy mojego żywota! —
Gotowem umrzeć: czegoż chcecie więcej? —
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy? —
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy!

Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów:
Tam marzną waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? Wyją głodnych psów gromady —
One się gryzą o szczątki biesiady!

«Ja to sprawiłem! Jakem wielki, dumny:
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny,
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem!»

Rzekł, spojrzał w okno i bez czucia pada.
Ale nim upadł, lampę z okna ciska.
Ta, trzykroć kołem obiegając błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada.
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy,
I przy tym blasku widać Alfa oczy:
Już pobielały — i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany —
Z czyjej to piersi? Wy się domyślicie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:
W tym głosie całe ozwało się życie. —

Tak struny lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną; zmięszanemi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki:
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł harmonji w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

ZDANIA I UWAGI

Z DZIEŁ

JAKÓBA BOEHME, ANIOŁA SZLĄZAKA
I SAINT-MARTINA.

ZDANIA I UWAGI.

RZECZ ZANIEDBANA.

Jedna jest rzecz na świecie godna ludzkiej pieczy;
Ludzie o wszystkiem myślą, prócz tej jednej rzeczy.

PAX DOMINI.

Pokój jest przyszłem dobrem, przyszłem szczęściem mojem:
Nie chciałbym Boga, gdyby Bóg nie był pokojem.

STOPNIE PRAWD.

Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi;
Są takie, które szepce swemu narodowi;
Są takie, które zwierza przyjaciołom domu;
Są takie, których odkryć nie może nikomu.

VENI CREATOR SPIRITUS.

Niech się twa dusza jako dolina położy,
A wnet po niej jak rzeka popłynie duch boży.

ŚRODEK.

Bóg nie nad głową mieszka, lecz w środku człowieka:
Więc kto w głowę zachodzi, od Boga ucieka.

KIERUNEK.

Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie:
Gdzie chylił się za życia, tam po śmierci wpadnie.

FILOZOF I BÓG EMIGRANT.

Wygnaliśmy z serc Boga, weźniem dobra po nim,
Gadać o nim i pisać do niego zabronim;

Mamy nań sto gąb brzmiących i piór ostrych krocie:
A ten zbrodniarz emigrant myśli o powrocie?

SŁOWO I CZYN.

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę;
Trudniej dziś dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

CÓŻ?

Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego
Zaczęła się najskromniej od słowa: dla czego?

WŁASNOŚĆ JEST NĘDZĄ.

Czemu szatan jak nędzarz wszystkim dóbr zazdrości?
Bo sam nic nie posiada, prócz swojej własności.

RUSZTOWANIE.

Duch jest budowlą, ciało jako rusztowanie:
Musi być rozebrane, gdy budowla stanie.

BŁOGOSŁAWIENI CISI.

O kawał ziemi ludzkie dobija się plemię;
Zostań cichym, a możesz posiąść całą ziemię.

DROGA DO WIECZNOŚCI.

Ci, co nad czas i miejsce ducha swego wzbili,
Mogą czucia wieczności doznać w każdej chwili.

CZŁOWIEK WIECZNOŚCIĄ.

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy na świat zdąży
I Boga w sobie, a sam w Bogu się pogrąży.

BOGACTWO ŚWIĘTEGO.

Człowiek święty jest równie jak stwórca bogaty,
Bo stwórca z nim podziela wszystkie swoje światy.

NIC DARMO.

Bóg nic darmo nie daje, lecz wszystko otwiera,
I każdy z Boga tyle ile chce zabiera.

MIARA BÓSTWA.

Bóg wznosi się tak górnie, tak szeroko leży,
Że granic bóstwa swego sam nigdy nie zmierzy.

CNOTA.

Gdy pełnisz cnotę, cierpisz trudy i kłopoty,
Jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.

PRÓBA.

Wtenczas powiesz, człowieku, żeś godzien zbawienia,
Jeśli zdołasz wnijść w piekło i nie czuć płomienia.

NIEUFNOŚĆ.

Obraża niebo podła i nieufna tłuszcza,
Co wzywa Boga, lecz się na Boga nie spuszcza.

SKĄD MĘKA.

Cierpi człowiek? bo służy sam sobie za kata:
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

BOŻE NARODZENIE.

Wierzysz, że się Bóg zrodził w Betleemskim żłobie,
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.

FIGURA NIE ZBAWI.

Krzyż wbity na Golgocie tego nie wybawi,
Kto sam na sercu swojem krzyża nie wystawi.

ROZMOWA.

Duch z bezdeni swej woła; Bóg ze swej bezdeni
Odpowiada: obadwa równo niezgłębieni.

GDZIE NIEBO?

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie:
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

JAK SŁUCHAĆ.

Kto pragnie wieczne słowo w głębi własnej duszy
Sam wyraźnie usłyszeć, niech wprzód zamknie uszy.

SŁOWO I CIAŁO.

Słowo stało się ciałem, ażeby na nowo
Ciało twoje, człowieku, powróciło w słowo.

CEL STWORZENIA.

Czego szuka stworzenie od wieków tak wiela?
Szuka tylko spoczynku swego stworzyciela.

WARUNEK WŁADZY.

Gdybym tyle jak Chrystus mógł wziąć Bóztwa w siebie,
Zaraz stałbym się władcą na ziemi i niebie.

DO RAJU PRZEBOJEM.

Do raju drzwi otwarte: ale rzadki zdoła
Przebić się przez ogniste miecze Archanioła.

RÓŻNICE.

Czemu jest pierś anielska więcej Bogu droga
Niż pierś muchy? Bo więcej bierze w siebie Boga.

WZAJEMNOŚĆ.

Ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy;
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.

JA.

Gdyby szatan na chwilę mógł wnijść sam z siebie,
Toby w tej samej chwile już ujrzał się w niebie.

NISKIE DRZWI.

Pomiędzy dzieci boże próżno ten wnijść pragnie,
Kto się u drzwi tak nisko jak dziecię nie nagnie.

OSZUKAŃSTWO.

Wołasz do Boga: Ojcze! Ojciec wnet przychodzi:
Aż zamiast dziecka chłopa dużego znachodzi.

DAR NIE BOGIEM.

Kto modli się o dary, złe pacierze mówi:
Bo modli się stworzeniu, nie stworzycielowi.

SKĄD WOJNA?

Za co człowiek na bliźnich tak często uderza,
Jak na dzikie zwierzęta? Bo w sobie ma zwierza.

WOJNA TYLKO MIĘDZY RÓWNYMI.

Zwierz walczy ze zwierzęciem, boi się człowieka;
Człowiek walczy z człowiekiem, od ducha ucieka.

WARUNEK BESPIECZEŃSTWA.

Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

WARUNEK NIETYKALNOŚCI.

Chcesz cało przejść pomiędzy światowym rozruchem?
Bądź dla zwierząt człowiekiem, a dla ludzi duchem.

POWOŁANIE CHYBIONE.

Smutni! chorzy! wy, zamiast cieszyć się i leczyć,
Wolicie wzajem siebie smucić i kaleczyć.

SKĄD ZŁO.

Bóg jest dobrem; więc wszystko, na co duch narzeka:
Zło, śmierć i potępienie, pochodzą z człowieka.

UWAGA CHROMEGO.

Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgromadzenie,
By poznać ludzi, zważam pierwsze ich spojrzenie:
Rozsądni naprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

RÓŻNICA.

Dobry i zły zarówno chodzą za bliźnimi:
Jeden żeby ich żywił, drugi by żył nimi.

KRÓL I KAT.

Dobry człowiek, jako król, szuka kogo wieńczyć.
Zły podobny do kata: szuka kogo męczyć.

BŁOGOSŁAWIENI CISI.

Wszyscy walczą dla dobra, któż używać będzie?
Błogosławiony cichy — ten ziemię posiędzie.

NARÓD CICHY.

Żaden naród prac swoich nie cieszył się płodem,
Bo żaden nie był ludu cichego narodem.

WIECZNA RZECZPOSPOLITA.

Pewna rzeczpospolita jest zawsze i wszędzie,
Chociaż państwem na ziemi nie była, ni będzie.

ZEGAR.

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza:
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

KRÓLESTWO BOŻE GWAŁT CIERPI.

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć;
I Pan Bóg sam nie zstąpi, potrzeba go ściągnąć.

NADZIEJA.

Trzymaj ten sznur, choć fala nad głową szaleje;
Wybrnąłby szatan, gdyby mógł chwycić nadzieję.

ZAPOMNIENIE SIĘ SZATANA.

Szatan wie, że Bóg wieczny i w sile niezmierny;
Ale o tem zapomniał, że Bóg miłosierny.

JEGO PRZECZUCIE.

Szatan przeczuwa dobrze wieczność swej katuszy;
Ale rozumowaniem to przeczucie głuszy.

O CO KŁÓTNIE?

Od chwili gdy zaczęli czarci z nieba spadać,
Kłócą się dotąd, kto z nich ma niebo posiadać.

JAKI ŻAL.

Powiadasz, że żal zbawia: wszak czarty się żalą?
Żalą się, lecz na drugich, a sami się chwalą.

KARA BOŻA.

Największego grzesznika Bóg sił nie pozbawia,
Tylko na karę własnym siłom go zostawia.

CZAS DZIAŁANIA.

Kto na wieczność pracuje, drogo czas szacuje:
Bo kiedy czas ustanie, skończy się działanie.

WIECZNOŚĆ NIE MA CHWIL.

Czy wiecie, żeśmy dłużej niżeli Bóg żyli?
Bóg jest wieczny, a przecież nie żył ani chwili.

CZAS.

Czas jest łańcuch; im dalej od Bogu ucieczesz,
Tem dłużej i tem cięższy łańcuch z sobą wleczesz.

MILCZENIE.

Zaiste, miłe Bogu jest Aniołów pienie;
Ale daleko milsze człowieka milczenie.

CICHOŚĆ.

Głośniej niśli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy:
I kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszy.

ŹRÓDŁA.

Mówisz: niech sobie ludzie pokochają Boga,
Byle im była cnota i Ojczyzna droga.
Głupiec mówi: niech sobie źródło wyschnie w górach,
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach.

ODLEGŁOŚĆ.

Że do Nieba daleko, nie jeden narzeka:
Ziemia dalej niżeli Niebo od człowieka.

GOŚĆ.

Wołasz Boga: on często schodzi pokryjomu
I puka do drzwi twoich — aleś rzadko w domu.

TRWOGA SZATANA.

Czemu sąd ostateczny tak szatana trwoży?
Czyli mu niewiadomy dotąd wyrok Boży?
Czy on żałuje świata, który się ma złamać?
Żałuje; bo bez świata, gdzież on będzie kłamać?

DLA CZEGO KŁAMIE?

Szatan, choć sobie mądrość i siłę przyznaje,
Wie, że kłamie i wiary sam sobie nie daje;
Dla tego rad śród ludzi zdanie swoje szerzyć,
By je słysząc z ust cudzych, mógł i sam uwierzyć.

ŻĄDZA NIEŚMIERTELNOŚCI.

Chcesz zyskać nieśmiertelność przez jaki czyn dzielny:
Głupiś! czy chcesz, czy nie chcesz, będziesz nieśmiertelny.

TRÓJCA.

Bóg jest w Trójcy jedyny, ma pokój w radości:
Radość pochodzi z Trójcy, a pokój z jedności.

WESELE I CIERPIENIE.

Bóg w duchu swym wiecznego doznaje wesela,
A w nas cierpi o tyle, o ile się wciela.

ZGODNOŚĆ.

Dobry mistrz w takim tylko chórze śpiewać lubi,
Gdzie czuje, że głos własny w harmonii gubi.

JA.

Muzyk zmięsza orkiestrę najlepiej dobraną,
Jeśli grając, stara się, żeby go słyszano.

BANK.

Dziwisz się, że po śmierci mała nasza cnota
Ma rosnąć w szczęście przez ciąg wiecznego żywota:
Nie dziwisz się, że jeden grosz w banku złożony,
Za kilka wieków może urość w miliony!

GRZECH.

Grzech jest palnym żywiołem: więc kto grzechu nie ma,
Może stać w środku piekła, ogień go nie ima.

APOSTOLSTWO I FILOZOFJA.

Filozof uczniom własnej nauki udziela:
Apostoł tylko świadkiem jest nauczyciela.

ŚWIADEK I OSKARŻYCIEL.

Straszniejsze jest dla zbrodni świadectwo niż skarga;
Łotr lży oskarżyciela, na świadków się targa.
Skarżących mędrków czasem pospólstwo łajało,
Lecz świadczących o prawdzie zawsze mordowało.

URZĄD.

Człowiek jest urzędnikiem wysokiego stanu:
Cały świat służy jemu, a on tylko Panu.

WŁASNOŚĆ OSOBISTA.

Skarżysz się, że ktoś z twojej własności korzysta:
Grzech, jest to jedna twoja własność osobista.

SKARGA.

«Uszło szczęście i próżno dotąd za niem chodzę!» —
Nie uszło: czeka ciebie na krzyżowej drodze.

UPÓR.

Pan dotąd miłosiernie patrzy na szatana,
Lecz szatan odwraca się, by nie widział Pana.

MĄDROŚĆ.

Nauką i pieniędzmi drudzy cię zbogacą;
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

MĄDROŚĆ I UMIEJĘTNOŚĆ.

Aby mądrości nabyć, nie dość mieć pojętność,
Nie dość uczyć się: mądrość nie jest umiejętność.
Ta pragnie z teorji praktykę wyciągnąć,
A tamta, teorję praktyką osiągnąć.

NAUKA BEZBOŻNYCH.

Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje,
Strzeż się go, jest to zbójca, który broń kupuje.

PRAKTYKA.

Na co będą potrzebne — pytało pachole —
Trójkąty, czworoboki, koła, parabole?
Że potrzebne, rzekł mędrzec, musisz teraz wierzyć;
Na co potrzebne, zgadniesz, gdy zaczniesz świat mierzyć.

CZAS.

Czas jako powróz wiąże ducha do natury;
Póty męczyć się musim, aż zużyjem sznury.

ATOM.

«Świat widzialny jest atom.» Prawda, astronomie!
Za cóż ty chcesz żyć cały tylko w tym atomie? —

ROSPRAWA.

O czemkolwiek rosprawa, im dłużej się wiodła,
Tem dalsza jest od prawdy, jak woda od źródła.

RADA GŁUPCÓW.

Po co się ten gmin głupi na radę zgromadził?
Chce, żeby mu radzono to, co już uradził.

DOBRA RADA.

W jednym tylko przypadku rada nie zawadzi.
W jakim? Gdy się Pokora u Mądrości radzi.

TŁUM.

Szatan jest tchórz, boi się zostać w samotności,
I dla tego najczęściej między tłumem gości.

ZNAK.

Bóg pomazańcom swoim znak na czole kładnie;
Naród, który tych znaków nie widzi, upadnie.

WIERZCHOŁEK I PODSTAWA.

Na głębszych fundamentach wyższy mur stać może:
I wyższy rozum tylko na głębszej pokorze.

ODDYCHANIE BOGA.
(Z perskiego.)

Kiedy tchnie, całą przyszłość z piersi swych wyzionie;
Gdy westchnie, całą przeszłość w piersiach swych pochłonie.

LICZBA GWIAZD.

Prawd w pismie bożem, równie jaka gwiazd w błękicie:
Im lepsze macie oczy, tem więcej ujrzycie.

WALKA ZE SMOKIEM.

Ilekroć złą myśl w duszy dobra przezwycięża,
Tylekroć Święty Michał strąca z niebios węża.

MIKROKOSMOS, MIKROBIBLJA.

Ciało jest małym światem; dusza książką małą,
W której spisano wszystko, co się w świecie stało.

FAŁSZYWA MONETA.

Kłamca jest zły moneciarz; pozwól mu fałsz mnożyć,
To on sam jeden zdoła cały kraj zubożyć.

RUCH GŁUPI.

Głupiec jak muł we młynie, związane ma oczy,
I ciągle ruszając się, ciągle w miejscu kroczy.

RUCH MĄDRY.

Mędrcy prawdziwie wielcy; jak niebieskie ciała,
Zdają się stać, gdy każde z nich leci i działa.

PRAWDZIWA WIELKOŚĆ.

Dobrze by w życiu świeckiem, jak niegdyś w kościele,
Tego tylko zwać wielkim, kto wycierpiał wiele.

BAJKA.

«Świat ten jest czysta bajka!» Zgoda, przyjacielu:
Lecz każda bajka ma sens moralny na celu.

ZGODA.

Wtenczas tylko rzetelnie pogodzisz się z wrogiem,
Jeśli ty i wróg pierwej zgodzicie się z Bogiem.

DZIAŁANIA I CIERPIENIE.

«Czy mam działać, czy cierpieć?» Bądź stwórcy obrazem,
I jak on w każdej chwili działaj i cierp razem.

HISTORJA I PROFETIA.

Czas przeszły równie od nas jak przyszły daleki;
Ten tylko pojmie przeszłe, kto zgadł przyszłe wieki.

POKUSY.

Nawała pokus, równie jako morska burza,
Dzielnych pływaczów wznosi, a słabych zanurza.

EGOIZM.

Nie ten jest egoistą, kto od ludzi stroni,
Ale ten, kto za bliźnim jak za łupem goni.

POTWARZ I POCHLEBSTWO.

Pochlebca i potwarca za zasługą łażą;
Brzydź się więcej pochlebstwem niżeli potwarzą.
W potwarzy dla dobrego jest zawżdy nauka,
Pochlebstwo złych zatwardzi a dobrych oszuka.

NOCNY PTAK.

Szatan w ciemnościach łowi; jest to nocne zwierzę;
Chowaj się przed nim w światło — tam cię nie dostrzeże.

KRZYWDA CZASEM PRZYDA SIĘ.

Często grzesznik przed śmiercią na bliźnich się żali,
Iż mu nie dosyć w życiu krzywd nawyrządzali.

NIE ŹLE BYĆ ŚMIESZNYM.

Nie źle to jest być śmiesznym. Żartowano z panów,
Z mędrców, z wodzów, z poetów, z lekarzy, z kapłanów;
Wszystkich na śmiech wystawił dowcipek ucieszny,
Prócz jednego szatana. On jeden nie śmieszny.

SFERA OWOCÓW.

Musi drzewo, ażeby rozkwitać i rodzić,
Po liściach jak po szczeblach na powietrze wchodzić

Chociaż soki pożywne z łona ziemi bierze,
Owocu dać nie może, tylko w wyższej sferce.

OGNIK.

Mądrość świecka jest nakształt błędnego ognika:
Błyszcząc, zwodzi cię z drogi; gdy z niej zejdziesz, znika.

ISKRY.

Jaka tam będzie siła wiecznego płomienia,
Wnoś tu z jego iskierek, ze zgryzot sumienia.

CZERW.

Mędrek świecki wymaga od małych i wielkich,
By wszyscy byli zawsze przykładem cnót wszelkich,
Choć sam co chwila cnotę myślami kaleczy,
Słowami podkopuje i czynem niweczy;
Obrzydliwszy od czerwi co roztacza drzewa:
Bo on tocząc, klnie drzewu, czemu nie dojrzewa.

JEDNA WOLA.

Jednej woli jednemu trzeba przedsięwzięciu.
Lepszy jeden wódz głupi, niż mądrych dziesięciu;

CECHA WYŻSZYCH.

Po tem wyższego męża możesz poznać w tłumie,
Że on zawsze to tylko zwykł robić, co umie.

POMAGAĆ BOGU.

Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić,
A bez naszej pomocy nie może nas zbawić.

PRÓBY.

Mędrzec zwyczajnych ludzi z rozmowy ocenia,
A nadzwyczajnych mężów poznaje z milczenia.

SEN.

Jak bezsenny źle czyni, gdy oczy zamruża
I kładzie się na łożu, bo tem noc przedłuża:
Tak namiętny źle czyni, gdy śmierć zada sobie.
Wylecz się z bezsenności, nim pójdziesz spać w grobie.

DWA ŚWIATY.

Dobrzy ludzie nie mogą mieć nic na tym świecie,
A za to źli, na tamtym, nic mieć nie będziecie.

MAJESTAT DUSZ NASZYCH.

Sam Bóg bez wiedzy naszej nie może nas rzucić,
A choć rzuci, gdy zachcem, musi do nas wrocić.

RESZTA PRAWD.

Jest i więcej prawd w piśmie; lecz kto o nie pyta,
Niech sam zostanie pismem; w sobie je wyczyta.

OBJAŚNIENIA.

WIERSZE RÓŻNE.

Str. 4. w. 12. Od czoła ich Plutona przyłbica odpadła.

Szyszak Plutona sprawiał niewidomymi tych, którzy go nosili.

Str. 4. w. 15. Oto mędrzec Fedona, to Persów zabierca:

Plato i Aleksander Wielki.

Str. 6. w. 25. Ruchem do mirmidońskich podobny zwierzątek.

Mirmidonowie, według mitologji, powstali z mrówek.

Str. 8. w. 1. Aby naprawiać krzywdy.

Redresser les torts, hasło Paładynów.

Str. 11. w. 4. Przez nie w zbrojne rzemiosło wtrawiał się Sułtanie.

Warcaby, równie jak szachy, dla nauki monarchów wschodnich wynalezione.

Str. 11. w. 22. Wido! tak biegle w polskie przestrojony szaty.

Szachy poety włoskiego Wida, wzorowie tłumaczone przez Jana Kochanowskiego.

Str. 18. w. 17. Tam jest gwiazda, co tylko dnom podmorskim świta,
I latarnia, przy której dumał Stagiryta,
I łódź, wiosłem żyjącem morskie tnąca szyby,
I pałasze, któremi walczą wieloryby.

Gwiazda morska, rodzaj molusków. Latarnia Stagiryty, Arystotelesa, gatunek muszli. Pałasz morski, ryba.

Str. 19. w. 19. Te prawdy, po hebrajsku zapisane w skałę.

Skała hebrajska, tak zwana od czarnych rysów, podobnych do liter hebrajskich.

Str. 19. w. 28. W imię Bojana wstanie i paszczę rozedrze.

Bojanus, sławny przed czterdziestu laty nauczyciel anatomji porównawczej w Uniwersytecie Wileńskim.

GIAUR.

Giaur.

Niewierny; tak Muzułmanie nazywają Chrześcian.

Str. 51. w. 9. Gdy was przychodzień z gór Kolonny wita.

Przylądek Kolonna, zwany niegdyś Sunium.

Str. 51. w. 22. Błyszczy się róża, sułtanka słowików.

O miłostkach róży i słowika poeci wschodni często wspominają.

Str. 52. w. 18. Zabrzmi gitara morskiego przechodnia.

Na morzach greckich często w noc pogodną słychać dźwięk gitary. Ulubiony to instrument majtków greckich; przy jego dźwięku śpiewają i tańczą.

Str. 53. w. 9. Kto na śmiertelnem oglądał posłaniu.

Zapewne rzadko który z czytelników widział na własne oczy obraz tu opisany. Kto widział, musi pamiętać, jak smutne czyni wrażenia ta dziwna piękność, która kilka godzin po zgonie zdobi jeszcze twarz martwą: ale kilka godzin tylko. Godna uwagi, że człowiek zabity kulą, ma pospolicie na twarzy wyraz żałości, chociażby za życia był śmiałego i dzikiego charakteru; przeciwnie, postać człowieka przebitego sztyletem, wyraża boleść i tchnie dzikością.

Str. 55. w. 20. Niewolni — gorzej: słudzy niewolników!

Ateny, za panowania Tureckiego, były własnością Kizlar-Agi, niewolnika serajowego i dozorcy kobiet haremu. Eunuch rządził rządcą Aten.

Str. 56. w. 4. Że to piratów statek lub Majnotów.

Majnoci, mieszkańcy dawnej Lakonji, czyli rzeczywiście pochodzą od Spartanów? wiele o tem pisali uczeni.

Str. 57. w. 26. Przecież błysk widać każdej tofaiki.

Tofaika, strzelba turecka.

Str. 57. w. 27. 28. Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu.

Ramazan, jest to wielki post turecki; Bajram, wielkie święto, które obchodzą nakształt naszego karnawału. O zachodzie słońca początek Bajramu ogłasza się wystrzałem z armaty; potem trwają całą noc illuminacje meczetów i wystrzały wiwatowe różnej broni.

Str. 58. w. 15. **Chyży jak dziryt, leci wzdłuż zatoki.**

Dzeryd, jest to pocisk na końcu tępy. Jezdni muzułmańscy rzucają go z konia, bardzo silnie i trafnie; jest to ich ulubiona zabawa. Nie wiem, czy można ją nazwać zabawą rycerską: bo najzręczniejsi Dzerydści w Konstantynopolu są czarni rzezańcy. Pamiętam też Mameluka ze Smirny, który w tem igrzysku Turków zwyciężał.

Str. 59. w. 6. **Przyszedł i odszedł jak wicher Symomu.**

Simum, wiatr pustyni, śmiertelny wszystkiemu, co tchem swoim owionie. Poeci wschodni wiele o nim piszą i różne mu dają nazwiska.

Str. 60. w. 30. **Za chleb i za sól podziękować Bogu.**

Na wschodzie, skoro gospodarz chleb z podróżnym rozłamie i solą z nim podzieli się, już go przyjmuje za gościa; chociażby w gościu poznano nieprzyjaciela, już osoba jego jest poświęcona i od wszelkiej krzywdy bespieczna.

Str. 60. w. 35. **Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana.**

Ludzkość i litość dla ubogich, nakazana jest Koranem muzułmanom. Wyznać należy, że znaleść można często przykłady tych cnót między Turkami. Zwyczajnie, jeżeli kto chce chwalić Turka, wysławia najprzód jego szczodrotę, a potem męstwo.

Str. 61. w. 4. **I w srebrem kutych pochwach atagany.**

Atagan, jest to długi sztylet, który Turcy obok pistoletów na pasie zawieszają. Pochwy atagana są pospolicie z metalu, często ze srebra, a u bogatych wyzłacane lub szczerozłote.

Str. 61. w. 6. **Zapewne Emir, bo w zielonym stroju.**

Pomiędzy muzułmanami tylko ci, którzy uchodzą za potomków Mahometa, mają prawo nosić suknie zielonego koloru.

Str. 61. w. 7. **Ho! kto ty? Salem? — «Waszej jestem wiary.**

Aleikum Salem znaczy pokój z tobą. Chrześcian pozdrawiają słowem Ohurlarola, szczęśliwa droga, albo:

chairolsun, sabah chairolsun, daj Boże zdrowie, dzień dobry.

Str. 62. w. 9. **Jak król motylów za wiosny powrotem.**

Motyl Kaszemirski, najpiękniejszy i najrzadszy z motylów.

Str. 63. w. 6. **Jest skorpion opasany żarem.**

Powszechne jest mniemanie, że skorpion, otoczony żarem, sam siebie żądłem zabija. Naturaliści sprzeczają się dotąd, czy owad popełnia samobójstwo dobrowolnie, czy tylko wpadłszy w konwulsje, mimowolnym ruchem żądła ranę sobie zadaje. Dla dobra skorpionów życzyćby należało, aby to pytanie rozstrzygniono. Skoroby raz uznano, że skorpiony są Katonami owadów, zostawianoby przecie w pokoju tych męczenników historji naturalnej.

Str. 64. w. 18. **Przy bladem świetle wschodzącej Fingary.**

Fingara, jest Febe czyli księżyc wschodnich narodów.

Str. 64. w. 28. **Jako z Dżemszyda rubinów ognistych.**

Sławny rubin starożytnego szaha perskiego Dżemszyda, w powieściach wschodnich zowie się Szebczerag, pochodnią nocy, puharem światłości, i t. p.

Str. 64. w. 33. **Przechodził ostre mosty Alsyratu.**

Alsyrat, podług mitologji wschodniej, jest to most, tak wąski, jak nitka pajęcza; na tym moście będą musieli muzułmanie przechodzić do raju; zamiast rzeki, ciągnie się u spody przepaść piekielna. Do tego przejścia można by zastosować ów Wirgiljusza facilis descensus Averni. Pod tym mostem pajęczym ma być drugi jeszcz węższy dla chrześcian i żydów.

Persowie szczególnie boją się owego mostu: Jeżeli biedny Pers — powiada Chardin — poniesie krzywdę, której dochodzić na tym świecie nie widzi sposobu, wtenczas apeluje ciemiężyciela na sąd straszny: odpłacisz ty, woła, na moście Pulisermu; tam ci podstawię nogę, albo uczepię się do dołu twoich sukień. Widziałem nieraz, że ciemiężyciel, lękając się takiego aresztu, przepraszał pokrzywdzonego; i sam nieraz używałem skutecznie podobnej groźby, i t. d.»

Str. 65. w. 4. **Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?**

Mylne to jest mniemanie, że Mahomet nie zostawia kobietom nadziei przyszłego życia; owszem, wyznacza im na przy-

tułek trzecią część raju. Wszakże, niektórzy wykładacze Koranu, wykręciwszy tekst proroka, nie przyznają kobietom duszy nieśmiertelnej.

Str. 65. w. 19. Jako monarchą ptaków Frangestanu.

Frangestan, kraj Czerkasów.

Str. 67. w. 12. — — — — już krzyczą Bismillah.

Bismillah, w imię Boga: od tych słów zaczynają się prawie wszystkie rozdziały Koranu, wszystkie modlitwy i dziękczynienia muzułmanów, a nawet wszystkie książki i pisma jakiejkolwiek treści.

Str. 68. w. 1. Więc wściekły wąsy od gniewu najeżył.

Zwyczajne symptoma gniewu u Turków. W roku 1809, na audjencji dyplomatycznej, nagle wąsy Kapudana Baszy najeżyły się jak u tygrysa: drogmani pobledli od strachu; szczęściem, wąs powoli opadł i obwisnął: zostało więc na karkach może tyle głów, ile było włosów w owych wąsach.

Str. 68. w. 20. Poznałem czarne, złowrogie źrenice.

O złych oczach i urzekaniu złem okiem, powszechna jest wiara między ludem w Turcji i wielu innych krajach.

Str. 69. w. 24. Gdzie wiszą szmaty jego palamporu.

Palampor, szal, który noszą baszowie i znakomite osoby.

Str. 71. w. 15. Turban w kamieniu prostym wyrzęzany.

Takie są proste nagrobki Turków. Często spotyka je podróżny w dzikich ustroniach pomiędzy skałami; oznaczają mogiły poległych w czasie buntu, albo zamordowanych od zbójców.

Str. 71. w. 26. Słyszał wołanie Illah — hu, Alla — hu.

Illa — hu, Alla — hu, a raczej La illaha, illa hu: temi słowami kończy się wzywanie na modlitwę czyli izan, obwoływany z wież minaretów.

Str. 72. w. 6. Monkir swą kosą rozerwie na ćwierci.

Monkir i Nekir, podług Muzułmanów, są to wielcy inkwizytorowie ciągnący śledztwo z nieboszczyków. Jeżeli z odpowiedzi grzesznika przekonają się o jego winach, wtenczas Monkir kosą ciągnie go do góry, a Nekir, maczugą na dół strąca.

Str. 72. w. 8. Przed tron Eblisa twą przeklętą duszę.

Eblis, Pluton muzułmanów.

Str. 72. w. 13. Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem.

Wiara w upiory powszechna na Wschodzie. Turcy zowią je Wardulacha; Grecy równie ich się boją i mnóstwo o nich prawią strasznych powieści.

Str. 73. w. 11. Jak się ten zowie Kalajor ponury.

Kalajor lub kalojer, mnich grecki.

Str. 81. w. 10. On wiedział o tem od swoich proroków.

W wielu krajach, naprzykład w Szkocji, są ludzie, którzy mają posiadać wzrok podwójny, przewidywać przyszłe wypadki. W Turcji są niektórzy obdarzeni duchem prorockim i słyszący przyszłe postrzały.

Str. 82. w. 23. Ona śpi, falmi nakryta chłodnemi.

Przed niewielą laty żona Muchtar Baszy oskarżyła syna swego o niewierność. Muchtar wywiadywał się o nazwiska kochanek syna. Wymieniono mu dwanaście najpiękniejszych kobiet Janiny. Basza rozkazał je tejże nocy pochwycić, wsadzić w skórzane wory, i wrzucić do morza. Janczar obecny tej egzeckucji, zapewniał mnie, że żadna z tych ofiar nie wydała krzyku, ani pokazała znaku trwogi. Za mojej bytności w Grecji śpiewano pieśni o Frozynie, najpiękniejszej z owych Greczynek.

Historja o Giaurze i Leili jest nieco dawniejsza; słyszałem ją od jednego z tych opowiadaczy, którzy po kawiarniach wschodnich prawią różne powieści wierszem i prozą. Żałuję, że niewiele spamiętałem ułamków oryginału; porobiłem różne odmiany, wmięszałem własne dodatki: czytelnik je rozezna po stylu ubogim w obrazy orjentalne.

Objaśnienia czerpałem z Herbelota i ze sławnej powieści Kalif Watek.

GRAŻYNA.

Str. 81. w. 8. Zamek na barkach nowogródzkiej góry.

Nowogródek, starożytne miasto w Litwie, niegdyś Jadźwingów, potem Rusinów posiadłość, zburzone przez Tatarów w czasie zagonu, a odbudowane przez Erdziwiła Montwiłowicza książęcia Litewskiego. O tem zajęciu Stryjkowski: «a gdy się przeprawili — Litwini — przez Niemen, znaleźli we czterech milach górę kraśną i wyniosłą, na której był pierwej zamek stołeczny No-

wogródek książęcia ruskiego, przez Bateja cara zburzony. Tam zaraz Erdziwił założył sobie stolicę i zamek znowu zbudował, a osiadłszy i opanowawszy bez rozlania krwi, gdy nie było komu bronić, wielką część ruskiej ziemi, począł się pisać wielkim książęciem Nowogródzkim.» Kronika Stryjk. karta 266, wyd. Krolewieckie. Ruiny zamku dotąd widzieć się dają.

Str. 92. w. 15. To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków.

Zakon Krzyżacki, zwany Zakonem Kawalerów szpitalnych, Marjanitów, Teutonów, fundowany w Palestynie roku 1109, wezwany potem około roku 1230, od książęcia Mazowieckiego Konrada na obronę Mazowsza od Prusaków i Litwy, stał się potem najstraszniejszym nie tylko pogan, ale i okolicznych krajów chrześciańskich nieprzyjacielem. Powszechny odgłos ówczesnych dziejopisów wyrzuca Zakonowi łakomstwo, okrucieństwo, dumę i małą gorliwość o wiarę chrześciańską. Biskupi skarżyli się przed papieżem, że im Krzyżacy przeszkadzają w nawracaniu pogan, wydzierają własności kościelne, uciskają duchowieństwo. Moglibyśmy tu przytoczyć mnogie dowody takowego postępowania, w sprawach tylekroć przed papieżem i cesarzem wytaczanych: ale jeśli skargom strony przeciwnej ktoś wierzyć nie zechce, umieszczamy słowa bezstronnego kronikarza Jana z Winterthur — Johannes Witoduranus. — Ten dziejopis, sławiony z rzetelności, nie mający żadnej do Krzyżaków urazy, a jako Niemiec i duchowny, bynajmniej na stronę pogan nie uprzedzony, w prostocie ducha barbarzyńską łaciną pisze o Krzyżakach: «His temporibus (a. 1343) Crucigeri dominantes longe lateque in provincia prussena, regni regis Litaoniae, magnam partem per bellum quod sibi — regi — intulerunt auferentes in provinciam redegerunt; quam ut rehaberet — rex — ipsis fidem catholicam recipere firmiter pollicebat (sic) quod eum facere recusarent, rex litaonice ajebat: «in hoc luculenter comprehendo, quod non meam fidem, sed pecuniam appetunt, et ideo in paganismo perseverabo.» De his Crucigeris verbum lamentabile, et fidei ortodoxae penitus inimicum, quod absit, enarratur: quod omnes paganos, quos per bella sibi tributarios efficiunt, malunt in suo paganismo remanere, sub eorum tributo, quam a tribato exemptos, ut devote flagitabant vel adhuc hodierna die flagitant, fieri fidei

catholicae professores. Famatur etiam ipsos — Crucigeros — non solum terras principum infidelium, sed etiam fidelium invadere.» Corpus Historicorum medii aevi. editio Jo. Georg. Eccard. Lipsiae p. 1723. Toż po polsku: «Około tych czasów, jakem słyszał z ust godnych wiary, Krzyżacy szeroko panujący w Prusach, wypowiedziawszy wojnę królowi Litewskiemu, gwałtownie wydarli mu część kraju. Ażeby swoje odzyskać, król przyrzekł im wiarę katolicką przyjąć; gdy zaś Krzyżacy obietnicy słuchać nie chcieli, rzekł król po litewsku: «widzę, iż wam nie o wiarę, ale o pieniądze idzie, i dla tego w pogaństwie trwać będę.» — O tych Krzyżakach twierdzą — rzecz bolesna, i wierze katolickiej — bodaj się nie sprawdziło! — wielce szkodliwa — iż wolą, aby podbici poganie zostali w bałwochwalstwie i haracz płacili, aniżeli uwolnieni od haraczu chrzest przyjęli, o co pobożnie nalegali i nalegają. Jest także wieść, iż oni — Krzyżacy — nie tylko ziemie książąt pogańskich ale i chrześciańskich najeżdżają.»

Toż samo o Krzyżakach powiada, i w szczegółach opisuje ich okrutne i nieprawe postępowanie z Prusakami i Litwą pisarz niemiecki August Kotzebue, jakkolwiek sam nieprzyjazny Litwinom i Polakom, w dziele dla historji Litewskiej bardzo ważnem: Preussens ältere Geschichte von August von Kotzebue 1808. Riga. 4 Bde. Ob. Tom drugi, kart. 115. Schilderung der Ordensbrüder in diesem Zeitraum (roku 1312) — i kar. 108; Tom drugi k. 60. Schilderung der Preussen nach beendigtem Kriege (roku 1240). Tom trzeci, k. 275. — Schilderung der Gräuel im Orden während dieses letzten Zeitraums (roku 1436). Nie można bez wzdrygnienia czytać okrucieństw jakich, się Krzyżacy dopuszczali nad nieszczęśliwym narodem: przytoczymy jeden tylko szczegół. Na końcu jeszcze czternastego wieku, kiedy Prusy całkiem podbite i uspokojone były, Mistrz Krzyżacki Konrad von Wallenrod, zagniewany na biskupa Kumerlandskiego, kazał wszystkim chłopom z jego djecezji prawe ręce poucinać: o czem świadczą Leo, Treter i Łukasz Dawid. Takimi byli Krzyżacy, zakon z samych Niemców złożony, co nowy powód do zelżywego ich traktowania Sławianom i Litwie dawało. Zdawna psami Niemców przez wzgardę nazywano;

i Bandtkie mniemał, że Psie pole, Bolesława III. tryumfem pamiętne, dla tego tak nazwane, iż tam wiele Niemców (psów) wymarło.

Str. 92. w. 18. **Zaraz by w bagnie skąpał się ten plucha.**

Nie dziw więc, że Prusacy i pobratymcy ich Litwini czuli wieczną ku Niemcom nienawiść, która stała się wrodzoną prawie ich charakterowi. Za czasów pogańskich, a nawet po przyjęciu chrześciaństwa, kiedy grzebano Litwina albo Prusaka, płaczkowie śpiewali nad nim: Idź nieboże z nędzy tego świata na lepszy, gdzie drapieżni Niemcy tobie panować nie będą, ale ty im: o czem świadczą Bielski i Stryjkowski. Dotąd w głębokiej Litwie pod panowaniem pruskiem, nazwać wieśniaka Niemcem, jest to zelżyć go najsromotniej.

Str. 92. w. 22. **A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał.**

Nie tylko o charakterze, ale i o rozumie Niemców złe mają wyobrażenie Prusacy i Litwini; przysłowiem jest u nich: głupi jak Niemiec. Obacz Kotzebue, Tom I. k. 72: «Und weil die Deutschen selten der fremden Sprachen Feinheiten tüchtig wurden, so sagten die Preussen auch wohl von einem einfältigen Menschen: er ist so dumm wie ein Deutscher.» Ob. też Linde, pod wyrazem: Niemiec — i Rhesa, das Jahr in vier Gesängen aus dem Lithauischen des Christian Donaleitis ins Deutsche übertragen.[1]

Str. 94. w. 11. **Że Witołd, pan nasz możny i łaskawy.**

Witołd, syn Kiejstuta, jeden z największych mężów, których wydała Litwa. O jego działach wojennych i polityce, oprócz narodowych dziejopisów, czytać w Kotzebuego historji, wyżej przytoczonej, szczególniej Tom 3 karta 232, tudzież w życiu Świdrygajła: Switrigal, ein Beitrag zu den

[1] Rhesa, podobno teraz professor w Królewcu miłośnik starożytności litewskich, ogłasza zabytki ich literatury. Przed kilku laty wydał poema Litwina Donałejtysa o czterech porach roku, hexametrem napisane, z przydaniem tłumaczenia niemieckiego i uczonych objaśnień. Wspomnione poema, co do rzeczy i pięknego wysłowienia godne pochwały, i stąd jeszcze mieć powinno dla nas szczególny interes, iż jest wiernym obrazem obyczajów ludu litewskiego. Dzięki szanownemu mężowi, który, lubo cudzoziemiec, zawstydza rodaków, mało dbałych o historję swojej ojczyzny. (Ed. 1822, Wilno.)

Geschichten von Lithauen, Russland, Polen und Preussen, von August von Kotzebue. Leipzig 1820.

Str. 94. w. 32. 33. **A skoro słońce z Szczorsowskiej granicy**
Pierwszym promykiem grób Mendoga draśnie.

Szczorse, dziedzictwo Chreptowiczów, starożytnej familji litewskiej, na wschód Nowogródka położone. Mendog, Mindagos, albo Mindowe, Mindak, Mendult Ryngoltowic, Wielki Książe Litewski, pierwszy, który Litwę z pod obcego wpływu uwolnioną, do znacznej potęgi wyniósł i stał się strasznym sąsiadom, przyjął był religję chrześciańską i za pozwoleniem papieża koronował się królem litewskim w Nowogródku roku 1252. Pod Nowogródkiem jest góra, którą zowią dotąd Mendogową, i która ma być grobem tego bohatera.

Str. 97. w. 11. **A na zwierzynie nie brakło i miodzie.**

Dwa główne artykuły uczty u Litwinów dawnych.

Str. 98. w. 19. **Ale ja z mistrzem pruskiego zakonu.**

Na czele Zakonu Niemieckiego czyli Krzyżaków był Wielki Mistrz, obierany od kapituły; po nim Wielki Komtur, Tretzler czyli podskarbi zakonu, Marszałek czyli Hetman, i Komturowie czyli Komandorowie szczególnych konwentów po miastach i zamkach.

Str. 98. w. 25. **Wprzód więc nim zajdą siedmiorakie gwiazdy.**

Litwini mieli właściwy sobie sposób oznaczania pór roku, miesięcy i godzin. Ob. Kotzebue T. I. k. 35 do 68 (Schilderung des alten Preussens). Konstellacja tu wspomniana w ich języku nazywa się Retis.

Str. 98. w. 27. 28. **Niemców pancernej trzy tysiące jazdy,**
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle.

Wojsko Krzyżackie składało się naprzód z samych bratów czyli braci Zakonu, giermków i laików, należących do Zakonu, rajtarów czyli jazdy, ochotników lub zaciężnych, tudzież piechoty na żołdzie Zakonu, zwanej Landsknechty, Fussknechty lub Knechty.

Str. 98. w. 31. **Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem.**

W każdem prawie opisaniu bitwy dodają kronikarze, iż Niemcy przewyższali Litwę wzrostem i siłą; uderzenia ich kopji trudno było wytrzymać. Kiejstut, Narymund, lubo dzielni rycerze, w takich pojedynkach z siodła wysadzeni byli.

Str. 98. w. 33. Wiesz, jako dzielnie brzeszczotami sieką.

Brzeszczot, głownia szabli, klinga.

Str. 99. w. 21. Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory.

Topory i maczugi, najstraszniejsza broń Litwinów.

Str. 100. w. 3. 4. A przecież, jeśli do domowych progów
Wąż zaproszony gościem od człowieka.

Litwini czcili węże, które po domach oswajali i karmili; najdokładniej o tem Joannes Lasicius Polonus de diis Samogittarum: «Nutriunt etiam quasi deos penates, nigri coloris obesos et quadrupetes serpentes quosdam, givoitos vocatos.» Resp. Polon. ed: Elzeviriorum, p. 309. Stryjkowski jeszcze widział za czasów swoich zabytki tej czci starożytnej u Łotyszów; a Gwagnin we wsi Ławaryszkach — Labariski — o cztery mile od Wilna.

Str. 101. w. 10. Znane mi dobrze Witołda umowy.

Cała mowa Litawora jest wiernym obrazem tego, co podówczas w Litwie udzielni książęta o Witoldzie myśleli.

Str. 101. w. 23. Pewnie Ruś gołą, lub bagna Warega.

Okolice przyległe morzu Warjagskiemu czyli Normandzkiemu, dzisiejszemu Baltykowi. Polityką było zdawna wielkich książąt Litewskich, rozsadzać swoich krewnych prawem lennem w ziemiach, na przyjacielu zdobytych. Montwil, Mendog, Giedymin dali tego przykład.

Str. 102. w. 12. Od Fińskich zatok po Chazarów morze.

Fińskie zatoki, pobrzeża Finlandji. Morze Chazarskie, dzisiaj Czarne.

Str. 102. w. 18. Co jest na Wilnie, lub Trockiem jeziorze.

Troki, z dwoma zamkami, z których jeden pośród jeziora na wyspie zbudowany, były stolicą Kiejstuta, a potem dziedzictwem Witołda.

Str. 102. w. 19. Widziałem piękną dolinę przy Kownie.

O kilka wiorst od Kowna, śród gór, ciągnie się dolina, ubarwiona kwieciem i przerżnięta strumieniem. Jedno z najpiękniejszych miejsc w Litwie.

Str. 103. w. 25. 26. Jego jakoby drugiego Mindowę
Na ucztach wielbią Wajdeloci nasi.

O Mindowie obacz przypisek na str. 67 w. 1. Wajdeloci,

Sigonoci, Lingustoni, zwali się kapłani, których obowiąskiem było dzieła przodków na obrzędach wszelkich, a szczególniej w czasie jesiennych świąt kozła, opowiadać lub opiewać ludowi. Że starzy Litwini i Prusacy lubili i uprawiali poezję, przekonywają o tem pieśni dawne w niezmiernej liczbie, dotąd między gminem pozostałe, i świadectwa dziejopisów. Czytamy w Stryjkowskim, iż na pogrzebie książąt, kapłan opiewał ich czyny; iż za czasów Miechowity powtarzano piosnkę o książęciu Zygmuncie zabitym od kniaziów ruskich. Ale najciekawszy i najważniejszy w tym względzie szczegół znajduje się w dziele niemieckiem: Versuch einer Geschichte der Hochmeister, Berlin 1789. Autor tej szacownej książki, Becker, cytuje starożytną kronikę Wincentego Moguntczyka, który był nadwornym kapelanem Wielkiego Mistrza Dusenera von Arfberg, i pisał dzieje swoich czasów (od roku 1346). Między innemi czytamy, iż, podczas wielkiej uczty z okoliczności obioru Wielkiego Mistrza Winrycha von Kniprode, Minensinger niemiecki śpiewak, uczczony oklaskami i złotym puharem; tak dobre przyjęcie poety, zachęciło przytomnego Prusaka, nazwiskiem Rizelus: prosił więc o pozwolenie śpiewania w ojczystym języku litewskim i sławił dzieła pierwszego króla Litwinów, Wajdewuta; Wielki Mistrz i Krzyżacy nie rozumiejąc i nie lubiąc mowy litewskiej, wyśmiali poetę i dali mu w podarunku talerz pustych orzechów.[1] Nie powinny więc zdawać się śmiesznemi twierdzenia Kotzebuego i Bohusza, iż literatura litewska bogatą być musiała w poezje bohaterskie i historyczne, chociaż do naszych czasów mało co doszło w tym rodzaju. W Prusach albowiem, Krzyżacy pod karą śmierci zakazali urzędnikom i wszystkim zbliżającym się do dworu używać języka Litewskiego; wywołali z kraju razem z cyganami i żydami Wajdelotów, litewskich Bardów, którzy sami dzieje marodowe znać i opiewać mogli. W Litwie znowu, za wprowadzeniem wiary chrześciańskiej i języka polskiego, dawni kapłani i mowa

[1] Kotzebue, lubo przytacza tę powieść, zdaje się jednak wątpić o bytności rękopisu kroniki Wincentego. Wszakże, w bibljotece Szczorsowskiej, w zbiorze rozpraw studentów Gdańskich, jest pisemko niejakiego Taschke pod rokiem 1735, gdzie autor cytuje kronikę Wincentego, jakoby drukowaną w Frankfurcie, i dowodzi, że wspomniony Wincenty nie był Moguntczykiem, ale Gdańszczaninem.

ojczysta poszła w pogardę i zapomnienie; odtąd lud prosty, zamieniony w niewolnictwo i obrócony do roli, zarzuciwszy oręż, zapomniał też i o pieśniach rycerskich, powtarzając stosowniejsze do teraźniejszego położenia swojego treny i sielanki. Jeżeli zostawało coś z dawnych ich dziejów i poezji bohaterskiej, to w domowych tylko zagrodach albo w czasie obrzędów, zdawna z zabobonnością połączonych, w tajemnicy gminowi udzielano. Symon Grunau, w XVI wieku trafił przypadkiem w Prusach na ucztę kozła, i ledwo uprosił życie, przysiągłszy wieśniakom, iż nikomu nie wyda tego, co ujrzy lub usłyszy; wtenczas, po spełnionej ofierze, stary Wajdelota zaczął śpiewać dzieje dawnych bohaterów Litwy, mięszając nauki moralne i modły. Grunau, który dobrze po litewsku rozumiał, wyznaje, iż nic podobnego nie spodziewał się usłyszeć z ust Litwina, taka była piękność rzeczy i wysłowienia.

Str. 104. w. 4. Naszedł i z tronu zmiótł Olgierdowica.

Witołd wypędził z Wilna Skirgajłę, i sam wielkie Księztwo objął.

Str. 104. w. 5. By jego poseł, jak Krywejty goniec.

U starożytnych Litwinów był rząd po części teokratyczny. Kapłani wielki wpływ mieli. Najstarszy z nich zwał się Kriwe-Kriwejto lub Kriwejto. Kronikarze, którzy Litwę od Rzymian lub Greków wyprowadzić chcieli, upatrywali w tytule kapłana wyraz grecki Κυρίος, Κυρίοτατος. Mieszkanie tego naczelnika religijnego było niedaleko miasta Romowe w Prusach, gdzie potem wieś Heiligenbeil. Tam pod świętym dębem odbierał ofiary i stamtąd ogłaszał swoją wolę, rozsyłając po kraju Wajdelotów i Sygonotów, uzbrojonych laską na znak pełnomocnictwa wielkiego kapłana. Ob. Guagnini Alexandri, Rerum polonicarum Tomi III. Francoforti 1584. v. II. p. 167. i. w zbiorze Elzewirów. p. 321. Kotzebue T. I. p. 81. Cromeri Martini, Polonia sive de originibus et rebus gestis Polonorum libri XXX. Coloniae Agripinae a. MDLXXXIV (libro III. p. 42).

Str. 106. w. 5. Często myśliwa na żmudzkim rumaku.

Konie żmudzkie, na których jazda litewska tyle dokazywała, nie musiały być tak słabe, jakiemi je dziś widzimy. Godna

wspomnienia z tej okoliczności dawna piosnka litewska o koniu Kiejstuta — tłómaczenie: —

Wszak nad tatarskie nie ma w świecie koni,
Nad niemiecką nie ma broni:
A z Litwy rodem jest konik Kiejstuta,
Szabla jego w Litwie kuta.
Konik cisawy, niewielkiego wzrostu:
Szabla okuta po prostu:
Za cóż na widok Kiejstutowej burki,
Drżą Niemce i bledną Turki?
Niemiec z Kiejstutem gdy w szable zadzwoni,
Złamie bułat na żelezie,
Han, krymskim koniem od żmudzkiej pogoni
Głowy w hordę nie uwiezie.
Bo gwałt, ca ramię na cięcie wytęża,
Przechodzi i do oręża;
Bo serce jeźdzca na wojennem błoniu
Po połowie bije w koniu.

Str. 114. w. 3. Ty giermku, rozkaż osiodłać hestera.

Szczególny rodzaj koni żmudzkich; obacz Czackiego o Litewskich i Polskich prawach T. I, p. 214.

Str. 114. w. 28. Całą od sutej błyszczącą czerwieni;

Czerwień, purpura.

Str. 116. w. 21. Dał hasło: chylą majdany do nogi —

Majdan, część ta łuku, za którą się ręką łuk trzyma.

Str. 116. w. 23. Jezus, Marja! naprzód, hop hop, ura!

Hop, Hop, da stich und stoss! wołali Niemcy na nieprzyjaciół.

Str. 117. w. 30. 31. Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzyma.

Niedaleko miasteczka Rumszyszek jest największa rapa w Niemnie, żegludze niebespieczna, zwana olbrzym.

Str. 121. w. 3. 4. Kędy świątynie miał władca pioruna.
I Bóg co wichrem niepogodnym świszcze.

Perkunas, bóg piorunu, czczony w Litwie, i Pochwist, bóg niepogody, na Rusi. Dotąd pokazują w Nowogródku miejsce, gdzie miały stać tych bóstw świątynie, a gdzie teraz kościół księży Bazyljanów.

Str. 121. w. 10. Niemiecki braniec na dzielnym rumaku.

Brańców wojennych, szczególniej Niemców, Litwini palili na ofiarę bogom. Przeznaczono do tego obrzędu wodza, lub

znaczniejszego z rodu i męstwa rycerza; jeśli kilku dostało się w niewolę, natenczas losem wyciągano nieszczęśliwą ofiarę. Po zwycięstwie naprzykład Litwy roku 1315 nad Krzyżakami, Stryjkowski powiada: «A Litwa i Żmudź za to zwycięstwo i za hojne łupy z nieprzyjaciół pogromionych i pobitych złupione, gdy bogom swoim ofiary i zwykłe modły czynili, jednego zacnego Krzyżaka imieniem Gerarda Ruddę, wójta albo starostę ziemie sambijskiej, z więźniów przedniejszego, z koniem, na którym wojował, i z zbroją, w której był ubrany, i z bronią, żywego na wyniosłym stosie drzew spalili, i z dymem duszę do nieba, a ciało z perzynani na powietrze posłali.» Stryjkow. Kron. k. 391. wyd. królewiekie.

Przy końcu tegoż wieku Prusacy, już ochrzczeni, zbuntowawszy się i zbiwszy 4,000 Niemców, Komtura Memelskiego pojmali i spalili. Ob. Lucas Dawid k. 2156.

Str. 122. w. 9. 10. — — — — **Rycerze na stosie**
Składają ciało, mleko i miód leją;

Zwyczaj palenia ciał, wspólny wielu narodom starożynym, był też w Litwie zachowywany aż do przyjęcia chrześciaństwa. Kronikarze i w tem znajdowali dowód pochodzenia Litwy od Greków lub Rzymian. Obrzędy pogrzebowe nieraz szeroko opisuje Stryjkowski, szczególniej po zgonie sławnego Kiejstuta. «Ciało jego — Kiejstuta — Skirgajło, brat Jagiełłów, do Wilna uczciwie obyczajem książęcym przyprowadził, a uczyniwszy wielki stos z drzew suchych na zgliskach Wileńskich, według zwyczaju ojczystego pogańskiego, zgotowali wszystkie potrzeby do palenia ciała. Tamże ubrawszy go w zbroję i w szaty książęce, z szablą, z włócznią i z sajdakiem włożyli go na stos drzew, a przy nim sługę wiernego żywego, konia najlepszego żywotnego, ubranego, parę chartów, sokołów i wyżłów, paznokcie rysie i niedźwiedzie i trąbę myśliwską. Potem uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary i wyśpiewawszy dzielności jego, co za żywota czynił, zapalili on stos drew smolny, i tak wszystko ciało zgorzało; popiół potem i kostki wypalone zebrawszy, w trumnie pochowali. A to było dokonanie i pogrzeb sławnego książęcia Kiejstuta.» (kar. 467.)

Str. 123. w. 11. **Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha.**

Charakter i działanie Grażyny mogą się zdawać zbyt ro-

mansowe, i z obyczajami owczesnemi niezgodne. Dziejopisowie albowiem niepochlebnemi kolorami malują stan niewiast w Litwie starożytnej: te nieszczęśliwe ofiary przemocy i ucisku żyły w pogardzie, wskazane na służbę prawie niewolniczą. Ale z drugiej strony, u tychże dziejopisów znajdujemy cale przeciwne badania. I tak na chorągwiach Pruskich i na monetach starożytnych widziano, jak świadczy Schütz (Kotzebue, Belege und Erläuterungen T. I, p. 291) niewiastę w koronie: skądby wnosić można, iż kiedyś niewiasta panowała w tym kraju. Pewniejsze daleko, bo aż do późnych czasów, dochodzą powieści o sławnych ubóstwionych kapłankach; o Gezanie i Kadynie, których szaty i relikwie długo jeszcze w kościołach chrześciańskich zachowywane były. Słyszałem od świadomego dziejów narodowych p. Onacewicza, iż w rękopisie kronikarza Wołyńskiego jest wzmianka o sławnym czynie niewiast jakiegoś miasta litewskiego, które po wyjściu mężów na wojnę, same murów broniły, a nie mogąc oprzeć się nieprzyjaciołom, przeniosły dobrowolną śmierć nad niewolę. Coś podobnego wspomina Kromer (Polonia sive, etc. p. 206) o zamku Pullen. Sprzeczności te pogodzić się dadzą, jeśli zważymy, iż ród litewski składał się z dwóch oddawna razem zamieszkałych, ale zawsze nieco różniących się pokoleń: to jest, z krajowców — autochtonów — i przychodniów, jak się zdaje Normandów. Ci ostatni zachowali zapewne wrodzone ku płci pięknej uczucia szacunku i przywiązania. Jakoż, podług dawnych praw czyli zwyczajów litewskich, żony z tego obcego pokolenia zaszczycane były szczególnemi od mężów względami. Nadto, pogarda ku niewiastom i ich upodlenie zdaje się, iż tylko w czasach najdawniejszych i zupełnie barbarzyńskich miały miejsce. Następnie zaś, a mianowicie w wieku, w którym przypuszczamy akcję tej powieści, duch rycerski i prawie romansowy przebija się coraz bardziej. Wiadomo, jak dzielny i surowy wojownik Kiejstut czule kochał swoją Birutę, którą bogom poświęconą, narażając się na niebespieczeństwo, porwał, i z prostego stanu księżną uczynił: jak małżonka Witołda zręcznie i śmiało męża z więzienia i od bliskiej śmierci uwolniła.

Str. 123. w. 14. Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

Litwini w ciężkiej chorobie lub w wielkiem nieszczęściu,

zwykli byli żywcem palić się w domach. Najpierwszy ich król i arcykapłan Wajdewutas i jego następcy, na stosach dobrowolną śmiercią pospolicie żywot kończyli. Takowe samobójstwo w mniemaniu ich bardzo zaszczytnem było.

KONRAD WALLENROD:

Str. 139. w. 1. Z Marienburskiej wieży zadzwoniono.

Maryenburg, po polsku Malborg, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellończyka przyłączone do Rzeczypospolitej Polskiej, później oddane w zastaw margrabiom Brandeburgskim, przeszło nakoniec w posiadłość Królów Pruskich. W sklepach zamku były groby Wielkich Mistrzów; niektóre dotąd ocalały. Voigt, profesor królewiecki wydał przed laty historję Maryenburga, dzieło ważne dla historji Prus i Litwy.

Str. 139. w. 7. 8. Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.

Insygnia Wielkich Mistrzów.

Str. 139. w. 16. Sławą napełnił zagraniczne domy.

Domy. Tak nazywały się klasztory, albo raczej zamki po różnych krajach Europy rozrzucone.

Str. 139. w. 23. Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić.

Dawne wyrażenie polskie; combattre à outrance.

Str. 142. w. 35. 36. Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

Wzrok człowieka, powiada Cooper, jeśli jaśnieje wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy z tej okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek, usłyszał szelest, podniósł się i ujrzał z przestrachem ogromnego, tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznej postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojej strony, siedząc spokojnie, nie spuszczał oczu z strzelca: po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się powoli ale zaledwo uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się i znowu po-

wrócił. Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się znowu z nim oko w oko, i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. Bibliothèque Universelles, 1827 février. Voyage du Capitaine Head.

Str. 143. w. 30. **Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił.**

Grosskomthur najpierwszy urzędnik po Wielkim Mistrzu.

Str. 144. w. 30. **Jakaś nieznana pobożna niewiasta.**

Kroniki owych czasów piszą o wiejskiej dziewicy, która przybywszy do Maryenburga, żądała, aby ją zamurowano w osobnej celi, i tam życia dokonała. Grób jej słynął cudami.

Str. 146. w. 19—21. 24. **Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.**
Czy szłyszeliście? wieszczba o Konradzie:
Konrad dzielnego imię Wallenroda.
— — — — — — — — — — — — —
On Mistrzem naszym! — — — — —

W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne, brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. I tak Winrych Kniprode pozyskał wszystkie głosy, ponieważ bilku braci słyszało jakoby w grobach Mistrzów wołanie trzykrotne: Vinrice! Ordo laborat. — «Winrychu! Zakon w niebespieczeństwie.»

Str. 150. w. 18. **Jest wieczny ogień w Zamku Swentoroga.**

Zamek Wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany Znicz, to jest ogień wieczny.

Str. 158. w. 14. **«Cieszmy się w Panu!» Wnet puhary błysły.**

Hasło uczt zakonnych owego wieku.

Str. 163. **Pieśń Wajdeloty.**

Obacz Grażyna, objaśnienie wiersza:

«Głoszą na ucztach Wajdeloci nasi.»

gdzie opisane jest podobne zdarzenie za mistrzowstwa Dusener von Arfberg.

Str. 163. w. 6. **Staje widomie morowa dziewica.**

Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewicy, której zjawienie się, opisane tu według powieści gminnej, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę, w treści przynajmniej, słyszaną niegdyś w Litwie balladę. «We wsi «zjawiła się morowa dziewica, i według zwyczaju przeze drzwi «lub okno wsuwając rękę, i powiewając czerwoną chustką, roz-

«siewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się warownie: «ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania ta-«kowych środków otrożności; wszyscy więc czekali śmierci. «Pewny szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność i «mogący najdłużej wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił «jednak poświęcić się dla dobra bliźnich, wziął szablę zygmun-«tówkę, na której było imię Jezus i imię Marja, i tak «uzbrojony otworzył okno domu. Szlachcic jednym zamachem «uciął straszydłu rękę i chustkę zdobył. Umarł wprawdzie i «cała jego rodzina wymarła: ale odtąd nigdy we wsi nie znano «morowego powietrza.» Chustka owa miała być zachowana w kościele, nie pomnę jakiego miasteczka. Na Wschodzie, przed zjawieniem się dżumy, ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza, i palcami wytykać skazanych na śmierć. Zdaje się, że imaginacja gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nietylko pojedyńcze osoby, ale całe narody częstokroć podzielają. Tak w Grecji przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponeskiej: w państwie rzymskiem upadek monarchji; w Ameryce przybycie Hiszpanów; i. t. d.

Str. 166. w. 19. Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano.

Walther von Stadion rycerz niemiecki, wzięty w niewolę od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta, i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini, dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się najsroższymi Niemców nieprzyjaciołmi. Takim był pamiętny w dziejach zakona Prusak Herkus Monte.

Str. 177. Wojna.

Obraz tej wojny skreślony podług historji.

Str. 181. w. 8. Schodzi na radę trybunał tajemny.

W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć wielkich zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słabą na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne; którego członkowie nie znając się między sobą, obowiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciołom lub krewnym. Skoro sę-

dziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadamiano potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekolwiek w jego obecności: weh! (biada!) — To trzykroć powtórzone słowo było ostrzeżeniem; kto je usłyszał, gotował się na śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadomej odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trybunałem femicznym (Vehmgericht) albo westfalskim. Trudno oznaczyć, kiedy wziął początek; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola Wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć, i rządy zmuszone były srożyć się nieraz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucyę całkiem obalono.

Nazwaliśmy powieść naszą historyczną, bo charaktery działających osób i wszystkie ważniejsze wspomnione w niej zdarzenia skreślone są podług historji. Ówczesne kroniki, w cząstkowych rozerwanych spisach, nieraz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, by z nich jaką całość historyczną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik, Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnej w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jej członka. Miał być czyimś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (bibljoteki Wallenroda) powiada: er war ein Pfaffenkind. O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę, i nawet nienawiść ku duchownym. «Er war ein rechter Leuteschinder (Kronika bibljoteki Wallenroda). Nach Krieg, Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden; und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von wegen seines Ordens sein sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Gräuel gewesen (David Lucas). Er regierte nicht lange, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer.» Z drugiej strony przyznają mu ówcześni pisarze wielkość umysłu, męstwo, szlachetność i moc charakteru: jakoż bez

rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojej utrzymać śród powszechnej nienawiści i klęsk, które na Zakon sprowadził. Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rządy Zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą: bo Witołd przyrzekał sam Niemców na Wilno prowadzić i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę, co gorsza, zraził Witołda i tak mu niebacznie zaufał, że ten książe, pogodziwszy się tajemnie z Jagiełłą, nie tylko z Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel palił je i załogi wycinał. W tak niepomyślnej zmianie okoliczności, należało wojnę zaniechać, albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki Mistrz ogłasza krucjatę, wysypuje skarby Zakonu na przygotowania — 5,000,000 mark, około miljona złotych węgierskich: summa na owe czasy niezmierna — ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdobyć, gdyby czasu na ucztach i oczekiwaniach posiłków nie zmarnował. Nadeszła jesień; Wallenrod, zostawiwszy obóz bez żywności, w największym bezładzie uchodzi do Prus. Kronikarze i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu, nie znajdując w ówczesnych okolicznościach żadnego doń powodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda pomięszaniu rozumu. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatera dają się pogodzić, jeśli przypuścimy, że był Litwinem i że wszedł do Zakonu, aby się nad nim zemścił. Jakoż, panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Maryenburgu. Wallenrod umarł roku 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. «Er starb, powiada kronika, in Raserei ohne letzte Oehlung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Nogat durchwühlten ihre Dämme: hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pilau steht. Halban, czyli, jak go zowią kronikarze, doktor Leander von Albanus, mnich, jedyny i nieodstępny to-

warzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był podług kronikarzy heretykiem, poganinem, a może czarownikiem. O zgonie Halbana nie ma pewnych wiadomości. Niektórzy piszą, że utonął; inni, że uszedł tajemnie, lub od szatana porwany został. Kroniki przywodziliśmy po większej części z dzieła Kotzebuego: Preussens Geschichte, Belege und Erläuterungen. Hartknoch, nazywając Wallenroda unsinnig, bardzo krótką o nim daje wiadomość.

Lubo rodzaj wiersza, użyty w powieści Wajdeloty, mało jest znany, nie chcemy wykładać powodów, które nas do tej nowości skłoniły, aby nie uprzedać zdania czytelników. Za miarę zgłosek uważaliśmy akcent zachowujący się w wymawianiu: radziliśmy się też uwag zawartych w ważnem dziele Królikowskiego. Wprawdzie w kilku miejscach odstąpiliśmy od podanych przezeń prawideł: tłumaczyć się tu jednak z tego względu nie poczytujemy za rzecz stósowną i potrzebną. Oto jest skandowanie kilku wierszy:

Skąd Li | twini wra | cają | z nocnej wra | cają wy | cieczki
Wiozą | łupy bo | gate | w zamkach i | cerkwiach zdo | byte.
Sama nie | widzi co | robi | wszyscy mi | to powia | dają.

W budowie wiersza naśladowano hexametr grecki, z tą różnicą, że w miejscu spondeów (— —), używano najczęściej trocheów (— ◡), albo ◡ ⏓. W dwóch lub trzech miejscach, daktyle zastąpione są przez antibacchius (— — ◡), którego średnia zgłoska nie jest wyraźnie długa np.: krzyk mojej matki.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.

~~DEC 14 '60 H~~

~~JUL 10 '61 H~~

~~AUG 4 '61 H~~

~~MAY 26 '62 H~~